

ZESZYT CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1979

ZESZYT CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1979

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 307

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Stefan KISIELEWSKI

STOSUNKI KOŚCIÓŁ-PAŃSTWO W PRL

Katolicyzm i Kościół Rzymski odegrały ogromną rolę w ponad 1000-letniej historii Polski, przy czym to co duchowe mieszało się z tym co narodowe, a problemy kościelne zrastały się organicznie z politycznymi. Powstanie państwa polskiego w 966 wiązało się z chrztem Polski, koronacja pierwszego króla w 1025 z ustanowieniem arcybiskupstwa w ówczesnej stolicy — Gnieźnie. Połączenie Polski z Litwą i intronizacja w Krakowie wielkiej dynastii Jagiellonów w 1386 doszły do skutku poprzez chrzest Litwy, zaś Unia Brzeska z roku 1596, tworząc obrządek greckokatolicki postawiła olbrzymi, niezrealizowany zresztą problem przewyciężenia na ogromnych obszarach Białorusi i Ukrainy wschodniej schizmy i poddania tych obszarów jurysdykcji Rzymu. Polska, jedyna spośród narodów słowiańskich w tym stopniu katolicka i przepojona kulturą łacińską, całe wieki dzięki temu opierała się wchłonięciu przez Wschód, czy to przez potęgę zaborczego Islamu czy, później, przez prawosławną Moskwę.

Specjalną rolę odegrał w życiu narodu Kościół katolicki, gdy Polska na lat 120 wymazana została z europejskiej mapy przez rozbiory. Trzeci rozbiór, w roku 1795 przypieczętował podział kraju między Rosję, Prusy i Austrię, zaś po epizodzie Napoleońskim (Księstwo Warszawskie) Kongres Wiedeński zatwierdził rozdzielenie narodu polskiego pomiędzy trzy cesarstwa na okres pełnych lat stu. Tak zwane Święte Przymierze dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej okazało się wcale nie świętym tryumfem brutalnej przemocy.

I przez te sto lat właśnie, kościół katolicki, choć też prześladowany, odcinany od Rzymu i rozdarty na trzy części odegrał ogromną rolę w przetrwaniu osobowości i tożsamości narodowej ludu polskiego. Rusyfikowany i germanizowany, wydziedziczony

ze swych praw duchowych i materialnych, wcielony w obce organizmy państwowe, dzięki katolicyzmowi, jego jednolitości duchowej, obrzędowej i obyczajowej, zachował swą indywidualność. Pod godłami katolicyzmu jednoczyła się poszlachecka inteligencja, mieszczaństwo i chłopci, arcybiskupi i biskupi sprawowali rząd dusz, w myśl tradycji dawnej polskiej monarchii, gdzie rządy w czasie bezkrólewia obejmował *interrex*, czyli Prymas Polski: arcybiskup gnieźnieński-poznański, potem warszawski. Zaś prości, szeregowi księża szli w pierwszych szeregach narodowych powstań i insurekcji: polski patriotyzm, nierozzerwalnie przez wieki kojarzył się z katolicyzmem.

Tych parę słów historycznego przypomnienia potrzebne jest aby zrozumieć dlaczego, gdy w roku 1945 na straszliwie zniszczonych przez hitlerizm obszarach Polski zaczęto tworzyć zupełnie nowe państwo pod egidą implantowanego ze Wschodu rosyjskiego marksizmu, Stalin nie zdecydował się na skrajny terror wobec religii i kościoła, taki choćby, jaki zastosowano na zabranych Polsce ziemiach wschodnich: Podolu, Wołyniu, Wileńszczyźnie. Szef ukraińskiego kościoła unijnego, grecko-katolicki arcybiskup Josif Slipyj (następca słynnego, zmarłego w październiku 1944 metropolity lwowskiego Andrzeja Szeptyckiego) aresztowany został już wczesną wiosną 1945 wraz z grupą ukraińskich księży i kilkanaście lat przebył w rosyjskich więzieniach i łagrach. Natomiast prymas Polski August Hlond (1881-1948) latem 1945 powrócił do „Polski Ludowej” z emigracji i do śmierci zajmował się przede wszystkim organizacją Kościoła na świeżo przyłączonych, poniemieckich Ziemiach Zachodnich, a arcybiskup krakowski książę Adam Sapieha (od roku 1946 kardynał) trwał na metropolitalnym stolcu tak jak przez całą niemiecką okupację, aż do swej śmierci w lipcu 1951. Dopiero prymas kardynał Stefan Wyszyński został internowany i to po śmierci Stalina, we wrześniu 1953, aby odzyskać wolność po trzech latach, w październiku 1956 roku.

Nawet bowiem komuniści, a co więcej przywódcy rosyjscy, zdawali sobie sprawę z roli Kościoła w polskim życiu i rozumieli, że bez Kościoła żadnej państwowości polskiej, nawet po marksistowsku socjalistycznej zbudować się nie da. W żadnej sytuacji, a coś dopiero mówić o ówczesnej.

Twórcy nowego reżymu, żyjący w podwójnym strachu, bo przed społeczeństwem i przed Rosjanami (czytaj: Stalinem) nie mogli sobie pozwolić na nieobliczalny w skutkach konflikt z Kościołem. Położenie polityczne, zarówno polskie jak i światowe zbyt było na to skomplikowane, a wojna wszakże ledwo się kończyła. Stąd też kilkakrotne zapewnienia przywódcy komunistów

Bolesława Bieruta, że „Polska Ludowa” nie ma zamiaru dzielić ludzi na wierzących i nie wierzących, stąd wczesna koncesja na katolickie pismo *Tygodnik Powszechny*, którą krakowski arcybiskup Sapieha otrzymał już w marcu 1945, stąd wreszcie oficjalne pozytywne przyjęcie, z jakim spotkał się powracający do Polski w lipcu tegoż roku prymas kardynał August Hlond.

Kardynał Hlond, prymas Polski od roku 1926, wyjechał z kraju wraz z Rządem we wrześniu 1939, gdy inwazję hitlerowską poparł uderzający ze wschodu Stalin. Wyjechał, łudzony przez Prezydenta wizją roli politycznej, jaką odegrać miał na Zachodzie. W istocie rola ta okazała się żadna. W Rzymie przyjęto go dość kwaśno, po przystąpieniu Włoch do wojny musiał uchodzić do Francji, gdzie aresztowało go i trzymało w więzieniu Gestapo, potem internowany był w klasztorze, gdzie żył trawiony wyrzutami sumienia, że porzucił polski Kościół i wierzących w godzinie tak ciężkiej próby.

W okupowanym kraju rozhulał się bowiem terror, którego ofiarami stali się również, a na wcielonych do „Reichu” obszarach w pierwszym rzędzie, księża i biskupi. Aresztowano w latach okupacji około 3.600 księży, w obozach i egzekucjach poginęło około 2.500 (na ogólną liczbę 12.000), prześladowano również biskupów z Poznańskiego, Śląska i Pomorza, którzy nie zdążyli czy nie chcieli zbiec (trzech z nich zginęło śmiercią męczeńską). Na posterunku trwał jednak arcybiskup krakowski Adam Stefan Sapieha (1867-1951), arystokrata a zarazem ulubieniec ludu, który z ogromną godnością i odwagą przeciwstawiał się władzom hitlerowskim, broniąc Polaków i Żydów. (Kraków był stolicą tzw. „Generalnej Guberni”). Utrzymywał on także, sobie wiadomymi drogami, kontakt z Rzymem informując Papieża o gwałtach niemieckich wobec kleru i narodu. Hitlerowcy mimo wszystko nie ośmielili się go ruszyć, tak jak i później Rosjanie. Wyrósł wtedy jako symbol autorytetu i narodowej roli Kościoła — o Prymasie po trochu zapomniano.

Tymczasem kardynał August Hlond powrócił do Polski z Rzymu w lipcu 1945, spragniony pracy dla kraju i Kościoła, przywożąc z sobą nie byle co, bo pełnomocnictwo od Papieża (z 8. VII. 1945) do mianowania administratorów apostolskich na nowych polskich Ziemiach Zachodnich — mieli oni zastąpić dawnych biskupów niemieckich, którzy opuścili swe diecezje, nie rezygnując jednak z tytułów i roszczeń. Hlond pochodził ze Śląska i sprawa ponownego spolszczenia tych ziem była mu specjalnie bliska. Jednocześnie niezwykle ważna była ona dla nowej polskiej władzy politycznej. Liczono na pierwszy krok ze strony kogoś z Zachodu w kierunku legalizacji stanu faktycznego na

tych obszarach, przyobiecanych Polsce jako rekompensata za straty na Wschodzie, lecz dotąd formalnie oddanych nam jedynie „w administrację”. Hlond z niezwykłą energią wziął się do organizacji nowych polskich diecezji (choć nie nazywanych tak oficjalnie), powstały one we Wrocławiu, Opolu, Gorzowie i Olsztynie oraz jedna w Gdańsku — przedwojennym wolnym mieście. Prymas mianował administratorów apostolskich oraz obsadził księży na wszelkich stanowiskach w kuriach, dekanatach i parafiach tocząc przy tym rozgrywki z pozostałymi jeszcze tu i ówdzie resztkami kleru niemieckiego. Już w roku 1946 cała polska organizacja kościelna na Ziemiach Zachodnich była gotowa, nie pokrywając się z dawnymi granicami diecezji niemieckich, podzielonych teraz częściowo linią demarkacyjną między państwową.

Tu jednak nastąpiła niespodziewana wolta ze strony rządu PRL (tak nazwano teraz nowe państwo polskie), który dotąd raczej zyczliwie przyglądał się działaniom Prymasa, pomagając przy tym wydatnie w odbudowie zniszczonych kościołów. Rząd nie przyjął do wiadomości nominacji tymczasowych ordynariuszy w nowo utworzonych jednostkach administracji kościelnej, domagając się, aby zarządzali nimi biskupi, mianowani przez Rzym, co musiałyby zostać poprzedzone przeprowadzeniem nowego, oficjalnego podziału diecezjalnego, likwidującego dawny, niemiecki stan rzeczy i odbierającego tytuły poprzednim biskupom. Papież odpowiedział, że nie może tego zrobić, dopóki nie ma traktatu pokojowego i międzynarodowego ustalenia granic. Rozpoczął się spór prestiżowo-prawny i polityczny, ciągnący się długie lata i przechodzący przez rozmaite fazy, który zakończył się dopiero w roku 1972 pełnym uznaniem przez Stolicę Apostolską nowych granic diecezji. Na razie jednak Rząd, nie przyjmując do wiadomości stanu prawnego, dopuścił milcząco powołanych przez Prymasa administratorów do pełnienia swych funkcji.

Trzeba nadmienić, że komuniści zaplatali się tu we własne sidła. Od razu w roku 1945 (a nawet wcześniej, gdy nowa władza tworzyła się jeszcze za linią frontu w Lublinie), proklamowano rozdział kościoła od państwa i zerwanie konkordatu, zawartego między Polską „burżuazyjną” a Watykanem w roku 1925. Tymczasem konkordat ten dawał władzy świeckiej duże prerogatywy, przewidywał prawo do zatwierdzania przez Rząd biskupów oraz zobowiązywał księży do lojalności wobec państwa. Gdyby PRL, zaniechawszy względów doktrynersko-pryncypialnych, uznała się za kontynuację przedwojennej Polski, sytuacja moralna i prawna Kościoła po wojnie byłaby znacznie trudniejsza, a znowu

rząd nie musiałby się uciekać do wielu gwałtów. Nie ostatni to wypadek, gdy marksściści przez abstrakcyjne oderwanie od realiów tracą rozeznanie konkretnej sytuacji, powodując chaos i obustronne szkody. Zaś Papiież, w roku 1946 zaprotestował przeciw jednostronnemu zerwaniu konkordatu...

Tymczasem w Polsce trwała jeszcze sytuacja przedwyborcza, gdy względy doktrynalne nie całkiem decydująco przeważały nad konkretnie życiowymi a na swój sposób pluralistyczne życie polityczne było niby dozwolone, by zaspokoić zachodnich Aliantów. W okresie tym nowością stał się udział w życiu publicznym grup katolików świeckich, których rząd koncesjonował, aby stworzyć w opinii jakąś nie marksistowską przeciwwagę dla potężnej chłopskiej i radykalnej opozycji, prowadzonej przez Mikołajczyka. Pierwszą była grupa, zebrana wokół wspomnianego już krakowskiego *Tygodnika Powszechnego* (redaktor Jerzy Turowicz, pierwszy numer 24. III. 1945). Grupa ta i pismo przetrwały (z przerwą 1953-56) po dziś dzień, odgrywając nawet po roku 1956 wyraźną rolę polityczną (klub sejmowy „Znak”, w którym w latach 1957-65 uczestniczył również niżej podpisany). Potem, w sierpniu 1945 pojawił się *Tygodnik Warszawski*, organ przedwojennych i wojennych działaczy chadeckich. Jesienią 1946 wystąpiła wreszcie grupa „Dziś i Jutro”, późniejszy „Pax”, związana z przedwojenną, nacjonalistyczno-faszystowską lecz bardzo radykalną społecznie, młodzieńczą „Falangą”. Przywódca grupy Bolesław Piasecki opowiadał się zdecydowanie za nowym ustrojem i nową władzą, miał swoje kontakty z Partią i Rosjanami, którzy zwolnili go z więzienia, oraz ambicję pośredniczenia przez „katolików postępowych” między kościołem a państwem.

Pisma katolickie, jak i zresztą cała prasa, rządowej nie wyłączając, poddana została bardzo ścisłej a tajnej prewencyjnej cenzurze, która zaostrzała się z każdym rokiem i panuje w Polsce po dziś dzień. Decydujące wybory sejmowe wyznaczono na dzień 19. I. 1947. Grupy katolików świeckich, idąc za radą Kościoła nie wzięły w nich udziału (z wyjątkiem paru kandydatów „Paxu”) i stało się dobrze, bo w atmosferze terroru i fałszerstw wyborczych doszło do sztucznej klęski Mikołajczyka i zwycięstwa zblokowanej rządowej lewicy. I tak oto, po ucieczce Mikołajczyka z kraju, rozpoczął się w roku 1948 okres rządów monopartii i jawnego, stalinowskiego terroru.

Partię socjalistyczną zmuszono do połączenia z komunistami. Rozpoczął się okres terroru policyjnego wobec opozycji, zamknięto m.in. na długie lata w więzieniu zespół redakcyjny *Tygodnika Warszawskiego*, oraz wielu działaczy ludowych i niepodległościowych. Tajna policja szalała, posypały się wyroki śmierci. Do-

wódcą armii polskiej został sowiecki marszałek Konstanty Rokossovski (z pochodzenia Polak). „Odwołano” ustrój trójsektorowy, zaczęło się niszczenie resztek prywatnej produkcji i handlu oraz przymusowa kolektywizacja rolnictwa. I — oczywiście — przystąpiono do jawnej teraz i metodycznej walki z Kościołem.

Walka ta przybrała najróżniejsze, nieraz niezwykle pomysłowe formy — aż dziw bierze ile wynalazczości Partia włożyła w akcję, która po latach i jej samej i społeczeństwu przyniosła wyłącznie szkody. Niewielką zaiste ilością rozumu rządzony jest ten świat...

Przystąpiono do konfiskaty dóbr przyklasztownych, przeciw czemu jednak Kościół nie protestował, zgadzając się na trwanie w ubóstwie. Zaczęto kasować naukę religii w szkołach, usuwając nauczycieli. Stopniowo kasowano też szkoły wyznaniowe (zakonne) i likwidowano wydziały na jedynym w Polsce katolickim uniwersytecie w Lublinie. Tworzono przeliczne organizacje komunistycznych księży (tzw. ironicznie „księży patriotów”), zmuszając szantażami i groźbą do przystępowania do nich. Opornych zawieszano samowolnie lub wywożono do innych diecezji. Odebrano Kościołowi charytatywną, szeroko na cały kraj rozbudowaną organizację „Caritas”, konfiskując całe jej mienie. Cenzura szalała, także w wydawnictwach liturgicznych, likwidowano pisma, wydawnictwa, organizacje młodzieżowe, bractwa, stowarzyszenia, zakłady dobroczynne, nawet zakonne szpitale i stołówki. Stworzono szeroką sieć agentów, penetrujących środowiska klerykalne, zmuszając księży do podpisywania przeróżnych politycznych apeli i listów. Mieszano się we wszelkie sprawy kościelne, z liturgią wyłącznie. I tak dalej, i dalej.

2 października 1948 roku zmarł w Warszawie prymas, kardynał August Hlond, arcybiskup gnieźnieńsko-warszawski, na jego miejsce 16 listopada 1948 papież powołał biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego, urodzonego w roku 1901. Nowy prymas, kapłan o szerokich zainteresowaniach społecznych, którym dał wyraz w szeregu sprzed wojny jeszcze datujących się książek, od początku stawieć musiał czoła całej, wciąż się nasilającej akcji dywersyjno-represyjnej przeciw Kościołowi. Jednocześnie jednak kierownictwo Partii wciąż, różnymi kanałami dawało do zrozumienia, że widzi możliwość globalnego uregulowania wszelkich spraw spornych z Kościołem, pod warunkiem spełnienia przez tenże Kościół pewnych warunków politycznych i uznania w niektórych dziedzinach praw państwa. (A więc brak konkordatu zaczął jednak doskwierać...). Jednym z głównych rzeczników i pośredników w tej dziedzinie okazał się szef przyszłego „Paxu”, Bolesław Pasecki. Grupa jego czynnie uczestniczyła w organizo-

waniu „księży patriotów” i przejmowaniu dobra kościelnego, jednocześnie jednak starała się łagodzić wytwarzane sytuacje i wskazywać drogi „niezbędnego kompromisu”.

Zresztą również w *Tygodniku Powszechnym*, wydawanym przez krakowską kurię arcybiskupią wskazywano na budzący światowe zainteresowanie eksperyment polski, na marksizm rządzący krajem głęboko katolickim, na spotkanie i konfrontację dwóch światopoglądów... Coś należało wreszcie zrobić, ponieważ rzeczywiście w interesie obu stron, co Prymas, elastyczny gdy było trzeba, rozumiał doskonale. I oto, po dłuższych pertraktacjach, 14 kwietnia 1950 trzech przedstawiciele Partii: Ochab, Mazur i Wolski oraz trzech biskupi: Choromański (sekretarz episkopatu), Zakrzewski i Klepacz podpisują w Warszawie Porozumienie między Kościołem a państwem. Reguluje ono szereg spraw praktycznych i prawnych, merytorycznie politycznych a także prestiżowych. Władze państwowe zobowiązały się honorować naukę religii w szkołach, swobodę nabożeństw, pielgrzymek, procesji, wszelkich obrzędów, gwarantowały zachowanie szkół katolickich i uniwersytetu, istniejących stowarzyszeń i pism oraz złagodzenie cenzury. Episkopat natomiast zobowiązał się, iż księża przestrzegają będą poszanowania władzy państwowej, wstrzymają się od wszelkich akcji pozareligijnych (np. wystąpień przeciw niepopularnej kolektywizacji rolnictwa), nauczać będą wiernych lojalności wobec władz i ustroju PRL, etc.

Porozumienie wywołało sensację i uczucia bardzo mieszane, na przykład w Watykanie, dokąd prymas Wyszyński będzie mógł się udać po raz pierwszy wczesną wiosną 1951. Przyjęty został jak się zdaje, nie nadzwyczajnie, nie zdołał też przekonać papieża, co do mianowania biskupów na ziemiach Zachodnich. Chłodne przyjęcie zrekompensował mu serdecznością patriarcha Wenecji kardynał Roncalli, późniejszy papież Jan XXIII. Jednakże w końcu roku 1952 prymas Wyszyński otrzymał kapelusz kardynalski...

Bardzo niedługo okazało się, że Porozumienie z roku 1950 było tylko zasłoną dymną, bowiem szybko mnożyć się zaczęły przeróżne fakty dokonane, oznaczające jednostronną akcję powtórnego zaostrzenia przez władze stosunków z Kościołem. Jakże były tego źródła, czy nowa instrukcja z Moskwy czy też zaostrzająca się sytuacja w Partii (wewnętrzne rozgrywki, aresztowanie Gomułki i jego grupy, etc.) — trudno wiedzieć.

Już w kwietniu 1951 usunięci zostali powołani przez Hłonda w randze prałatów administratorzy apostolscy na Ziemiach Zachodnich, na ich miejsce wybrano polecanych przez Rząd wika-

riuszy kapitulnych, zaufanych, urobionych księży, którym Prymas, chcąc nie chcąc, dał uprawnienia wikariuszy generalnych. Państwo zaczęło teraz jednostronnie usuwać ze stanowisk duchownych wszelkich stopni: proboszczów, dziekanów, wikariuszy, biskupów koadiutorów, administratorów apostolskich, ordynariuszy, przesiedlano siłą biskupów etc. Trwała akcja konfiskat mienia kościelnego i likwidacja wydawnictw. W Krakowie *Tygodnik Powszechny* oraz miesięcznik *Znak* ledwo wegetowały, ściśnięte i fałszowane przez cenzurę prewencyjną (ukrytą zresztą zręcznie przed czytelnikami) do ostatecznych granic. Mnożą się organizacje księży podlegających ściśle Partii, w organizowaniu ich bierze coraz intensywniejszy udział zalegalizowany w roku 1951 jako stowarzyszenie „Pax”. Całością szukan administracyjnych kieruje teraz nowoutworzony Urząd do Spraw Wyznań (stworzony w roku 1950). Po wizycie Prymasa w Rzymie papież kompromisowo proponuje powołanie na diecezje zachodnie tymczasowych biskupów tytularnych, lecz rząd odrzuca i tę propozycję, stawiając żądania maksymalistyczne, przedstawiane na „Komisji Wspólnej”, Episkopat - Rząd. Likwiduje się małe (niższe) seminaria duchowne a kleryków z wielu diecezji powołuje się do wojska. Usunięto teologię z uniwersytetów w Warszawie i Krakowie. Rady narodowe (złożone z ludzi mianowanych przez Partię) zmuszają księży do ślubowania na wierność państwu. Rozpoczynają się też sfingowane, szeroko przez prasę reklamowane procesy księży oraz biskupów (skandaliczny proces biskupa kieleckiego Kaczmarka, oskarżonego o rzekome sprzyjanie Niemcom w czasie okupacji).

Szczytowym jednak aktem w akcji ścisłego podporządkowywania Kościoła władzy partyjnej i państwowej stał się rządowy Dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych z dnia 9.II.1953. Postanawiał on, że każda nominacja i każdy akt jurysdykcyjny w Kościele podlegają kontroli władz i mogą być przez nie anulowane. Było to całkowite podporządkowanie wewnętrznego życia kościoła władzy świeckiej i to zarówno w dziedzinie organizacyjnej jak i czysto religijnej. Episkopat zdecydowanie zaprotesutował przeciw temu dekretoowi na swym zjeździe w Krakowie 8 maja 1953, wskazując, że jest on krańcowo sprzeczny właśnie z zasadą rozdziału Kościoła od Państwa...

Były to już jednak ostatnie momenty przed całkowitym zerwaniem. Wczesną wiosną 1953, po śmierci Stalina, zamknięty zostaje krakowski *Tygodnik Powszechny*, a jego firma i aktywa przekazane „Paxowi”. Zaś dnia 26 września 1953, po uroczystym proteście przeciw procesowi biskupa Kaczmarka, prymas Polski

Stefan Kardynał Wyszyński zostaje aresztowany i osadzony pod dozorem w klasztorze w Komańczy, na wschodnich kresach obecnej Polski. Przewodniczącym Episkopatu zostaje teraz biskup łódzki, Klepacz, wszyscy biskupi pod silną presją składają nader hołdownicze ślubowanie na wierność władzom PRL... Kościół polski był dotąd dla narodu symbolem odważnego oporu przeciw totalizmowi ideologicznemu i terrorowi. Teraz wydaje się, że wszelki opór został wreszcie złamany i że, mimo śmierci Stalina, nad Polską zapadła nieuchronnie ciemna, stalinowska noc.



Ale w historii i polityce niczego przewidzieć się nie da. Któż na przykład mógł wyprorokować rychłe rozstrzelanie w Rosji Berii i towarzyszy, głębokie zmiany psychologiczne, jakie zarówno w ZSRR jak i w krajach ościennych przynosić jeła tzw. odwilż (niejednokrotnie zresztą inspirowana z góry), której ukoronowaniem wreszcie stał się tajny a przecież działający jak uderzenie grzmotu referat Chruszczowa na XX Zjeździe partii komunistycznej ZSRR w lutym 1956? Potem przyszła śmierć prezydenta Bieruta, czerwcową rewoltą robotników polskich w Poznaniu, tragiczne październikowe wydarzenia węgierskie, a w Polsce wypuszczenie z więzienia i rehabilitacja partyjnej, oskarżonej o nacjonalizm grupy Władysława Gomułki, oraz, także w październiku 1956, objęcie przez nią (mimo chwilowego oporu Rosjan) pełnej władzy. Nastąpiło jednocześnie wycofanie do Rosji marszałka Rokossowskiego i sowieckich doradców, co wzbudziło ogólną nadzieję i entuzjazm, potem przyszedł szereg innych zmian i przeobrażeń polityczno-społecznych, związanych z oficjalnym potępieniem tak zwanego teraz stalinowskiego okresu „błędów i wypaczeń”, czy „kultu jednostki” (nazwa niezbyt adekwatna, kult taki mógł istnieć w Rosji, ale nigdy wśród szerokich warstw polskich). Nie piszemy tu jednak ogólnej historii politycznej Europy Wschodniej tych lat, ograniczmy się więc do stosunków Kościół - Państwo w Polsce, na którym to odcinku zaszły również daleko idące zmiany.

Dnia 28 października 1956 do klasztoru w Komańczy przybyli dostojnicy partyjno-rządowi, wysłannicy Gomułki: Kłiszko, Bieńkowski i Rybicki (minister sprawiedliwości). Po niezbyt długich rozmowach prymas Wyszyński został zwolniony i powrócił, jako głowa Kościoła, do pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej w Warszawie. Rozpoczął się w życiu polskim, nie po raz pierwszy po wojnie, nowy etap, odznaczający się zresztą, jak zwykle, chimeryczną meandrycznością, niezbyt zrozumiałą dla spo-

łączeństwa, dla którego rozgrywki polityczne i personalne na szczytach rządzącej partii są zawsze ściśle zakryte. A wszakże totalistyczna dyktatura partyjnej oligarchii trwała nadal, mimo reformatorskich podmuchów w odnowionym Komitecie Centralnym i październikowej euforii w społeczeństwie.

Zaczęło się jednak pięknie. Prymas objął znowu kierownictwo Episkopatu, uporządkował sprawy wielu opanowanych przez władze lub przez podstawionych ludzi instytucji kościelnych oraz problemy poddanego pokusom i prowokacjom kleru. Ukrócone zostały wpływy „Paxu”, skompromitowanego dostaniem się na rzymski indeks książki Piaseckiego oraz prostałiniowskim stanowiskiem, zajętym przez tę, zbulwersowaną rozłamami grupę podczas niedawnych wydarzeń Październikowych. Do szkół, z inicjatywy ministra Oświaty Władysława Bieńkowskiego powróciła nauka religii. Dnia 31. XII. 1956, po obradach Komisji Wspólnej Episkopat - Rząd, zawarto nowe Porozumienie między kościołem a państwem, anulując jednocześnie jednostronny dekret z lutego 1953. Na zasadzie tego porozumienia rząd uznał pięciu biskupów tytularnych mianowanych przez Rzym (z metropolią arcybiskupią we Wrocławiu), którzy zastąpili mianowanych przez władze administratorów z roku 1953. Ingerencję państwa w nominacje kościelne ograniczono do obowiązku zatwierdzania przez rząd wysuwanych przez kościół kandydatów na nowych biskupów-ordynariuszy diecezji oraz zastępców-koadiutorów.

W dziedzinie laikatu katolickiego zaszło również kilka znaczących faktów. Zezwolono na stworzenie pięciu (na razie — ale tak już zostało) klubów inteligencji katolickiej: w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Toruniu. W Krakowie wychodzić jęły na nowo *Tygodnik Powszechny* pod redakcją Jerzego Turowicza i miesięcznik *Znak*, w Warszawie pojawił się miesięcznik *Więź*, organ grupy młodych zbliżonych do Klubów Inteligencji, wśród nich kilku byłych rozłamowców z „Paxu”. Środowisko krakowskie *Tygodnika Powszechnego* oraz środowiska klubowe patronowały sformowaniu 5-osobowej grupy poselskiej „Znak” — kandydaci z tej grupy weszli do Sejmu w wyborach 20. II. 1957, formując potem w parlamencie, po przystąpieniu kilku bezpartyjnych, 11-osobowy klub. Wybory lutowe opierały się również na wysuwaniu kandydatów przez Partię, odbywało się to jednak w sposób bardziej demokratyczny niż przed Październikiem, toteż Prymas zdecydował się zademonstrować dyskretnie swe poparcie dla owych wyborów.

Idylla jednak nie trwała długo. Gomułka, zawdzięczający swą popularność głównie pobytowi w „ludowym” więzieniu był

w istocie zawsze i pozostał komunistą typu totalistycznego, nie miał więc zamiaru przewodzić partyjnym liberałom ani zadzierać z Moskwą. „Październik” wyniósł go do władzy, gdyż nie było innego nazwiska tak znanego, obecnie, ugodziwszy się z Chruszczowem, musiał poskromić nadmierne ekscesy polskiej wolności. Rozejm z kardynałem Wyszyńskim był mu czasowo potrzebny dla ugruntowania swej popularności w burzącym się kraju, teraz z kolei należało ustawić Kościół polski na właściwym miejscu. Po ustaniu stalinowskiego okresu irracjonalnego terroru, Polska pozostała wszakże nadal krajem totalnym i monopartyjnym. Jediną niezniszczoną instytucją, mogącą rywalizować z Partią, był jednakże Kościół katolicki: miał nadal własną organizację i hierarchię, własne środki masowego oddziaływania, własne informacje i kontakty zagraniczne i co najpoważniejsze: własną ideologię, antymaterialistyczną, a znajdującą w tak tradycyjnie i masowo katolickiej Polsce olbrzymi rezonans. Niebezpieczeństwa wolnej konkurencji w dziedzinie wpływu na masy ludowe nie mógł nie docenić tak przekonany marksista jak Gomułka, o którym mówiono, że to ostatni ideowy komunista w Polsce. Zwłaszcza, że w pierwszej po przewrocie Październikowym pielgrzymce do Częstochowy, wzięło udział blisko milion osób...

Rząd i Partia jeły więc działać, subtelniej z początku niż w „okresie minionym” (oficjalne określenie stalinizmu), lecz zdecydowanie. Nauka religii po upływie pół roku zniknąć zaczęła ze szkół, aby w niedługim czasie zniknąć z nich całkowicie, przenosząc się do kościelnych punktów katechetycznych, których pracę utrudniano jak się dało. Cenzura znowu rozhułała się w najlepsze, kierując się zarówno przeciw liberalnej prasie partyjnej (zamknięcie młodzieżowego pisma *Po prostu* jesienią 1957), jak i przeciw nielicznym periodykom katolickim. O zwiększeniu liczby katolickich klubów czy organizacji nie było już mowy, zaczęto natomiast z powrotem popierać niedobity „Pax” oraz organizacje czysto dywersyjne. Rozpoczęła się też na wielką skalę propaganda ateistyczna, której narzędziem stało się szeroko popierane i finansowane Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej. Przestano udzielać zezwoleń na budowę nowych kościołów, zaś w opornych diecezjach zabierano kleryków do wojska. Świątynie były wciąż pełne, procesje i pielgrzymki imponujące, powołań kapłańskich dużo, ale religia została ograniczona do samego wnętrza Kościoła: znikła z życia publicznego i organizacyjnego, hermetycznie odcięto ją od masowych środków przekazu — prasy, radia, telewizji, filmu. Ten stan bojkotu Kościoła przy zezwoleniu na indywidualne praktyki religijne (mimo nacisku wywieranego wobec członków Partii) i na manifestacje wewnątrzkościelne,

stał się w końcu stanem obowiązującym i trwa po dziś dzień, mimo okresowych zmian na lepsze lub gorsze w dziedzinie swobody pastoralnej. Partia czeka na naturalne wypalenie się religijności w państwie uprzemysłowionym i laickim — czeka jak dotąd bez rezultatu. Co więcej, spotyka ją częstokroć zawód właśnie tam, gdzie się najmniej spodziewa — przykładem gwałtowne demonstracje w robotniczym mieście Nowej Hucie koło Krakowa w roku 1960, mieście nowym, które miało być pozabawione kościoła. Krwawa wręcz demonstracja osiągnęła skutek i dziś Nowa Huta ma olbrzymi, nowoczesny kościół (budowie patronował od roku 1958 biskup a od 1964 arcybiskup krakowski, Karol Wojtyła...).

Nie wypowiedziana lecz stała wojna Kościół - Państwo trwała więc nieustająco — fazy jej były zmienne, lecz cel jeden — izolowanie Kościoła i uniemożliwienie mu jakiegokolwiek wpływu na polską opinię. Prymas Wyszyński, świadomy tej akcji, bronił się zrećcznie a zarazem pryncypialnie, powołując się nieraz na Konstytucję, czyli formalnie obowiązujące prawo, co jednak nie dawało wielkiego skutku. Dla rozstrzygania spraw spornych powołano, jak mówiliśmy, Komisję Mieszaną, złożoną z przedstawicieli Episkopatu i rządu, lecz zbierała się ona rzadko i rezultaty jej obrad były znikome, podobnie jak rezultaty kilku spotkań Prymas - Gomułka.

Wybory sejmowe w roku 1961 stały się dalszym etapem likwidowania pewnych tendencji do demokratyzacji, zarysowujących się w partii w okresie odwilży 1956. Jednocześnie spadała polityczna rola koła posłów katolickich „Znak”, oraz Klubów Inteligencji Katolickiej, coraz intensywniej natomiast rozwijał swą działalność terenową „Pax”. Szykany przeciw klerowi i seminarium w diecezjach, kierowane przez Urząd do Spraw Wyznań, nasilały się periodycznie, co pewien czas. Od roku zaś 1962 prasa świecka, atakująca Prymasa, znalazła sobie nową pożywkę. Był nią Sobór Watykański II, rozpoczęty właśnie tegoż roku. Marksści jeli wiązać z tym soborem przeróżne taktyczne nadzieje, m.in. atakować zaczęto prymasa Wyszyńskiego za jego konserwatyzm, który kazał mu upierać się przy rzekomo przestarzałym katolicyzmie ludowym, tradycjonalistycznym i maryjnym. Trudno uznać, by marksści tak bezinteresownie walczyli o odmłodzenie katolicyzmu — raczej chodziło tu o typowo komunistyczną dywersję wewnętrzną, w obozie przeciwnika. Narzędziem tej dywersji chciano również uczynić Karola Wojtyłę, od roku 1964 arcybiskupa metropolitę krakowskiego, w roku 1967 kardynała (od roku 1973, wraz z arcybiskupem wrocławskim Bolesławem Kominkiem miała Polska 3 kardynałów). Arcybiskupa Wojtyłę

próbowano przez szereg lat przeciwstawiać Prymasowi jako postępowego i światłego intelektualistę, rozumiejącego lepiej lewicowe trendy w życiu Kościoła. Ta akcja, intelektualnie prymitywna o uderzających cechach politycznej intrygi, nie dała oczywiście żadnych rezultatów — zawiedzeni tym taktycy z Urzędu Wyznań oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mieli z czasem zapalać główną nienawiścią właśnie do kardynała Wojtyły.

Jeszcze jednym motywem walki z Prymasem stała się w latach sześćdziesiątych znowu sprawa niemiecka. Mianowanie przez Stolicę Apostolską biskupów na razie tytularnych na Ziemiach Zachodnich zaspokoilo władze tylko na krótko. Z kolei zaczęto żądać definitywnego uznania nowych granic polskich diecezji i mianowania tam oficjalnych polskich ordynariuszy, czego nawet tak przychylny Polsce papież Jan XXIII przeprowadzić nie mógł przed międzynarodowymi decyzjami politycznymi. Stało się to motywem nieustających ataków prasy przeciw Prymasowi i biskupom. Punktem kulminacyjnym tej kampanii okazała się wielka awantura o List biskupów polskich do biskupów niemieckich w roku 1965. Rozpętano wówczas przeciw biskupom gigantyczną i prowokacyjną akcję, która osiągnęła swój szczyt podczas inspirowanej debaty w Sejmie, gdzie dziesiątki posłów prześcigało się w antykościelnej demagogii. W istocie zaś list ów był niezwykle dla polskiej racji stanu korzystną próbą przezwyciężenia impasu między społeczeństwem Polski i RFN, polityczna zaś jego wymowa stała się za parę lat wokabularzem oficjalnego języka dyplomacji PRL wobec Republiki Federalnej. Grzechem Episkopatu było, że wyprzedził oficjalną politykę państwa — jest to w totalizmie grzech śmiertelny.

Za karę rząd nie zezwolił na wielkie, międzynarodowe uroczystości, jakie od lat przygotowywano w Częstochodzie z okazji 1000-lecia chrztu Polski (1966), czyli w istocie w rocznicę założenia państwa polskiego. Na uroczystość tę miał przybyć Papież, Paweł VI — nie udzielono mu jednak zezwolenia. Tak więc, stary, katolicki kraj nie miał prawa gościć u siebie głowy Kościoła. To posunięcie Gomułki, podane do świadomości publicznej przez kler, bardzo zdepopularyzowało popaździernikowego sekretarza, z czego on, całkowicie już oderwany od nastrojów mas, zupełnie nie zdawał sobie sprawy.

Impas trwał nadal i pogłębiał się. W roku 1968 jednak Partia zaczęła mieć własne kłopoty: wewnątrzpartyjna intryga przeciw Gomułce, który zbrzydził już wszystkim, zbiegła się z brutalnie tłumionymi rozruchami młodzieży akademickiej, przedstawionymi absurdalnie przez cyniczną prasę jako „syjonistyczne”. Przeciw brutalnej akcji policyjnej zaprotestował zarówno Prymas,

jak koło poselskie „Znak” — było to ostatnie odważne wystąpienie tej grupy jako całości, skład jej został niezadługo przez władze tak zmieniony, iż straciła ona całkiem swe dawne popaździernikowe znaczenie.

Tymczasem nieuchronnie zbliżał się kres 14-letnich rządów Gomułki, któremu nie pomógł nawet gorliwy udział w interwencji Czechosłowackiej, ani, już w grudniu 1970, podpisanie w Warszawie umowy z kanclerzem RFN, Brandtem. Dyletancka polityka gospodarcza zrobiła swoje i oto w tymże grudniu 1970 krwawe rozruchy robotnicze w portach Bałtyku zmiotły rządzącą elitę w parę dni — Rosjanie nie kiwnęli palcem w jej obronie — taki los zwyciężonych. Władzę objął Edward Gierek na czele grupy śląskiej, człowiek mający opinię pragmatycznego gospodarza. I tak zaczął się akt ostatni opisywanej tutaj rozgrywki Kościół - Państwo, specyficznej polskiej tragikomedii czy też komedii omyłek.

Zaczęto się, jak zwykle, od idylli. Każdy nowy Pierwszy Sekretarz, czyli dyktator Partii, niepewny jeszcze swej popularności, stara się na razie przypodobać Kościołowi i skorzystać z jego zakorzenienia w opinii i w życiu narodu, aby wkraść się w łaski ogółu i przedstawić jako wybawca od błędów i nieprawości okresu poprzedniego. Tą samą drogą poszli Gierek i premier Jaroszewicz deklarując swą wspańiałością wobec Kościoła. Dnia 3 marca 1971 nastąpiło też spektakularne spotkanie Prymasa z nowym premierem Piotrem Jaroszewiczem. Ten demonstracyjny liberalizm wobec Kościoła związany też był z poszukiwaniem na Zachodzie kredytów, celem ożywienia katastrofalnej stagnacji na połu inwestycyjnym, cechującej ostatni okres rządów Gomułki. Inwestycje rozkręcono ogromne, niestety, w dużym stopniu powiązane z sowieckimi dostawami i zbrojeniami (huta „Katowice”), co niezadługo doprowadzić miało do kryzysu ekonomicznego odmiennej całkiem natury. Na razie jednak nowy Sekretarz, gładko mówiący po francusku i korzystający na kredyt z opinii „liberała” podobał się Zachodowi, nie przewidywano wcale, że niezadługo, za parę lat nastąpią zgoła stalinowskie posunięcia, jak połączenie i marksistowska unifikacja organizacji młodzieżowych, reforma szkolna, zmiana konstytucji na typ czysto sowiecki (1976), walka z inteligencją i klubami katolickimi etc.

Na razie jednak trwała demonstracyjna idylla. Konkretnym osiągnięciem było zezwolenie przez rząd na budowę pewnej ilości nowych kościołów, głównie w Warszawie. Wznoszenie nowych świątyń, czego domagało się społeczeństwo i kler, było od lat blokowane. Doszło do tego, że energiczny biskup z Przemyśla, Ignacy Tokarczuk, wybudował w swej diecezji prawie sto kościo-

łów potajemnie, rękami chłopów, którzy maskowali konstruowane świątynie, nadając im z wierzchu charakter budynków gospodarczych. Zezwolenie na budowę kilkunastu nowych kościołów nie objęło archidiecezji krakowskiej, bowiem kardynał Karol Wojtyła, w swoim czasie popierany a potem nie lubiany przez zawiedzioną Partię, teraz stał się dla Urzędu dla Spraw Wyznań wrogiem Nr 1, jako przyjaciel „rewizjonistów”, „syjonistów” i kontestatorów. Dla kontrastu chwalony był obecnie Prymas Wyszyński, jako wielki patriota i przyjaciel ludu — słowem chwalono go teraz za to, za co kiedyś ganiono...

Oczywiście, te wszystkie, w pojęciu partyjnych taktyków zręczne i machiavelskie gry polityczne nie miały w istotnym życiu Kościoła najmniejszego sensu i znaczenia. Prymas był zbyt wytrawnym znawcą komunizmu i w ogóle totalizmu, aby brać poważnie czy to dawne ataki czy dzisiejsze pochlebstwa. Jasne było, że poza zezwoleniem na budowę pewnej liczby świątyń, rząd nie ma już kościołowi nic nowego do dania: nie wypuści religii z kruchty kościelnej, nie dopuści jej do prasy i do masowych środków przekazu, ani do życia publicznego czy organizacyjnego. Świadczyły o tym coraz to zaostrzające się ekscesy prewencyjnej cenzury, fałszującej teksty, ukrywającej fakty, nie dopuszczające, aby jakiegokolwiek rzeczywiste dane o stosunkach Kościół - Państwo mogły wydostać się dokądkolwiek, poza kościelną ambonę, skąd odczytywane są komunikaty i orędzia Episkopatu. Nieliczne świeckie periodyki katolickie (*Tygodnik Powszechny*, *Znak*, *Więź*) okrawane były i pacone przez tajnie i całkiem bezprawnie działającą cenzurę coraz ostrzej, zaś Paxowski dziennik *Słowo Powszechne* wychwalał każdą politykę rządu nie mniej gorliwie niż prasa partyjna (po wyborach z marca 1972, kiedy to wymuszone zmiany personalne całkowicie już prawie wypaczyły charakter istniejącego jeszcze koła poselskiego „Znak”, wódz „Paxu” Bolesław Piasecki mianowany został członkiem Rady Państwa, instytucji pozbawionej władzy, lecz fasadowo nader reprezentacyjnej).

Tymczasem na rękę nowej ekipie rządzącej poszedł cały szereg wydarzeń międzynarodowych. Widząc swą jałowość, jeśli chodzi o jakieś dalsze ustępstwa wewnętrzne (niemożliwe, gdyż naruszyłyby strukturę totalnego systemu rządów i ich propagandy), władze postanowiły nawiązać bezpośredni kontakt z Rzymem, roztaczając miraż możliwości zawarcia konkordatu, co zaczęto realizować ponad głową Prymasa, którego z kolei Rzym uznawał już za nacjonalistę. W marcu i kwietniu 1971 pojawiać się zaczął na dłużej w Warszawie papieski polityk wschodni, arcybiskup Agostino Casaroli, krążyć też poczęły plotki o porozumieniu

Rzymu z komunizmem i w ogóle z dalszym Wschodem, poza plecami Prymasa (tak to zmieniły się kryteria i oceny od roku 1951!), również świadomy rzeczy i opanowany kardynał Wojtyła trzymał się od tych rozmów z dala — zresztą cenzura nie pozwoliła oczywiście ujawnić istotnego przebiegu całej tajemniczej rozgrywki.

W tym samym roku w październiku miało miejsce nowe, głośnie i spektakularnie znaczące wydarzenie. Na uroczystość beatyfikacji bohaterskiego, zamęconego w Oświęcimiu franciszkanina polskiego O. Maksymiliana Kolbe, władze warszawskie wypuściły do Rzymu licznych pielgrzymów polskich. Demonstracyjnie udał się również do Rzymu (nie po raz pierwszy zresztą), ówczesny dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań Aleksander Skarżyński. Zaś 3. VI. 1972 nastąpił akt, dla całych rokowań kluczowy. W konsekwencji porozumienia, zawartego przez Gomułkę z Brandtem w grudniu 1970, boński Bundestag ratyfikował traktat graniczny z Polską (geopolityczna osobliwość, zważywszy, że granicę zachodnią mamy tylko z NRD...). Teraz już nic nie stało na przeszkodzie uznaniu przez Rzym polskich diecezji zachodnich. Już dnia 5. VI sekretarz Episkopatu arcybiskup Bronisław Dąbrowski (poprzedni sekretarz, jeszcze z czasów prymasa Hłonda, bp Zygmunt Choromański zmarł w roku 1967) przybył do Rzymu, gdzie przeprowadzono weryfikację zachodnich diecezji, tworząc zarazem dwie nowe: w Koszalinie i Szczecinie. Ostateczne uznanie i oficjalna nominacja biskupów miały miejsce w październiku 1972. Nastąpiła więc likwidacja historycznej kontrowersji między prawnymi normami Kościoła a sytuacją historyczną, w jakiej znalazła się Polska, przesunięta w rezultacie drugiej wojny światowej o kilkaset kilometrów na zachód i północ-zachód. Konflikt ten trwał ponad ćwierć wieku i oto wreszcie nowe granice Polski, „wiernej córki Kościoła katolickiego” uznane zostały i przez Rzym.

Wydawałoby się komuś patrzącemu z zewnątrz, że teraz w stosunkach Kościół - Państwo nastaną wreszcie lepsze czasy. Istotnie, mnożyć się zaczęły z obu stron demonstracje dobrej woli na tzw. wysokim szczeblu. Jeszcze w październiku 1972 przyjechał do Rzymu i przyjęty został przez Papieża Pawła VI minister spraw zagranicznych PRL Stefan Olszowski. Zaś 4. II. 1974 przybył znowu do Polski, tym razem jako oficjalny gość rządu polskiego, arcybiskup Casaroli. Na zasadzie rozmów, kontynuowanych później w Rzymie (4-6. VII) ustalono wstępną płaszczyznę stosunków dyplomatycznych między Watykanem a Polską. W Rzymie rezydować miał odtąd w randze ministra pełno-

mocnego (od września 1974) przewodniczący tzw. zespołu do stałych kontaktów roboczych, Kazimierz Szablewski, natomiast reprezentantem Watykanu został przybywający co pewien czas na parę tygodni do Warszawy arcybiskup Luigi Poggi. Watykan jednakże nie chciał działać bez Prymasa, wobec czego, po wielu nieznanym społeczeństwu zabiegach w początku roku 1975 ustalono konsultacyjną procedurę trójstronną. Szczytem okresu kurtuazji stała się prośba Rządu do Watykanu w roku 1976, aby kardynał Wyszyński, mimo przekroczenia wieku 75 lat, mógł pozostać nadal Prymasem Polski! Nie ma więc nic niemożliwego na tym najlepszym ze światów, przy czym Partia bardzo obawiała się, że następstwo obejmie kardynał Wojtyła, któremu zarzucano teraz jawnie sprzyjanie buntującym się intelektualistom i młodzieży. Liczenie na rozdźwięk między obu kardynałami było schematycznym nonsensem, jednakże partia nie mogła się wyzbyć wiary w tradycyjną zasadę *divide et impera*, co miało jej z czasem przynieść poważną porażkę. Co prawda rządy autorytatywne niczego się nie uczą ze swych jawnych błędów.

Tymczasem stosunki terenowe między Kościołem a Państwem jęły się znowu psuć, gdyż rząd, korzystając z fasadowych a rozkrzyczanych przez światową prasę pertraktacji Rzymskich, wzmógł cichą akcję nacisków i szykan w diecezjach. Nie zatwierdzano nominacji nowych biskupów, po śmierci arcybiskupa wrocławskiego Bolesława Kominka w 1974 metropolia wrocławska ponad dwa lata, wbrew wszelkiej logice i interesowi politycznemu Polski, pozostawała nieobsadzona, rząd bowiem odrzucał wszelkie kolejne kandydatury, wśród nich biskupa Kurii Rzymskiej i pasterza światowej polskiej emigracji ks. Władysława Rubina. Zaczęły się znowu powoływania kleryków do wojska oraz utrudnianie nauki religii w punktach katechetycznych, zaś instrumentem interwencyjnym, narzucającym swą taktykę wobec Kościoła stały się znów władze bezpieczeństwa (tajna policja). Mnożyły się represje, szykany i utrudnienia, jednocześnie cenzura wobec prasy katolickiej, o ograniczonym nakładzie i zasięgu, doprowadzona została do absurdu. Prymas Wyszyński, wytrawny bojownik a także znawca łamańców dyrygowanej często z Rosji komunistycznej dialektyki, trwał na swym odpowiedzialnym posterunku nieporuszony, lecz świadomy zaostrenia się sytuacji: miraż koncordatu oddalać się jęły z każdym dniem: Państwo nie miało już Kościołowi niczego do ofiarowania, prócz próżnych, oficjalnych gestów oraz uśmiechów Gierka.

Jednocześnie psuć się zaczęła sytuacja gospodarcza kraju. Duże zagraniczne kredyty obrócono przeważnie na wielkie inwestycje

górniczohutnicze i maszynowe, powoli rentujące a obciążone brakami w transporcie, energetyce i usługach. Jednocześnie nierozsądna polityka wobec chłopów doprowadziła do trwałego kryzysu rolnego i zaburzeń na rynku. Absurdalna psychologicznie i nieudolnie przeprowadzona generalna podwyżka cen spowodowała 25. VI. 1976 gwałtowne rozruchy robotnicze w Radomiu, Ursusie i innych miastach. Brutalne represje policyjne wywołały opór, powstał m.in. samorządnie inteligencki Komitet Obrony Robotników, działający nielegalnie lecz jawnie — rzecz w totalitarnym państwie niebywała.

Kościół nie mógł pozostać obojętny wobec wstrząsów społecznych i represji, wypowiedzi Episkopatu są jednak poważne, nie podburzające, lecz wzywające obie strony do patriotycznej powściągliwości i rozsądku. Nic to jednak nie pomogło, bowiem Rząd, jakby chcąc zwiększyć jeszcze swą niepopULARNOŚĆ, przedstawił w Sejmie projekt nowej konstytucji, zawierający twardy i jednoznaczny passus na temat absolutnej władzy, sprawowanej w kraju przez PZPR (partię komunistyczną). Wprawdzie absolutystyczne rządy partii w Polsce były faktem dokonany od lat trzydziestu, konstytucja jednak, utrzymana we frazeologii demokratycznej, takich sformułowań nie zawierała. Był to ostateczny krok w kierunku, konsekwentnie od paru już lat przez niby tylko pragmatyczną ekipę Gierka przeprowadzanej sowietyzacji, wywołał też powszechne oburzenie, którego wyrazem stał się znany list 59 protestujących uczonych i pisarzy. Dnia 10. II. 1976 podczas debaty konstytucyjnej w Sejmie, poseł Stanisław Stomma, przewodniczący koła „Znak” i ostatni niedobitek jego dawnej październikowej grupy, sam jeden wstrzymał się od głosowania nad projektem nowej konstytucji. Było to sygnałem do wielkiej ofensywy przeciw organizacjom katolickim (sprawa rozwiązania „Libelli”, spółdzielni gospodarczej, na której opierała się materialnie działalność Klubów Inteligencji Katolickiej) oraz do skończenia z resztą pozorów niezależnej działalności katolickiej w Sejmie.

Oczywiście Episkopat Polski nie mógł pozostać w tych sprawach bezczynny, jego spokojne i zdecydowane interwencje przyczyniły się w pewnej mierze do złagodzenia sformułowań, zawartych w pierwotnym projekcie nowej konstytucji. W kraju nadal trwał jednak i trwa po dziś dzień zbudzony w połowie lat siedemdziesiątych buntowniczy ruch młodzieżowy. Wobec trwającej dyktatury cenzury, mnożą się nielegalne pisma i wydawnictwa, z czasem powstanie spontaniczny „Latający uniwersytet”, mający za zadanie neutralizację fałszów i dezinformacji w

oficjalnym szkolnictwie, zwłaszcza w dziedzinie historii, ekonomii, filozofii, nauk politycznych. Ruch ten obejmuje coraz szersze kręgi młodej inteligencji i robotników, nawiązuje kontakty z wolną prasą polską za granicą, nie mogą go powstrzymać represje, takie jak tajemnicze zamordowanie studenta w Krakowie oraz aresztowanie głównych działaczy „KOR-u” na wiosnę 1977 (zwolniono ich po 2 miesiącach, pod wpływem nacisku ze strony opinii światowej oraz Kościoła).

Episkopat, rzecz prosta, nie mógł i teraz pozostać obojętny, ani na ruchy wolnościowe w społeczeństwie, ani na akty terroru. Terenem swobodnych dyskusji stała się m.in. dozwolona w zasadzie oficjalnie akcja odczytowa duszpasterstw akademickich przy kościołach. Władze były jednakże z czasem zwalczać tę akcję, pod pretekstem, iż koliduje ona z zasadami katolickimi. Urzędy bezpieczeństwa kładły nacisk na konieczność odseparowania grup rewizjonistyczno-syjonistycznych (dziwaczny kryptonim nadany ośrodkom intelektualnie najżywszym wśród młodzieży, mający obudzić wobec nich oddolną, nacjonalistyczną niechęć) od oficjalnych kręgów młodzieży katolickiej (nieliczne Kluby Inteligencji). O zacieranie granicy między tymi, rzekomo odrębnymi grupami oskarżano przede wszystkim arcybiskupa Karola Wojtyłę, który w swej krakowskiej siedzibie urządzał sympozja naukowe i literackie, a także organizował kierowane przez księży, letnie obozy młodzieży szkolnej. Akcja propagandy i intryg przeciw niemu osiągnęła szczyt w grudniu 1977, kiedy to pobity przez „nieznanych sprawców” został delegat Kurii Krakowskiej w *Tygodniku Powszechnym*, kanonik Andrzej Bardecki.

Kryzys gospodarczy w kraju zbiegał się paradoksalnie (a może prawidłowo?) z nasileniem represji i akcji nękania przeciw opozycji, co musiało odbijać się na stosunkach Kościół - Państwo, pogłębieniem impasu i bojkotu. W ten sposób wczesną jesienią zbojkotowano niezwykle ciekawą i owocną podróż obu kardynałów oraz szeregu biskupów do Niemiec Zachodnich — była to dalsza próba pogłębienia dialogu z narodem, który tak tragicznie zaważył na losach Polski. Partia nie lubi tego rodzaju nieurzędowych inicjatyw, toteż prasa polska niemal przemilczała tę wizytę, tak w świecie głośną. Nie sposób jednak było przemilczeć wydarzenia, którego echa jak grom przetoczyły się przez kraj, przekreślając jednocześnie wszelkie intrygi polityczne i rachuby na porozumienie ponad głowami polskiego Episkopatu z Watykanem. Wydarzeniem tym był oczywiście wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża (16. X. 1978).



Na tym wypadu zakończyć ten szkic, gdyż ta ważna i nie-spodziewana elekcja to duży ewenement historyczny w Kościele powszechnym, który spowodować musi i wielkie zmiany sytuacji i w Polsce i w innych mocno prześladowanych katolickich krajach Bloku — zmiany, których nie sposób z góry ani określić ani zdeterminować. Dotychczasowy „eksperyment polski” trwał lat 35 i, mimo monopolistycznej władzy politycznej i gospodarczej komunistów (zjednoczenie decyzji politycznych i ekonomicznych w jednych rękach, to nieznana na Zachodzie forma dyktatury), nie udało się zniszczyć ani podminować Kościoła. Przeciwnie, Kościół polski, choć zamknięty „w kruchcie” i odcięty od życia publicznego i kulturalnego, przemilczany przez państwowe środki przekazu i szkołę, silny jest i wpływowy jak nigdy. Pod niezwykłe mądrym a politycznie zręcznym kierownictwem Prymasa Stefana Wyszyńskiego organizacja kościelna wyszła z dotychczasowych walk i prześladowań obronną ręką, skonsolidowana i nienaruszona. Składa się na nią „armia” 20.000 księży (w tym 4.500 zakonnych) oraz 28.000 zakonnic. Diecezji jest 27, w tym archidiecezje: gnieźnieńsko-warszawska, poznańska, wrocławska, krakowska. Są też szczątkowe archidiecezje dawnych polskich Ziemi Wschodnich, zarządzane przez administratorów apostołskich: w Lubaczowie (dawna archidiecezja Lwowska), Białymstoku (Wileńska) i Drohiczynie (dawna Pińska). Istnieje Katolicki Uniwersytet w Lublinie, Akademia Teologiczna w Warszawie i seminarium diecezjalne. Powołań kapłańskich, mimo represji i kontrpropagandy mnóstwo, kościoły pełne, dzieci są chrzczone i w rodzinach członków Partii. Autorytet kościoła trwa, powszechny i nienaruszony — wydaje się, że rządy komunistów jeszcze go zwiększyły, gdy stał się w kraju jedyną „konkurencją”, jedyną instytucją nie państwową.

Oczywiście — kościół nie jest organizacją polityczną i nie zastąpi nam tego wszystkiego, czego w totalizmie jesteśmy pozbawieni: pluralistycznego życia politycznego i publicznego, wolności słowa, nauki, kultury, swobodnych decyzji ustrojowych czy ekonomicznych, swobody zrzeszania się i jawnego działania. Ale rola jego, jako jedynej przeciwwagi dla monopolistycznej, oligarchicznej i mafijnie utajonej władzy jest olbrzymia. Także rola w zwalczaniu oficjalnego zakłamania, jakim monopartia paraliżuje wiele dziedzin myśli i wiedzy. Kiedyś Kościół sprzymierzał się z cesarzami i królami, dziś stanowi widome ograniczenie władzy totalnych dyktatorów — ważka to i doniosła rola. Na przekór materialnej organizacji całego społecznego i prywatnego życia, wbrew siłom nacisku, represji i wszechwładnej cenzury — panuje nad sercami i przez to — jest sojusznikiem uczuć i umysłów

wolnych ludzi. Rozumieją to młodzi, nowocześni księża, którzy dziś nie dla kariery czy dobrobytu przychodzą do kościoła. I w tym, w sprzymierzeniu się z siłami w społeczeństwie, dążącymi do wolności i swobodnej konfrontacji ideowej leży dzisiejsze odrodzenie polskiego katolicyzmu.

Stefan KISIELEWSKI

Jan M. CIECHANOWSKI

PIERWSZA RELACJA GEN. BORA-KOMOROWSKIEGO O A.K. I POWSTANIU WARSZAWSKIM

Gen. Tadeusz Bór-Komorowski, dowódca AK w latach 1943-1944 wraz z gen. Tadeuszem Pełczyńskim, szefem sztabu Komendy Głównej AK w okresie 1941-1944, był w niewoli niemieckiej po upadku Powstania od 5 lutego do 13 kwietnia 1945 roku w Oflagu IV C w Colditz w Saksonii. Generałowie Bór-Komorowski i Pełczyński byli jednymi z głównych autorów Powstania Warszawskiego¹.

Obóz w Colditz — jak podaje Bór-Komorowski — mieścił się w starym zamku królów Saskich. Było tam około 300 jeńców wojennych, przeważnie Brytyjczyków, kilkudziesięciu Francuzów, kilkunastu Czechów i kilku Amerykanów. Prócz nich znajdowali się w Colditz jeńcy, na których Niemcom specjalnie zależało i których nazywano *prominent* (znakomitości). Byli to krewni króla i królowej angielskiej, kpt. Lord Haig — syn marszałka, por. M. Alexander — bratanek marszałka, por. J. Winant — syn ambasadora USA w Londynie, dwóch krewnych premiera Chirchilla i jeszcze kilku innych.

Brytyjczycy mieli dobrze zorganizowane życie obozowe i troskliwie opiekowali się polskimi generałami². W czasie pobytu w Colditz gen. Bór-Komorowski wygłosił cztery wykłady o działalności AK i o przyczynach Powstania Warszawskiego, a ich treść — w postaci obszernych notatek sporządzonych w języku angielskim, i francuskim 15 maja 1945 roku została częściowo przekazana do Foreign Office w Londynie przez jednego z ich słuchaczy, brytyjskiego kpt. Pringle'a³.

1. J. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie*, Londyn, 1971, str. 251-377 i dalsze.

2. T. Bór-Komorowski, *Armia Podziemna* (3-cie wydanie), Londyn, 1967, str. 359-360.

3. *Public Records Office* w Londynie — FO 371 N 5395/265/55.

Wykłady te są pierwszą *sui generis* publiczną wypowiedzią gen. Bora-Komorowskiego na temat AK i Powstania Warszawskiego, wygłoszoną w parę miesięcy po jego upadku, a więc jeszcze na świeżo, i stąd zasługującą na naszą specjalną uwagę, szczególnie że jak dotąd była ona całkowicie nieznana.

Zgodnie z oświadczeniem złożonym przez kpt. Pringle'a w *Foreign Office*, wykłady te były przygotowane przez gen. Bora-Komorowskiego i gen. Pełczyńskiego w przeświadczeniu, że ich obóz będzie uwolniony przez Armię Czerwoną, że oni tego nie przeżyją i nie będą mogli przekazać wiadomości o tym co przeszli. Kpt. Pringle twierdził, że gen. Bór-Komorowski spodziewał się ostrej krytyki ze strony Rządu Polskiego w Londynie za wywołanie powstania, ale był gotów ją odierać kontr- zarzutem, że nie otrzymał od niego żadnych szczegółowych instrukcji przed rozpoczęciem się walki o Warszawę, i musiał pobierać swoje decyzje na podstawie wiadomości uzyskanych z niemieckich i rosyjskich komunikatów⁴.

I. W Y K Ł A D

„Jesteśmy niezmiernie ujęci Panów zainteresowaniem naszą działalnością podziemną w Polsce, oraz naszą bitwą o Warszawę. Z wielką przyjemnością postaramy się w ciągu paru godzin przedstawić Panom sytuację jaka panowała w Polsce i naszą walkę z okupantem. Całość ujęta będzie w trzech wykładach⁵.

W pierwszym zapoznamy Panów z ogólną sytuacją jaka panowała w okupowanej Polsce, podamy zarys rozwoju ruchu podziemnego oraz jego strukturę organizacyjną i zaczniemy omawiać działalność AK. Temat ten rozwinie my w drugim wykładzie. Trzeci wykład będzie dotyczył dwumiesięcznej walki w Warszawie jaką stoczyliśmy z Niemcami w sierpniu i wrześniu ubiegłego roku.

Dla zachowania przejrzystości opuściłem z treści wykładów szereg *problemów* wymagających osobnego i szczegółowego rozwinięcia. Niemniej, gotów jestem udzielić Panom wszelkich dal-

4. *Tamże*; w sprawie instrukcji otrzymanych przez gen. Bora-Komorowskiego przed Powstaniem patrz: Ciechanowski, str. 339-376. Wykłady podaję według własnego tłumaczenia. Dziękuję też p. Janowi Korwin-Szymanowskiemu za pomoc przy tłumaczeniu notatek z ostatnich dwóch wykładów sporządzonych przez kpt. Pringle'a po francusku. Co pozwala przypuszczać, iż były one wygłoszone przez gen. Bora-Komorowskiego w tym języku. — J.C.

5. W istocie odbyły się cztery wykłady.

szych wyjaśnień na ich pytania — które prosiłbym przedstawić mi na piśmie — w dodatkowym wykładzie.

Nasza przegrana we wrześniu 1939 roku nie oznaczała, jak Panowie wiedzą, zaniechania oporu w kraju, a jedynie rozpoczęcie organizowania oporu podziemnego, co nie było łatwym zadaniem ze względu na warunki, w jakich przyszło nam działać. Ci z Panów którzy znają niemieckie i rosyjskie metody działania, w pełni to pojmą.

Kraj był podzielony na niemiecką i rosyjską strefę okupacyjną, a granica pomiędzy nimi pilnie strzeżona przez obie strony.

Pomimo to, że większość z Panów wie już coś nie coś na temat warunków jakie panowały w okupowanej Polsce, pewne zasadnicze fakty warto są przypomnienia.

Rosjanie w ich strefie stworzyli wielką maszynę propagandową, która pracowała na rzecz ZSSR, a której celem było zdobycie umysłów Polaków, lub po prostu ich zastraszenie. Maszyna ta posługiwała się szeregiem środków: szeroko rozbudowaną prasą szermującą potokiem sloganów, radiem — głośnikami, kinem, teatrem i przymusowymi zebraniami. W rezultacie nikt nie mógł uciec spod jej zasięgu. Ludziom przywykłym do wolności myślenia trudno jest wprost zrozumieć na jakie to męki wystawiało tych, którzy byli jej poddani. Strefa ta włączona była do sowieckiego systemu gospodarczego, a własność prywatna została zniesiona. Najniebezpieczniejszym zjawiskiem było jednak deportowanie około półtora miliona Polaków — głównie pochodzących z inteligencji — na Syberię, do Kazachstanu i Północnej Rosji. W listopadzie 1939 na tych ziemiach został przeprowadzony plebiscyt, zgodnie z którym 98 % ludności opowiedziało się za przyłączeniem tych obszarów do ZSSR. Wyniki plebiscytu były sfingowane.

Nagły atak niemiecki na Rosję w czerwcu 1941 roku zmusił Rosjan do szybkiego opuszczenia polskich obszarów, co nie pozwoliło im na wywiezienie wielu więźniów. W wielu wypadkach więźniowie ci zostali przez nich pozabijani. Najwięcej zabójstw miało miejsce w więzieniu we Lwowie.

W lecie 1940 roku począł się szerzyć w Polsce niepokój z powodu urwania się korespondencji z oficerami, którzy przebywali w pewnych obozach jenieckich w Rosji. Ostatnie listy z największego obozu w Kozielsku, które doszły do adresatów, pochodziły z kwietnia 1940 roku. Oficerowie z Kozielska nigdy nie zgłosili się do Armii Polskiej stworzonej w ZSSR jesienią 1941 roku, a władze sowieckie nie poinformowały o ich losie gen. Andersa, który nią dowodził.

Niemiecka okupacja była jednym wielkim pasmem zbrodni.

Grabieży i morderstw Niemcy dokonywali bez żadnych skrupułów. Pierwsza deklaracja dr. Franka — generalnego gubernatora — była umyślną potwarzą dla Polaków, gdyż nie użył on w niej słowa Polska lub Polacy. W aroganckich słowach podporządkował on „mieszkańców tego kraju” interesom i woli *Herrenvolku*. Stanowiło to wprowadzenie do metod rządzenia, które Niemcy później w pełni stosowali. Dr Frank, będąc wybitnym hitlerowskim prawnikiem, był prezesem tzw. „Międzynarodowego Związku Prawników”. Główną podstawą nowego niemieckiego prawa była sformułowana przez niego zasada, że „Wszystko co leży w interesie Rzeszy — jest sprawiedliwe”, i na odwrót. Panowie mogą sobie łatwo wyobrazić jakich straszliwych okrucieństw nad znienawidzonym przez niego narodem mógł się dopuścić człowiek wyznający tego rodzaju zasady.

Zachodnie ziemie zostały wcielone do Rzeszy, ze śródziemnomorskich i południowych Niemcy stworzyli „Generalne Gubernatorstwo”. Na obszarach przyłączonych do Rzeszy Polacy nie mogli posiadać ziemi, domów ani nawet sklepów, czy warsztatów. Około miliona Polaków zostało przesiedlonych z tych ziem do „Generalnego Gubernatorstwa”. Zwykle dawano im zaledwie pół godziny czasu na spakowanie ręcznego bagażu. Los tych którzy pozostali, pozbawionych wszelkich ludzkich praw, był jeszcze gorszy. Wszystkie polskie szkoły włącznie z powszechnymi zostały zamknięte, małżeństwa wolno było zawierać za specjalnym zezwoleniem, korzystanie ze środków publicznego transportu — pociągów — ograniczone. Na miejsce przesiedlonych Polaków sprowadzono Niemców z Rzeszy, państw bałtyckich, Besarabii i innych krajów.

Generalne Gubernatorstwo było traktowane jako *Nebenland* Rzeszy. Uniwersytety i szkoły średnie zostały zamknięte. Zezwolono jedynie na istnienie szkół powszechnych i technicznych. Większe ośrodki przemysłowe, handlowe i rolnicze zostały oddane pod niemiecki zarząd. Ich właściciele otrzymywali tylko małą część dochodów, lub w ogóle nic. Niemcy zlikwidowali wolną prasę i zakazali Polakom posiadania radioodbiorników. Racje żywnościowe otrzymywane przez Polaków były mniejsze od tych, które dostajemy w tym obozie. Ustawicznie przez Niemców zwalczany, na szeroką skalę rozwinięty, czarny rynek stanowił główne źródło zakupu żywności. Wiele tysięcy handlarzy, którzy dostarczali żywność zostało aresztowanych.

Generalna Gubernia była źródłem siły roboczej dla niemieckiej wojennej gospodarki. Ponieważ prawie wszystkie niemieckie wyśiłki zachęcenia Polaków do dobrowolnych wyjazdów na roboty w Niemczech zawodziły, Niemcy uciekali się do tzw. „łapanek”

na ludzi, które przeprowadzali niespodziewanie przy pomocy policji, SS i wojska w różnych częściach kraju, zarówno w miastach jak i na wsi. Schwytani ludzie w wieku zdolnym do pracy mężczyźni i kobiety — byli wysłani do obozów przejściowych a stamtąd, po segregacji, do różnych dzielnic Niemiec. W fatalnym dla nas dniu 17 stycznia 1943 roku Niemcy ujęli w Warszawie rekordową liczbę ludzi, bo aż 10.000⁶.

Ponadto w każdej chwili można było być zatrzymanym przez patrole policji, uzbrojone w pistolety maszynowe i granaty, o ile ktoś wydawał się im podejrzany.

Niemcy stosowali zasadę zbiorowej odpowiedzialności wobec Polaków. Za każdy wrogi wobec nich akt rozstrzeliwali lub wieszali pewną oznaczoną ilość mieszkańców. Czasami palili całe wioski wraz z ich mieszkańcami, np. gdy dowiedzieli się, że udzielali pomocy partyzantom.

14 października 1943 roku Niemcy rozpoczęli publicznie rozstrzeliwać na ulicach Warszawy ludzi schwytanych w czasie łapanek⁷ a ponieważ ich ofiary wznosiły przed śmiercią patriotyczne okrzyki — kneblowali im usta.

Od tej pory zaczęli też ogłaszać nazwiska ich następnych ofiar, przy pomocy wielkich czerwonych plakatów, których treść była zawsze jednakowa. Oznajmiały one o rozstrzelaniu danej liczby Polaków — zwykle około stu — w odwet za dokonany akt sabotażu lub zabicie jakiegoś Niemca — i podawały nazwiska tych, którzy mieli być rozstrzelani w następnej kolejności w razie zajścia nowych „zbrodni” w ciągu następnych trzech miesięcy. Mówiły one też o zakładnikach, którzy jakoby mieli być ułaskawieni gdyby nie doszło do żadnych antyniemieckich wykroczeń. Niektóre z tych obwieszczeń były podpisywane przez znanego generała SS i policji Kutscherę, który później został za to skazany przez polski sąd na karę śmierci, a wyrok na nim wykonano.

W czasie pięcioletniej okupacji Niemcy wymordowali w Polsce około dwóch milionów Polaków, trzy miliony obywateli polskich żydowskiego pochodzenia, oraz około milion Żydów zwiezionych do Polski z innych krajów Europy. Do zgładzenia tak dużej liczby ludzi Niemcy używali komór gazowych.

Na dobitkę codzienna działalność terrorystyczna Gestapo powodowała duże straty w szeregach podziemnej armii.

6. Kronikarz okupowanej stolicy podaje, że w dniu tym Niemcy zatrzymali 7.000 ludzi. Wł. Bartoszewski, *1859 Dni Warszawy*, Kraków, 1974, str. 339.

7. W rzeczywistości do pierwszej publicznej egzekucji w Warszawie doszło 16 października. T. Bór-Komorowski, *op. cit.*, str. 149.

W takich warunkach powstawał, organizował się i działał nasz ruch oporu.

Kiedy w październiku 1939 roku powstał w Paryżu Rząd Emigracyjny, w jego ramach utworzono specjalny komitet pod przewodnictwem gen. Sosnkowskiego, który miał kierować wojсковą i polityczną działalnością kraju. Komitet ten opracował główne zasady i cele działalności ruchu podziemnego, które zostały przesłane pod koniec 1939 roku do Warszawy i Lwowa.

W tym czasie działalność w niemieckiej i rosyjskiej strefie okupacyjnej była prowadzona samodzielnie pod bezpośrednim kierownictwem Paryża⁸.

Celem usprawnienia komunikacji pomiędzy Paryżem a krajem zostały utworzone na Węgrzech, w Rumunii, Jugosławii, Szwecji i Szwajcarii specjalne „bazy”. Bazy te organizowały szlaki kurierskie i pośredniczyły w łączności radiowej. W styczniu 1940 roku podróż z Paryża do Warszawy trwała dziesięć dni. Na początku 1940 roku pomiędzy Warszawą i Paryżem została nawiązana bezpośrednia łączność radiowa.

Otrzymane instrukcje nakazywały utworzenie i przygotowanie ogólnonarodowej organizacji wojskowej, zdolnej do przeprowadzenia powszechnego powstania w kraju w końcowej fazie wojny, i uwolnienie go spod obcej okupacji. Poza tym przewidywały prowadzenie działalności sabotażowo-dywersyjnej, wywiadowczej i propagandowej, skierowanej głównie przeciwko liniom i środkom komunikacyjnym oraz ośrodkom wojskowym i przemysłowym, oraz stosowanie represji przeciwko wyższym członkom niemieckiego aparatu okupacyjnego i terrorystycznego oraz pomniejszych „wrogom publicznym”. Na terror wroga miano odpowiadać kontr-terrorem, a na jego propagandę defetystyczną kontr-propagandą.

Komenda Główna AK składała się z szeregu wydziałów normalnych dla takiego dowództwa, jak np. organizacyjnego, wywiadowczego, operacyjnego, kwatermistrzowskiego, łączności i propagandy. Cały kraj był podzielony na 17 okręgów wojskowych a ich dowództwo zorganizowane na wzór sztabu Komendy Głównej. Ich obsada musiała być „dublowana” celem uniknięcia większych zakłóceń w ich funkcjonowaniu, spowodowanych przez częste aresztowania. Zgodnie z planem mobilizacyjnym każdy okręg miał wystawić po 20 batalionów piechoty wraz z odpowiednimi służbami — co w sumie miało dać 200.000 ludzi zmobilizowanych w całym kraju⁹.

8. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 11 i dalsze

9. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 58 i dalsze.

Jedynie w wypadku wstępnego powodzenia powstania powszechnego planowaliśmy utworzenie większych jednostek jak pułki i dywizje.

Włożyliśmy wiele wysiłku aby zorganizować AK, szczególnie że brakowało nam do tego wyszkolonych kadr. W czasie kampanii wrześniowej straciliśmy 100.000 ludzi, 600.000 dostało się do niewoli niemieckiej, 300.000 do rosyjskiej a 70.000 udało się przedrzeć za granicę, aby dalej kontynuować walkę przy boku alianckich armii. Jeśli do tego doliczymy tych, którzy zostali wywiezieni na roboty do Rzeszy i do Rosji to przekonamy się jak niewielu przeszkolonych żołnierzy zostało w Polsce do kontynuowania walki z Niemcami.

AK rekrutowała się głównie z młodzieży, która nie przeszła służby wojskowej przed 1939 rokiem, i którą trzeba było porządnie przeszkolić. Odczuwaliśmy brak zawodowych oficerów i podoficerów, a nowych musieliśmy szkolić na kilkumiesięcznych kursach, na których obok zasadniczego wykształcenia, trzeba było ich zapoznać z taktyką walk partyzanckich i ulicznych oraz nowymi rodzajami broni, wprowadzonymi ostatnio do użycia przez wojska obu stron.

Dużą rolę w naszej pracy odgrywały kobiety, które stanowiły ponad 10 % całego stanu AK. Pracowały w służbie sanitarnej, w łączności, wywiadzie, kwatermistrzostwie, propagandzie i w warsztatach zbrojeniowych. Niektóre służyły w oddziałach bojowych ze szczególnym wyróżnieniem. Tysiące kobiet zginęło w walce.

Pod koniec 1944 roku straty AK wynosiły ponad 100.000 ludzi, w tym 50 % jej korpusu oficerskiego.

Po aresztowaniu przez Niemców w czerwcu 1943 roku w Warszawie gen. Grot-Roweckiego, nowym dowódcą AK został gen. Bór-Komorowski¹⁰.

W miarę tego jak zdobywaliśmy nowe doświadczenia wprowadziliśmy pewne zmiany do struktury naszej organizacji. Początkowo cały ruch oporu — polityczny i wojskowy — podlegał gen. Sosnkowskiemu i jego specjalnemu sztabowi. Od września 1941 roku AK została bezpośrednio podporządkowana Wodzowi Naczelnemu i Sztabowi Głównemu.

Ponadto, w miarę tego jak wzrastało nasilenie walki z Niemcami, szereg naszych specjalnych oddziałów przydzielono do dyspozycji Dowódcy AK. Oddziały te były narażone na szczególne

10. Wiele nieznanych dotychczas szczegółów na temat nominacji gen. Bora-Komorowskiego na dowódcę AK podaje Jan Nowak, *Kurier z Warszawy*, Londyn, 1978, str. 432.

niebezpieczeństwo, i rozsądniej było odseperować je od oddziałów lokalnych, których głównym zadaniem było przygotowanie się do udziału w powstaniu powszechnym. Poza tym ułatwiało to kontrolę nad wykonaniem powierzonych im zadań.

Administracja podziemna podlegała Delegatowi Rządu, wyznaczonemu przez Rząd. Później Delegat został mianowany wice-premierem i przewodniczącym krajowego gabinetu, złożonego z trzech ministrów bez teki. Krajowa Rada Ministrów stanowiła najwyższą władzę wykonawczą w Polsce, której organem doradczym była reprezentacja polityczna złożona z przedstawicieli głównych stronnictw. Z chwilą powstania tych ciał Rząd Polski w Londynie zezwolił organizacjom podziemnym, politycznym i wojskowym na większą samodzielność¹¹.

Organizacje polityczne i wojskowe — chociaż pozostawały w ścisłym kontakcie — działały samodzielnie i posiadały własne sieci łączności z Londynem.

Władze cywilne organizowały i kierowały konspiracyjnym szkolnictwem, sądami, służbą bezpieczeństwa i walką cywilną. Za główne zadanie miały jednak przygotowanie administracji, która mogłaby objąć władzę nad krajem w momencie uwolnienia go od okupanta.

Mogę podać Panom zaledwie kilka przykładów działalności AK. Wykład zakończę omówieniem działalności wywiadu AK.

Początkowo zadania wywiadu AK były skromne i koncentrowały się głównie na rozpracowaniu niemieckich sił i planów w stosunku do Polski.

Jednakże, w miarę rozwoju wojny, Polska stała się bardzo ważnym terenem działalności wywiadowczej zarówno dla nas jak i dla aliantów, szczególnie po upadku Francji. Zwłaszcza wtedy gdy Churchill próbował ustalić gdzie będzie miało miejsce następne uderzenie Niemców. Kiedyś dowiemy się może w jakiej mierze polski wywiad przyczynił się do wykrycia, że Bałkany i Rosja miały stać się następnymi ofiarami agresji Hitlera. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i stwierdzeniu że 90 % niemieckich wojsk wysyłanych na front wschodni przechodziło przez Polskę, stała się ona najbardziej drogoceennym źródłem wiadomości.

Znaczenie wywiadu AK zostało szybko zrozumiane przez brytyjski i polski Sztab Główny w Londynie i wiele uwagi i wysiłku poświęcono jego rozbudowie. W ścisłej współpracy pomiędzy obu

11. W istocie doszło do tego po śmierci gen. Sikorskiego. Ciecchanowski, str. 175 i dalsze.

sztabami ustalono naczelne wytyczne, zasięg i budżet dla wywiadu AK.

Jego działalność obejmowała trzy zasadnicze dziedziny: 1) rozpracowywanie zagadnień wojskowych i lotniczych w Polsce i na terenach okupowanych przez Niemców w Rosji, 2) rozpoznawanie portów i baz marynarki wojennej na Bałtyku i Morzu Północnym oraz 3) wywiad gospodarczy w Polsce i Rzeszy.

Pracami tymi kierował II-gi Oddział KG AK, składający się z wydziału wschodniego, zachodniego, krajowego, morskiego i biura studiów, w których specjaliści od zagadnień wojskowych, lotniczych, morskich, komunikacyjnych i przemysłowych analizowali uzyskane od siatek wywiadowczych wiadomości. Specjalny nacisk kładziono na badanie stanu gospodarki w Niemczech. Poza tymi głównymi wydziałami szef II-go Oddziału dysponował kontr-wywiadem i różnego rodzaju sekcjami pomocniczymi, z których najważniejszą była sekcja techniczno-dokumentarna, produkująca dokumenty dla personelu którego członkowie musieli często przekraczać wiele granic, skrytki do przewożenia materiałów, raportów i pieniędzy oraz potrzebny sprzęt i środki chemiczne. Sekcja ta studiowała dokumenty uzyskane od Niemców i opracowywała najlepsze sposoby ich użytkowania. Ponieważ Niemcy używali dużej ilości przenajróżniejszego rodzaju dokumentów i nie bardzo się sami w nich orientowali, wystawialiśmy własne dokumenty, które okazały się pewniejsze od podrabianych. Te *Fantasie Ausweise* bardzo nam dobrze się przydawały i służyły. Celem usprawnienia ich produkcji zorganizowaliśmy cały szereg specjalnych laboratoriów chemicznych, fotograficznych i graficznych — oraz drukarni. Dokumenty naszej produkcji były tak dobre, że francuski ruch oporu prosił nas o dostarczanie mu niektórych z nich jak np. francuskich dowodów osobistych i kartek żywnościowych.

W miarę uzyskiwania przez nas coraz większych sukcesów wzrastało zaufanie do dostarczanych przez nas wiadomości i zapotrzebowanie na nie.

Dla zilustrowania rozmiarów i osiągnięć podziemnej służby wywiadowczej przedstawię Panom kilka cyfr. Stan II-go Oddziału KG AK wynosił około 1.500 ludzi w tym około 170 oficerów i 60-80 różnego rodzaju ekspertów i inżynierów, którzy zajmowali się zagadnieniami gospodarczymi i przemysłowymi. Liczby te nie uwzględniają dużej ilości ludzi, pracujących dorywczo dla nas lub w siatkach wywiadowczych podległych dowódcom poszczególnych obszarów, okręgów itp., które przede wszystkim zbierały wiadomości i dane dla celów własnych. Duża ilość kobiet pracowała w wywiadzie nawet na najwyższych stanowiskach.

Pracowały one niezmiernie wydajnie, inteligentnie i okazywały wielką odwagę w czasie wykonywania powierzonych im zadań. W czasie pierwszych siedmiu miesięcy 1944 roku — od jego początku do wybuchu powstania — szef II-go Oddziału przesłał do Londynu ponad 1.500 depeesz, z których każda składała się z około 250 grup szyfrowych. Poza depeeszami wysyłaliśmy do Londynu przez kurierów co miesiąc obszerne meldunki wywiadowcze, składające się z 200 stron maszynopisu i 100 stron załączników; około 60 % ich treści dotyczyło zagadnień wojskowych. Meldunki były filmowane i tak wycienione, że cały materiał mógł być ukryty w zwykłym ołówku.

Wydajność i tempo pracy naszego wywiadu stale wzrastały; coraz mniej czasu potrzebowaliśmy na wykonanie otrzymanych z Londynu zadań. O ile zadanie mogło być spełnione przez jedną z istniejących już siatek wywiadowczych to zwykle wykonywaliśmy je w przeciągu miesiąca, a gdy trzeba było organizować nową — około trzech. Oczywiście są to dane czysto orientacyjne.

Na terenach polskich i rosyjskich wykonywaliśmy 95 % otrzymywanych zadań, a w Rzeszy 80 %.

Oczywiście, że polskie obszary były przez nas najbardziej spenetrowane. Otrzymywaliśmy wiadomości od wielu ludzi, z każdej fabryki, każdego węzła kolejowego i innych ważnych obiektów. O ile porównamy osiągnięcia polskiego wywiadu z jego wydatkami to okaże się, że był on najprawdopodobniej jednym z najtańszych na świecie. Zawdzięczaliśmy to głównie temu, że duża część personelu pracowała z czysto patriotycznych pobudek i nie otrzymywała żadnego za to wynagrodzenia. Nieduże pensje na pokrycie kosztów utrzymania otrzymywali tylko ci, którzy nie mieli innych zajęć i źródeł dochodu. W wywiadzie służyli żołnierze AK, a żadnych płatnych agentów nie zatrudnialiśmy. Za wiadomości płaciliśmy tylko Niemcom, wobec których stosowaliśmy przekupstwo, podstęp i przemoc, aby pozyskać ich do współpracy.

Nasze listy identyfikujące „większe jednostki” niemieckie, które przekazywaliśmy do Londynu stanowiły podstawę „teczek” ewidencyjnych prowadzonych przez alianckie sztaby. Nie powinno to Panów dziwić gdyż w niektórych okresach do 90 % wojsk niemieckich znajdowało się w zasięgu naszego wywiadu, który okresami docierał do Wołgi i Kaukazu. Rezultaty uzyskiwane przez wywiad gospodarczy też były dobre. Siatka wywiadowcza wydziału zachodniego docierała praktycznie do prawie każdego obiektu wskazanego przez Londyn, lub do tych, które uznaliśmy za godne uwagi.

Jednym z głównych zadań alianckich wywiadów w czasie tej wojny było rozpracowanie niemieckiego planu gospodarczego gdyż jego znajomość pozwalała na odgadnięcie ich przyszłych posunięć strategicznych. Albowiem Niemcy koncentrowali swój wysiłek na tym dziale produkcji, który miał odegrać szczególną rolę w działaniach operacyjnych. Dla przykładu: kiedy wywiad podawał, że Niemcy zwiększali produkcję czołgów kosztem łodzi podwodnych, lotnictwa czy środków komunikacyjnych mówiło to dużo o ich zamiarach operacyjnych.

Oczywiście, ze względu na ogrom prac związanych z rozpracowaniem całego niemieckiego planu gospodarczego nasz wywiad nie mógł dokonać tego sam, ani nawet nie miał takich zamiarów, ale wiele elementów z tej dziedziny, które znalazły się w Londynie, pochodziło od nas.

Nasz wywiad morski stale miał pod obserwacją wszystkie niemieckie porty na Bałtyku, ale na morzu Północnym nasza siatka wywiadowcza nie była tak gęsta i istniały w niej luki w związku z częstymi aresztowaniami. Wydział lotniczy obserwował wszystkie większe lotniska na froncie wschodnim i cały ruch na lotniskach w Polsce. Wysyłaliśmy też do Londynu różne dane konstrukcyjne i plany samolotów.

Wyniki pracy wywiadu sprawdzaliśmy przy pomocy opinii otrzymywanych z Londynu.

Osiągnięcia II-go Oddziału AK były wysoko oceniane przez brytyjski i polski Sztab Główny w Londynie, ale były one okupione przez nas dużymi stratami.

Wywiad AK był najbardziej zwalczaną przez Niemców gałęzią ruchu oporu, i w niektórych okresach, musimy to przyznać, dość skutecznie.

W ręce Niemców wpadło dwóch kolejnych szefów wywiadu (ppłk dypl. W. Berka i ppłk dypl. M. Drobik — J.C.), jeden zastępca szefa wywiadu, dwóch ostatnich szefów wydziału zachodniego, jeden szef wydziału wschodniego i wielu innych pracowników II-go Oddziału z Centrali i różnych siatek wywiadowczych. Biuro studiów pod koniec 1943 roku uległo prawie całkowitemu zniszczeniu i trzeba było zmienić prawie cały jego personel. Spośród oficerów wywiadu przeszkolonych i zrzuconych z Anglii około 70 % zostało aresztowanych. Było to spowodowane tym, że używaliśmy ich do wykonywania jak najtrudniejszych zadań i obsadzaliśmy nimi jak najniebezpieczniejsze stanowiska. Pełne straty zadane przez Niemców II-mu Oddziałowi w ciągu pięciu lat wojny wynosiły ponad 800 ludzi. Opiekowaliśmy się 200 osieroconymi rodzinami pracowników wywiadu.

Największym i najjaskrawszym sukcesem II-go Oddziału były

osiągnięcia na polu walki z niemieckimi pociskami raketowymi. Aby je zilustrować podam Panom jeden przykład.

Pod koniec 1943 roku dowiedzieliśmy się, że Niemcy będą wypróbowywać w Polsce nowe rodzaje broni. Tajemnica która otaczała przygotowania do tych badań nasunęła nam przypuszczenie, że mogą to być tzw. „nowe bronie”, od dawna zapowiadane przez niemiecką propagandę. Zachęciło to nasz wywiad do jak najszybszego zbadania tej sprawy. II-gi Oddział zorganizował specjalną sieć do zdobycia wiadomości o tych przygotowaniach. Śledziliśmy ruch kolejowy i różne punkty w których zbierały się i pracowały niemieckie ekipy doświadczalne.

Po stwierdzeniu, że Niemcy kierowali szczególnie strzeżone i zakamuflowane transporty kolejowe, składające się ze specjalnych wagonów-platform, na których przewozili sprzęt o nieznanym przeznaczeniu, do obozu ćwiczebnego SS, położonego niedaleko od miejsca w którym San wpada do Wisły, zorganizowaliśmy w tym rejonie szeroko rozbudowaną siatkę wywiadowczą i obserwowaliśmy wszystko co się tam działo.

W styczniu 1944 roku Niemcy przystąpili do pierwszych prób wystrzeliwania nowych broni. Wystrzeliwano pociski, czy torpedy powietrzne. Z kształtu, szybkości lotu i dźwięków które wydawały, przypominały samoloty. Szczegóły dotyczące każdego wystrzału były skrzętnie obserwowane i notowane nie tylko przez komisje niemieckie, ale i przez naszych specjalistów. Obie strony skrupulatnie badały miejsca upadku i wybuchu torped. Ich zasięg stopniowo zwiększał się z 30-50 do 200 mil, a rozrzut zmniejszał się od 100 do 10. Specjalne niemieckie komisje rozmieszczone były w różnych punktach na domniemanej trasie przelotu torped. Komisje te były bogato wyposażone we wszelkiego rodzaju środki łączności oraz sprzęt motorowy, co pozwalało im na szybkie dotarcie do miejsc wybuchu torped, celem pozbierania wszystkich odłamków. W tym też czasie rozpoczął się pomiędzy niemieckimi komisjami i polskim wywiadem wyścig kto pierwszy dotrze do miejsca wybuchu torped i pozbiera odłamki. Pomimo to że Niemcy mieli nad nami przewagę w sprzęcie łączności i byli zmotoryzowani oraz lepiej znali kierunek lotu torped, często byli przez nas uprzedzani i znajdowali tylko puste leje.

Raz zdarzyło się że prawie całkiem nieuszkodzona rakietka, która nie eksplodowała, wpadła do rzeki, i nie została wykryta przez Niemców, a my ją wyciągnęliśmy, dokładnie zbadaliśmy i sfotografowaliśmy¹².

12. J. Garliński, *Ostatnia broń Hitlera*, Londyn, 1977, str. 151 i dalsze.

Na początku lata 1944 roku znaleźliśmy już około 90 % danych konstrukcyjnych torpedy.

Kiedy w czerwcu 1944 roku Niemcy zaczęli bombardować Londyn bronią V okazało się, że nasza rakietą była innego rodzaju i, że prawdopodobnie był to pocisk typu V2. Wszystkie wyniki naszych badań były stale wysyłane do Londynu przez radio i kurierów. Po skompletowaniu wszystkich najcenniejszych części torpedy — m.in. aparatury radiowej — i danych wysłaliśmy je wraz z jednym z głównych inżynierów w lipcu 1944 roku do Londynu samolotem, który przyleciał z Brindisi pod Kraków i zabrał z Polski ten cały niezwykle ładunek.

Dopiero w czasie bitwy o Warszawę dowiedzieliśmy się, że pasażerowie i bagaż dotarli szczęśliwie i cało do Brindisi a następnie do Londynu.

Poza tym, ponieważ staraliśmy się rozgryźć tajemnice V2 zaczęliśmy sami prowadzić pewne własne doświadczenia w tej dziedzinie. Mianowicie zauważyliśmy, że czasami rakiety schodziły nieco z początkowego toru. Jednocześnie, po zbadaniu aparatu radiowego rakiety, znaleźliśmy wzmacniacz który mógł przekazywać energię do przyrządów sterowniczych. Wskazywać to mogło, że lot V2 był kierowany przy pomocy fal elektro-magnetycznych¹³.

Przypuszczenie to potwierdzał fakt odkrycia szeregu niemieckich radiostacji rozmieszczonych wzdłuż kierunku lotu rakiet.

Po szczegółowym zbadaniu sprzętu radiowego V2 nasi inżynierowie zaczęli budować własne radiostacje, przy pomocy których chcieli przeprowadzić dalsze doświadczenia. W czasie kiedy nasze przygotowania do nich były w pełnym toku Niemcy przerywali wystrzeliwywanie rakiet i ewakuowali cały obóz, zagrożony szybkimi postępami sowieckiej ofensywy w lecie 1944 roku; uniemożliwiło nam to przeprowadzenie własnych doświadczeń. Ponieważ żaden z nas nie jest specjalistą od zagadnień technicznych nie możemy podać Panom więcej wiadomości co do konstrukcji i działania tej nowej broni. Może jednak już wkrótce zostaną one podane do publicznej wiadomości i dowiemy się wtedy w jakiej mierze informacje i dane dostarczone przez nas dopomogły do odparcia ataku V2 na Wielką Brytanię.

Niemcy zdecydowali się przeprowadzać swoje doświadczenia z V2 w Polsce gdyż chcieli sobie zaoszczędzić strat w ludziach i obiektach w Niemczech. W Polsce straty te były dość duże: wielu ludzi zostało zabitych we wsiach i miasteczkach a szereg zagród wiejskich zniszczonych. Tym niemniej powzięcie takiej

13. J. Garliński, *op. cit.*, str. 28-29.

decyzji spowodowało, że Niemcy podstawili się pod uderzenie polskiego wywiadu.

II. W Y K Ł A D

Panowie pamiętają, że pierwszy wykład dotyczył powstania i rozwoju AK oraz warunków w jakich to się odbywało, oraz działalności naszego wywiadu. Dzisiaj pragnę omówić działalność dwóch innych służb: łączności i biura informacyjno-propagandowego.

Łączność musiała wykonywać trzy odmienne zadania:

- 1) Zapewnić KG łączność wewnętrzną z jej licznymi komórkami w Warszawie;
- 2) Zapewnić KG łączność zamiejscową z obszarami i okręgami; oraz
- 3) Zapewnić KG łączność zagraniczną z Londynem (początkowo z Paryżem) bezpośrednio lub przy pomocy baz.

Aby dopomóc Panom w zrozumieniu jak funkcjonowała wewnętrzna łączność KG w Warszawie muszę podkreślić, że pracowaliśmy w warunkach daleko odbiegających od tych, w jakich zwykle działają wysokie sztaby i dowództwa. KG AK liczyła ponad 1.000 ludzi, którzy służyli w jej wielu oddziałach, wydziałach i dowództwach, którym podlegał cały szereg innych komórek jak np. wszelkiego rodzaju laboratoria, warsztaty, drukarnie itd.

Nie mogły się one mieścić w jednym, dwóch czy nawet dziesięciu budynkach, ale musiały być jak najbardziej porozrzucone po wielu lokalach, tak aby w żadnym z nich nie pracowały więcej jak 2-3 osoby. Ponadto, te małe zespoły 2-3 ludzi musiały mieć do dyspozycji nie jeden lecz szereg lokali, aby utrudnić Gestapo ich rozpracowanie.

Komplikowało to pracę KG i zmuszało do ciągłego przewozu z miejsca na miejsce nie tylko dużej ilości rozkazów, meldunków i planów, ale co gorsze wszelkiego rodzaju sprzętu, jak radiostacje, broń itd.

Praca wysokiego dowództwa wymaga ciągłej wymiany zdań i dyskusji pomiędzy sztabowcami na wiele tematów i ścisłej współpracy szeregu oddziałów. My, ze względu na bezpieczeństwo pracy, nie mogliśmy tego osiągnąć przy pomocy rozmów telefonicznych czy dużych odpraw, lecz tylko poprzez korespondencję, której rozmiary, w rezultacie były o wiele większe niż to ma miejsce normalnie.

Łączność wewnętrzna w Warszawie opierała się prawie całkowicie na gońcach. Aby doręczać kilkaset paczek z korespondencją do tyluż prawie punktów porozrzucanych po całym mieście zorganizowaliśmy specjalną siatkę pocztową; jej personel rekrutował się głównie z kobiet, popularnie zwanych łączniczkami, które rekrutowały się ze wszystkich sfer społecznych, od najniższych do najwyższych, i pomiędzy którymi były zarówno młode dziewczęta jak i starsze panie.

Organizując pocztę braliśmy pod uwagę dwa czynniki: szybkość i sprawność w doręczaniu korespondencji oraz bezpieczeństwo. Zwiększając bezpieczeństwo, zmniejszaliśmy tempo pracy.

W codziennej pracy głównym czynnikiem było bezpieczeństwo, ale aby sprostać nagłym koniecznościom zorganizowaliśmy „sieć alarmową”, która pracowała szybciej, ale z mniejszym zachowaniem ostrożności, przeznaczoną wyłącznie do przekazywania wiadomości o zagrożeniach: np. o aresztowaniach dokonanych przez Niemców w pewnych komórkach, które mogły zagrozić innym. Łączniczki były stale narażone na wielkie niebezpieczeństwo pochodzące głównie z dwóch źródeł: działalności Gestapo oraz sporadycznych rewizji, dokonywanych na ulicach i w tramwajach.

Aby utrudnić działalność Gestapo organizowaliśmy specjalne kursy szkoleniowe dla łączniczek, oraz używaliśmy różnych metod przekazywania poczty, zmniejszało to ryzyko aresztowania łączniczek i przejęcia poczty przez Niemców. Dla przenoszenia poczty używaliśmy różnych skrytek w bagażu i specjalnych kieszeni w ubraniu łączniczek.

Staraliśmy się też dobrze maskować przewożoną pocztę i gońców. Dla przykładu przebiegali się oni za listonoszów i policjantów, lub byli umyślnie zatrudnieni jako gońcy w niemieckich instytucjach i firmach, co dawało im dobre papiery i możliwość przenoszenia naszej poczty ukrytej pomiędzy niemiecką.

Przy organizowaniu i rozdziale poczty przestrzegaliśmy pewnych ogólnych zasad. Tworzyliśmy dwie oddzielne siatki: jedną, która łączyła centralę z jej podległymi lecz odizolowanymi komórkami, i drugą która wiązała poszczególne komórki z jej przełożonymi i innymi komórkami tego samego szczebla. Przez posiadanie tych oddzielnych siatek staraliśmy się ograniczyć skutki dokonywanych przez Niemców aresztowań. Chodziło o to, aby skutki nieprzewidzianych aresztowań nie sięgały zbyt daleko i zostały zlokalizowane. Po drugie, nie łączyliśmy komórek, a łączność pomiędzy nimi utrzymywaliśmy przy pomocy 2-3 łączników. Stosowaliśmy też zasadę, że poszczególny konspirator powinien znać jak najmniej nazwisk i adresów kolegów oraz szczebli doty-

czących życia organizacji. Wynikało to z przyjętej przez nas zasady, że aresztowany przez Niemców konspirator ujawni im wszystko co wie o AK. Bardzo często urządaliśmy „skrzynki pocztowe” mieszczące się w sklepach i tym podobnych, nie budzących podejrzeń, miejscach które pośredniczyły w przekazywaniu korespondencji. Adresy tych „skrzynek pocztowych” były znane „centrali”, która segregowała ich zawartość i organizowała ich dalszą przesyłkę w taki sposób, aby uniknąć spotkania się razem dwóch lub więcej łączniczek. Wreszcie, zabiegaliśmy o to aby odcinki drogi przebywane przez poszczególne łączniczki były wystarczająco długie, żeby w wypadku kiedy łączniczka zorientowała się, że jest śledzona, mogła zgubić idącego za nią gestapowca. Łączniczki były specjalnie szkolone, aby mogły się zorientować, że są śledzone i przez kogo. Dopiero po odpowiednim przeszkoleniu i stwierdzeniu, że można było na nich polegać, powierzaliśmy im ich pierwsze indywidualne zadania. Pomimo to łączniczki były narażone na ciągłe niebezpieczeństwo i żyły w ciągłym nerwowym napięciu, które wywierało na nie większy wpływ niż nawet najbardziej wyczerpujące zajęcie. Na jedno też wychodziło czy ktoś był złapany przez Niemców przy przenoszeniu poczty czy też z bronią w ręku. Wiele łączniczek zginęło śmiercią żołnierską w walce o Polskę.

Łączność pomiędzy Warszawą i innymi częściami kraju opierała się na kurierach i radiu. Trudności w krążeniu kurierów zwiększał fakt, że kraj był podzielony na szereg różnych rejonów, i stąd musieli oni przekraczać wiele pilnie strzeżonych granic w czasie wykonywania swych misji.

Przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej linia Mołotow-Ribbentrop oddzielała strefę niemiecką od rosyjskiej. Generalna Gubernia (GG — J.C.) była oddzielona granicą od ziem polskich przyłączonych do Rzeszy. Po zajęciu wschodniej części Polski przez Niemców, tylko jej część na południu została przyłączona do GG. Reszta została podzielona pomiędzy Reichskomisariat Ukrainę, która obejmowała część wschodnio-południowej Polski, i rosyjską Ukrainę, Reichskomisariat Ostland (na który składała się część północno-wschodniej Polski i Białorusi), a inne obszary północno-wschodniej Polski zostały włączone do Prus Wschodnich.

Większość naszych kurierów posiadała dobre papiery i jak już wspominałem, posługiwała się wszelkiego rodzaju skrytkami przy przewożeniu poczty. Niemniej, niektórzy kurierzy przechodzili przez granice bez papierów, jak przemytnicy. Inni używali różnych podstępów: np. zapisywali się na ochotnika do organizacji Todta.

Czasami ilość materiału do przewiezienia była tak duża, że trzeba było do tego używać ciężarówek. W takich wypadkach jeździły one ze zbrojną eskortą, która miała rozkaz siłą wymusić przejazd o ile zaszczyły tego potrzeba. Łączność zamiejskowa była podzielona na dwie samodzielne siatki: jedna obsługiwała szlaki prowadzące do KG, a druga pracowała na rzecz dowódcy danego obszaru.

Łączność zagraniczna pomiędzy Warszawą i Londynem oparta była na kurierach, radiu i samolotach. Kurierzy jeździli przy pomocy naszych baz w krajach neutralnych, którym było łatwiej zorganizować resztę podróży¹⁴. Niektórzy kurierzy posiadali legalne papiery tych krajów, ale tych było niewiele i byli rzadko używani. Celem usprawnienia wysyłki kurierów, których odprawialiśmy dwa razy w miesiącu, wprowadziliśmy w pasach przygranicznych system sztafetowy. Zorganizowaliśmy szlaki kurierskie do granic szwajcarskiej i hiszpańskiej. Przed okupacją Bałkanów przez Niemców wiele szlaków przebiegało przez Węgry. Po nawiązaniu łączności z francuskim Ruchem Oporu przerzucaliśmy często naszą pocztę do Londynu za jego pośrednictwem samolotami brytyjskimi, lądującymi we Francji. Czasami nasi kurierzy wozili pocztą przez Szwecję i Stambuł. Trasa przez Stambuł była zbyt okreżna i używaliśmy jej jako pomocniczej. Niemcy też używali tej drogi do wysyłania swych agentów do krajów alianckich jako kurierów AK, co zmuszało nas do zachowania specjalnych środków ostrożności. Przysyłka poczty drogą kurierską trwała 4-8 tygodni. W jednym wypadku dotarła w ciągu 2 tygodni, co było rekordem. Gestapo zawzięcie i zapamiętałe zwalczało naszą służbę kurierską i zadało jej wiele strat, szczególnie na wiosnę 1944 roku, kiedy dokonało wielu aresztowań w Polsce i za granicą. Na skutek tych dużych aresztowań musieliśmy całkowicie przeorganizować komórkę kurierską.

Na szczęście uczyniliśmy to niezwykle szybko i stąd nie było długiej przerwy w wysyłce poczty.

O lotniczej łączności pomiędzy Londynem i Warszawą wspominałem w pierwszym wykładzie.

W Londynie opracowano plan przerzutu do nas specjalnie wyszkolonych spadochroniarzy do czego doszło po raz pierwszy — po wykonaniu koniecznych przygotowań w Polsce przez AK — 12 lutego 1941 roku. Początkowo lotów pomiędzy Anglią i Polską dokonywano tylko w ciągu długich nocy, pomiędzy październikiem i kwietniem i przy pełni księżyca. Po zorganizowaniu baz we Włoszech, od początku 1944 roku, zaczęto latać rów-

14. J. Nowak, *Kurier z Warszawy*, Londyn, 1978.

niez w lecie. Zrzucano pocztę, skoczków, broń, pieniądze, sprzęt radiowy, itd.

W kraju zorganizowaliśmy placówki zrzutowe, służbę meteorologiczną i specjalny wydział zrzutów, który czuwał nad nimi. BBC zaś w swych audycjach ostrzegała nas o nadchodzących zrzutach. W każdym sezonie, od października do kwietnia, przylatywało około 100 samolotów, i zrzucało ładunek składający się z 3 do 6 zrzutków i tony sprzętu (lub dwóch ton kiedy samolot nie zabierał skoczków¹⁵).

W czasie dobrej pogody mogliśmy odebrać 7 do 8 zrzutów w ciągu jednej nocy, ale w okresach złej pogody czekaliśmy po parę miesięcy na przylot samolotów. W sumie otrzymaliśmy tą drogą 300 ludzi i kilkadziesiąt ton sprzętu. KG miało duże kłopoty z zorganizowaniem placówek zrzutowych i dystrybucją podjętego sprzętu. Musiała ustalać promień, w którym miano zrzutów dokonywać, co było trudne gdyż duża część GG pozostawała poza zasięgiem samolotów latających na trasie Anglia - Polska. Ograniczało to niezmiernie wybór zrzutowisk. Placówki zrzutowe były uzbrojone i często musiały walczyć z wrogiem o zrzuty. Czasami Niemcy panowali na ziemi i w powietrzu i zestrzeliwali samoloty, lub spędzali je nad północną Danię i południową Szwecję.

Loty z Włoch były pewniejsze i owocniejsze. Co więcej, kiedy dokładnie ustalono ich przebieg i wydajność spróbowano dokonać lądowania i utworzenia mostu powietrznego w Polsce. Trzy razy samoloty latające z Brindisi lądowały w Polsce: w kwietniu, czerwcu i lipcu 1944 roku. Pragnę podkreślić ogromny, wręcz ponad ludzki wysiłek dokonany przez załogi tych ciężkich maszyn, które lądowały w środku nocy w nieznanym kraju, oraz naszych placówek, które ubezpieczały lądowiska w ciągu tych trzech lotów.

Teraz przedstawię Panom działalność naszej łączności radiowej, która stale borykała się z dwoma zasadniczymi trudnościami: brakiem sprzętu i bezpieczeństwem.

Pierwszą trudność udało się nam w dużym stopniu pokonać dzięki zrzutom i sprzętowi własnej produkcji. Zażeganie drugiej okazało się o wiele trudniejsze, gdyż Niemcy wykazywali coraz większą aktywność i pomysłowość w zwalczaniu i wykrywaniu naszych radiostacji przy pomocy specjalnego wydziału Gestapo. Doskonalili oni sposoby wykrywania radiostacji, do czego masowo używali zmotoryzowanych jednostek goniometrycznych i samolotów. Początkowo nasze radiostacje mogły nadawać do dzie-

15. J. Garliński, *Żołnierze i politycy* (2-gie wydanie), Londyn, 1971, str. 47 i dalsze.

sięciu godzin zanim zostały wykryte przez Niemców, później jednak, dzięki stosowaniu ulepszonej aparatury radionamiarowej, Gestapo wykrywało je w Warszawie w ciągu 30 minut.

Walka naszej łączności radiowej z nieprzyjacielem była jak najbardziej zażarta, a jej sposoby stale doskonalone przez obie strony. Nasz system pracy dostosowaliśmy do zmian w niemieckich metodach zwalczania nas. Początkowo umieszczaliśmy radiostacje w samym środku grupy budynków, co dobrze je maskowało, ale z czasem musieliśmy tego zaniechać, ponieważ Niemcy stawali się coraz sprawniejsi w ich wykrywaniu. Ofiarą Niemców padały głównie radiostacje pracujące na prądzie elektrycznym czerpanym z sieci miejskiej. Stąd, musieliśmy zapewnić radiostacjom własne źródła energii. W końcowym okresie nasze straty w ludziach i sprzęcie były tak ciężkie, że musieliśmy przejść na zupełnie inny sposób pracy. Umieściliśmy większość naszych radiostacji w trudno dostępnych bezdrożnych miejscowościach pod osłoną zbrojnych oddziałów, których zadaniem było ich obrona przed Niemcami. Miejscowa ludność zwykle uprzedzała osłonę o zbliżaniu się Niemców, co pozwalało, zgodnie z wymogami sytuacji, na wycofanie radiostacji z zagrożonego miejsca, lub na podjęcie walki w jej obronie.

Początkowo do polowań na radiostacje Niemcy używali małych i słabych oddziałów, które udawało się nam całkowicie niszczyć wraz z ich sprzętem. Kiedy zaczęli używać wzmocnionych oddziałów, unikaliśmy walki i wycofywaliśmy się.

Zastosowanie tej elastycznej taktyki umożliwiło nam kontynuację nadawania. Z tym tylko, że czasami mieliśmy kłopoty z szybkim dostarczeniem depeš do radiostacji. Parę radiostacji niezbędnych do wysyłki pilnych i nagłych telegramów, zatrzymaliśmy w Warszawie, ale ograniczyliśmy czas ich pracy do 15 minut, a następnie przenosiliśmy je do innych części miasta¹⁶.

IV. W Y K Ł A D

Dzisiaj przedstawię Panom sytuację jaka panowała w Polsce i Warszawie od początku 1944 roku do wybuchu walki o stolicę, oraz będę mówił o samym powstaniu.

Pod koniec 1943 roku ofensywa sowiecka, która wyszła z Kaukazu i z Dniepru, dotarła do Dniepru. Czołowe oddziały so-

16. W dostępnych dokumentach brak jest wypowiedzi gen. Bora-Komorowskiego w sprawie działalności B-i-P'u KG AK, oraz treści całego trzeciego wykładu.

wieckie przekroczyły granicę Polski pod Ostrogiem 3 stycznia 1944 roku.

Gdy podano to do publicznej wiadomości Polacy zastanawiali się co to dla Polski może oznaczać. W związku z taką sytuacją Dowódca AK, który już uprzednio ją przewidział, nakazywał:

- 1) mobilizację wszystkich mężczyzn zdolnych do prowadzenia walki partyzanckiej we wschodnich przygranicznych terenach;
- 2) zmobilizowane siły stanowią straż przednią AK i mają współpracować z wojskami sowieckimi;
- 3) współpraca ta ma polegać na atakowaniu niemieckich linii komunikacyjnych i oddziałów poza frontem, celem ułatwienia Rosjanom posuwania się naprzód;
- 4) w miarę przetoczenia się frontu na zachód zakończyć polską mobilizację i po przeorganizowaniu jednostek na regularne wziąć udział w walce z Niemcami ramię w ramię z siłami sowieckimi;
- 5) pod względem operacyjnym oddziały polskie podporządkować dowódcom rosyjskim pamiętając, że pod każdym innym względem podlegają one nadal Dowódcy AK i Naczelnemu Wodzowi w Londynie¹⁷.

Rozkazy te były oparte i wzorowane na tych, które regulowały współpracę jednostek polskich na zachodzie z Anglosasami, np. korpusu gen. Andersa walczącego we Włoszech i innych na froncie zachodnim.

Zanim przedstawię Panom jak wyglądało współdziałanie pomiędzy polskimi i rosyjskimi oddziałami, chcę powiedzieć parę słów o rozwoju rosyjskich ofensyw w zeszłym roku.

Od stycznia do końca maja toczyła się długa i zacięta bitwa rosyjsko-niemiecka w rejonie Kowla, w czasie której udało się Niemcom odrzucić Rosjan na wschód. Jednocześnie przeprowadzone przez Niemców przeciwwuderzenie w rejonie Żytomierza też w pewnej mierze powiodło się. Od kwietnia do końca czerwca Rosjanie wyrzucili Niemców z północnej Ukrainy, przekroczyli Seret i Dniestr i weszli na ziemie polskie w rejonie Tarnopola, Stanisławowa i Lwowa. Równocześnie oczyścili z Niemców resztę Ukrainy i wkroczyli do Rumunii. Trzecia faza ofensywy sowieckiej zaczęła się pod koniec czerwca na Białorusi, gdzie Niemcy ponieśli wielką klęskę i szybko utracili kolejno Witebsk, Orszę, Bobrujsk i Mińsk. Na tym odcinku Rosjanie, którzy posuwali się

17. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 191 i dalsze.

naprzód z szybkością ponad 30 km dziennie, dotarli do granic Polski w rejonie Wilna i Nowogródka, oraz szerokim frontem weszli nad środkowy Niemen i stanęli u wrót Kowna — stolicy Litwy. Później ofensywa ta utknęła na parę tygodni w rejonie Białegostoku. W czasie tego uderzenia, Rosjanie posunęli się naprzód o 450 km w ciągu jednego miesiąca. W połowie lipca Rosjanie podjęli nowe uderzenie znad Seretu i Bugu co ułatwiło ich ruch naprzód w rejonie Lublina i Lwowa.

Ofensywa sowiecka podjęta na południowym skrzydle frontu w ciągu niespełna miesiąca wykonała 300-tukilometrowy skok naprzód. Wkrótce rozgorzała walka o przedmoście Warszawy i Rosjanie zaczęli forsować Wisłę głównie w rejonie Baranowa i Sandomierza. W czasie tych ofensyw wojska sowieckie i AK współdziałały ze sobą. W każdym przyfrontowym rejonie polski dowódca starał się nawiązać łączność z posuwającymi się naprzód Rosjanami.

Na Wołyniu — w rejonie Równego, Kowla i Włodzimierza Wołyńskiego zorganizowaliśmy zgrupowanie, składające się z 10 batalionów piechoty i 1 szwadronu kawalerii pod dowództwem ppłk. „Oliwy”¹⁸.

W czasie rosyjsko-niemieckich walk na Wołyniu siły płk. „Oliwy” uderzyły na tyły Niemców i nawiązały współpracę z Armią Czerwoną. Polacy obsadzili odcinek frontu pomiędzy Kowlem i Włodzimierzem Wołyńskim i przez około dwa miesiące walczyli przy boku Rosjan. Wymieniono oficerów łącznikowych.

W czasie walk polskie zgrupowanie podlegało rosyjskiemu dowódcy tego odcinka frontu, a polscy oficerowie dowodzili rosyjskimi oddziałami. Stoczono szereg zaczepnych i obronnych walk, w czasie których Rosjanie zaopatrywali nas w broń. Niemniej, kiedy niemieckie przeciwuderzenie zmusiło Rosjan do odwrotu, nie powiadomili o tym płk. „Oliwy”, który został od nich odcięty wraz z pułkiem sowieckiej kawalerii. Dowódca AK nakazał „Oliwie” starać się przebić na zachód, celem uniknięcia przejścia na rosyjskie terytorium, na które wycofali się Rosjanie. Przebiecie, które wykonywano w niezmiernie trudnych warunkach, powiodło się ale zginął „Płk Oliwa”. W ciągu następnych dwóch tygodni sowiecki pułk wraz z polską dywizją pod dowództwem następcy „Oliwy”¹⁹ walczył z Niemcami poza frontem niemiecko-rosyjskim.

Niemcom którzy skoncentrowali duże siły w tym rejonie,

18. Płk dypl. Wojciech Kiwerski. Ciecchanowski, *op. cit.*, str. 221 i dalsze.

19. Mjr T. Sztumberk-Rychter.

udało się jednak rozdzielić Polaków od Rosjan. Kawaleria rosyjska przeszła przez front i powróciła do swej dywizji. Polacy przebili się za Bug.

Przebieg szeregu tych operacji był podawany przez BBC, a nawet Churchill wspominał o nich w swej mowie²⁰.

W czasie spotkań z Rosjanami płk „Oliwa” poinformował ich o instrukcjach jakie otrzymał od Dowódcy AK i przedyskutował z nimi kwestię przeorganizowania swego zgrupowania w regularną dywizję, która miała podlegać im operacyjnie i zostać przez nich wyposażona w sprzęt.

Rozmowy te nie przyniosły jednak, definitywnych wyników, gdyż Niemcy odcięli polskie oddziały od Rosjan.

W czasie tych rozmów rosyjscy oficerowie proponowali Polakom wstępowanie do armii płk. Berlinga, utworzonej z byłych jeńców wojennych z kampanii wrześniowej.

Propozycje te były w pewnym sensie groźbami. Nasi żołnierze byli wystawieni na silną agitację rosyjską w tej sprawie. Rosjanie musieli wyciągnąć dwa wnioski z rozmów z Polakami:

- 1) że nie uda się im przeciągnąć oddziałów AK na stronę płk. Berlinga, który złożył przysięgę na wierność Stalinowi i został mianowany rosyjskim generałem,
- 2) że AK była gotowa lojalnie walczyć z Niemcami pod rosyjskim dowództwem operacyjnym, zachowując niemniej swą podległość Prezydentowi Rzeczypospolitej w Londynie.

Do dalszych kontaktów pomiędzy AK i Sowietami doszło w rejonie Tarnopola na wiosnę 1944 roku, w którym nasza mobilizacja miała inny przebieg niż na Wołyniu. Zmobilizowane oddziały nie były organizowane w większe jednostki i walczyły z Niemcami ze zmiennym powodzeniem w ramach zgrupowań kompanijnych i batalionowych. W czasie spotkań z Rosjanami w tym rejonie nawiązywaliśmy z nimi oficjalne kontakty. Poza wsparciem bojowym udzielaliśmy im wiadomości o ruchach Niemców, dawaliśmy kwatery, przewodników i żywność. W zamian za co częstowani byliśmy tą samą propagandą, o której już wspominałem, na którą nasi żołnierze reagowali z zimną obojętnością. Pismo wysłane przez Dowódcę okręgu Lwowskiego do marszałka Zukowa z ofertą bliższej współpracy zostało bez odpowiedzi.

Następne przykłady kontaktów z Rosjanami były zupełnie odmienne od poprzednich. W czasie rosyjskiej ofensywy na Białorusi w lipcu 1944 roku polski dowódca wileńskiego okręgu AK skoncentrował swoje najbitniejsze oddziały i utworzył z nich około

20. Premier Churchill uczynił do nich pewne aluzje w oświadczeniu złożonym w Izbie Gmin, 24 maja 1944 roku.

10-batalionowe zgrupowanie, które wyzyskując zamieszanie wśród Niemców spowodowane odwrotem, uderzyło na Wilno i zajęło dużą część miasta²¹.

Następnego dnia po nadejściu pierwszych rosyjskich wojsk, nasze oddziały przystąpiły do wyrzucania Niemców z reszty miasta.

Po tygodniu zaciętych walk całe miasto zostało opanowane. W toku walk nasi żołnierze zdobyli szereg silnie bronionych punktów oporu nieprzyjaciela, które hamowały ruchy Rosjan. Dowódca rosyjski podziękował Polakom za pomoc i udekorował szereg naszych żołnierzy rosyjskimi odznaczeniami.

Po zdobyciu Wilna doszło do rozmów pomiędzy dowódcą Wileńskiego okręgu²² i dowódcą rosyjskim²³. Podobnie jak na Wołyniu.

Rosjanie poinformowani o naszych poglądach i zarządzeniach Dowódcy AK w sprawie współpracy nie wypowiedzieli się definitywnie w tej sprawie ale poprosili na dalsze rozmowy. Następnego dnia gdy dowódca okręgu i jego sztab stawili się w dowództwie rosyjskim zostali aresztowani i — jak później się dowiedzieliśmy — wywiezieni do Rosji. Dowódca rosyjski nakazał naszym żołnierzom złożyć broń, ale ci, znając już los swych dowódców, żądanie to odrzucili i pod osłoną nocy wycofali się z Wilna do pobliskiej Puszczy Rudnickiej.

Nowy dowódca zgrupowania, po stwierdzeniu że groziło mu okrażenie ze strony Rosjan, zawiadomił Dowódcę AK przez radio, że maszeruje na Zachód. Ponieważ nie otrzymaliśmy od niego żadnych innych wiadomości los jego i zgrupowania jest nam nieznany.

Wypadki które rozegrały się we Lwowie były podobne do wileńskich. Nasze oddziały wspierały Rosjan w czasie walk o miasto i atakowały niemieckie linie komunikacyjne²⁴. Później powtórzyła się historia wileńska. Polski dowódca²⁵ powiadomił Rosjan o instrukcjach jakie otrzymał od swych przełożonych. Rosjanie poprosili go na rozmowy do swego dowództwa. Rozmowy zakończyły się aresztowaniem polskiego dowódcy i rozbrojeniem jego żołnierzy. W okręgu lubelskim trzy polskie zgrupowania, z których każde liczyło po 6 batalionów piechoty, współdziałały z Armią Czerwoną w walce z Niemcami, i składały oferty ścisłej współpracy Rosjanom, którzy ze swej strony proponowali naszym

21. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 238 i dalsze.

22. Płk A. Krzyżanowski („Wilk”).

23. Gen. I. Czernihowski.

24. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 245 i dalsze.

25. Płk Wł. Filipkowski („Janka”).

żołnierzom wstępować do Armii Berlinga. Gdy spotkali się z odmową, dowódców aresztowali, a żołnierzy rozbroili²⁶.

Okazało się, że Rosjanie chętnie korzystali z naszej pomocy, ale nie kwapili się zupełnie do nawiązania z nami ścisłej współpracy. Niemniej uważaliśmy że należało spróbować nawiązać z nimi współpracę w Warszawie.

Postaram się przedstawić Panom rozwój sytuacji militarnej na froncie, tuż przed rozpoczęciem się bitwy o Warszawę, jest to niezmiernie ważne, gdyż jej zrozumienie pokaże Wam co nas pchnęło do podjęcia walki.

Mieliśmy bardzo mało wiadomości dotyczących armii sowieckiej i jej zamiarów, gdyż nasz II-gi Oddział koncentrował się na innych zagadnieniach, a z Londynu żadnych danych na jej temat nie otrzymaliśmy. Nasze krótkie kontakty z Armią Czerwoną, które zaczęły się na początku 1944 roku, też nie dały nam wiele wiadomości.

Naszym głównym źródłem wiadomości o Rosjanach były sowieckie i niemieckie komunikaty, na podstawie których staraliśmy się odtworzyć obraz sytuacji na froncie wschodnim, oraz przewidzieć następne posunięcia. Przebieg sowieckich ofensyw przeprowadzonych w ciągu dwóch ostatnich lat wykazywał, że każda wielka kampania poprzedzona była krótkim przygotowaniem, każde uderzenie przynosiło 250-300 km skok naprzód, a ich celem było osiągnięcie dogodnych podstaw wyjściowych do następnej ofensywy.

Sądziliśmy więc, że dłuższe zatrzymanie się Rosjan na Bugu było niewątpliwie spowodowane przygotowaniem do nowej ofensywy, której celem było dotarcie do Wisły w pasie Modlin-Sandomierz. Ponadto uważaliśmy, iż ponieważ ofensywa rosyjska która zaczęła się w drugiej połowie lipca 1944 roku, miała do pokonania przestrzeń poniżej 150 km, a posuwała się naprzód z tą samą szybkością co uprzednio, to jej celem musiało być również sforsowanie Wisły i opanowanie rejonu Warszawy.

Mieliśmy pełne wiadomości o położeniu Niemców. Rosyjska ofensywa na Białorusi, która zaczęła się 22 czerwca 1944 roku, doprowadziła do zniszczenia dwóch armii niemieckich z grupy armii „Srodek”, działającej pomiędzy Witebskiem i Kowlem. Jedna armia została odrzucona na Białystok, druga na Wilno. Północne skrzydło tej grupy armii zostało odrzucone z rejonu Witebska na Dyneburg zachowując jednak zdolność do dalszej

26. O szczegółach patrz *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*. Tom III: *Armia Krajowa*, Londyn, 1950, str. 623 i dalsze.

walki. Na południu drugiej armii niemieckiej, broniącej środkowego Bugu, udało się wyjść cało z katastrofy na Białorusi.

Od początku lipca 2 armia, 4 Panzer i 8 armia niemiecka starały się powstrzymać rosyjskie uderzenia w kierunku na Lublin i Lwów. Te trzy armie niemieckie zostały rozdzielone od siebie dwoma potężnymi uderzeniami sowieckimi, z których jedno przeszło przez San i dotarło do Wisłoki, a drugie doszło i przekroczyło Wisłę pod Dęblinem i Puławami oraz u ujścia Pilicy, gdzie Rosjanom udało się uchwycić przyczółki na zachodnim brzegu Wisły. Ośma armia niemiecka została zmuszona do odwrotu i oparcia się o Karpaty, 4 Panzer zwinęła skrzydła i utworzyła silny pierścień obronny wokół Sandomierza, a 2 armia przejechawszy się po swoich sąsiadach zagięła resztę prawego skrzydła w kierunku na Warszawę. Większość jej wojsk uniknęła rozbicia i odchodziła na rozkaz nad dolny Bug w rejon Modlina i Wyszki.

Około 20 lipca front zaczął podchodzić pod Warszawę. W najbliższym punkcie przebiegał o 4 km od jej południowo-wschodnich przedmieść, położonych na prawym brzegu Wisły. Stało się jasne, że dla Warszawy nadchodziły rozstrzygające chwile. Musieliśmy więc ustalić jaka rola przypadnie stolicy w tym czasie. Zawsze staraliśmy się chronić miasta od strat i zniszczeń. Niemniej byliśmy przeświadczeni, że Warszawa jako ważny punkt strategiczny — o ile nie zostanie wzięta przez Rosjan manewrem oskrzydlającym — stanie się polem bitwy i podzieli los innych miast, które uległy już zniszczeniu. W takiej bitwie Niemcy w pełni wykorzystają Wisłę jako potężną barierę obronną. Zachodni brzeg Wisły wyraźnie dominuje nad wschodnim i wspaniale się nadaje do umieszczenia wzdłuż niego punktów obserwacyjnych, stanowisk artylerii i gniazd karabinów maszynowych. Gęsto zabudowany obszar Warszawy dawał doskonałą osłonę jej obrońcom i pozwalał na skoncentrowanie w nim ogromnej siły ognia. Nasze obserwacje potwierdzały przypuszczenie, że Warszawa stanie się następną ofiarą nadchodzącej burzy. Przewidywaliśmy też, że Niemcy nagle wyewakuują ludność z Warszawy. Mogło to spowodować wielkie straty materialne a zwłaszcza w ludziach wśród tej części ludności Warszawy którą Niemcy z pewnością użyliby do prac fortyfikacyjnych. Warszawa jest położona na zachodnim wysokim brzegu Wisły, która w stolicy dochodzi do 550 metrów szerokości. W centrum i w południowej części wysokiej skarpy wiślanej leży Powiśle i Czerniaków. Praga położona na wschodnim brzegu Wisły jest połączona z Warszawą pięcioma mostami. Najbardziej wysunięty na południe most jest mostem drogowym. Następnie mamy most kolejowy. Główna

linia kolejowa biegnąca z zachodu na wschód idzie pod miastem tunelem i przechodzi przez Wisłę właśnie tym mostem. Na północ od niego biegnie most drogowy łączący Stare Miasto z Pragę, i wreszcie mamy dwa mosty, położone blisko siebie, jeden drogowy a drugi kolejowy. Na zachód od tego mostu kolejowego leży Cytadela z jej masą fortów i budynków. Zbudowana przez Rosjan w pierwszej połowie XIX-go wieku jako bastion, który miał im zapewnić kontrolę nad miastem zawsze gotowym do podjęcia walki z najeźdźcą. Dwie trzecie miasta były gęsto zabudowane. W śródmieściu dominowały wielopiętrowe budynki wykonane z cegły. Warszawa straciła 10 % swych zabudowań w 1939 roku i 15 % w 1943 roku, kiedy Niemcy zniszczyli getto. Stąd w środku miasta znajdował się pas ruin i gruzów. W samym centrum miasta znajdował się mały park, mający około 400 m² — zwany Ogrodem Saskim. Mówię Panom o tych rzeczach gdyż odgrywały one później dużą rolę w czasie naszej bitwy o Warszawę. Śródmieście Warszawy otoczone jest dzielnicami mieszkaniowymi jak Żoliborz na północy i Mokotów na południu, i trzema gęsto zaludnionymi dzielnicami robotniczymi — Wola, z jej wielu fabrykami, na zachodzie, Ochota na południowym-wschodzie i Czerniakowem nad Wisłą.

Robotnicza Praga liczyła 200.000 mieszkańców. Przed wojną cała Warszawa miała 1.300.000 mieszkańców. Na skutek kampanii wrześniowej i likwidacji getta stan ludności Warszawy uległ znacznemu obniżeniu, ale napływ Polaków wysiedlonych z zachodniej Polski, podniósł liczbę mieszkańców w 1944 roku do około miliona.

Ze wszystkich okręgów AK okręg Warszawski był bez wątpienia najsilniejszy i najlepiej zorganizowany. Pod koniec lipca nasze siły w stolicy i jej okolicy liczyły 36.000 żołnierzy i 7.000 kobiet (ze służby pomocniczej). Nasze uzbrojenie składało się z karabinów, pistoletów maszynowych, pistoletów, granatów ręcznych, kilkunastu karabinów maszynowych, rusznic ppanc, Piatów, miotaczy płomieni, i moździerzy²⁷.

Nie posiadaliśmy dział, ani działek plot., a nasze zapasy amunicji były znikome. Niemniej, dając żołnierzom do ręki po karabinie, pistolecie lub po dwa granaty pod koniec lipca mogliśmy 70 % z nich uzbroić.

Od początku powstania nasze szeregi zasilali ochotnicy, którzy często przychodzili z własną bronią. My w naszych obliczeniach uwzględnialiśmy tylko broń zdobytą na Niemcach i otrzymaną ze zrzutów.

27. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 271 i dalsze.

Warszawa wraz z jej wschodnimi i zachodnimi przedmieściami tworzyła Warszawski Okręg AK. Dowódca AK kierował całością operacji, a dowódca okręgu [płk dypl. A. Chruściel („Monter”) — J.C.] dowodził pod względem taktycznym oddziałami, biorącymi udział w bitwie. Każda dzielnica posiadała swego dowódcę, który wraz z jego sztabem podlegał bezpośrednio dowódcy okręgu. Ilość ludzi biorących czynny udział w walce była mniejsza od tej którą Panom podałem, ponieważ tylko paru zgrupowaniom udało się zmobilizować we wschodniej i zachodniej części okręgu, a wielu żołnierzy nie dotarło na czas do swoich oddziałów.

Wiedzieliśmy, że możemy liczyć na naszych żołnierzy. AK i ludność cywilna tak głęboko nienawidziły Niemców, że zdawaliśmy sobie sprawę, że walka będzie zacięta i krwawa. Pomimo naszych dotychczasowych zawodów z Rosjanami byliśmy świadomi tego, że znajdowaliśmy się w wojnie z Niemcami, i że powinniśmy niszczyć ich armie w czasie odwrotu przez Polskę, gdyż była to nasza ostatnia ku temu okazja. Warszawa często odgrywała naczelną rolę w walce z najeźdźcą. W 1939 roku była widownią trzytygodniowego boju z Niemcami. Widzieliśmy, że Warszawa pozostanie wierna tej tradycji. Około 20 lipca w pełnym porozumieniu z wicepremierem (Janem Jankowskim — J.C.) Dowódca AK zdecydował — biorąc pod uwagę uderzenie sowieckie w kierunku Wisły — że w odpowiednim momencie podległe mu oddziały zaatakują Niemców i opanują stolicę. Decyzję tę zakomunikowano Londynowi²⁸.

Jedynie Naczelny Wódz i Rząd w Londynie mogli wydać rozkaz do powstania w Polsce. Niemniej Dowódca AK i Delegat Rządu uważali, że byli upoważnieni do wszczynania powstań lokalnych w miarę tego jak front się przetaczał przez Polskę. Będąc na miejscu lepiej mogli ocenić sytuację w strefie walki.

Zarówno Dowódca AK jak i Delegat Rządu bronili decyzji podjęcia walki o Warszawę.

Dwudziestego piątego lipca oddziały zostały zaalarmowane i poinformowane, iż w ciągu 20-tu godzin otrzymają rozkaz do walki. Zawiadomiliśmy Londyn, że wydanie rozkazu do walki zależało już tylko od rozwoju sytuacji bojowej na podejściach do Warszawy. Niemcy w Warszawie i okolicy posiadali duże siły, które składały się z 10.000 policjantów i żandarmów, 4.000 żołnierzy przebywających w pobliskich obozach ćwiczebnych, 10.000 lotników i artylerzystów z artylerii plot., 5.000 ludzi z batalionów wartowniczych i zakładów etapowych, 4.000 ludzi

28. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 266 i dalsze.

ze służb technicznych, 4.000 członków SA, policji kolejowej i fabrycznej i wreszcie z 3.000 żołnierzy z tzw. „Ostlegion” złożonego z byłych rosyjskich jeńców wojennych — Kozaków, Tataków, Kaukazyjczyków i Ukraińców. W sumie Niemcy mieli w Warszawie 40.000 dobrze wyposażonego i gotowego do walki żołnierza.

Niemieckiego przedmościa położonego na prawy brzegu Wisły, ufortyfikowanego w 1941 roku, broniły przed Rosjanami 73 dywizja piechoty, siły garnizonu warszawskiego, oraz *SS Panzer Division „Hermann Göring”*. Na południowo-wschód od Warszawy znajdowała się *SS Panzer-Division „Viking”*. Na średnicowej linii kolejowej kursował niemiecki pociąg pancerny.

Dwudziestego lipca przednie stráže sowieckie nawiązały styczność z południowo-wschodnią częścią niemieckiego przedmościa. Uderzenie rosyjskie z ich przyczółka u ujścia Pilicy w południowo-wschodnim kierunku zostało przez Niemców zatrzymane.

W okresie pomiędzy 25-28 lipca niemiecka administracja, biura, ważne fabryki i magazyny zaopatrzeniowe zostały nagle wyewakuowane z miasta. Niemieckie patrole w mieście wzmocnione. Czołgi pozajmowały stanowiska wzdłuż głównych arterii komunikacyjnych, ilość dział plot. na mostach i liniach kolejowych wyraźnie wzrosła. Artyleria, która miała wspierać niemiecką załogę przedmościa, zaczęła zajmować stanowiska na Pradze.

Dwudziestego dziewiątego lipca niemieckie władze cywilne powróciły do Warszawy i natychmiast oznajmiły, że miasto będzie bronione. Jednocześnie Niemcy zażądali 100.000 ludzi do robót fortyfikacyjnych. Ilość patroli niemieckich krążących po mieście jeszcze uległa zwiększeniu. Z godziny na godzinę Warszawa zaczęła przybierać wygląd miasta frontowego.

Trzydziestego lipca pierwsze czołgi sowieckie, wdarły się w południowo-wschodni obręb przedmościa niemieckiego i opanowały Grochów. Przez całą noc słychać było w mieście ogień dział i moździerzy, dochodzący ze wschodu i południa, i należało się spodziewać, że już wkrótce pociski artyleryjskie zaczną spadać na Pragę.

Na wschód od Pragi nasze oddziały wspierały atakujących Rosjan i zajęły szereg miejscowości podmiejskich: Otwock, Falenicę, Józefów i Wawer.

Trzydziestego pierwszego lipca Dowódca Okręgu Warszawskiego na podstawie meldunków otrzymanych od swoich patroli zameldował Dowódcy AK, iż czołgi sowieckie widziane były w Radzyminie położonym na północny-wschód od Warszawy. Było to dowodem, że walka toczyła się wzdłuż całego przedmościa, i że na południowym-wschodzie udało się go Rosjanom przełamać.

Tymczasem Niemcy wzmocnili środki ostrożności w całym mieście i zaczęli łapać ludzi na roboty. Wszystko to wskazywało, że szykowali się do branki ludzi do prac fortyfikacyjnych, i że w każdej chwili mogli ograniczyć ruch uliczny celem sparaliżowania wystąpienia AK.

W związku z rozwojem sytuacji w Warszawie i na przedmościu Dowódca AK, 31 lipca, o godz. 18.00 wyznaczył godzinę „W” na godzinę 17.00, 1 sierpnia”.

Wypowiedzi te mówią same za siebie i nie wymagają szerszych komentarzy. Pokazują jak generałowie Bór-Komorowski i Pełczyński widzieli sytuację w Warszawie pod koniec lipca 1944 roku i na jakich podstawach oparli decyzję rzucenia stolicy do walki. — J.C.

Opracował Jan M. CIECHANOWSKI

Jan OSTROWSKI

CZOŁÓWKA TEATRALNA BRYGADY KARPACKIEJ

Idea Teatru Żołnierskiego, tworzonego przez aktorów zawodowych, była żywa bodajże we wszystkich większych skupiskach żołnierzy polskich poza Krajem. Równolegle do inicjatywy realizowanej przez Józefa Bzowskiego na obszarze Rumunii, rozwijała się inicjatywa Wojciecha Wojteckiego na obszarze Węgier, do których schroniła się znaczna fala uchodźstwa wojkowego i cywilnego. I tu również, po otrząśnięciu się z ciężkich przeżyć wrześniowych, już w październiku 1939 roku powstała myśl zorganizowania teatru... Jak pisze autor wspomnienia o powstaniu tego teatru (Wojciech Wojtecki — J.O.) ogłoszonego w *Naszych Drogach* (nr 18 z 15. 10. 1941 r.), podpisujący się inicjałem „I”, „Teatr ten miał za zadanie żywym słowem, pieśnią polską i polską muzyką krzepić załamane dusze i zagrzewać wiarą w zwycięskie jutro”.

Zaledwie rozkazem z 2 kwietnia 1940 roku powołana została do życia Brygada Karpacka, jak już w czerwcu w Homs, na terenie Syrii, wyłoniła się w 1 pułku myśl zorganizowania tzw. Ognisk Żołnierskich. W ciągu kilku dni przygotowano skromny wieczór humoru, piosenki i słowa poetyckiego, który musiano powtórzyć kilka razy. Odbył się on w świetlicy pułkowej. Wkrótce potem zdołano jeszcze przygotować na większą skalę już zakrojoną rewię żołnierską pt. „Dla każdego coś ładnego”, która została wystawiona nie tylko w ramach pułku, lecz dla całej Brygady. Przystąpiono też niezwłocznie do przygotowania trzeciego widowiska. Niestety, na kilka dni przed terminem premiery nastąpił wyjazd Brygady z Syrii do Palestyny i w ten sposób, nie po raz ostatni, plany teatralne zakłócone zostały przez konieczności natury wojskowej. Już w ciągu tych przygotowań ochrzczono całą grupę wykonawców

„plutonem art.”, co dla wtajemniczonych znaczyło „pluton artystyczny”. Kierownictwo nad nim objął energiczny i ambitny młody aktor kpr. pdch. Hugon Piesch-Krzyski z 2. PSK, a poczynaniem „plutonu art.” patronował kpt. Stanisław Kaliński.

Po trzydniowym biwaku na pogranicznym lotnisku brytyjskim w Samakhu, nad jeziorem Genezaret, cała Brygada została przewieziona, dokładnie dnia 1 lipca 1940 do na przedce wybranego i przygotowanego obozu w Latrun, w pobliżu biblijnego Emmaus, nad samą drogą wiodącą z Tel-Awivu do Jerozolimy. Pomimo zaabsorbowania instalowaniem się na nowym miejscu pobytu i przystąpieniem do przeszkolenia z nowym uzbrojeniem i zaopatrzeniem, entuzjazm ożywiający ludzi z „plutonu art.” doprowadził do tego, iż można było przystąpić do przygotowań pierwszych imprez widowiskowych w Latrunie.

Pierwszą spośród nich było wielkie widowisko zainscenizowane pod gołym niebem, na wolnym powietrzu wewnątrz obozu według tekstów pióra ppłk. Feliksa Machnowskiego, a wyreżyserowane przez pchr. Hugona Piesch-Krzyskiego. Wziął bodaj w nim udział świeżo zorganizowany chór szeregowych Brygady, prowadzony przez strz. z cenz. mgr. Wiarosława Sandelewskiego z 2 PSK. Przedstawienie odbyło się w przeddzień Święta Żołnierza, a w dniu właściwym Święta, 16 sierpnia 1940 roku, w sali kina obozowego odbyło się widowisko pt. „Droga do Brygady”, pióra i układu Piesch-Krzyskiego. Był to montaż szeregu obrazów od przejścia granicy, poprzez poczekalnie konsulatów i przez komisje lekarskie, aż do ówczesnego miejsca postoju. Widownia była wypełniona do ostatniego miejsca i reakcja szczególnie żywa.

W ciągu sierpnia i września odbyły się już poza obozem pierwsze występy: 29 sierpnia 1940 roku w Radio jerozolimskim ze słuchowiskiem „Dzień Żołnierza od pobudki do capstrzyku” z udziałem chóru i solistów, potem powtórzony w obozie 18 września z udziałem orkiestry — i drugi koncert chóru i orkiestry pod kierownictwem por. Czesława Dembińskiego, przy współudziale doświadczonego dyrygenta st. sierż. Józefa Dągowskiego, urządzony dnia 29 września w sali Kina Moghrabi w Tel-Awiv, po raz drugi 1 października w sali YMCA w Jerozolimie, a częściowo również transmitowany przez Radio. Wszystkie to razem było jednak, jak dotychczas, namiastką prawdziwego teatru dramatycznego, o którym marzyło się znajdującym się w Brygadzie ludziom teatru.

O tym jak to marzenie nurtowało mówi tylko jedno pozostałe świadectwo, jeden ślad: na końcu nr. 12 z 6. 9. 1940 roku codziennego pisma BSK *Ku Wolnej Polsce* (którego dział infor-

macyjny prowadził J. Ostrowski-Naumoff) znalazło się następujące zawiadomienie: „Z życia obozu. Około 20 września br. obozowy Teatr Żołnierza wystąpi z premierą 4-aktowej komedii Aleksandra Fredry pt. 'Zemsta'”. I znowuż, przeniesienie Brygady w dn. 2 października 1940 roku do Egiptu, pod Aleksandrię, na dłuższy czas pokrzyżowało te plany.

Zanim na ziemi egipskiej teatr żołnierski mógł znowu dojść do głosu, odbywały się polskie audycje muzyczne przez Radio Kairskie i inne stacje egipskie ESB, w dniach 24 listopada 1940 roku i koncert w sali kina „Mohamed Ali” w Aleksandrii dnia 1 grudnia, z występem orkiestry, chóru i solistów. Na koncercie tym obecny był nie tylko gen. S. Kopański z oficerami BSK, ale również i zaproszony gubernator Aleksandrii M. Hussein Pasza, wyżsi wojskowi egipscy i angielscy, oraz konsulowie generalni grecki, brytyjski i amerykański.

Pierwsze widowisko teatralne odbyło się dnia 26 grudnia 1940 roku, w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia po południu w obozowej sali kinowej. Na pierwszą część programu złożył się obrazek jasełkowy pt. „Podnieś rączkę Boże Dziecię..” w wykonaniu chóru i solistów. W drugiej części, wyłącznie rozrywkowej, zapowiadał bardzo dowcipnie, à la Jarossy, pchr. Tadeusz Sowicki, poeta i dekorator, który wykonał też oprawę plastyczną do całego widowiska. W przedstawieniu tym wzięli m.in. udział, według programu: Madame Sandulescu (Wiarosław Sandelewski), Izydor Levini (Stanisław Urstein?), Tanczodo Duddani (Jerzy Żadejko?), maestro Feuersteinini (kpr. Juliusz Feuerstein). Teksty recytował pdch. Hugon Piesch-Krzyski, który przygotował i reżyserował całość.

Teatr Żołnierski SBSK, uformowany z części dotychczasowego zespołu i wzmocniony nowymi siłami, rozpoczął swój byt jako jedna z komórek Sekcji Kulturalno-Oświatowej w styczniu 1941 roku. Wówczas dowódca Brygady zezwolił na skoncentrowanie w tzw. plutonie dowodzenia przy Kwaterze Głównej Brygady kilkunastu żołnierzy-aktorów, pisarzy, muzyków i tancerzy. W ten sposób pogodzone zostały wymagania służby liniowej z pracą kulturalno-oświatową. W teatrze tym zgromadzono szereg sił fachowych, zasilanych w miarę potrzeby zdolnymi amatorami.

Nie od razu Kraków zbudowano. Zanim doszło do prawdziwego teatru, przystąpiono do urządzenia w dniu 25 stycznia 1941 roku „Akademii Styczniowej” w pięknie przystrojonej sali kina obozowego na 1000 miejsc. Celem było uczczenie 78-mej rocznicy powstania styczniowego. Był to też pierwszy występ publiczny Chóru Legii Oficerskiej pod batutą por. Nowaka. Na program Akademii złożył się m.in. wiersz strz. z cenz. Stanisława

Młodożeńca recytowany przez strz. z cenz. Wojciecha Wojteckiego-Wasilewskiego, przemówienie okolicznościowe Młodożeńca i odczytany przez kpr. pdch. Hugona Piesch-Krzyskiego fragment prozy Stefana Żeromskiego „Do swego Boga”. Wieczór zakończony został odśpiewaniem Hymnu Narodowego przez chór i orkiestrę. Pomysłowe dekoracje przygotował asp. Józef Jarema przy pomocy pdch. T. Sowickiego. Na akademii obecny był m.in. dowódca Brygady i goście angielscy.

Wreszcie ogłoszona została w Kronice Obozowej *Ku Wolnej Polsce* z 29. 1. 1941 (nr 23/132) zapowiedź premiery w dniu 1 lutego, 2-aktowej sztuki wojennej René Bertona „Światło w grobie”, w adaptacji scenicznej pdch. H. Piesch-Krzyskiego pt. „Nareszcie światło”. Obsadę sztuki stanowili: ppor. Tadeusz Wesołowski, plut. Edward Biegański, strz. z cenz. W. Wojtecki-Wasilewski, pdch. Tadeusz Sowicki (który również wykonał oprawę plastyczną sztuki) i kpr. pdch. H. Piesch-Krzyski, który również wyreżyserował sztukę. Równocześnie zapowiedziano, że następną sztuką będzie „Ich ośmiu i ona jedna” napisana przez W. Wojteckiego, z muzyką kompozycji Stanisława Ursteina. Obie te zapowiedzi tym razem zostały dotrzymane.

Przedstawienie odbyło się w sali kina obozowego, przed zwykłym seansem, nieco opóźnionym, i poprzedzone było koncertem orkiestry Brygady pod dyr. por. Czesława Dembińskiego.

Prawdziwie wielkim przeżyciem w życiu kulturalnym Brygady była druga sztuka, powstała całkowicie i całkowicie zrealizowana w Brygadzie. Autor „Ich ośmiu...” W. Wojtecki-Wasilewski był jednocześnie jej inscenizatorem i realizatorem. Premiera odbyła się dokładnie w dwa tygodnie po pierwszej sztuce (15 lutego 1941 roku). Do szczegółów dotyczących autorstwa należy jeszcze dodać, że oprawę dekoracyjną i tym razem przygotował Tadeusz Sowicki, kierownictwo muzyczne objął Juliusz Feuerstein, a choreografem który ułożył tańce był kpr. z cenz. Jerzy Żadejko, zdolny aktor i tancerz baletowy. Obsadę stanowili: St. Daniszewski (jako płk Laweta-Wąsalski), Polka z Kairu p. Zofia Dechaine (jego córka Lala), Józef Schneider (Ciotka Ksantypa), Józef Zymirski (Chor. Lufa Szeł), Stanisław Urstein (Kiepuński-strzelec), W. Wojtecki-Wasilewski (Subotek — strz. z cenz.), Hugon Piesch-Krzyski (Konstanty Rymek, strz.), Tadeusz Wesołowski (Zbysio Narcyz, strz.), Tadeusz Sowicki (Ultramaryna, strz.), Wojciech Masior (Motorek, strz.), Jerzy Żadejko (Drygałski, strz.) i Zenon Salamonowski (Tupałski, strz.).

„Oczom wierzyć się nie chciało — pisał recenzent w *Ku Wolnej Polsce* — co ta dwunastka, szumnie plutonem teatral-

nym zwana, potrafiła dokonać w ciągu zaledwie 10 dni pozostawionych jej na wystawienie tej sztuki, będącej całkowitym wytworem sił artystycznych Brygady. W tych dziesięciu dniach mieści się czas na napisanie przez autora, strz. z cenz. W. Wojteckiego-Wasilewskiego trzyaktowej sztuki w formie wodewilu, czy operetki, z eksperymentalnym rozwiązaniem trudności inscenizacyjnych na „trzech płaszczyznach scenicznych”... W tym samym czasie do akcji osnutej na tle życia obozowego, a ściślej mówiąc kłopotów plutonu teatralnego, muzykę dorobił strz. z cenz. Stanisław Urstein, a dekorator podch. Tadeusz Sowicki prostymi środkami stworzył doskonałą złudę krajobrazu gdzieś na Bliskim Wschodzie. („Fragment obozu z namiotami i willi pułkownika”). Nie całe pięć dni pozostało aktorom i reżyserowi (znów Wojtecki w podwójnej roli) na opanowanie ról i zmontowanie sprawnej całości w ciągu niespełna 4 (słownie: czterech) prób”.

Wznowienie tej „świetnej komedii muzycznej, odzwierciedlającej nasze życie żołnierskie na wesoło” — jak pisała zapowiedź przedstawienia na sobotę 22 lutego — miało się odbyć już w warunkach niemal normalnej widowni teatralnej. Może interesujące bowiem będzie zanotować jeszcze z tej zapowiedzi, że „przedsprzedaży biletów w pododdziałach nie będzie, natomiast będą czynne dwie kasy w dniu przedstawienia już o godz. 14-tej. Bilety w cenach zwykłych, tzn. 5 p. (piastów) oficerskie, 4 p. dla podoficerów i 3 p. dla strzelców. Chcąc zapewnić porządek na sali, wprowadzono miejsca ściśle numerowane. W dniu tym kino nie czynne”. Niestety w dwa dni później przedstawienie zostało odwołane i przełożone na piątek dnia 7 marca, o godz. 19-tej i powtórzone po raz trzeci następnego dnia. W roli Lali wystąpiła wówczas p. Maria Kijewska, żona majora.

Po kilku zapowiedziach, przypominających m.in. sylwetkę pisarską Jerzego Szaniawskiego jako członka Akademii Literatury Polskiej i autora „Papierowego kochanka”, „Żeglarza”, „Lekko-ducha”, „Mostu”, „Ewy”, „Adwokata i Róże”, „Fortepianu” i „Dziewczyny z lasu” — Teatr Żołnierski wystawił jego trzyaktową komedię pt. „Ptak”, który doczekał się jeszcze jednego wznowienia na scenie cywilnej. Sztukę tę wyreżyserował W. Wojtecki, oprawę plastyczną przygotował T. Sowicki, ilustrację muzyczną do III aktu opracował i wykonał J. Feuerstein, z towarzyszeniem orkiestry. Obsadę stanowili: p. Maria Kijewska (Burmistrzanka), Ałła Kol-de-Kol (10-cioletnia Marysia), W. Wojtecki-Wasilewski (Student), Kazimierz Różański (Burmistrz), S. Urstein (Radca Anzelm), T. Wesołowski (Radca Sebastian), Zenon Salamonowski (Radca Sylwester), J. Zadejko (Radca Eustachy), T. Sowicki (Woźny), H. Piesch-Krzycki (Sekre-

tarz), Wojciech Masior (Wynalazca), Zbigniew Drzewiński (Michałko).

Premiera odbyła się w niedzielę 23 marca 1941 roku i powtórzona od razu następnego dnia. Nie mniej sztuka ta nie utrzymała się dłużej na afiszu, była zapewne za trudna dla przeciętnego widza z żołnierskiej widowni. Zdołano więc tylko wystawić fragmenty nowonapisanej sztuki, z racji rocznicy istnienia Brygady i wznowić jeszcze raz „Ich ośmiu i ona jedna” w dniu 5 kwietnia 1941 roku, po raz ostatni.

Nowonapisaną sztuką był „Lajkonik w Piramidach”, pióra poety Stanisława Młodożeńca i Józefa Jaremy — artysty malarza, wystawiony przez nich po społu i w wykonaniu zespołu Teatru Żołnierskiego. Tekst tej sztuki został nadesłany w odpowiedzi na apel organizatorów, którym chodziło o należyte uczczenie rocznicy istnienia Brygady. Niestety w całości sztuka ta nigdy nie została wystawiona. Pokazano z niej tylko 4 fragmenty na Akademii, urządzonej pod hasłem „Marsz, Marsz, Brygado Karpacka” w Kinie Brygady, w dniu 2 kwietnia 1941 roku i powtórzonej 3 kwietnia. Po przemówieniu ppor. S. Pleszczyńskiego dano fragmenty zatytułowane: „Prolog, Rozstanie, Chrzciny, Nowe latko”. Kwestia Marysi z III aktu, scena I — ogłoszona została w *Ku Wolnej Polsce* (nr 79/186, 2. 4. 1941).

Na tym zakończył się pierwszy etap ożywionej działalności Teatru Żołnierskiego Brygady. Dalsza jego działalność została przerwana przygotowaniami do zamierzonego desantu w Grecji, który później odwołano. Dopiero w rok potem teatr miał znów sposobność do wystawienia jakiejś sztuki. Nie znaczy to jednak, aby w tym czasie poszczególni jego członkowie nie występowali w okolicznościowych widowiskach, jak np. w 150-tą rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, z udziałem W. Wojteckiego, H. Piesch-Krzyskiego i in. (dnia 3 Maja 1941 r.). Brak polskiego słowa ze sceny został częściowo wyrównany przez częstsze wyświetlanie w Kinie Obozowym dawnych przedwojennych filmów polskich, których taśmy znajdowały się w Palestynie.

O szczególnym nastroju panującym w tzw. plutonie teatralnym zachowała się wzmianka w artykule Jana Walewskiego pt. „W siedzibie Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich” (w *Nasze Drogi*, nr 4 i 5 z 2. 4. 1941):

„Odwiedziłem artystów Teatru Żołnierskiego w ich siedzibie. Cieszą się oni szczerą sympatią Brygady. Prowadzą ten teatr z dużą rutyną, z wielkim umiłowaniem i poświęceniem. Sami piszą sztuki, sami komponują muzykę, sami robią dekoracje (z czego... to pozostaje dla mnie do dzisiejszego dnia tajemnicą). Przedstawienia cieszą się niebywałą frekwencją... Ze swego miesz-

kania uczynili artyści coś w rodzaju Jamy Michalikowej, pełnej humoru, sentymentem przeplatanej...”.

Komedia żołnierska „Ich ośmiu i ona jedna” doczekała się transmisji fragmentów przez Radio Kairskie w dniu 25 maja 1941 roku, podczas gdy pierwsza polska 15-minutowa audycja w tym Radiu odbyła się dnia 15 maja 1941 roku. Tam też na jakiś czas przeniosła się działalność zespołu teatralnego żołnierskiego, jak o tym świadczy m.in. audycja z 8 czerwca pt. „Hallo, tu Radio Warszawa”, pióra W. Wojteckiego, a też wesoła audycja „Mikrofon wśród żołnierzy” z 15 czerwca 1941 roku, albo „Wisłą do Gdańska” z 29 czerwca 1941 roku. Potem zespół żołnierski wziął udział w *tournee* artystycznym w dn. 27 i 28 czerwca 1941 roku do Ismaili i okolic wraz z zespołem p. Jahieli Barker, która niejednokrotnie współdziałała z polskim zespołem w jego przedstawieniach.

Z okazji rocznicy bitwy pod Grunwaldem dn. 16 lipca, czołówka teatralna, utworzona z części zespołu Teatru Żołnierskiego wzmocnionego w czerwcu przez udział w niej Mariana Hemara i Pawła Prokopieniego, odegrała w niedzielę 13 lipca 1941 słuchowisko pióra St. Młodożeńca pt. „Bitwa pod Grunwaldem”. Kolejnym słuchowiskiem był „Polonez”, ze współudziałem pianistki egipskiej i w dn. 6 lipca 1941 „Sztajerek Bombowy”, włączony następnie do rewii „Ich Pięciu, Prokopieni i pies”, którą Czołówka przygotowała na 24 lipca 1941. Rewia ta była powtarzana codziennie aż do środy 30 lipca 1941. O rewii tej „Iks” napisał m.in. „Świetna rewia. Od prologu do epilogu nic dodać, nic ująć. Wszystkiego pod dostatkiem i wszystko w dobrym gatunku... Nareszcie mamy teatr i dotarł do nas, aż na pustynię...” (w *Ku Wolnej Polsce*, r. II, nr 185/291, 4. 8. 1941). Dnia 3 sierpnia) rewia ta nadana została przez radio, a dnia 10 sierpnia nadano kolejną audycję w wykonaniu czołówki teatralnej pt. „Podwieczorek przy Mikrofonie” (Rewia „Artyści, artyści...”).

Na dzień 14 sierpnia przypadła premiera nowej rewii pt. „Gabinet figur woskowych”. Następną audycja, we współpracy z kwartetem Chóru Oficerskiego, pod tytułem: „To jest to V — jak Victory” odbyła się w piątek 22 sierpnia 1941 roku. Podniętę do tytułu dała piosenka ze słowami polskimi i angielskimi i muzyką napisaną przez strz. z cenz. Mariana Hemara. Następną rewia miała tytuł „Bar radiowy”, a już we wtorek 26 sierpnia Czołówka bawiła w Legii Oficerskiej z Szopką polityczną pt. „Gabinet Figur Woskowych”, a w dwa dni później — w Ośrodku Zapasowym (w Sidi Bishr) i w Szpitalu Wojskowym. W drugą rocznicę ostatniego dnia pokoju nadano słucho-

wisko pt. „31-szego sierpnia”. Dnia 7 września — „Braterstwo Broni — na co dzień”, według Felietonu M. Hemara. Od dn. 24 sierpnia 1941 nastąpiła inauguracja codziennych żołnierskich audycji radiowych z udziałem czołówki teatralnej.

W dniu 9 października czołówka teatralna występowała w jednym ze szpitali wojskowych w Kairze. Program transmitowany był przez miejscowe radio. W następnej audycji znajdowały się już głosy żołnierzy z Tobruku, z głosem gen. S. Kopańskiego na czele. Nowa rewia wystawiona była w Legii Oficerskiej, w dniu 17 października pt. „Pamiętaj o tym wnuku...”. Następny występ dla Legii odbył się 8 listopada. Wiadomości o występach stają się coraz rzadsze. Dnia 11 stycznia 1942 roku Czołówka Teatralna wystąpiła z rewią „Nie bójmy się śmiechu” w Kairze, dla oficerów i szeregowych Dowództwa W.P. na Środkowym Wschodzie. Było to już po wyjeździe Mariana Hemara do Londynu, który nastąpił 28 grudnia 1941 roku.

Powodzenie, jakim cieszyła się Czołówka, zachęciło ją do wystawienia raz jeszcze komedii „Ich ośmiu...”, tym razem w Collège des Frères w Kairze w dniu 18 stycznia 1942. Jak pisze zachowana notatka: „Na widowni, oprócz oficerów, żołnierzy i cywilnej ludności polskiej i miejscowej, znajdowało się też wielu wyższych oficerów brytyjskich, którzy — jak sami to twierdzili — choć nie rozumieli tekstu, to jednak dzięki wyrazistej grze aktorów, tańcom i melodyjnym piosenkom, bawili się doskonale”.

Następne przedstawienie nowej rewii miało się odbyć w I-szym Pułku Ułanów Karpackich, nie mniej zachowała się tylko notatka o występie w szpitalu angielskim w Kairze, na którym obecny był m.in. ambasador brytyjski Sir M. Lampson z małżonką, wielu wyższych oficerów brytyjskich i dyrektor radia kairskiego p. Ferguson. Wzmianka zaznacza w końcu, że „Niezależnie od pracy artystycznej w oddziałach polskich, Czołówka występuje również w obozach wojsk sprzymierzonych” (w *Ku Wolnej Polsce*, r. III, nr 5/382, 8. 2. 1942). I istotnie, 1 lutego Czołówka odwiedziła Ismailię i wystąpiła w koncercie zorganizowanym dla miejscowej kolonii angielskiej i francuskiej. Dwa dni później zaś dała w Ośrodku Zapasowym W.P.S.W. przedstawienie rewii pt. „Do góry kciuk”, w której gościnny udział wzięła p. Maria Ki-jewska i dwie członkinie angielskiego zespołu p. Barker-Imogen i Lilian.

W tym okresie niewątpliwie największą popularnością cieszył się fragment prologu rewii pióra Mariana Hemara, przygotowanej dla obrońców Tobruku, której tekst ogłoszony był w *Naszych Drogach*, w nr 20 z 15. 11. 1941 r.:

PAMIĘTAJ O TYM WNUKU, ŻE DZIADZIO
BYŁ W TOBRUKU!

*Kiedys gdy z tej wojny wrócę —
Za jakichś kilkadziesiąt lat —
Plecak złożę, buty rzucę
I siądę sobie — bardzo rad.
Wnuków zbierze się gromadka
U stóp — i wnet szczebiotem swym
o bajkę będą prosić dziadka.
A cóż ja wtedy powiem im?
Pamiętaj o tym wnuku,
Że dziadzio był w Tobruku
I myślał sobie — oj niedobrze, oj niedobrze,
oj niedobrze*

*Coś za dużo huku.
Szumiało morze w blasku,
Błyszczało morze w trzasku.
A dziadzio myślał: co tu tyle
Nasypali, nasypali, nasypali piasku.
Wnuki się pytają kołem:
Po coś, dziadziu, wziął się tam?
Po co się w Tobruku wziąłem?
Prawdę mówiąc — nie wiem sam.
Czy dla wprawy, czy dla hecy —
Czy żeby lepszą kontrol mieć —
Posadzili nas w fortecy.
Tutaj — powiedzieli — siedź.
(Prozą na tle przygrywki: A przepustki dawali
— owszem dawali przepustki na patrol!)*
*Pamiętaj o tym wnuku —
Że dziadzio był w Tobruku
I myślał sobie różne rzeczy, różne rzeczy,
różne rzeczy*

*Raczej nie do druku.
Ażeby człek zmysłowy
Nie czuł się zbyt nerwowy —
Dostawał takie witaminy, witaminy — że jak
jak zjadł, nie było więcej mowy...*

Ze sprawozdania złożonego przez mjr. dr. Mieczysława Młotkę, kierownika Referatu Oświatowo-Kulturalnego, za okres od 1 stycznia 1941 do 1 lutego 1942 roku dowiadujemy się, że

w tym czasie Czołówka Rewiowa odbyła 46 własnych występów i wzięła udział w kilkudziesięciu przedstawieniach wraz z zespołem p. Jahieli Barker, w skład którego — według zapisków mjr. Młotka — wchodziły pp.: Margarita i Marianna Jenner, Lilian Halpern, Gina Bachauer, Imogen Holmes i Vivian Barki.

Z nowym programem Czołówka Teatralna wystąpiła dnia 6 kwietnia na scenie dekheilskiej sali kinowej w mp. Brygady. Rewia miała tytuł „Magduś, moja Magduś”. Był to program dany bezpośrednio po poprzedniej rewii pt. „Do góry kciuk”. Tu, nawiasem należy stwierdzić dziwną zbieżność w tytułach programów naszych czołówek wojskowych, gdyż przeszło o rok wcześniej „Iwowska Fala” wystawiła 9 stycznia 1941 roku rewię w Lechgelly o tym samym tytule: „Do góry kciuk” — jakże daleko od Dekheili! „Magduś, moja Magduś” była wykonana przez dziewięcioosobowy zespół już bez Mariana Hemara, ale za to z p. Marią Kijewską, złożony nadto z W. Wojteckiego, H. Piesch-Krzyńskiego, J. Żadejki, S. Ursteina, J. Feuersteina i Zenona Salamonowskiego, oraz dwu tancerek z zespołu p. Jahieli Barker: Lilian Halpern i Claude.

Na podstawie recenzji podpisanej „Z” (Z. Salamonowski lub W. Sandalewski — J.O.) można odtworzyć program, względnie i obsadę: „Teatr na rozkaz” — skecz (zespół); „Dance Hindu”, „Stardust”, „Sympathy” — tańce (Lilian i Claude); „Piosenka nieaktualna” — komp. J. Feuersteina i „Caton” — walc z opery „Casanova” (p. Maria Kijewska); „Pan Podchorąży” (Maria Kijewska, Stanisław Urstein i Hugon Piesch-Krzyński); „Kujawiak” i „Góralski” — tańce (J. Żadejko i Z. Salamonowski, oraz Lilian i Claude); „Czerwone jabłuszko, przekrojone na krzyż” — piosenka po polsku (Lilian i Claude); „Expectation” — muz. J. Feuersteina; „Ballada o Starym Johnie” (H. Piesch-Krzyński); „Piecyk” — według Wiecha (J. Żadejko); „Plotka” — skecz (Zespół); „Lunatyczka” — skecz (Zespół); „Z Fackiewiczów Kufkowa” — W. Tetmajera i „Koszmarna Pani” — W. Wojteckiego (W. Wojtecki); „Aria z Kurantem” ze „Strasznego Dworu” — S. Moniuszki (M. Kijewska); „Noc w Rio” — scena zespołowa z J. Feuersteinem na akordeonie! „V jak Victory” i „Magduś” — finał (Zespół) przy akomp. J. Feuersteina.

Brygada w tym czasie przeniosła się z powrotem z Egiptu do Palestyny, skąd — po stosunkowo już niedługim pobycie — udała się wraz z resztą sformowanych tu oddziałów Armii Polskiej na Wschodzie, w skład której zresztą weszły wojska przybyłe z Rosji — do Iraku. Moment pożegnania z Aleksandrią, położoną najbliżej od miejsca postoju Brygady w Egipcie, utrwalił Bogdan Znowski w swym felietonie pt. „Good Bye, Alexandria...”

(w *Ku Wolnej Polsce*, Rok III, nr 20/397, 31.5.1942). Pożegnaniu Czołówki Teatralnej przez zespół Pań z Concert Party p. Barker poświęcona była jeszcze inna wzmianka, w której czytamy m.in.:

„Zegnął [one] swoich partnerów z Czołówki Teatralnej WP. Byliśmy naprawdę wzruszeni; przyszły się pożegnać i to nie tylko „te uczące się przy nas po polsku, te wykwalifikowane Kujawianki — *made in Alexandria*, te śpiewające „Czerwone Jabłuszko”, ale i inne, współpracujące z nami w angielskich, propagujących Polskę występach. Lilian zwilgotniały oczy, Claude jest też niewyraźna. Jeszcze minuta, jeszcze pół... Pociąg rusza. Ostatnie łamane „do widzenia” i potem długo białe chusteczki w jeszcze bielszych rękach naszych Misses... zostaje tylko dworzec, gubią się powiewające chusteczki... 149 występów dla Anglików — oto jeden z wycinków pracy propagandowo-artystycznej na terenie Egiptu. A dziś — Palestyna. Nowe mp. Za ledwie miesiąc upłynął, a już można by operować suchym wykazem cyfr, zamykających w sobie przedstawienia we wszystkich obozach żołnierzy, przybyłych z Rosji... Cyfry, cyfry... a przecież tu nie o liczbę, a raczej o jakość chodzi. Cyfry są zanotowane po prostu dla ewidencji, dla porządku, a o tym drugim mówiły brawa żołnierskiej widowni, żołnierskie naprzemian roześmiane czy wzruszone oczy, opinie ich dowódców i te gromkie okrzyki na cześć Karpackiej Brygady, które po każdym niemal rozległy się przedstawieniu, a które dla Brygady odbieraliśmy my, by je z kolei pod właściwym przekazać adresem... Tajemnica wojskowa nie pozwala wymieniać nazwisk, obozów, ani niczego ze skomplikowanej nomenklatury wojskowej, ale pozwala powiedzieć, że Czołówka Teatralna Sekcji Oświaty i Kultury Dłwa WPSW stara się i na nowym mp. sprostać zadaniom, jakie na nią włożono” (H. Piesch-Krzyski — J.O., z *Ku Wolnej Polsce*, Rok III, nr 22/3999, 14.6.1942).

Skoro mowa była o cyfrach, to oprócz już podanych, można jeszcze wymienić i inne cyfry, dotyczące ubiegłego okresu, zaczerpnięte z nieautoryzowanego wykazu, zachowanego z tych czasów w rękach J. Ostrowskiego:

„Z działalności Czołówki Teatralnej Sekcji Propagandy, Oświaty i Kultury Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie. Bilans dotychczasowych prac Czołówki da się ująć w trzech zasadniczych punktach: 1. Imprezy teatralne, 2. Radio, 3. Współpraca z zespołem p. Barker. Imprezy teatralne: Jedenaście wieczorów pełnospektaklowych, w tym sztuki i komedie: „Nareszcie światło” (1 raz), „Ich ośmiu i ona jedna” (6 razy), „Ptak” (2 razy), „Lajkonik w Piramidach” (2 razy) — Akademie w rocz-

nicę Powstania Styczniowego i 3-go Maja (2 i 3 powtórzenia, w sumie 5 wieczorów), objazdy po pustyni z programem rewium, ogółem 20 przedstawień i 5 w Aleksandrii, m.in. w szpitalu polskim. Imprezy teatralne miały miejsce od stycznia do kwietnia 1941 — objazdy: lipiec, sierpień, wrzesień.

Radio: Od 20 maja br. (1941 — J.O.) do 11. 11. br. (1941 — J.O.) 32 audycje półgodzinne we czwartki i niedziele o programie okolicznościowym, muzycznym lub wesołym. Poza tym 5 audycji po 10 minut nadanych z Kairu i od września stale 10-minutowe audycje codzienne literackie, muzyczne i propagandowe.

Współpraca z p. Barker: Około 40 występów taneczno-wokalnych i muzycznych (w kostiumach narodowych) wraz z zespołem pań angielskich, dla wojsk imperialnych w ich obozach w Aleksandrii, w okolicy i w Ismailii. Zespół Czołówki składa się z 8 osób w tym: 1. kpr. pdch. Hugon Piesch-Krzyski, jako kierownik Czołówki, w cywilu artysta dramatyczny — Teatr Polski w Poznaniu.

2. st. strz. z cenz. Wojciech Wojtecki-Wasilewski, w cywilu artysta dramatyczny i reżyser — Teatr Polski w Warszawie.

3. strz. z cenz. Marian Hemar, kierownik literacki i radiowy, w cywilu znany literat, autor sceniczny i kompozytor warszawski.

4. strz. z cenz. Stanisław Urstein — w cywilu pianista i artysta-śpiewak, zatrudniony w Operze Warszawskiej w charakterze korepetytora.

5. strz. Paweł Prokopieni — artysta-śpiewak.

6. kpr. Juliusz Feuerstein — artysta, muzyk i kompozytor.

7. kpr. z cenz. Jerzy Żadejko — artysta baletu Opery Warszawskiej.

8. kpr. Zenon Salamonowski — artysta baletu.

Autorstwo tego zestawienia dałoby się zidentyfikować dzięki dopiskom dokonanym piórem ręcznie. Przypuszczalnie pochodzą od Piesch-Krzyskiego, przy którego nazwisku w tekście maszynowym słowo w cudzysłowie, „szef”, zastąpione zostało przez „kierownik”. On to bowiem ogłosił dużo później swe wspomnienia, już tutaj cytowane, w *Pamiętniku Teatralnym* (Instytut Sztuki PAN, Rok XII, Warszawa, 1963, zeszyt 1-4 (45-48) pt. „O teatrze wojskowym na Bliskim Wschodzie i we Włoszech”.

Pierwszy występ niejako publiczny Czołówka Teatralna urządziła w miejscowości Rehovot (w Palestynie) z bogatym programem widowiskowym, zatytułowanym „Do góry kciuk” — jak podaje wzmianka w Kronice WPSW (w *Ku Wolnej Polsce*, Rok

III, nr 26/403, 12. 7. 1942). Występ, na który złożyły się piosenki, tańce, skecze i recytacje, spotkał się z gorącym przyjęciem licznie zgromadzonych żołnierzy i członków miejscowej kolonii. Na przedstawieniu obecny był Dowódca WPSW gen. Zając. Było to niejako wznowienie przedostatniego programu z Egiptu.

W tym samym mniej więcej czasie odbył się inny występ — jak czytamy dalej w przytoczonym numerze *Ku Wolnej Polsce*, pt. „Piękna nasza Polska cała”.

„Pod takim tytułem zaprezentowała 'Pomocnicza Służba Kobiet' w Rehovot widowisko regionalne w wykonaniu zespołu amatorskiego 'ochotniczek' przybyłych z Rosji. Odbyło się ono w pięknie udekorowanej sali przed liczным audytorium z Dowódcą WPSW gen. Zającem na czele. Przed oczami widzów przesunęły się barwne stroje regionalne, popłynęły pieśni z Krakowskiego, Śląska, Polesia, ziemi kurpiowskiej i wileńsko-nowogrodzkiej. Przed każdą scenką odtworzono opis danych połaci naszego kraju, po czym, przy dźwiękach piosenek ludowych w wykonaniu dobrze zgranego chóru ochotniczek, tańczono tańce regionalne. Kujawiak, tańczony pod takt popularnej piosenki „Czerwone Jabłuszko” wywołał prawdziwy — winno być: gorący — aplauz widzowi, a entuzjazm doszedł do szczytu, gdy na scenę wyszły cztery pary i z niespotykaną werwą i wdziękiem odtńczyły mazura. Na zakończenie wieczoru z setek piersi popłynęły słowa „Roty” Marii Konopnickiej... Bez żadnej pomocy z zewnątrz, własnym staraniem, bez odpowiednich akcesoriów, własnymi rękami szyjąc barwne kostiumy, dzielne ochotniczki zaprezentowały widowisko, które na prawdziwe słowa pochwały zasługuje... Trudno kogokolwiek wyróżnić spośród artystek-amatorów...”.

Powoli nawiązywała się współpraca między zespołami Czołówek przybyłych z Rosji i Czołówką z Brygady Karpackiej. W niedzielę 26 lipca 1942 roku odbył się w ogródku kawiarni „Europa” w Jerozolimie występ połączonych zespołów artystów-żołnierzy, z którego dochód przeznaczony był na cele kulturalne polskich drużyn junackich. Program i obsada tego widowiska dają się odtworzyć na podstawie recenzji „On” (Jan Ostrowski) w *Ku Wolnej Polsce*, Rok III, nr 29/406, 2. 8. 1942) w sposób następujący:

„Przy dyskretnym *black-out*'cie, na zaimprovizowanej scenie... program był urozmaicony i dobrze wykonany. Wypełniająca do ostatniego miejsca widownię publiczność oklaskami dawała wyraz swemu zadowoleniu z poszczególnych utworów rewiowych, które składały się na widowisko... Na widowni nie brakło wybitnych gości zagranicznych... Całe widowisko wykazało, że

istnieje niezwykle zainteresowanie sztuką artystów-żołnierzy polskich... A program?: Etiuda Chopina (Henryk Gold — skrzypce) z towarzyszeniem 9-osobowego zespołu orkiestralnego, „Kujawiaki” (Zespół orkiestralny), „Piosenki ludowe” (J. Feuerstein-Krzemieński i Mieczysław Buchner — harmonie), „Valse-Françoise” i „Odejdź Jasiu od okienka” (Janina Jasińska), „Polacy, do broni” — pieśń z muz. Edmunda Grodzkiego (Adam Aston), „Piosenki żołnierskie” (Chór Rewelersów), „Pieśni angielskie” (Maria Kijewska), „Żołnierskie Tango Lwowskie” i „Dla Ciebie mam...” (Józef Bielawski), „Tańce Góralskie” i „Kujawiaki” (J. Zadejko i Z. Salamonowski), „Zaloty” (Ciż i M. Kijewska), Konferansjerka (Kazimierz Krukowski), barwny plakat (Edward Matuszczak)”.

Po tym wspólnym występie Czołówka Karpacka przygotowała jeszcze jeden, siódmy z kolei, program pt. „Skreślone przez cenzurę”, i wykonała go własnymi siłami, wzmocnionymi przez przybyłą z Rosji Weronikę Ignatowicz i „miejscową” siłę w osobie Heleny Kitajewicz. Brak kobiet w zespole Brygady Karpackiej był zawsze „słabą” jego stroną.

Jeden z występów odbył się w G... (Gederze? — J.O.) zapewne w pierwszej połowie sierpnia 1942, jak można sądzić z recenzji „b” (Zdzisława Broncla — J.O.), ogłoszonej w *Ku Wolnej Polsce* (Rok III, nr 31/408, 16. 8. 1942).

Następny wspólny występ Czołówek odbył się w Tel-Avivie zapewne w drugiej połowie sierpnia 1942 roku w sali widowiskowej „Ohelu”, gdzie zwykły się odbywać koncerty Filharmonii Palestyńskiej. Recenzent „On” (Jan Ostrowski) pisał w *Ku Wolnej Polsce*, Rok III, nr 32/409, 23. 8. 1942:

„...Duch muzyki przepoił... występ żołnierski, na którego program złożyły się przede wszystkim dobrane utwory muzyczno-humorystyczne spośród najlepszych, jakimi rozporządzały wszystkie czołówki WPSW, skupione obecnie w Samodzielnym Referacie Oświaty i Kultury. Wieczór mógł więc dogodzić gustom widowni złożonej z elity miejscowego społeczeństwa i przedstawicieli władz wojskowych z gen. G. Paszkiewiczem na czele. Widzowie z Jerozolimy — bo i takich nie brakowało — utrzymywali kategorycznie, że przedstawienie w Tel-Avivie było bardziej udane od poprzedniego...”.

Kolejnym zbiorowym występem Czołówek ze wspólnym programem był wieczór w sali „Beit Haam” w Rehowocie, który odbył się 3 września 1942, po czym nastąpiły ponowne występy w Tel-Avivie i Jerozolimie. Wobec tego, że program tych przedstawień „miał charakter przeglądu całości dotychczasowego dorobku — była to prezentacja wybranych numerów trzech czołó-

wek” — sprawozdawca „b” (Zdzisław Broncel) nie powrócił do ich poszczególnego omawiania, lecz przeszedł do ogólnych rozważań na temat „zatroszczenia się o jeszcze wyższy poziom artystyczny”, pisząc m.in.: „Teatry żołnierskie są dziś jedynymi czynnymi teatrami polskimi, jedyną żywą sceną polską, jedyną żywą szkołą aktorów. (Dopiero po ukazaniu się *Pamiętnika Teatralnego* za rok 1963 wiadomo w pełni, jak było rzeczywiście — przyp. J.O.). Nie jest ich zbyt wiele. Trochę w Szkocji — i tu u nas. Może jeszcze gra w Ameryce dawny zespół Ziemiańskiego z Rumunii, ale trzeba postawić przy tym duży znak zapytania. To wszystko, co w czasie wojny dziedziczy i reprezentuje nasze tradycje teatralne. A warto chyba mieć ambicje ich podtrzymywania. Czy nie zbyt górny ton? Czy nie zbyt wielkie wymagania wobec bezpretensjonalnej żołnierskiej rewii? Myślę, że nie. I zdaje mi się, że właśnie wyrazem sympatii wobec czołówek będzie odrzucenie pewnej życzliwej pobłażliwości w stosunku do różnych niedociągnięć, bo w ślad za zwiększeniem wymagań pójdzie na pewno — znając ambicje i zdolności naszych kolegów-aktorów — dalszy ich rozwój. Czołówka teatralna wychowuje artystów i widzów. Oby nawet wychowywała autorów! W tej dziwnej wojnie, w tej szczególnej sytuacji, w jakiej znajdujemy się jako państwo, tak się składa, że wojsko (i dobrze, bo z tego zbliżenia zostaną dobre skutki na przyszłość) musi interesować się również sprawami dawniej bardzo cywilnymi. Wojskowe referaty oświatowo-kulturalne stają się dziś jak gdyby Ministerstwem Sztuki, które mieliśmy swego czasu... Występy są rzetelną pracą — wojsko daje cywilnym uchodźcom polski teatr, a wobec obcych przedstawia naszą kulturę. Czy by do tego nie dodać przygotowania specjalnego programu angielsko-polskiego, z którym by czołówki... odwiedziły obozy angielskie?”. (Pomysł ten był już realizowany w Iranie i Egipcie — przyp. J.O.). Powyższe sprawozdanie „b” było zamieszczone w *Ku Wolnej Polsce*, rok III, nr 35/412, 13. 9. 1942.

W początkach września 1942 roku dokonywało się połączenie Samodzielnej Brygady Karpackiej, podlegającej Dowództwu Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie z gen. Józefem Zającem na czele, z przybyłą z Rosji Sowieckiej Armią Polską na Wschodzie. Wkrótce potem dopełniło się połączenie Czołówek Teatralnych i zmiany w przydziałach poszczególnych artystów. Wojciech Wojtecki odkomenderowany został do Czołówek Radiowej w Kairze, Hugo Piesch-Krzyski, po etapie pustynnym w Iraku — do Teatru Dramatycznego 2-go Korpusu w Bagdadzie, dokąd również, nieco później, skierowano i Ludwika Lawińskiego.

Tymczasem odbyły się jeszcze dwa występy wspólne, zgodnie z zapowiedzią, w Tel-Aviv i w Jerozolimie, a nadto jeden — w Haifie.

Po formalnym połączeniu, aktem z 3 maja 1942 roku, Brygady Karpackiej z Armią Polską na Wschodzie, nastąpił przejazd Czołówki Karpackiej z Egiptu do Palestyny i odtąd datuje się stopniowe zatracanie przez nią swej niezależnej indywidualności i coraz ściślejsza współpraca jej zespołu z innymi Czołówkami, przybywającymi ze Wschodu. Zespolenie się Czołówek Rewiowych nastąpiło w drugiej połowie 1942 roku na obszarze Palestyny. Zespolenie się pisma Brygady Karpackiej *Ku Wolnej Polsce* z organem Armii Polskiej na Wschodzie *Ortem Białym* — nastąpiło w Bagdadzie, na terenie Iraku, pod koniec 1942 roku. Jeśli idzie jednak o ogólną tendencję, jakiej ulegał teatr żołnierski, bez względu na miejsce jego pobytu i warunki pracy, to zmierzała ona wszędzie w tym samym kierunku: ku dopełnieniu zespołów rewiowych zespołem, czy zespołami teatru dramatycznego. W ramach Armii Polskiej na Wschodzie tendencje w tym kierunku znalazły wyraz podczas przygotowań do stworzenia Teatru Dramatycznego — później 2-go Korpusu — w Bagdadzie, w pierwszej połowie 1943 roku. W ramach Samodzielnej Brygady Karpackiej, która miała już za sobą początki takiego teatru, idea ta znowu zaczęła się domagać wskrzeszenia, lub nowej realizacji, już w drugiej połowie 1942 roku. Wyrazem tego były przede wszystkim rozważania, jakie „Z. B.” (Zdzisław Broncel — przyp. J. O.) ogłosił w *Ku Wolnej Polsce*, rok III, nr 40/417, 18. 10. 1942 pt. „Melpomena pod Palmami”, w chwili faktycznego scallania się i przegrupowywania wszystkich dotychczasowych sił teatru żołnierskiego: „... Masowy napływ żołnierzy z Rosji, utworzenie Armii Polskiej na Wschodzie, rodzi bardzo rozległe potrzeby kulturalne, ponieważ zaś żywe słowo, połączone z gestem, ma zawsze przewagę i nad słowem pisanym (prasa), i nad słowem mówionym (radio), więc przede wszystkim przed teatrem żołnierskim stoją najpoważniejsze zadania propagandowe, wychowawczo-informacyjne i kulturalne... Żołnierz polski przybyły z Rosji nie potrzebuje wprawdzie propagandy dodającej mu ducha bojowego, ale za to przydatna będzie propaganda o charakterze informacyjnym, wprowadzająca w nastrój wojska na Wschodzie hasła o ileż pogodniejsze, o ileż trzeźwiejsze, wypełnione — w miejsce bohaterskiej wiary — rzeczowym optymizmem... Takie przesunięcie torów psychicznych wymaga głęboko sięgającej, a delikatnie prowadzonej, bez moralizatorstwa, akcji wychowawczej. I tu teatr jest niezastąpiony... Szeregi aktorstwa polskiego przerzedzają się katastrofalnie. Zręby organizacyjne teatru w Pol-

sce zostały rozbite. W tych warunkach teatr żołnierza pozostaje i jedyną szkołą dramatyczną, i jedynym polem dla autora dramatycznego. A wreszcie nie jest obojętne, czy do Kraju, wytrzebionego z artystycznego życia, wracające w glorii zwycięstwa wojsko będzie tak samo, jak tamci, masą zdewastowaną kulturalnie. Pierwszym praktycznym warunkiem pożytku teatru dla żołnierzy jest dostępność — w czasie i przestrzeni — jego przedstawień. Widowiska muszą być częste, nabierać charakteru stałej rozrywki, doprowadzać do zżycia się wojska ze swoją sceną. Gdy nadejdzie czas, teatr musi docierać i na front, pokazać się w niebezpieczeństwie obok żołnierza, być tym, czym dawniej orkiestra przegrywająca do ataku. Takie zadania z góry narzucają system teatru objazdowego, podzielonego na kilka zespołów... Repertuar? Może wkrótce znajdziemy nowe oryginalne sztuki, tymczasem zaś jest do rozporządzenia polski klasyczny repertuar komediowy... Z repertuaru obcego byłaby idealna, w lekkim przystosowaniu, urocza sztuka francuska „Szczęśliwe Dni” — tekst?: w ostatnich kompletach „Petite Illustration” w Aleksandrii. Służę przekładem i przeróbką...”.

Tradycje Samodzielnej Brygady Karpackiej przeszły do 3-ciej Karpackiej Dywizji Piechoty. Własnego zawodowego zespołu teatralnego jednak SBK nie posiadała, ani nie stworzyła. Miała zespoły amatorskie, które od czasu do czasu dawały o sobie znać. Poza jednym wyjątkiem, nawiązującym jak najściślej do przeżyć z czasów Brygady Karpackiej, nie wydała też twórczości dramatycznej. Tym jedynym wyjątkiem, znanym i później utrwalonym w druku, była napisana w roku 1943 w Iraku komedia w czterech aktach pt. „Garden Party” Stanisława A. Pleszczyńskiego i Tadeusza K. Sowickiego, której akcja toczy się w latach 1941 i 1942 w Aleksandrii i na froncie libijskim. (Patrz: „Literatura Polska na Obczyźnie 1940-1960”, tom I, Jan Ostrowski: „Dramatopisarstwo”, str. 195-196).

Jakimi natomiast piórami rozporządzała wówczas Dywizja Karpacka, świadczy „Wieczór Autorski i recytacji poezji”, urządzony dnia 28 września 1943 w miejscu postoju Dywizji, z zagajeniem Melchiora Wańkowicza. Według zachowanego w zbiorach mjr. M. Młotka programu, obsada wieczoru była następująca: Z. Broncel „Pożegnanie”, rec. H. Piesch-Krzyski; St. Młodzeniec „Biel z amarantem”, rec. W. Wojtecki; T. Sowicki „Śnieg Miss Cleo” — J. Domańska; W. Broniewski „Zamieć” — autor; tenże „Kasztan” — autor; J. Czechowiczówna „Wierzba” — autorka, zaś „O Żołnierzu tułacz” — autorka; J. Bazarowski „Matka Boska Kozielska” — autor; B. Kobrzyński „Mazurek Artyleryjski” — H. Piesch-Krzyski; J. Olechowski „Cu-

dzoziemcy” — autor; tenże „Modlitwa” — autor; Z. Broncel „Na śmierć generała” — autor; H. Mirzwiński „Hamsin” — J. Domańska; tenże „Wieczór nad Tygrysem” — autor; Z. Broncel „Generał Sikorski w Moskwie” — autor; tenże „Step” — autor; B. Kobrzyński „Wiersz o Tobruku” — autor; tenże — „Palma królewska” — autor; T. Sowicki „Tobruk” — H. Piesch-Krzyski; tenże „Świt” — H. Piesch-Krzyski; W. Broniewski „Bagnet na broń” — autor; tenże „Co mi tam troski” — autor; J. Olechowski „Miłość wojenna” — autor; tenże „Żonie mojej” — autor; J. Bazarewski „Defilada Teatralna” — autor; Czechowiczówna „Słowo i Czyn” — autorka; M. Hemar „Do naszych sąsiadów” — W. Wojtecki”.

Teatr Dramatyczny zasilił swą twórczością tylko jeden jeszcze żołnierz Brygady — Jerzy Laskowski, autor „Sprawy nr 113”, granej potem przez Teatr Dramatyczny APW.

Wieczorowi autorskiemu poetów dłuższy felieton poświęcił potem Zdzisław Broncel w jerozolimskiej *Gazecie Polskiej* (Rok III, nr 237/676, 11.10.1943), gdzie pisał m.in.: „... Skąd jednak przyłynęła ta bania poezji, która nagle rozbiła się nad głowami wojska, nad sztandarami Armii Polskiej na Wschodzie?... Widać łatwo dwa główne nurty. Jeden płynie z kampanii libijskiej, drugi — z lat tułaczki i wygnania. W schronach Tobruku, w nużącym trudzie pozycyjnej (walki), w stałym obcowaniu ze śmiercią — rodzą się wiersze. Jan Bielatowicz wspomina „ziemię Cyrenajki”, Tadeusz Sowicki tworzy tak popularne później utwory, jak, „Powrót” i „Bateria — widmo”, najmłodszy z nich Bogumił Andrzejewski — rozczytuje się w Piśmie Świętym i kładzie pierwsze słowa swej prozy. Obok — J. Ulatowski wyciąga z plecaka dzieła Nietzschego, bracia Kleszczyńscy wydają swe niezwykle pismo *Przy kierownicy w Tobruku...*”.

„W.D.” (Witold Domański — J.O.) pisał w *Gońcu Karpackim* (Rok II, nr 42/104, 25.10.1943) m.in.: „... Gdybyśmy chcieli przedrukować wszystko, co napisano o „Wieczorze Autorskim” — nie starczyłoby i trzech *Gońców...*”.

A w tym samym czasie Herminia Naglerowa pisała i wystawiła „Tu jest Polska”, Zygmunt Nowakowski napisał i wystawił w Lotniczej Czołówce Teatralnej „Ty pójdziesz górą...” — czyli siłami tej samej Czołówki, która w następnym roku wystawiła napisaną o rok wcześniej sztukę pt. „Druga Wyspa” S. M. Marvey’a i T. Sempa. Czyż to nie przemawia przeciw twierdzeniu, że „Inter arma silent musae?”.

Jan OSTROWSKI

DOKUMENTY

Mieczysław SZERER

KOMISJA DO BADANIA ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA ŁAMANIE PRAWORZĄDNOŚCI W SĄDOWNICTWIE WOJSKOWYM

Warszawa, dnia 10. VI. 1957.

DO

KOMISJI DO BADANIA ODPOWIEDZIALNOŚCI
ZA ŁAMANIE PRAWORZĄDNOŚCI
W SĄDOWNICTWIE WOJSKOWYM

w m.

Zgodnie z obietnicą daną na posiedzeniu Komisji w dniu 7. bm. potwierdzam, że oświadczyłem na nim, co następuje.

1) Memoriał złożony przeze mnie w dniu 13 maja br. na ręce ob. Prok. Wasilewskiego w trzech egzemplarzach z prośbą o doręczenie trzem naszym mocodawcom — był wynikiem moich czteromiesięcznych indywidualnych badań dokumentów, oddanych do dyspozycji przez władze wojskowe.

2) Memoriałowi towarzyszyły pisma do każdego z trzech mocodawców zawierające prośbę o uznanie mej pracy, jako członka Komisji, za ukończoną.

3) Po 13 maja nie uczestniczyłem już w czynnościach Komisji, oczekując odpowiedzi na swe pisma. Z powodu zaś nawału moich prac w Sądzie Najwyższym i Komisji Kodyfikacyjnej (zaniedbanych wskutek wielomiesięcznego absorbującego zajęcia w naszej Komisji), nie mogę już zaznajomić się z wynikami tych czynności tak dokładnie, by móc uczestniczyć w decyzji co do ostatecznego sprawozdania.

4) Wobec tego zd. m. będzie odpowiadać stanowi faktycznemu, jeśli pozostali członkowie Komisji przedstawiają swe spra-

Dokument ten drukujemy bez wiedzy i zgody Autora.

wozdanie z wnioskami z prac dokonanych przez nich bez mojego udziału, mój memoriał zaś będzie stanowił dodatek sporządzony w czasie, kiedy prace reszty członków Komisji były jeszcze w toku. Wyttumaczy to zarazem brak mego podpisu pod owym sprawozdaniem.

(—) *dr Mieczysław SZERER*
ur. 19. IV. 1884

Chcąc ocenić rolę sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego w okresie procesów tzw. tatarowskich — a taką właśnie pracę obrałem sobie w Komisji — trzeba, oczywiście, sięgnąć wstecz: poznać w krótkości drogę, jaką te sprawy odbywały, zanim dotarły do NSW a także uprzytomnić sobie klimat polityczny tych czasów i ogólną atmosferę, jaka panowała podówczas w sądownictwie wojskowym. Przede wszystkim jednak trzeba przypomnieć pewne fakty.

SPRAWA „CENTRALNA” A JEJ „ODPRYSKI”

Od razu rzuca się w oczy rażąca różnica sposobów potraktowania głównych *dramatis personae*, tj. inicjatorów i przywódców rzekomej konspiracji szpiegowskiej w Wojsku Ludowym (sprawa centralna) z jednej strony a z drugiej — reszty oficerów, którzy, jako wciągnięci przez tamtych i będący niemi z tamtego kłębka, odegrali stosunkowo mniejszą rolę (odpryski).

Wszyscy oni byli oskarżeni o te same przestępstwa: o usiłowanie usunięcia przemocą organów władzy zwierzchniej Narodu, o usiłowanie zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego; poza tym o szpiegostwo. Akty oskarżenia zarzucały — i w wyrokach przyjmowano — że działanie odpryskowców zmierzało wprost lub okólnie, ale zawsze jakoś, do centrum, w którym stali Tatar, Kirchmayer i siedmiu innych, sądzonych razem z nimi w sierpniu 1951 roku. Trudno przypuszczać, ażeby w tych warunkach przestępstwa oskarżonych ze spraw odpryskowych mogły być cięższe, niż przestępstwa ludzi, którzy ich wciągnęli do rzekomego spisku i którzy — w oczach władz sądowych — byli tego spisku głównymi organizatorami. A jednak w sprawie centralnej nie zapadł ani jeden wyrok śmierci podczas gdy w sprawach odpryskowych kary śmierci sypały się jedna za drugą.

Przypomnijmy sobie dalej, że w sprawie centralnej najwyższe kary, jakie wymierzono czterem oskarżonym mającym stopień

generała, to były kary dożywotniego więzienia, z pozostałych zaś oficerów niższej rangi, niż generalska, trzech skazano na 15 lat więzienia, jednego na dwanaście i jednego na dziesięć lat więzienia. Natomiast w stosunku do oskarżonych w sprawach odpryskowych, z których żaden (z wyjątkiem gen. Kuropieski) nie miał stopnia wyższego, niż pułkownik, zapadło 37 kar śmierci, z których 19 wykonano.

Wreszcie, podczas gdy w sprawie centralnej prowadzono rozprawę jawnie i z udziałem obrońców, nadając jej szeroki rozgłos poprzez prasę i radio, to sprawy kilkudziesięciu z pozostałych oskarżonych toczyły się całkowicie tajnie, w większości wypadków nie w gmachu Najwyższego Sądu Wojskowego, lecz w całkowicie niedostępnym budynku Głównego Zarządu Informacji — i zupełnie bez obrońców.

Trzeba przyznać, że Kodeks Wojsk. Postępow. Karnego dawał podstawę prawną do zarządzania tajności i odmawiania oskarżonym obrońców. A mianowicie art. 209 § 1 tego kodeksu oświadcza: „Sąd wyklucza jawność całej rozprawy lub jej części, jeżeli jawność postępowania mogłaby obrażać dobre obyczaje, spowodować zaburzenie spokoju publicznego lub ujawnić okoliczności, których zachowanie w tajemnicy jest niezbędne ze względu na bezpieczeństwo Państwa lub dobro służby”.

A znów art. 53 § 2 d) stanowi wprawdzie, że w sprawie o przestępstwo zagrożone karą śmierci (a takie właśnie przestępstwa wchodziły tu w grę) udział obrońcy w rozprawie jest obowiązkowy — zarazem jednak zastrzega sądowi w tym przypadku prawo uznania „udziału obrońcy za niewskazany z uwagi na bezpieczeństwo Państwa”.

Sąd miał więc podstawy k o d e k s o w e zarówno do wyłączenia jawności rozpraw, jak pozbawienia oskarżonych biegłej obrony. Czy jednak były do tego także podstawy faktyczne? Jest przecież oczywiste, że z uprawnienia do przekreślenia tak zasadniczych gwarancji dobrego osądzenia sprawy sąd powinien korzystać zupełnie wyjątkowo; tu zaś korzystano z niego masowo.

Trudno zwłaszcza zrozumieć, dlaczego jawne (można nawet powiedzieć: reklamowe) prowadzenie sprawy przywódców rzeckiego spisku nie groziło bezpieczeństwu Państwa, natomiast w odniesieniu do reszty oskarżonych groźba ta nasilała się tak bardzo, że trzeba było sprawy w całości prowadzić bez udziału obrońców i hermetycznie tajnie, bo w gmachu, w którym nawet sędziowie wojskowi, wchodzący do składu sądzącego, poruszali się jedynie po ściśle oznaczonej drodze do sali sądowej i z powrotem.

Przyjmując nawet (wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu), że w sprawach odpryskowych mogły wychodzić na jaw fakty o cięższej wadze szpiegostwa, niż na rozprawie centralnej, to czy nie wystarczyło skorzystać z tego, że przytoczony art. 209 KWPK przewidywał możliwość wykluczenia jawności odpowiedniej części rozprawy? Czy nieodzowne było przesądzanie z góry, że wszystko w tych względnie podrzędnych sprawach może grozić zachwianiem bezpieczeństwa Państwa? Czy wolno było kilkudziesięciu ludziom zagrożonym karą śmierci odmawiać tego podstawowego prawa oskarżonego, jakim jest korzystanie z obrońcy — twierdząc głośno i publicznie tylko, że ucierpiałoby na tym bezpieczeństwo Polski Ludowej?

Najważniejsze zaś pytanie powstaje takie: jakie względy wewnętrzne — tzn. związane ze sprawami jako takimi a więc jedynie decydujące dla sądu — mogły sprawiać, że w szeroko ujawnionym procesie głównych aktorów wymierzono kary stosunkowo łagodne, natomiast w prowadzonych ukradkiem, z pogwałceniem zasadniczych praw obrony, procesach komparsów powinny były zapadać masowo wyroki śmierci?

To pytanie prowadzi prosto do kwestii odpowiedzialności sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego za łamanie praworządności, której jedną z głównych zasad jest przecież równomierność traktowania oskarżonych i kierowanie się przy wyrokowaniu względami czysto merytorycznymi. Żeby jednak zdać sobie sprawę z wielkości tej odpowiedzialności, trzeba zacząć od określenia roli instytucji, od której zależała forma, w jakiej sprawy „tatarskie” dostawały się pod rozagę sędziów.

GŁÓWNY ZARZĄD INFORMACJI

„Statut organów Informacji Ministerstwa Obrony Narodowej”, wprowadzony rozkazem marszałka Rokossowskiego z dnia 11 listopada 1953 roku, formalnie utrzymywał stan rzeczy istniejący od dawna, gdy w p. 1 rozdziału II podawał jako jedno z zadań Informacji: „zwalczanie szpiegowskiej, terrorystycznej, sabotażowej i innej działalności destrukcyjnej imperialistycznych wywiadów, prowadzenie walki z nacjonalistycznym podziemiem oraz innymi szkodliwymi i rozkładowymi przejawami działalności klasowo wrogich elementów tkwiących w wojsku lub działających z otoczenia cywilnego”.

Wedle rozdziału III Statutu organy Informacji miały prawo m.in. „prowadzić pracę agenturalno-operacyjną, stosować niezbęd-

ne przedsięwzięcia operacyjne i specjalne zmierzające do ujawnienia przestępczej działalności agentur obcych wywiadów i innych wrogich elementów, zatrzymywać osoby podejrzanee..., dokonywać aresztowań osób wojskowych i cywilnych... oraz prowadzić przeciwko nim śledztwo”.

A więc biorąc z grubsza, zadanie Informacji polegało na tym, by żadna działalność szpiegowska czy kontrrewolucyjna nie pozostała niewykryta. Natomiast dbałość o należyte ukaranie przestępcy (czyim objęte jest zarówno uporządkowanie materiału dla przewodu sądowego, jak i odpowiednie przeprowadzenie tego przewodu) było rzeczą prokuratury i sądu. Z faktu, że czynności Informacji były — w stosunku do obowiązku prokuratury — przygotowawcze, wynikało, że prokuraturze powinien być przysługiwać nadzór nad działalnością Informacji w tej mierze, w jakiej działalność ta dawała prokuraturze podstawę do spełnienia swego obowiązku.

Jest przecież jasne, że skoro prokuratura odpowiada za całość zorganizowania pełnego — na realiach a nie na fikcjach opartego — oskarżenia, to musi mieć kontrolę nad początkowym stadium budowania tego oskarżenia, kiedy gromadzi się podstawowe materiały do zaprodukowania w sądzie. Zgodnie z logiką tego stanu rzeczy, art. 71 prawa z roku 1944 o ustroju sądów wojskowych i prokuratury wojskowej daje tej ostatniej „prawo fachowego nadzoru” w stosunku do oficerów śledczych. Formalnie to prawo nadzoru rozciągało się także na oficerów śledczych zatrudnionych w Głównym Zarządzie Informacji.

W życiu było jednak wręcz odwrotnie. W okresie mniej lub więcej wyraźnie wyznawanego prymatu polityki nad prawem instytucja tak polityczna, jak G. Zarząd Inf., uzyskała przewagę nad prokuraturą — i to przewagę lwią.

Objawiało się to już zewnętrznie, w stosunku oficerów Informacji do prokuratorów (a także zresztą sędziów) wojskowych. Ich butne zachowywanie się wobec wyższych nawet rangą oficerów prokuratorskich i sądowniczych dawało tym ostatnim wyraźnie do zrozumienia, kto jest nad kim. Gęsta tajemniczość, jaka otaczała wszelkie akcje Informacji i złączona z tym bezkarność jej zakapturzonego działania sprawiały, że oficerowie służby sprawiedliwości ulegali terrorowi i nie kwestionowali supremacji organów G. Zarządu Inf. Tym mniej przychodziło im to na myśl, że nie czuli żadnego zgoła oparcia u swych przełożonych — tak samo zastraszonych¹.

1. O tym, jak szef sądownictwa wojskowego uczył moresu sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego, będzie mowa w dalszym ciągu.

W Prokuraturze zdawano sobie, oczywiście, sprawę z nienormalności takiego stanu rzeczy. Dnia 19 lipca 1950 roku N. Prokurator Wojsk wydał zarządzenie Nr 013 „O wykonywaniu przez wojskowych prokuratorów nadzoru nad śledztwem i dochodzeniem prowadzonym przez organa bezpieczeństwa publicznego i Informacji”. Zarządzenie wytyka, że „wykonywanie nadzoru przez niektórych prokuratorów pozostawia jeszcze wiele do życzenia” i wzywa do radykalnej zmiany takiego stanu rzeczy. Zarządzenie zastrzega przy tym, że „nadzór nad postępowaniem przygotowawczym nie może wkraczać w zakres operatywnego opracowania sprawy, leżącego w wyłącznej kompetencji organów bezpieczeństwa i informacji²”.

W roku 1951 Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR powzięło Uchwałę o pracy organów służby sprawiedliwości w wojsku, w której czytamy: „Niedostateczny jest nadzór prokuratorski nad śledztwem prowadzonym przez organy bezpieczeństwa publicznego i Informacji W.P. ... Organy sądowo-prokuratorskie nie zawsze stały konsekwentnie na straży praworządności; zdarzały się wypadki jej naruszania, niekiedy nawet przez nieobiektywne podejście do prowadzenia postępowania przygotowawczego a niekiedy nawet przez przymus, co jako metoda obca Partii jest szkodliwe”.

Uchwała ta zawierająca tak cenne uwagi kończyła się jednak postanowieniami, wśród których znalazły się następujące: „Korzystać w znacznie szerszym stopniu z doświadczeń radzieckich, przejmować radzieckie metody i bolszewicki styl pracy. Dostosowywać doświadczenia odpowiednich etapów rozwojowych Związku Radzieckiego do naszych warunków... Wzmoczyć czujność aparatu sądowo-prokuratorskiego w kierunku doskonalenia metod demaskowania i unieszkodliwiania wroga klasowego”.

Te postanowienia niekoniecznie popierały samodzielność prokuratury wojskowej w stosunku do G. Zarządu Inf. Na czele bowiem G. Zarządu Inf. stali oficerowie radzieccy, którzy najlepiej właśnie znali „radzieckie metody” i „bolszewicki styl pracy” a więc zyskiwali w postanowieniu Biura Politycznego podstawę do umacniania swojego autorytetu wobec prokuratury, która nie posiadała takiego doświadczenia i takiej bezpośredniej znajomości sprawy, o jaką tu chodziło. Do G. Zarządu Inf. też

2. Rzecz charakterystyczna: na oryginale tego zarządzenia znajduje się u góry napis niebieskim ołówkiem „Zgadza się, 17. VII. D. Wozniesiński”. Poderwanie się więc N. Prokuratora Wojsk. do gestu samodzielności wobec Informacji nastąpiło — z upoważnienia ówczesnego Zastępcy Szefa Informacji, tj. właśnie płk. Wozniesińskiego.

należało w pierwszym rzędzie „demaskowanie i unieszkodliwianie wroga klasowego” i stąd znów wypływał dla G. Zarządu Inf. pochop do wygrywania swoich atutów.

Dnia 18 listopada 1952 roku N. Prokurator Wojsk. wydał obszerne zarządzenie Nr 026, w którym podaje wskazówki metodyczne nadzoru nad śledztwem. Podkreśla się tam potrzebę dociekliwego nadzoru ale zarazem zaznacza: „Należy pamiętać, że bezpośrednie dokonanie czynności śledczych przez prokuratora winno odbywać się zawsze w obecności oficera śledczego. ... Stosowane jeszcze z rzadka dokonywanie czynności śledczych pod nieobecność oficera śledczego z zaakcentowaniem tego w protokole stanowi politycznie błędną i szkodliwą metodę albowiem sugeruje brak zaufania do obiektywizmu organów bezpieczeństwa i może być źródłem prowokacji ze strony podejrzanego”.

A więc gdy jedną ręką podkreśla się potrzebę nadzoru nad czynnościami oficerów śledczych, to drugą poddaje się faktycznie ten nadzór prokuratorowski kontroli oficera śledczego, bez którego obecności prokurator nie może się obejść. Na papierze zatem teoria nadzoru prokuratorów nad oficerami śledczymi G. Zarządu Inf. wyglądała dobrze, ale w praktyce najważniejsze było, że więźniów znajdujących się w dyspozycji G. Zarządu Inf. i osadzonych w ufortyfikowanym gmachu Informacji wolno było prokuratorom przesłuchiwać jedynie w obecności oficera Informacji, który więźnia przyprowadzał do prokuratora i po przesłuchaniu obejmował znów pod swą wyłączną władzę. Jaką wartość kontrolną miało takie przesłuchanie i że w tych warunkach więźniowie nie mogli odbiegać od swych zeznań, wydobytych od nich tą czy inną metodą przez organy Informacji — to nie wymaga dowodzenia.

Toteż jeden z najbrutalniejszych oficerów śledczych Informacji mógł wypowiedzianą przez dręczonego więźnia nadzieję, że w sądzie spotka się ze sprawiedliwą oceną — zgasić następującą charakterystyką stanu rzeczy: „Sądy w Polsce to pic i fotomontaż. *Tu* się kroi i *tu* się szyje. Sądy są od tego, aby zaprasować nasz wyrok i ogłosić go”. Inny zaś oficer śledczy oświadczył płk. Skibińskiemu, skazanemu później na karę śmierci: „Jeżeli my zechcemy, to dziś zrobimy rewizję u wszystkich członków Sądu Najwyższego a jutro oni tu będą siedzieć na stołku i przyznają się do wszystkiego, co my zechcemy”.

Trudno powiedzieć, że były to tylko czcze przechwałki. Sędziowie byli rzeczywiście — drogami, które poznamy — doprowadzani do tego, że robili, czego chciała Informacja.

Miała ona w każdej jednostce — a więc i sądowej — oficera, który (wedle wersji urzędowej) czuwał nad tym, by do jednostki tej „nie wkraść się wróg”. W warszawskim sądzie rejonowym oficer ten miał swój pokój, do którego wzywał co pewien czas sędowników na rozmowy. Podczas tych rozmów zadziwiał rozległością swych wiadomości o życiu i ruchach poszczególnych prokuratorów i sędziów. Mając takie dowody, że są pod obserwacją donosicieli z najbliższego otoczenia, prokuratorzy i sędziowie musieli wyrabiać w sobie kompleks niższości w stosunku do organów wszechpotężnej, spod wszelkiej kontroli usuniętej i do złudzenia Św. Inkwizycję przypominającej Informacji³.

Na czele G. Zarządu Inf. stali w okresie, o którym mowa,

3. Znamienne wydarzenie opowiedział Komisji sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego płk Sieracki.

W krakowskim sądzie rejonowym był szefem ppłk Stasica. W roku 1950 zastępował go chwilowo mjr Hollitscher. Któregoś dnia w godzinach służbowych, do pokoju kierownika sekretariatu, w którym znajdowało się kilku oficerów sędowników, wszedł oficer Okręgowego Zarządu Informacji kp. Zweig — w czapce na głowie, z ręką w kieszeni i z papierosem w ustach. Gdy w chwilę później wszedł mjr Hollitscher, kierując się do swego gabinetu i kpt. Zweig, nie zmieniając pozy, zwrócił się do niego, mjr Hollitscher zapytał go: „kto jesteście?”. Na odpowiedź kpt. Zweiga, że jest z Informacji, mjr Hollitscher oświadczył: „Ale to was nie upoważnia do zachowania się niewłaściwie. Zdejmijcie czapkę i wyjmijcie papierosa z ust. Tu w pokoju wisi godło Państwa”.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wkrótce potem wszczęto przeciw mjr. Hollitscherowi postępowanie i 2 października 1950 roku przyszedł go aresztować nie kto inny, lecz kpt. Zweig.

Warto zapoznać się bliżej z losem śmiałka, który porwał się na strofowanie oficera Informacji. Akt oskarżenia, sporządzony 27 stycznia 1951 roku zarzucał mjr. Hollitscherowi, że przez swe krytyczne wypowiedzi „usiłował wytworzyć u słuchających go osób wrogie nastawienie psychiczne, przygotowując w ten sposób grunt do obalenia przemocą Demokratycznego ustroju Państwa Polskiego”. Za przestępstwo takie grozi wedle KKWP kara więzienia do 15 lat. Wśród owych krytycznych wypowiedzi miało znajdować się także zajmowanie rzekomo negatywnej postawy wobec marksizmu (Hollitscher podawał się za wierzącego katolika) i „fałszywe przedstawianie form organizacyjnych spółdzielczości produkcyjnej w Polsce”.

W lipcu 1951 roku Najwyższy Sąd Wojskowy nadał „przestępstwu” mjr. Hollitschera łagodniejszą formę, potraktował je mianowicie jedynie jako karygodne rozpowszechnianie fałszywych wiadomości i skazał oskarżonego z mocy art. 22 mkk na rok więzienia.

Po odcierpieniu tej kary mjr Hollitscher co pewien czas składał prośby o zatarcie skazania w drodze łaski. Ale Najwyższy Sąd Wojskowy prośbom tym nie nadawał biegu. Dopiero w styczniu 1957 roku Zgromadzenie Sędziów N.S.W. zrehabilitowało Hollitschera, uchylając wyrok z roku 1951 i umarzając postępowanie z braku cech przestępstwa w zarzuconym mu czynie.

Takie były skutki próby ukrócenia arogancji oficera Informacji.

dwaj pułkownicy — Wozniesiński i Skulbaszewski — przejęci z armii radzieckiej. Reprezentowali oni wraz z funkcjonującym w Najwyższym Sądzie Wojskowym w charakterze „doradcy” płk. Zajcewa — linię postępowania w stosunku do obwinionych o kontrrewolucjonizm wypracowaną w ZSRR w tamtejszych akcjach śledczych i sądowych. Linia ta jest już dziś znana z rewelacji na XX Zjeździe.

Ci, można powiedzieć, specjaliści nie szczędzili wysiłków, by zaostrzyć styl pracy w wojskowym aparacie śledczym, prokuratorskim i sądowym. Wyrażali się lekceważąco o poprzednich metodach w tych aparatach, jako będących jeszcze owocem braku doświadczenia lub wręcz piętnowali je jako objawy fałszywie pojętego humanizmu. Wskazywali na konieczność bezwzględnego tępienia „wroga”, zdzierania z niego wymyślnych masek i nie poddawania się w walce z nim żadnemu sentymentalizmowi czy też formalizowaniu przejętemu naiwnie z sądownictwa powszechnego. Wsparł tę ich wychowawczą działalność płk Wilhelm Świątkowski, prezes Najwyższego Sądu Wojskowego od roku 1950, który w 1954 roku powrócił do ZSRR.

Trzeba jednak powiedzieć, że prokuratorzy (a zresztą i sędziowie) poddawali się terrorowi Informacji nie tylko z lęku przed jej nieodpartą potęgą, ale dlatego także, że jej kierownictwo stale powoływało się na swe porozumienie z kierowniczymi czynnikami politycznymi w Państwie i na wyraźne instrukcje od nich otrzymywane. Wspomniany wyżej statut organów Informacji — stwierdzając w p. 2 rozdziału I, że G. Zarząd Inf. jest „centralnym i kierowniczym szczeblem” tych organów, którego szef podlega wyłącznie Ministrowi Obrony Narodowej — dodawał, że „w zakresie pracy politycznej” szef G. Zarządu Inf. podlega szefowi Głównego Zarządu Politycznego Ministerstwa Obrony Narodowej. Było więc rzeczywiście powiązanie kierownictwa Informacji (w osobach wymienionych wyżej pułkowników Wozniesińskiego i Skulbaszewskiego) z tą bliską centrum politycznego placówką, jaką był Główny Zarząd Polityczny M.O.N.⁴.

Niezależnie od tego powiązania strukturalnego, które przecież było znane prokuratorom i sędziom wojskowym z oczywistych faktów (sam statut Informacji był dokumentem „ściśle tajnym”), płk Skulbaszewski nie pomijał żadnej sposobności, by wpajać oficerom mającym z nim styczność przekonanie o swym powiązaniu z kierownictwem państwowym i partyjnym. Lubił przy

4. Wedle statutu PZPR, „pracą partyjną w wojsku kieruje Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego, pracujący na prawach wydziału Komitetu Centralnego”.

tym pokazywać słynny „zielony zeszyt”, w którym — jak twierdził — miał zapisane dyrektywy od Bolesława Bieruta. (Zeszyt ten istniał rzeczywiście: płk Bąkowski, następcą Wozniesińskiego od końca roku 1953, oświadczył, że w czerwcu 1954 roku wręczył „zielony zeszyt” Bierutowi. W tym czasie Skulbaszewski opuścił już był swe stanowisko i powrócił do ZSRR). W ten sposób prokuratorzy i sędziowie wojskowi uzyskiwali sami wobec siebie rozgrzeszenie ze swojego nie całkiem wojskowego załężenia przed potentatami z Informacji⁵.

Akcja „operacyjna” G. Zarządu Inf.

Jak widać ze znanych nam już wyjątków statutu G. Zarządu Inf., prace tej instytucji dzieliły się najogólniej na część „agenturalno-operacyjną” i część w ściślejszym znaczeniu śledczą. Ta pierwsza część obejmowała różne czynności inwigilacyjne, tworzące misterną składankę wątków, po które sięgano w najbliższe zarówno jak najdalsze, otoczenie osoby podejrzanej i które cierpliwie gromadzone, segregowane, sprawdzane i poddawane różnorodnym prześwietleniom doprowadzały — nieraz dopiero po bardzo długim czasie — do aresztowania.

Stwierdzanie w aktach, jak tworzyły się oka sieci, w którą opłatywano osobę podejrzaną, wywołuje uznanie dla czujności organów Informacji. Nie można przecież twierdzić, że była to instytucja zbędna. Istnienie szpiegów nie było i nie jest wymysłem jakiegś chorobliwej fantazji i żadne państwo nie rezygnuje z kontrywiadu. Czujność była więc obowiązkiem Informacji i nie można czynić jej zarzutu z tego, że swój obowiązek spełniała z wytężeniem. Ale odwracając kartę za kartą akt Informacji, doznaje się innego jeszcze uczucia, niż uznanie dla nieustrudzonej pracowitości jej organów. Odnosi się mianowicie wrażenie atmosfery tak zatrutej podejrzliwością, że zamierają w niej najelementarniejsze ludzkie uczucia; rodzi się wizja świata, w którym upatrzonego człowieka w drodze do swojej pracy, przy tej pracy, w drodze powrotnej, w domu, na spacerze, w kawiarni, podczas rozmowy z przyjaciółmi — słowem, wszędzie i zawsze, znajduje się pod spojrzeniem czyichś śledzących go oczu, podczas gdy jemu przez myśl nie przechodzi, że jego podpatrzone ruchy i podsłu-

5. Ilustracją temperamentowych obyczajów Skulbaszewskiego może być fakt, że gdy nie zadawał go raport któregoś z wyższych nawet polskich oficerów Informacji, potrafił rzucić akta z rozmachem pod nogi tego oficera, który następnie musiał podnosić z podłogi rozrzucone arkusze.

chane słowa są starannie rejestrowane w raportach i dają podstawę do dalszych „rozpracowań” powierzanych agentom.

Głęboki pesymizm ogarnia czytelnika tych akt. Gdy sobie uświadomić, że każdy taki donos, podpisany krótkim pseudonimem lub nawet jedną umówioną literą, to nieznaczny ale faktyczny skręt na sztywność nie przeczuwającego człowieka, który w dodatku może być Bogu ducha winien — to istotnie trudno oprzeć się przygnębieniu. Trudno tłumaczyć sobie, że donosiciel wierzył w to, co mu wmawiano: że pełni honorową służbę w interesie ustroju i państwa ludowego. Trudno zachować wiarę w choćby zwykłą przyzwoitość ludzką, gdy się czyta, jak tajny informator, wyższy oficer, składa raporty na własnego swojego szwagra, również wyższego oficera i kolegę biurowego. Trudno oprzeć się wrażeniu, że na gruncie użyźnianym tego rodzaju nawozem musiały wyrastać różne obrzydliwości — fatalne omyłki, załatwianie osobistych porachunków i, niestety, prowokacja.

Trzeba mianowicie pamiętać, że o ile dostać się w sieć tajnych informatorów jest stosunkowo łatwo, o tyle wywikłać się z niej jest niezmierznie trudno. Człowiek wie zbyt wiele i jakkolwiek zobowiązał się solennie do grobowego milczenia o swych stosunkach z Informacją, ta nigdy przecież nie może być bezwzględnie pewna jego dyskrecji. Toteż wyjście z agentury jest właściwie — gdy zwłaszcza współpracowało się z nią dłuższy czas — jedno tylko: przez bramę do więzienia i to z najczarniejszymi przeczuciami. Bo Informacja nie przebacza niewierności, nie przebacza nawet ochłodzenia się uczuć. Oto wymowny przykład.

Pułkownika M. pozyskano w końcu roku 1948 do współpracy z Informacją. Powstaram, co już zaznaczyłem wyżej, że pozyskanie takie nie oznacza przejścia na płatnego agenta. Przeciwnie, w instrukcjach dla organów Informacji podkreśla się, że werbowanej osobie należy usilnie tłumaczyć, iż prasa informatora jest cenną służbą dla dobra Ojczyzny ludowej i ten, kto bierze na siebie jej brzemię, jest prawym, wdzięcznością sobie zaskarbiającym synem społeczeństwa socjalistycznego.

Przez dwa lata z górą płk M. pełni służbę tajnego informatora. Ale w roku 1951 zaczynają mnożyć się oznaki, że mu ta praca idzie nie w smak. Ociąga się z wykonywaniem zadań, tłumaczy się mnogością zajęć służbowych a przede wszystkim złym stanem psychicznym: ciągłe nastawianie się na zbieranie po kryjomu materiałów informacyjnych wytworzyło w nim natrętne kompleksy duchowe, które rozdwarzając jego osobowość na normalnego prostolinijnego człowieka i na wiecznie o swą maskę dbałego informatora — wnoszą w jego życie nieznośną udrękę. Składa prośby

o zwolnienie go, które jednak pozostają długo bez uwzględnienia. Dopiero 11 czerwca 1952 roku wyłączono płk. M. z siatki, podając jako przyczynę jego uchylanie się od współpracy. Płk M. może wrócić do normalnego życia. Na jak długo?

Dokładnie w trzynastcie dni po zwolnieniu puszczono w ruch agenturalne „rozpracowanie” płk. M. W cztery miesiące później, w październiku 1952 roku, aresztowano go. Włączony w jedną ze spraw tatarowskich dostaje dnia 28 stycznia 1953 roku wyrok śmierci. W uzasadnieniu wyroku powiedziano m.in., że okazał się nie p o r a w n y m wrogiem Polski Ludowej (niepoprawnym? pierwszy raz w ogóle stawiał przed sądem! ⁶). W niespełna dwa tygodnie później, dnia 10 lutego 1953 roku, druga instancja — na posiedzeniu, na którym rozpatrzono ogółem 17 spraw — utrzymała wyrok w mocy. Dnia 27 kwietnia 1953 roku Naczelny Prokurator Wojskowy przesłał zdecydowanie negatywną opinię co do ułaskawienia Radzie Państwa, która decyzją z dnia 21 maja 1953 roku nie skorzystała z prawa łaski. W pięć dni potem wyrok wykonano. A dnia 7 maja 1956 roku zrehabilitowano płk. M.⁷.

Jeśli zważyć, że w innych analogicznych sprawach od początku „rozpracowywania” do aresztowania a tym bardziej do procesu upływa z reguły długi czas i że również szereg miesięcy dzieli prawomocny wyrok drugoinstancyjny od wykonania kary śmierci, to w szybkości, z jaką zlikwidowano byłego tajnego informatora, jest coś frapującego.

Na pewno nie było innego, prócz fatalnego, wyjścia z siatki agenturalnej dla człowieka, który wszedł do niej na podstawie tzw. werbunku na materiałach kompromitujących. Werbunek taki polegał na wezwaniu upatrzonego kandydata, przedstawieniu mu zebranych a kompromitujących go dowodów i przyjęciu go na informatora po uzyskaniu jego przyznania się do przestępnych czynów. Jak powiedziano w rozkazie Ministra Obrony Narodowej Nr 3/Inf. z dnia 23 października 1952 roku:

„werbunek na materiałach kompromitujących należy pojmować jako jeden ze środków rehabilitujących przestępcy... Materiały kompromi-

6. Tę formułkę o niepoprawności człowieka pierwszy raz sądnego odnajduje się i w innych wyrokach z tej serii, opiewających na karę śmierci. W ogóle uzasadnienia tych wyroków są w swych konkluzjach bardzo zbliżone do siebie stylistycznie — jak gdyby je z lekkimi modyfikacjami kopiowano z jednego modelu.

7. Jest charakterystyczne dla metod tajemniczości, jaką otaczano wyniki spraw odpryskowych, że żona płk. M., zanim dowiedziała się o rehabilitacji, wysłała w dniu 9 maja 1956 roku list do władz, w którym skarży się, że od trzech lat nie ma wiadomości o losie męża.

tujące i dowody rzeczowe winny być tak opracowane przed werbunkiem, ażeby sprawę można było w każdej chwili skierować na drogę sądową”.

„W niektórych wypadkach materiały kompromitujące mogą nie stanowić podstawy do skierowania sprawy na drogę sądową, jednak będą kompromitowały figuranta przed społeczeństwem, rodziną lub środowiskiem itd.”.

Człowiek był więc całkowicie w ręku Informacji. W tym zresztą, że ktoś, mający na sumieniu takie czy inne grzechy, nie mógł bezkarnie zrzucić z siebie „palącej koszuli” stosunków z Informacją, nie byłoby jeszcze powodu do przejmowania się. Prawdziwie złe było dopiero to, że informator nigdy nie dochodził do kresu swego „rehabilitowania się”, że wciąż musiał coraz to nowymi donosami odwracać wiszący nad sobą miecz materiałów kompromitujących go. Wciąż musiał trwać w pogoni za tematami a gdy mu ich nie stawało — znajdował się na prostej drodze do prowokacji. Byle spełnić obowiązek gorliwości.

Jeśli by było potrzeba przykładu wyraźnej zachęty do prowokacji, to można przytoczyć następujący. Dnia 5 lutego 1953 roku dyrektor departamentu śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Różański, wysłał do ministra Radkiewicza pismo, w którym czytamy:

„W dniu 8. XI. 46 w toku likwidacji okręgu śląsko-dąbrowskiego organizacji WIN został m.in. aresztowany kierownik wywiadu tejże organizacji na rejon Opole Ostrowski J.... kapitan z AK, członek b. PPS... W toku śledztwa Ostrowski wykazał daleko idącą szczerłość, czym przyczynił się do całkowitej i szybkiej likwidacji nielegalnego ugrupowania, w którym tkwił.

... dnia 23. VIII. 47 Ostrowski został skazany na 10 lat więzienia z art. 86 § 2 KKWP i art. 7 mkk. W międzyczasie, tj. 29. VII. 47 Ostrowski podpisał zobowiązanie o współpracy z organami bezpieczeństwa publicznego a dla umożliwienia mu działania we wrogim środowisku został w dniu 15. IX. 47 ze względu na zły stan zdrowia zwolniony z więzienia na mocy postanowienia Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Pozostając na wolności do chwili obecnej współpracuje z UBP, okazując dużo inicjatywy, sumienności i oddania.

W związku z powyższym proszę Ob. Ministra o zezwolenie na poczynienie kroków w kierunku ułaskawienia Ostrowskiego J. z uwagi na dobro pracy operacyjnej”.

Na piśmie u góry widnieje napis „Zgadzam się”. Podpis niezupełnie czytelny.

Jeśli spojrzeć na daty, to uchwyci się niejako *in flagranti* proces tworzenia prowokatora. Ostrowski sypie w śledztwie. Dnia 29 lipca 1947 roku, tj. pod koniec śledztwa a niemal w przeddzień procesu, przystaje na agenta BP. W niespełna cztery

tygodnie później otrzymuje wprawdzie surowy wyrok, bo 10 lat więzienia, ale po trzech dalszych tygodniach (dnia 15 września 1947 roku) już jest na wolności — pod pozorem złego stanu zdrowia, ale faktycznie „dla umożliwienia mu działania we wrogim środowisku”. I Ostrowski działa przez przeszło 5 lat, okazując — jak napisano — dużo „inicjatywy”. Po czym jest już dojrzały do ułaskawienia. Ze swej dziesięcioletniej kary przesiedział równo jeden rok.

Oto dalszy charakterystyczny przykład.

W grudniu 1954 roku Naczelný Prokurator Wojskowy złożył Ministrowi Obrony Narodowej sprawozdanie z przeprowadzonego na polecenie sekretarza K.C. tow. Ochaba badania roli agenta celnego Okońskiego (przydawka „celny” pochodzi tu nie od „cła”, lecz od „celi”; chodzi o konfidenta, który umieszczony w celi razem z badanym więźniem donosi o jego reakcjach na przesłuchania), zatrudnionego przez Zarząd Informacji Wojsk Lotniczych w latach 1951-1953. Oto co wynika z tego sprawozdania.

W podanym czasie prowadzono śledztwo przeciw oficerom wojsk lotniczych powiązanym ze sprawą „centralną”.

„Śledztwem kierował ówczesny szef Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych ppłk Lewandowski pod bezpośrednim nadzorem ówczesnego zastępcy szefa G. Zarządu Inf. MON płk. Skulbaszewskiego. Do rozpracowywania aresztowanych w celi ppłk Lewandowski zatrudnił w szczególności agenta celnego Okońskiego... skazanego w roku 1947 za współpracę z okupantem na karę śmierci, zamienioną... na dożywotnie więzienie, zawerbowanego do pracy agenturalnej przez Zarząd Informacji Wojsk Lotniczych 16 października 1950...

„Przy werbowaniu Okońskiego werbujący go ówczesny zastępca szefa Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych ppłk Sołopienko... obiecał mu, że w niedługim czasie w nagrodę za współpracę zostanie on zwolniony z więzienia...

„Jak wynika z zeznań szeregu oficerów Informacji, przesłuchiowanych w toku badań, przy rozpracowywaniu poszczególnych aresztowanych ppłk Lewandowski a za jego przykładem również podlegli mu oficerowie Zarządu Informacji w niedopuszczalny sposób w rozmowach zaznajamiali Okońskiego z treścią niektórych materiałów śledczych... tak, że Okoński miał możliwość orientowania się, pod jakimi zarzutami pozostają rozpracowywani przez niego aresztowani”.

Toteż wiedział, jak formować swoje doniesienia. Oficerowie śledczy mieli wątpliwości co do roli Okońskiego i meldowali o tym ppłk. Lewandowskiemu, który z tego powodu karcił — meldujących. Badany w roku 1954 Okoński przyznał się do szeregu „wypadków prowokowania aresztowanych do konkretnych zeznań, składania fałszywych meldunków z rozmów z aresztowanymi, potwierdzających ich rzekomo wrogą działalność oraz utwierdzanie podejrzanym, że koniecznie muszą się przyznawać, gdyż... w wypadku nieprzyznawania się będą skazani na najcięższe kary jako zatwardzieli wrogowie”.

W sprawozdaniu czytamy dalej, że „prowokatorska praca agenta Okońskiego była dla śledztwa tym bardziej szkodliwa, że... w śledztwie przeciwko oficerom Dowództwa Wojsk Lotniczych stosowano przymus fizyczny... Wszyscy przyznający się... wielokrotnie w toku śledztwa odwoływali (zeznanie) jako niezgodne z prawdą, złożone pod przymusem. Odwołań tych jednak na polecenie płk. Skulbaszewskiego i ppłk Lewandowskiego nie przy-

owano od skazanych a wszczynano każdorazowo przeciw odwołującym ponowne długotrwałe przesłuchania z używaniem różnych gróźb, czym w konsekwencji zmuszano ich do potwierdzania odwoływanych zeznań. Równocześnie tym sposobem urabiano u skazanych przekonanie, że w wypadku odwołania zeznań zostanie to poczytane im za kręctwo w śledztwie, brak skruchy, w wyniku czego sąd skaze ich na najwyższy wymiar kary.

„Na uwagę zasługuje fakt, że skazanym przed konfrontacjami, przed przesłuchaniami przez prokuratora..., przed rozprawą, przed używaniem ich jako świadków na rozprawach przeciwko innym — po uprzednim zbadaniu, czy pamiętają swoje zeznania — przypominano szczegółowo treść ich zeznań i pouczano, że powinni pewnie zeznawać, co będzie świadczyć o ich zerwaniu z wrogą działalnością”.

Rezultat, do którego w odpryskowej sprawie lotników przyczyniła się praca prowokatorska Okońskiego był następujący: dwie kary dożywotniego więzienia i sześć wykonanych kar śmierci.

Sprawozdanie, z którego cytujemy, kończy się następująco.

„W toku przeprowadzonych na podstawie wyjaśnień Okońskiego badań ujawniono, iż w końcu 1950 roku Zarząd Informacji Wojsk Lotniczych aresztował bez sankcji prokuratora plut. Cempę, podejrzanego o przynależność do nielegalnej organizacji przygotowującej zamach na członków Rządu. Podstawą aresztowania był jedynie niesprawdzony meldunek jednej tajnej informatorki. Ponieważ Cempa przez okres 2 tygodni po aresztowaniu nie przyznawał się, kierujący przesłuchaniem ppłk Sarnowski... usiłował zmusić Cempę do złożenia zeznań przy pomocy bicia. Cempa na jednym z przesłuchań był bity przez około 20 minut przez ppłk. Sarnowskiego, kpt. Lindauera i trzech innych oficerów rękami, gdzie popadło. Na skutek tego pobicia Cempa następnego dnia dostał pomieszczenia zmysłów. Po zachorowaniu Cempa był przez około rok czasu leczony w Tworkach, jednakże nie udało się go całkowicie wyleczyć i ostatnio rodzina zawiadomiła listownie Zarząd Informacji Wojsk Lotniczych, że nastąpił u Cempy powrót choroby, w związku z czym umieszczony on został ponownie w szpitalu.

„Przeprowadzone później sprawdzenia doniesień tajnej informatorki na Cempę wykazały, że tajna informatorka dopuściła się prowokacji”.

Wyraźny posmak prowokacji jest też w „zadaniach”, jakie wyznaczano tajnym informatorom tropiącym płk. Rodego (jednego z 19 oficerów rozstrzelanych w sprawach tatarowskich).

Jedno zadanie: „Wciągnąć go na pogawędkę, gdy przyjdzie w sprawach służbowych... Wykorzystywać na rozmowy z Rodem czas podróży z domu do pracy i z powrotem”. (Jak widać, judaszową pracę spełniał tu kolega biurowy).

Drugie zadanie: „Częściej odwiedzać ppłk. Rodego w jego gabinecie. Zapoczątkować rozmowy na tematy związane z wyszkoleniem w dziedzinie broni pancерnej. Poruszać również zagadnienia dotyczące jego życia prywatnego”.

Trzecie zadanie: „Przy najbliższej okazji bardzo ostrożnie zacząć sondować poglądy polityczne Rodego. W rozmowie starać się poruszyć temat Katynia... Zająć osobiście stanowisko niedowiarka i wahającego się”.

Akcja śledcza G. Zarządu Inf.

Gdy „operacyjne” czynności nad wiadomościami zebranymi w takich warunkach doprowadziły do aresztowania, rozpoczynał

się akt drugi: więźnia przekazywano oficerowi śledczemu Informacji. Ta część działalności Informacji obchodzi nas tu już bezpośrednio, bo na swoistej pracy oficerów śledczych zbudowane były wszystkie procesy tatarskie. Któż to byli ci oficerowie śledczy Informacji?

Dobierano ich starannie o tyle, że nakłaniano (jeśli nie skierowywano wprost odkomenderowaniem) do tej służby szczególnie rozgarniętych kandydatów na oficerów, ludzi młodych i ambitnych. W G. Zarządzie Inf. wpajano im, jako pierwszorzędną zasadę, że aresztowany, nad którym mają „pracować”, jest człowiekiem winnym. Ich zadanie śledcze polegało zatem nie na dociekaniu, czy aresztowany rzeczywiście popełnił przestępstwo, o które jest podejrzany. Ta kwestia była dla niego przesądzona w stadium „operacyjnym”. Oficer śledczy miał być świadom (ściśle mówiąc: ślepo wierzyć), że stoi przed nim człowiek bezwzględnie winny, z którego należy jeszcze tylko wycisnąć przyznanie się w jak najszerzej mierze — a zwłaszcza przyznanie się co do jego powiązań z innymi osobami:

Kierownictwo całością czynności śledczych w sprawach tatarskich spoczywało w ręku płk. Skulbaszewskiego. Zapoznajmy się z charakterystyką jego metod zamieszczoną w sprawozdaniu, które w marcu 1955 roku sporządzili czterej oficerowie Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

„Oficerowie śledczy zostali jedynie poinformowani, że będą pracowali z aresztowanymi w bardzo ważnej, państwowego znaczenia sprawie, że aresztowani to szpiegowie, zdecydowani wrogowie, których ręce splamione są krwią robotników, że od aresztowanych tych za wszelką cenę należy wydobyć zeznania o ich wrogiej działalności wobec Polski Ludowej. By rzekomo zapobiec sugerowaniu zeznań, oficerów nie zaznajamiano z żadnymi materiałami świadczącymi o działalności aresztowanych. Oficerowie otrzymali polecenia żądać od aresztowanych w czasie długotrwałych przesłuchań, by złożyli zeznania o swej wrogiej działalności wobec Polski Ludowej. W ten sposób oficerowie śledczy stali się jedynie „dopytywaczami” (nazwa ta powstała u samych oficerów śledczych), nie mieli możliwości krytycznie ocenić zeznań podejrzanych a jedyną ich bronią w pracy z aresztowanymi stał się przymus i brutalne, wulgarne odnoszenie się względem aresztowanych.

„Ostre i nieludzkie obchodzenie się z aresztowanymi było gloryfikowane i podsycane wśród oficerów przez kierownictwo G. Zarządu Inf. a w szczególności przez płk. Skulbaszewskiego.

Oficerowie humanitarnie... podchodzący do aresztowanych byli piętnowani przez Skulbaszewskiego jako słabi ideologicznie i ulegający wrogowi.

„O wszelkim ludzkim obchodzeniu się oficerów śledczych z aresztowanymi płk Skulbaszewski dowiadywał się w drodze podsłuchu, przy pomocy zainstalowanych w gabinetach oficerów aparatów podsłuchowych oraz meldunków z agentury celnej. Zainstalowanie aparatów podsłuchowych i nastawienie agentury celnej na donoszenie o pracy oficerów było powodem, że oficerowie w obawie przed zarzuceniem im uległości wobec wroga — przez cały czas przesłuchań bezwzględnie obchodzili się z nie składającymi zeznań aresztowanymi”.

Sądzę, że to ostatnie zdanie zawiera zbyt uogólnienie. Oficerowie śledczy bali się niewątpliwie o własną skórę, ale umieli też dokładać ze swego. Na ogół jednak charakterystyka dana przez czterech oficerów Naczelnej Prokuratury Wojskowej jest trafna. Bezsprzecznie, metody wprowadzone na szeroką skalę pod auspicjami płk. Skulbaszewskiego musiały demoralizować oficerów śledczych.

Młodego oficera śledczego pchano od razu na pochyłą drogę, gdy pierwszą rzeczą, jaką mu wpajano było przeświadczenie, że aresztowany ma ustaloną najczarniejszą kartę, że jest to przewrotny, chytry łotr, plugawy zdrajca i w ogóle jednostka tak niebezpieczna, że musi być unieszkodliwiony *za wszelką cenę*⁸. Z tego bowiem wypływała już prosto druga zasada: dopuszczalność stosowania — wobec zbrodniarza tego typu — wszelkich metod najbezwzględniejszej presji, zarówno psychicznej jak fizycznej. I w ten sposób niepostrzeżenie dla samego oficera śledczego doprowadzano go do tego, że w swym stosunku do aresztowanego nie był zdolny do żadnego innego uczucia prócz wzdarcia i nienawiści.

Wtedy był gotów do odzywania się do badanego generała: „ty szpiegu”, do obsypywania aresztowanego najordynarniejszymi wyzwiskami, do bicia go, „stawiania” przez szereg godzin aż ofierze puchły nogi, osadzanie w karcerze⁹, skazywanie na spożywa-

8. Co się zwłaszcza tyczy spraw tatarskich, to atmosferę stwarzaną dokoła ludzi związanych z nimi kondensuje zdanie, które otwiera uzasadnienie wyroku na Kostucha, Zerbsta (kara śmierci wykonana) i Dobrowolskiego: „Począwszy od roku 1945 w Ludowym Wojsku Polskim powstała i rozwijała swą działalność dywersyjno-szpiegowska organizacja, której celem było obalenie władzy ludowej i przywrócenie w Polsce władzy kapitalistów i obszarników przy pomocy imperialistycznego wroga”.

Jaka zbrodnia mogła być gorsza?

9. Ciasne pomieszczenie, o powierzchni niespełna 2 m², wybetonowane, bez okna, bez żadnego sprzętu, wilgotne, zazwyczaj napuszczane wodą.

nie zimnych posiłków, niepozwolenia zasnąć człowiekowi, który słał się nieprzytomny z bezsenności, do przesłuchiwania go (na zmianę z drugim oficerem śledczym) po 18 do 20 godzin doba po dobie, do obserwowania ironicznie, jak więzień dosłownie „wykańcza się”, i czyhania na chwilę, kiedy zmaltretowany do ostateczności człowiek — nie widząc innego sposobu położenia kresu męczarniom — wykrztusi nareszcie z siebie przyznanie się. Sądzę, że bez brania w rachubę tego elementu sztucznie w oficerze wyhodowanej nienawiści do rzekomo podstępnego, śmiertelnego wroga, nie można zrozumieć, jak młodzi nieraz wcale dobrze zapowiadający się wojskowi, zmieniali się w stosunkowo krótkim czasie w zwierzęcych dręczycieli, w tępych sadystów.

Oto kilka próbek traktowania więźnia.

1. W okresie poddawania płk. Chojeckiego intensywnemu obrabianiu poszczególne przesłuchania „konwejerem” (trzech oficerów śledczych przesłuchiwało na zmianę) trwały:

od 11 do 14. XI. 50	od 16. I. do 19. I. 51
od 15 do 21. XI. 50	od 20. I. do 22. I. 51
od 23 do 25. XI. 50	od 23. I. do 25. I. 51
od 28 do 30. XI. 50	od 26. I. do 27. I. 51
	od 29. I. do 31. I. 51

Oczywiście dwu i trzydniowe przesłuchania nie odbywały się bez żadnej przerwy. Ale były to przerwy krótkie, nie pozwalające na wypoczynek; w dzień zresztą nie wolno było więźniowi spać. Przesłuchania zaś trwały z reguły do 3.30 nad ranem, kiedy wreszcie pozwalano więźniowi wrócić do celi, a o 5-tej rano była pobudka.

2. Ppłk Barbasiewicz (stracony) był aresztowany 17 kwietnia 1950 roku (*nota-bene*: płk Skulbaszewski, zgłaszając wniosek aresztowania zalecał: „Dla zamaskowania istotnej przyczyny aresztu, dokonać go przez Prokuraturę Powszechną lub Komisję Specjalną”). W zakończeniu notatki służbowej o tym, że sześciogodzinne, do godz. 14-tej trwające przesłuchanie więźnia w dniu 21 kwietnia 1950 roku nie dało nic istotnego, oficer śledczy pisze: „Uważam, że należałoby do obecnego systemu śledztwa pacjenta postawić na nogi, gdyż... będzie on stanowił dość trudny orzech do zgryzienia, który by pękł w stosunkowo krótkim okresie czasu”.

Uwaga nie idzie na marne. Po następnym przesłuchaniu, które rozpoczyna się tegoż dnia, 21 kwietnia, o godz. 20-tej i trwa do 3-ej nad ranem, przesłuchujący notuje: „zgodnie z poleceniem pułkownika od godz. 23-ej przesłuchiwany był na stojąco do godz. 2-ej... O godz. 2-ej, mówiąc o matce i dzieciach rozplakał się, że jest niewinny”.

Po tygodniu takiego traktowania, Barbasiewicz siada do napisania — jak powiada, „po przełamaniu wewnętrznego oporu” — zeznań zadowolających Informację. Po skazaniu je odwołał.

3. Płk Skibiński skazany był w kwietniu-maju 1952 roku na karę śmierci, ale wyroku nie wykonano ani nie zawiadomiono skazanego o ułaskawieniu. Jego stan duchowy spowodowany wielomiesięczną niepewnością postanowiono wyzyskać w lutym 1953 roku, by wycisnąć z niego zeznanie kompromitujące małż. K. Wydano polecenie: „Płk. Skibińskiego na powyż-

sze okoliczności przesłuchiwać aż do uzyskania rezultatów — codziennie”. Zgodnie z tym poleceniem, człowieka, nad którym wisiła możliwość wykonania każdej chwili wyroku śmierci, poddano w czasie od 12 lutego do 20 marca 1953 roku dwudziestu sześciu macerującym przesłuchaniom.

4. Oficer śledczy, który z początkiem roku 1950 przesłuchiwał mjr. Wacka, jednego z oskarżonych później w sprawie centralnej, podał: „Były wypadki, że w czasie przesłuchania Wacek zasypiał, wówczas w myśl wytycznych płk. Skulbaszewskiego kazałem mu stać 2 do 3 godzin, przy czym w ciągu dnia pracy takie stanie powtarzało się kilka razy po 2 do 3 godzin.

„... po jakimś czasie zeznania te Wacek odwołał, o czym poinformowałem płk. Skulbaszewskiego, który zwymyślał mnie za to, że śmiałem dopuścić do odwołania i jeszcze zaprotokołować to odwołanie.

„(Skulbaszewski groził Wackowi, że) jeśli nie przystąpi do zeznań o swej konkretnej działalności szpiegowskiej, to 'zdechnie, zgnije, a na wolność nie wyjdzie'”.

5. Z całą jaskrawością występują rozmaite metody śledcze w sprawie gen. Kuropieski, aresztowanego dnia 13 maja 1950 roku. Oto część „notatek służbowych” z przesłuchań.

20 czerwca 1950 roku. „Notuję pozytywny objaw: Kuropieska zaczyna spać na jawie”. W zakończeniu jednak: „Ta prawie całonocna praca nie może (szczególnie po 24-tej) dać żadnych rezultatów w sensie logicznych zeznań bo facet jest strasznie zmęczony. Nie można powiedzieć, by spał, ale w każdym razie nie bardzo wie, co się z nim dzieje”.

2 lipca 1950 roku. „K. pali papierosy cały czas (moje), wypalił ok. 25 sztuk, ja też palę cały czas. Okno zamknięte cały czas na beton, w pokoju ciemno od dymu, duszno i bardzo gorąco...¹⁰. Na wstępie poczęstowałem go czereśniami, a później nie dałem mu cały czas wody, bo po owocach nie wolno pić wody, bo z tego można dostać rozwolnienie itp. ... Mam zamiar pracować tym systemem kilka dni. Pracowałem do godziny 3-ej (nad ranem)”.

Bez daty, początek lipca 1950 roku. „Dziś K. został obciążony jeszcze jednym zmartwieniem, a to o los małżonki i rodziny... Oświadczyłem mu, że nie mogę mu nic na ten temat powiedzieć, gdyż mógłby mnie podejrzewać o celową grę na uczuciach, więc wolę nic nie mówić. Ponadto, że ma dość swoich zmartwień i uważam, iż obciążanie go zmartwieniem o los rodziny byłoby ponad jego siły. K. uczynił z tego wniosek, że musiało się coś stać poważnego z jego rodziną... Jest tym faktem mocno zmartwiony i prosił mnie kilka razy o jakiegokolwiek wyjaśnienie w tej sprawie. Moja odpowiedź, jak wyżej”.

Bez daty, sierpień 1950 roku. Oficer do swego następcy w zmianie: „Kazałem K. opowiedzieć swój życiorys. Ponieważ opowiadał niedokładnie, kazałem mu powtórzyć. K. wyraził się wówczas, żebym zapytał jego ojca. Oświadczyłem, że to fizyczna niemożliwość. K. na podstawie tego oświadczył „a więc mój ojciec umarł” i wybuchnął spazmatycznym płaczem... Gdyby zapytał Was o śmierć ojca, powiedzcie, że nic o tym nie wiecie”.

13 sierpnia 1950 roku. „Do ob. płk. Skulbaszewskiego. Raport. Melduję, że podejrzany K. podczas przesłuchania w dniu 12 sierpnia 1950 roku, będąc w stanie wielkiego zdenerwowania (podejrzany jest przesłuchiwany w postawie stojąc) upadł, uderzając przy tym mocno o podłogę”.

28 sierpnia 1950 roku. „Rozpocząłem pracę o 24.30 i pracowałem do godz. 3-ej. K. był tak śpiący, że nie można było z nim prowadzić żadnej rozmowy... Rozmowa z K. w nocy dzisiejszej ograniczała się do nie spać i pukania”.

3 września 1950 roku. „Uważam, że stan fizyczny K. należy jeszcze pogłębić... K. musi stracić chęć do życia a umrzeć mu nie damy”.

8 września 1950 roku. Oficer do swego następcy w zmianie: „K. będzie stał przez cały czas. Gdyby Wam się pokładał na podłogę, jak to mnie uczynił, to poproście żołnierza, wykopać solidnie i stać. Pracujcie do 3-ej”. — Z tejże daty notatka owego następcy: „Od godz. 23-3-. Stał na ogół spokojnie z tym, że kilka razy moczyłem mu głowę”.

9 września 1950 roku. „Godz. 23-3 (trzecia zmiana). Stał na ogół spokojnie z tym, że kilka razy moczył sobie głowę”.

12 września 1950 roku. „Bezczelny jak piorun. Przed kolacją mało mnie nie wyprowadził z równowagi. Zaczął za dużo gadać. Mówię zamknijcie gębę, zamknij mordę szpiegu — nic pomagało, aż w końcu pół szklanki wody chlusałem mu na mordę — pomogło, ale myślałem, że rzuci się do bicia”.

15 września 1950 roku. „K. jest wyczerpany, robię wszystko, by się bardziej wyczerpał”.

16 września 1950 roku. I-sza zmiana: „Dziś dałem K. solidny wycisk. Zdenerwował się i jest jak szmata... Będę pracował do 5-tej rano”. II-ga zmiana: „...próbował mi kłaść się na podłogę i musiałem go podnosić. Tak był wykończony, że nie reagował na szarpania”. III-cia zmiana: „Pracowałem z K. do 3-ej... K. bardzo zmęczony na nic nie reaguje. Z upartością godną osła K. twierdzi, że on nie jest winien”.

23 września 1950 roku. „K. na mnie zły, jak piorun, bo pokój trochę przewietrzyłem i na czas wietrzenia wyszedłem z pokoju. Powinien był trochę zmarznąć”.

19 października 1950 roku. „Od godz. 8-ej do 12.30 siedział... Zaczął się w pewnym momencie zastanawiać, pytam, nad czym a on mówi, że nad konstrukcją śledztwa — skorzystałem z tego i postawiłem go do 16-tej, gdyż nad tym może się zastanawiać, stojąc”.

23 października 1950 roku. „Od godz. 0.30 do 2-ej stał bardzo przyzwyczajony, tzn. bez pomocy ścian”.

26 października 1950 roku. „K. dostał dziś solidnie w kość, był zły bardzo. Doszedłem do wniosku, że K. to obecnie szmata... Szmata w tym sensie, że wielki z niego łotr a pod względem fizycznym to jeszcze daleko. Bezczelna świnią. Stał cały czas bez oparcia”.

Początek lutego 1951 roku. „Do godz. 0.20 spał strasznie, chodząc i siedząc. Moje groźne okrzyki i potrząsanie nie przyniosło zasadniczych rezultatów. Zastosowałem zupełnie nowy manewr. Spuściłem do celi — K. rozebrał się, położył i od razu musiał się ubrać i wrócić”.

Męczarnie zadawane więźniom wydanym w ręce Informacji nie były jedynie rodzaju fizycznego. Kombinowano je z subtelniejszymi metodami uderzeń psychicznych: groźbą pozbawienia

życia bez wyroku¹¹, łudzeniem, że skruszone przyznanie się zapewnia łagodny wyrok; straszeniem aresztowaniem rodziny; fałszywym informowaniem o ciężkim losie rodziny, który przyznanie się może odwrócić; powoływaniem się na interes Partii i Państwa; obiecywaniem szybkiego zwolnienia w razie wyjaśnienia sprawy przez przyznanie się; poddawaniem więźnia na przemian to ordynarnemu traktowaniu, to bardzo uprzejmemu odnoszeniu się do niego — by wywołać w nim przekonanie, że organy Informacji potrafią okazać łaskawość a więc, że trzeba się o nią starać; zadawaniem godzinami bez przerwy jednego i tego samego pytania itp.

Do jak perwersyjnej doskonałości doprowadzono system kombinowania metod fizycznych i psychicznych, tego dowód jest w sprawie generała Florianowicza.

Oficer Informacji, który prowadził śledztwo przeciw gen. Fl. oświadczył w listopadzie 1955 roku: „W połowie września 1950 roku wezwał mnie Skulbaszewski i oświadczył, że razem z mjr. Wołkowem z M.B.P. prowadzić będę śledztwo nad gen. Fl., który został zatrzymany na razie w willi na Saskiej Kępie... Od razu pojechaliśmy ze Skulbaszewskim do willi, gdzie był już Fl. z mjr. Wołkowem. Od razu po naszym przyjeździe do stołu podano wykwinną kolację i wino. Przy stole nie było mowy o sprawie”.

Dopiero po kolacji zaczyna się nacisk na przyznanie się. „Zatrzymany wielokrotnie zrywał się z miejsca, składał ręce i prosił, by mu dać czas do namysłu, ale wtedy ja zgodnie z instrukcjami przynaglałem go do odpowiedzi, ciągle podkreślając, że nie ma dużo czasu, gdyż należy szybciej kończyć sprawę i korzystać z szans, jakie mu daje śledztwo w sensie powrotu do wykonywania normalnych obowiązków na wolności”.

„...Luksusowe warunki willi z jednej strony a nacisk z drugiej — traktowanie Fl. jako „wolnego”, który natychmiast po złożeniu niezbędnych wyjaśnień zostanie zwolniony z jednej strony a nacisk śledztwa i przytaczanie wyjątków z zeznań aresztowanych z drugiej strony, wspólne posiłki, wino, rozmowy na tematy np. sztuki czy podróży z jednej strony a rozmowy o konspiracji z drugiej... — ten rodzaj postępowania dał „rezultaty”, gdyż od razu na wstępie Fl. był postawiony w sytuacji bez wyjściaowej, denerwował się niesłychanie — i zeznawał. W takiej atmosferze powstały pierwsze zeznania”.

„...W willi pracowałem z Fl. kilka dni — do chwili, kiedy po raz pierwszy zaczął odwoływać zeznanie a wówczas przewieźliśmy go ze Skulbaszewskim do więzienia w G. Zarządzie Inf. Muszę zaznaczyć, że w ciągu tych kilku dni robiłem wszystko, by wywołać chaos i sprzeczne uczucia u Fl.”.

Po przewiezieniu Fl. do G. Zarządu Inf. zastosowano tam „całą gamę znęcania się”: wielogodzinne śledztwo na dwie zmiany, pozbawianie Fl. snu i ciepłego jedzenia, zimne tusze otrzewiające, stojki. „Gen Fl. załamał się psychicznie już pierwszego dnia (w willi) a dalsza praca nad nim

11. Groźba ta musiała przybierać bardzo realne kształty w umyśle więźnia, który przecież zdawał sobie sprawę z tego, że jest całkowicie odcięty od świata zewnętrznego, że co do jego losu panuje głucha cisza i że nie nie stoi na przeszkodzie temu, by jego likwidację przedstawić jako wynik normalnej choroby. O świadectwo lekarskie nie byłoby z pewnością kłopotu.

doprowadziła do tego, że już po miesiącu był kompletnie zrujnowany fizycznie i psychicznie. Zeznawał, płatał się, odwoływał zeznania, płakał, wyrwał sobie włosy, bił głową o ścianę... Ja nie zaniedbałem niczego, by ten stan pogorszyć. Skulbaszewski uczył mnie, że aresztowany musi być w ciągłym napięciu nerwowym, gdyż tylko taki stan doprowadza do zrezygnowania z oporu”.

Cztery lata męczy się generała Florianowicza w więzieniu. W listopadzie roku 1954 N. Prokurator Wojsk. postanawia uchylić areszt zarządzony we wrześniu 1950 roku, albowiem „z orzeczenia sądowo-lekarskiego wydanego przez Instytut Psycho-Neurologiczny w Pruszkowie wynika, że wymieniony znajduje się w chorobliwym stanie reaktywnym lękowo-depresyjnym, na skutek czego nie może on stanąć przed sądem”.

Wreszcie w styczniu 1955 roku umorzono śledztwo, pisząc w uzasadnieniu: „Od 12 marca 1951 roku nie protokołowano zeznań Fl. na skutek ich nielogiczności oraz ponieważ wymieniony zdradzał objawy choroby psychicznej, w związku z czym przebywał kilkakrotnie na badaniu w różnych zakładach dla psychicznie chorych... Należy stwierdzić, że śledztwo przeprowadzone w sprawie Fl. nie dostarczyło dostatecznych dowodów świadczących o prowadzeniu przez niego działalności szpiegowskiej i konspiracyjnej”.

Tak wyniszczono człowieka.

W kogo — a raczej w co — wyradzali się oficerowie śledczy Informacji przez kilka lat zaprawiani nienawiścią do bezbronnego człowieka, przyzywczajani do poniewierania nim i szantażowania go? Zważmy przy tym, że nie była to służba lekka. Wielogodzinne przesłuchania nocne, te zwłaszcza trwające do rana, odciskały się i na dręczycielu. Gra z więźniem w kotka i myszkę — tragiczna dla więźnia — odbijała się w końcu na nerwach „śledzia”, który przez 8 bitych godzin, tj. przez „zmianę”, wałkować musiał ten sam wąski temat wyznaczony na dany dzień¹². Oficer śledczy wiedział też, że sam jest śledzony, że jego życie prywatne podlega skrupulatnej kontroli; wiedział też z doświadczenia, że Informacja nie żartuje.

Rezultatem po kilku latach była deprawacja moralna i degradacja fizyczna normalnego przedtem młodego człowieka. Oficerowie śledczy katując innych, gnoili samych siebie.

Przed wejściem sprawy do N. Sądu Wojsk.

Po drodze z Informacji do sądu sprawa przechodziła, oczywiście przez prokuraturę, która obejmowała oskarżenie. Wyniki badania łamań praworządności na tej stacji męki więźniów będą

12. Trwanie każdego przesłuchania było przepisane w planie i jeśli oficer skrócił je choćby o 10 minut, musiał potem gęsto tłumaczyć się przed szefem nadzorującym śledztwo. Skracanie takie było niedopuszczalne wówczas zwłaszcza, gdy długotrwałość przesłuchiwań była składnikiem sposobu kruszenia więźnia.

przedstawione osobno. Tu stwierdza się jedynie, że w sprawach tatarskich niewiele pozostawało do dodania do tego, co przygotowała Informacja. Prokuratura otrzymywała całkowicie obrobione materiały — masywne tomy z przesłuchaniami obwinionych, przesłuchaniami świadków, protokołami konfrontacji (*żadnymi dowodami rzeczowymi nie operowano*) — nie wiedziała tylko, że materiały te nie były kompletne: co nie „zgadzało się”, co bruździło w konstrukcji wzniesionej przez Informację a przeto mogło wywołać podejrzenia, że konstrukcja ta jest sztuczna — to wszystko pozostawało w teczkach, które Informacja zachowywała u siebie. Rzeczą przedstawiciela prokuratury było teraz sporządzić akt oskarżenia i przygotować końcowe przemówienie — choć bywało, że w tym wyręczał go wytrwany publicysta polityczny i prokurator jedynie odczytywał to, co mu napisał ktoś inny.

Dużą rolę odgrywał prokurator na rozprawie, będąc faktycznie kierownikiem przewodu. W procesach tatarskich szczególną uwagę zwracano na to, by przewodniczący sędzia jakimś nieopatrzonym pytaniem do oskarżonego lub świadka nie rozburzył konstrukcji oskarżenia. Jakkolwiek kierownictwo N. Sądu Wojsk. umiało wywierać silny nacisk na orzecznictwo sędziów wojskowych (będzie o tym mowa w dalszym ciągu), to jednak fakt, że ustawa przyznawała tym sędziom niezawisłość, nie pozwalała zaufać im tak, jak prokuratorowi. Ten miał przed sobą tzw. „pytajnik”, to jest graficznie bardzo przejrzyste sporządzony wykres zaskakiwań oskarżonego kłopotliwymi pytaniami i wyciągań ze świadków słów, które by dziurawiły obronę oskarżonego. Z linii wytkniętych w tym wykresie prokurator nie zbaczał improwizacjami. Stwarzało to asekurację przed wszelką niespodzianką.

To przeniesienie faktycznego kierownictwa rozprawą na prokuratora, sprzeczne z tradycyjną metodą naszego sądownictwa, tłumaczono sędziom w dość nieoczekiwany sposób. Podczas gdy mianowicie zasadą w owych czasach było opatrywanie mianem reakcyjności i burżuazyjnej klasowości wszystkiego, co powstało w praktyce sądownictwa zachodniego — to w tym przypadku podawano jako wzór system angielski, w którym istotnie sędzia podczas przewodu zachowuje się stosunkowo biernie, przysłuchując się jedynie uważnie batalii pomiędzy dwoma adwokatami reprezentującymi jeden oskarżenie, drugi obronę. W szczególności przed rozprawą przeciw Tatarowi, Kirchmayerowi i in. — jak pisze w oświadczeniu złożonym Komisji sędzia, który przewodniczył na tej rozprawie — „gen. Romkowski wysuwał żądania, aby sąd jak najmniej pytań stawiał oskarżonym, co uzasadniał tym, iż ze względu na obecność na sali rozpraw przedstawicieli

prasy zagranicznej wskazane jest, by sąd wykazał w sposobie prowadzenia rozprawy jak najdalej idącą obiektywność. Przypominam sobie, iż gen. Romkowski czynił zarzut ppłk. Bojce z tego powodu, że pytaniem przerwał wyjaśnienia osk. Utnikowi, względnie, że postawił nieodpowiednie pytanie”.

Obiektywność sędziego angielskiego upatrywano zatem w tym (ściśle mówiąc, tak to wmawiano naszym sędziom wojskowym), że siedzi na rozprawie, jak uperuczona mumia. O tym, że system angielski ma za przesłankę całkowitą równość obu stron i nieprzyznawanie oskarżeniu żadnych praw, których byłaby pozbawiona obrona (nie mówiąc już o tym, że wtrącanie się do rzeczy sędziowskich dygnitarza władz śledczych, jakim był gen. Romkowski, byłoby w Anglii nie do pomyślenia) nie mówiono sędziom, którym polecano nie dopuszczać obrońców do rozprawy i którzy widzieli bezzasadność oskarżonego wobec wykwalifikowanego ataku prokuratorskiego. Nie mówiono im również, że wedle sądowych obyczajów tamtejszych niemożliwe byłyby wypadki oskarżyciela w stylu, że obwinieni to „wściekłe psy — powystrzelać ich co do nogi”. A taki właśnie styl oskarżycielski stawiano za wzór prokuratorom wojskowym w sprawach kontrrewolucyjnych.

Dnia 1 marca 1957 roku dziennik *Izwiestia* opublikował artykuł A. Piontkowskiego (przedrukowała go *Trybuna Ludu* z dnia 4 marca 1957) stwierdzający, że „w ciągu wielu lat kierowniczą rolę w radzieckiej nauce prawa odgrywały prace A. J. Wyszyńskiego”. Prace te wyrządziły, zdaniem autora, „wielką szkodę rozwojowi radzieckiej nauki prawa”, toteż „niezmiernie pilnym zadaniem radzieckich uczonych — prawników jest przeprowadzenie rewizji teoretycznej spuścizny A. J. Wyszyńskiego, poddanie wszechstronnej krytyce błędnych tez zawartych w jego pracach”.

Ale w okresie procesów tatarskich daleko było do tego rodzaju stosunku do prac Wyszyńskiego. U nas zwłaszcza uchodziły one za bezkwestyjne osiągnięcia w dziedzinie teorii i praktyki socjalistycznego prawa karnego. Na tym jednak nie koniec. Za wzór podawano nie tylko Wyszyńskiego — naukowca, lecz także Wyszyńskiego — prokuratora, Wyszyńskiego — oskarżyciela w głośnych likwidatorskich procesach politycznych. Toteż mowy prokuratorów w sprawach tatarskich nie unikały zwykłych wyzwisk pod adresem oskarżonych oficerów, były gęsto poprzetykane wyrażeniami, jak „banda grasująca w Wojsku Ludowym”, „ohydni zbrodniarze”, „perfidny zdrajca”, „plugawy szpieg”, „haniebny sługus imperializmu” itp.

Przedłużanie aresztu śledczego

W związku z etapem, o którym mowa w tej chwili, należy wspomnieć o szczególnej nonszalancji, z jaką w N. Sądzie Wojsk. traktowano sprawę przedłużania aresztu śledczego. Wedle art. 104 KWPK trzymanie podejrzanego w areszcie tymczasowym dłużej, niż sześć miesięcy, jest dopuszczalne jedynie za zgodą sądu, „gdy ze względu na szczególne okoliczności sprawy dochodzenia lub śledztwa w terminie (powyższym) nie można było ukończyć”. Wynika z tego, że nad każdym przedłużeniem aresztowania ponad 6 miesięcy winien był zastanowić się sąd, tj. komplet trzech sędziów, i wydać uzasadnione orzeczenie w formie postanowienia.

Do postanowień takich odnosiła się powszechna zasada proceduralna, wedle której orzeczenia sądowe — czy to wyroki czy postanowienia — podpisują wszyscy sędziowie, którzy je wydali. Jest to rzecz, która w każdej praktyce sądowej rozumie się sama przez się. Ale tego właśnie chciano uniknąć w N. Sądzie Wojsk., skoro wzięto się na następujący sposób.

Art. 27 § 2 KWPK brzmi: „Postanowienia *nie umieszczone w protokole* podpisują wszyscy, którzy je wydali”. Jest oczywiste dla każdego prawnika, że postanowienia umieszczone w protokole i nie wymagające podpisów swoich autorów — to nie orzeczenia w ścisłym znaczeniu a więc nie decyzje wpływające na rozstrzygnięcie sprawy lub los oskarżonego, ale postanowienia porządkowe o charakterze wпадkowym.

Taką wykładnię dyktują podstawowe zasady myślenia proceduralnego. Postanowienie bowiem będące orzeczeniem winno być — jako takie — odrębnym dokumentem, na który można się powoływać, który można w razie potrzeby przedstawić w oryginale i który ma pełną wartość dowodową wówczas dopiero, gdy jest podpisany przez wszystkich, którzy powzięli daną uchwałę. Natomiast protokół stwierdza jedynie, wśród jakich okoliczności doszło do takiego orzeczenia i wobec tego nie może zastąpić samego orzeczenia. Toteż protokół jest dokumentem o stosunkowo słabszym znaczeniu i dlatego nie wymaga takiego uwierzytelnienia, jak samo orzeczenie: wystarcza, gdy go podpiszą przewodniczący i protokolant (art. 149 § 1 KWPK).

Teraz rozumiemy, jaką wygodę przy przedłużaniu aresztu tymczasowego dawała wolta dokonana w N. Sądzie Wojsk. przy pomocy wykręcenia sensu art. 27 § 2 KWPK. Zdecydowawszy, że postanowienie o przedłużeniu aresztu tymczasowego, które z natury rzeczy i z logiki prawniczej jest orzeczeniem sądowym i po-

winno mieć własny byt dokumentarny — m o ż e być umieszczone w protokole, kierownictwo N. Sądu Wojsk. uzyskiwało wolną rękę. Nie potrzeba już było zbierać pod takim postanowieniem podpisów wszystkich sędziów, którzy je wydali — co w praktyce oznaczało, że nie potrzeba było nikogo z sędziów zaznajamiać z faktem przedłużenia aresztu tymczasowego; wystarczyło sporządzenie protokołu r z e k o m e g o posiedzenia, na którym również r z e k o m o zapadło postanowienie podpisania tego protokołu przez płk. Świątkowskiego w charakterze przewodniczącego i uzyskanie jeszcze podpisu protokolanta, tj. oficera służbowo podległego płk. Świątkowskiemu.

Zgodnie z tym przygotowano na powielaczu formularze protokołów posiedzeń, na których miały zapadać postanowienia o przedłużaniu aresztu tymczasowego. I tu fikcja staje się od razu widoczna. Bo formularze miały wprowadzić nagłówek „Protokół posiedzenia niejawnego” (co sugerowało, że chodzi o posiedzenie z wokandą obejmującą szereg spraw), ale w treści swej mówią o jednej tylko jedynej czynności dokonanej na tym posiedzeniu: o powzięciu postanowienia, że przedłuża się tymczasowe aresztowanie takiej to a takiej osoby.

Art. 27 § 2 KWPK, mówiąc o postanowieniach umieszczonych w protokole i jako takie nie wymagających podpisów autorów, ma oczywiście na myśli protokół, który obejmuje s z e r e g czynności dokonanych na posiedzeniu, a między innymi także powzięcie wypadkowych postanowień. Gdy jednak protokół nie obejmuje ż a d n e j innej czynności prócz powzięcia — i to bez dyskusji — j e d n e g o postanowienia, to staje się jasne, że chodzi tu o pospolite obejście przepisu nakazującego zebrać podpisy sędziów wydających orzeczenie. Nie trudno też odgadnąć, do czego było potrzebne to obejście.

Postanowienia o przedłużaniu aresztowania tymczasowego ochrzczone mianem „protokołów posiedzenia niejawnego” podpisywał (zgodnie z przepisem o podpisywaniu protokołów) przewodniczący, tj. zawsze płk Świątkowski oraz — we wcześniejszych czasach — protokolant. Obecnie jednak sędziowie, wymieniani w formularzach jako uczestnicy posiedzenia, przeczą, iżby kiedykolwiek brali w nich udział. Protokolant, którego podpis najczęściej figuruje na formularzach z wcześniejszego okresu, por. Kozłowski, przesłuchany przez Komisję oświadczył, że z d a j e mu się, iż bywał na owych posiedzeniach i widział na nich sędziów, że jednak n a p e w n o zdarzało się tak, iż płk Świątkowski wzywał go do siebie, wręczał mu plik podpisaných przez siebie protokołów i twierdząc, że postanowienia o

przedłużeniu aresztu zapadły na regularnym posiedzeniu — oddawał mu formularze do podpisania.

Inny protokolant (wówczas kapitan, dziś mjr Freytag) w oświadczeniu dla Komisji opisuje wyraźnie całą procedurę:

„Protokoły wykonane były masowo na powielaczu z wypisanymi nazwiskami składu sędziów, jak: płk Świątkowski, płk Tomaszewski, ppłk Aspis, i moje nazwisko, kpt. Freytag, jako protokolanta. W posiedzeniach nigdy nie brałem udziału. Druki posiadał płk Świątkowski i częściowo były u mnie w kancelarii tajnej N.S.W.

Podpisane protokoły przez płk. Świątkowskiego, po trzy egzemplarze na jedną osobę, najczęściej przynosił do mnie do kancelarii tajnej N. Sądu Wojsk. płk Frenkiel z N. Prokuratury Wojsk., względnie jakiś oficer z G. Zarządu Inf. w celu przyłożenia pieczęci okrągłej i podpisania jako protokolanta. Bardzo często podawano mi te protokoły jako bardzo pilne w ilości kilkunastu, tłumacząc, abym nie odczytywał nazwisk, bo przecież Prezes N. Sądu Wojsk. podpisał — „co was ciekawią osoby, na które wystawiono protokół”. Protokoły posiedzeń z moim podpisem są, że się tak wyrażę, jako druga seria. W pierwszej serii występowały nazwiska płk. Świątkowskiego, o ile pamiętam, ppłk. Hochberga i bodajże płk. Szelińskiego, a jako protokolant, por. Kozłowski.

W końcu oświadczam, że z chwilą, gdy kazano mi wspomniane protokoły posiedzeń podpisywać jako protokolantowi, zwróciłem się do Prezesa N. Sądu Wojsk., że chcę założyć ewidencję, bo inaczej gubimy się z terminami i nazwiskami. Płk Świątkowski kategorycznie mi zabronił zaprowadzenia jakichkolwiek notatek tłumacząc, że ewidencję taką prowadzi kto inny i, jak się wyraził, 'was niech to nie nie obchodzi'”.

W późniejszym czasie zrezygnowano i z tej formalności: miejsce na podpis protokolanta jest puste i cały dokument ma jeden tylko jedyny podpis — płk. Świątkowskiego. W tych warunkach pewne jest tylko to, że w decydowaniu o przedłużeniu aresztu uczestniczył płk Świątkowski; brak natomiast dowodu, iżby uczestniczył w tym jeszcze ktoś inny. Pamiętajmy, że protokolanci, których podpisy były dawane na wiarę, byli oficerami podległymi płk. Świątkowskiemu jako dowódcy jednostki, którą był N. Sąd Wojsk.

Dodajmy wreszcie, że formularze nie zawierały miejsca na indywidualne uzasadnienie przedłużenia aresztu, lecz wszystkie miały z góry wydrukowane następujące „uzasadnienie”: „... albowiem z uwagi na szczególne okoliczności sprawy śledztwa nie można było ukończyć w terminie wskazanym w art. 104 § 2 KWPK”. Było to zatem jedynie powtórzeniem słów ustawy, co nie może zastąpić prawidłowego uzasadnienia, które ma właśnie podawać, dlaczego słowa ustawy mają zastosowanie do danego przypadku.

Mamy w ten sposób odsłoniętą niewyszukaną machinację,

dzięki której płk Świątkowski mógł samodzielnie decydować o przedłużaniu tymczasowego aresztowania.

Przykładu zaś swobody, z jaką przedłużało się „tymczasowe” aresztowanie, dostarcza sprawa płk. Uziembły, j e d y n e g o uniewinnionego spośród 92 osób sądzonych w sprawach tatarskich. Ten oficer — niewinny w oczach nawet sądu zaiste nieskorego do takiego uznania — był aresztowany dnia 1 listopada 1949 roku. Przez dwa miesiące trzymano go do dyspozycji UB bez żadnej decyzji prokuratorskiej a więc najzupełniej bezprawnie. Dopiero 28 grudnia 1949 roku oficer śledczy Min. B. P. zwrócił się do N. Prokuratury Wojsk. o „zastosowanie” aresztu. Tegoż samego dnia zapadło postanowienie o tymczasowym aresztowaniu płk. Uziembły z terminem do 1 lutego 1950 roku.

Ale minął nie tylko 1 luty, ale także i 1 marca, 1 kwietnia, 1 maja, 1 czerwca i 1 lipca 1950 roku, a płk Uziembło nadal pozostawał w areszcie — bez żadnej prawnej sankcji. Dopiero 8 lipca 1950 roku oficer śledczy wystąpił o przedłużenie aresztu do... 1 maja 1950 roku (a więc daty, która minęła od dwóch z górą miesięcy). Teraz zaczęło się „sanowanie”. Dnia 15 lipca 1950 roku, Nacz. Prokurator Wojsk. przedłużył tymczasowe aresztowanie do dnia 1 maja 1950 roku (sic), o czym więźnia zawiadomiono... 26 lipca 1950 roku. Dnia zaś 17 lipca 1950, N. Sąd Wojsk. przedłużył areszt do 1 listopada 1950 roku. Potem już N. Sąd Wojsk. przedłużał raz po raz:

dnia 28. XII. 50 do 1. V. 51	(a więc znów przez dwa miesiące
dnia 18. V. 51 do 1. XI. 51	nie było sankcji)
dnia 13. XI. 51 do 1. V. 52	
dnia 27. V. 52 do 1. XI. 52	
dnia 5. XI. 52 do 1. II. 53	
dnia 21. II. 53 do 5. VIII. 53	
dnia 1. VIII. 53 do 5. I. 54	
dnia 30. XII. 53 do 5. IV. 54	
dnia 16. IV. 54 do 5. V. 54.	

Rozprawa rozpoczęła się 24 czerwca 1954 roku. „Tymczasowe” aresztowanie oficera później uniewinnionego trwało więc — dzięki dokonany m w N. Sądzie Wojsk. sztukom z przedłużaniem — bez mała pięć lat.



Ostatnia rzecz, na którą należy wskazać, zanim zaczniemy śledzić przebieg spraw tatarskich już w N. Sądzie Wojsk., to fakt, że przez cały czas — od zatrzymania do końca rozpraw w N. Sądzie Wojsk. — aresztowani pozostawali w d y s p o z y c j i G. Zarządu Inf. Była już mowa o tym, że przy przesłuchaniach dokonywanych przez prokuratora wojskowego był obecny oficer G. Zarządu Inf. przypominając tą swoją obecnością więźniowi, co go czeka, gdyby zbyt n i e w y w n ę t r z a ł się przed prokuratorem. Teraz dodajmy, że niejawnie i bez obrońców prowadzone rozprawy w niemal wszystkich sprawach odpryskowych

odbywały się nie w gmachu N. Sądu Wojsk. ale w całkowicie od świata zewnętrznego odciętym gmachu G. Zarządu Inf.¹³.

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego oskarżeni ani przed prokuratorami wojskowymi, ani nawet wówczas, gdy stawali na rozprawie przed sędziami N. Sądu Wojsk., nie zmieniali zeznań, które oficerowie śledczy G. Zarządu Inf. wymusili na nich wiadomymi metodami. Nie tracili oni przecież nigdy świadomości, że bez względu na stadium sprawy i bez względu na to przed kim zeznają — zawsze i bez przerwy są w uchwycie Informacji.

Jak zaś daleko sięgały te wpływy i jak Informacja potrafiła dawać się we znaki tym, którzy próbowali burzyć tworzone przez nią fikcje, tego dowód mamy w fakcie, że nawet w razie ułaskawienia od kary śmierci skazani pozostawali jeszcze pod wrażeniem swego całkowitego zdania na niełaskę przemożnych władz śledczych.

Tak np. płk Chojecki w czerwcu 1954 roku (tj. w pięć miesięcy po ułaskawieniu na dożywotnie więzienie) poskarżył się oficerowi G. Zarządu Inf., że jego wyjaśnienia swego czasu były wymuszone metodami śledztwa. Ale w sześć tygodni później odwołał tę skargę jako nieuzasadnioną, prosząc, by ją „przypisać wyłącznie mojemu stanowi psychicznemu, na skutek którego złożyłem zeznania, iż działalności szpiegowskiej nie prowadziłem. Podtrzymuję swoje zeznania, złożone w toku śledztwa i na rozprawach sądowych, ponieważ są one zgodne z rzeczywistością stwierdzając zarówno mój udział w działalności konspiracyjnowywiadowczej, jak i ludzi ze mną powiązanych w tej działalności”.

Jak wytłumaczyć, że człowiek, który już przestał obawiać się o swe życie, w dalszym ciągu obwinia się o niepopelnione (jak później stwierdzono) przestępstwa? Wyjaśnienie jest proste. W roku 1955, w zmienionej atmosferze — kiedy skazani w sprawach tatarskich jeden po drugim definitywnie już odwoływali swe zeznania — płk Chojecki oświadczył, że odwołał swoją

13. Świadkowie, którzy z wolności przychodzili na przesłuchanie do G. Zarządu Inf., podpisywali następujące zobowiązanie: „Ja, niżej podpisany, zobowiązuję się zachować jak najściślej tajemnicy o tym, że byłem przesłuchiwany w dniu (tu data) na temat (tu podane nazwisko „rozpracowywanego”). Jestem uprzedzony, że za niedotrzymanie niniejszego zobowiązania będę pociągnięty do odpowiedzialności karno-sądowej, jak za zdradę tajemnicy służbowej”.

Dla prawnika jest jasne, że groźba w tej formie była czczą, bo nikogo nie można pociągnąć do odpowiedzialności sądowej „jak” za zdradę tajemnicy służbowej; nasze prawo karne nie zna takiej analogii. Ale dla laika wystarczała i to tłumaczy, dlaczego ludzie — szczęśliwi, że wyszli cało z gmachu zaludnionego straszidłami — trzymali potem język za zębami.

skargę wobec oficera Informacji, gdyż „po paru dniach pociągnięto mnie do czyszczenia ubikacji, korytarzy i kiblów, do czego przedtem nie byłem pociągany”.

W NAJWYŻSZYM SĄDZIE WOJSKOWYM

Art. 33 Prawa o ustroju sądów wojskowych mówi, że „do właściwości N. Sądu Wojsk. należy rozpoznawanie za zgodą Naczelnego Dowódcy spraw dowódców dywizji, korpusów, i zajmujących równorzędne stanowiska służbowe, oraz i n n y c h osób”. Na podstawie tych ostatnich dwóch głuchych słów sprawy tatarskie były rozpoznawane już w pierwszej instancji w Najwyższym Sądzie Wojskowym, a więc w składzie, w którym na trzech sędziów powinno być co najmniej dwóch sędziów N. Sądu Wojsk. Czy to zapewniało lepszy osąd lub większą niezawisłość zdania sędziowskiego? Wątpliwości ogarniają, gdy zważyć dwa fakty.

Po pierwsze, zwraca uwagę, że do kompletu sądzącego włączano z upodobaniem mjr. Karczmarza, który nie miał za sobą regularnych studiów prawniczych (wbrew art. 46 § 2 Prawa o ustroju sądów wojskowych, mówiącego, że „oficerem lub generałem służby sprawiedliwości może być jedynie oficer, który posiada wykształcenia prawnicze”¹⁴).

Po wtóre, bezpośredniość codziennego stykania się sędziów N. Sądu Wojsk. z prezesem tego sądu, płk. Świątkowskim, stwarzała temu ostatniemu wygodne okazje do manifestowania swego sposobu pojmowania art. 51 Prawa o ustroju sądów wojskowych, który mówi: „Oficerowie i generałowie służby sprawiedliwości są w sprawowaniu czynności sędziowskich niezawisli i podlegają jedynie prawu”. Płk Świątkowski stał się mianowicie twardym stróżem polityki wobec „wrogów” i z całą energią (a miał ją niespożytą) tępił wszelką chwiejność sędziów w stosowaniu najostrzejszej represji tam, gdzie w grę wchodziła rzekoma akcja kontrrewolucyjna pod jakąkolwiek postacią.

14. Umysłowość tego sędziego charakteryzuje jego sentencja, wypowiedziana wobec kpt. Wiącka, który jako prokurator występował na rozprawie przeciwko płk. Uziemble. Jak relacjonuje ten prokurator, w przerwie po zakończeniu postępowania dowodowego, mjr Karczmarz zwrócił się do niego z zapytaniem: „Co pan sądzi o tej sprawie?”. Kpt. Wiącek odpowiedział, że nie widzi przekonujących dowodów winy. A na to mjr Karczmarz: „My sędziowie nie od Boga. Jak trzeba skazać, to skazemy”.

Zanim jednak przejdziemy do bliższego scharakteryzowania roli płk. Świątkowskiego, musimy uprzytomnić sobie klimat polityczny, wśród którego działał i do którego podtrzymania walcie się przyczyniał Prezes N. Sądu Wojsk.

Publicystyka okresu

Proces w sprawie centralnej — otwierający krwawy szlak dalszych procesów — rozpoczął się dnia 31 lipca 1951 roku.

Jest to niespełna dwa lata po tym, kiedy B. Bierut, w referacie na kwietniowym (1949) plenum K.C. wskazywał jako jedno z zadań politycznych Partii: „... wzmocnić musimy naszą walkę z obcą agenturą, wyostrzyć i udoskonalić formy tej walki, skuteczniej odstawiać i unieszkodliwiać środki obcej agentury. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że wróg bardziej, niż kiedykolwiek, będzie wznosił sabotaż i dywersję, będzie próbował przenikać i rozmieszczać się w naszym aparacie państwowym i gospodarczym w najczulszych jego miejscach” (*Nowe Drogi*, 1949, zeszyt II, str. 43).

Pomiędzy czasem powstania tego referatu a pamiętnym III Plenum z listopada 1949 roku był proces Rajka we wrześniu tego roku. W zeszycie V *Nowych Dróg* (wrzesień-październik 1949) w dwóch artykułach dano wskazania dla Polski na tle wyników tego procesu. W pierwszym z nich („Nauki procesu Rajka”) powiedziano:

„Proces Rajka uzbraja nas do walki z prowokatorami, dwulicowcami, przekupnymi karierowiczami, z bandytami faszystowskimi i ich WRN-owskimi poplecznikami, którzy przedostają się do Partii i przemysłnie maskują swe prawdziwe oblicze agentów i szpiegów”.

W drugim („Walka trwa”), po ustępie mówiącym o „zdemaskowaniu arcyprowokatora Tito i jego szajki” czytamy:

„Ciosy władzy ludowej, które spadły na dywersantów nasyłanych przez wroga klasowego, pozwoliły na zorientowanie się w rozmiarach kreciej roboty, pozwoliły zorientować się, na jakie elementy w Polsce liczyli faszyci titowscy”.

I autor cytuje z przemówienia B. Bieruta „na ostatnim Plenum K.C.”: „Historyczne doświadczenie uczy, że imperialiści i elementy kapitalistyczne wewnątrz kraju pobite w masowej walce politycznej przechodzą w coraz silniejszym stopniu do stosowania metod szpiegostwa, sabotażu i dywersji”.

Na III Plenum w listopadzie 1949 roku referat B. Bieruta miał znamienity tytuł „Zadania Polski w walce o czujność rewolucyjną na tle sytuacji obecnej”. Podawał on te hasła, które w najbliższym zwłaszcza czasie — a więc w okresie właśnie montowania spraw tatarskich — miały stanowić naczelne wytyczne dla myślenia politycznego wszystkich władz i wszystkich nauczycieli ideologii w Polsce:

„W tym momencie musimy bardziej, niż kiedykolwiek wzmóc naszą klasową, bojową i rewolucyjną czujność... Podstawowym warunkiem, o którym nie wolno zapominać ani na chwilę, jest czujność bojowa całej Partii i każdego jej ogniwa. Nie wolno nam ani na chwilę spuszczać z oczu wroga klasowego i jego chytrych, podstępnych posunięć. Być czujnym! — oto nakaz, który powinien towarzyszyć nieustannie każdemu z nas zarówno w każdym momencie pracy partyjnej, zawodowej i społecznej, jak i na każdym kroku zespołowego czy osobistego życia. Dopóki wróg klasowy istnieje i działa — trzeba być czujnym. Być czujnym — to znaczy przyspieszać zagładę imperialistów, to znaczy umacniać zręby budownictwa ustroju socjalistycznego”.

W ciągu półtora roku, jakie dzieliło III Plenum od procesu Tatara, Kirchmayera i innych oskarżonych ze sprawy centralnej, B. Bierut w swych referatach wracał do tematu czujności, silnie akcentując potrzebę tropienia zdradzieckich ekspozytur wroga wewnętrznego. W referacie na IV Plenum (1950) pisał: „Imperialiści amerykańscy, podżegacze wojenni, opiekunowie hitlerowskich zbrodniarzy wojennych i japońskich trucicieli i hodowców śmiercionośnych bakterii snują plany o nowej rzezi”. I w związku z „totalną dyplomacją”, która jest symbolem amerykańskiej polityki agresji i wojny, ostrzegał: „W tej totalnej dyplomacji niepoślednią rolę odgrywa zdradziecka szajka Tito, Kardelja, Rankowicza, Dżilasa. Dyrygowana przez amerykańskich totalnych dyplomatów banda ta... chce się zasłużyć jako kanał dywersji Stanów Zjednoczonych w krajach demokracji ludowej”.

W referacie na VI Plenum (ogłoszonym w I zeszytzie *Nowych Dróg* z roku 1951) czytamy:

„Nie ma narodu, który by nie czuł, że obecna polityka imperialistów amerykańskich i ich wasali usiłuje wtrącić świat w nową katastrofę, że oznacza ona bezpośrednie przygotowywanie nowej wojny światowej, nowego łańcucha zbrodni...”

„Nie ulega wątpliwości, że od czasu IV Plenum K.C., na którym rozpatrywaliśmy ówczesne tendencje i niebezpieczeństwa awanturniczej polityki obozu imperialistycznego, sytuacja międzynarodowa jeszcze bardziej skomplikowała się i zaostrzyła...”

„Wypierane warstwy burżuazyjne chwytają się coraz ostrzejszych form walki zstających się częstokroć z dywersją, sabotażem, szpiegostwem, z prowokacją, z podziemną akcją bandecką, z działalnością głęboko zakonspirowaną...”

wanych agentur imperialistycznych... Na te elementy karzący miecz naszego wymiaru sprawiedliwości będzie spadał z całą surowością prawa”.

Zbędne przypominać, jak ton tych oskarżeń — podchwycyony przez organy prasowe i przez rzesze aktywistów — w ciągu najbliższego okresu nabrzmiewał, aż urósł w grzmot głuszący spokojną refleksję. Nazajutrz po procesie Tatarów, w zeszycie *Nowych Dróg* z lipca-sierpnia 1951, tak pisał szef Gł. Zarządu Polit. MON w artykule pt. „Nauki procesu bandy szpiegowsko-dywersyjnej”:

„Liczne są nauki płynące z procesu bandy szpiegowsko-dywersyjnej, która działała w Wojsku Polskim. Odsłonił on nie tylko dno upadku i zaprzaństwa niedobitków burżuazji polskiej i zbrodnicze wojenne oblicze jej imperialistycznych mocodawców, lecz ukazał równocześnie całą perfidię metod obozu wstecznictwa, całą zakulisową maszynę tej długofalowej kreciej roboty różnych ośrodków reakcji rodzimej i zagranicznej...

„Proces bandy szpiegowskiej ujawnił, że jeszcze w latach 1943-1944... stare lisy sanacyjne Kopański, Tatar, Kirchmayer, inspirowani przez Churchillów i magnatów z Wall Street, widząc, że zwycięstwo armii radzieckiej jest niewątpliwe, knują plany zbrodniczej dywersji przeciw przyszłej władzy ludowej. Już wówczas londyńska mafia ustaliła, że Kirchmayer wejdzie wraz z grupą reakcyjnych oficerów do ludowego wojska polskiego z zadaniem opanowania go od wewnątrz...

„Na polecenie obcego wywiadu i jego transmisji — londyńskiego ośrodka zdrajców — Tatarów i Kopańskich — powstaje w naszym wojsku bandycki ośrodek konspiracyjny, gniazdo spiskowców przeciw naszej ludowej władzy. Nędzne kreatury — Kirchmayer, Herman, Kuropieska, Mossor, plugawe płazy sanacyjnego reżimu i jego faszystowskiej armii, wkradłszy się podstępnie w zaufanie naszej klasy robotniczej, za judaszowe srebrniki, za amerykańskie dolary, planują zagarnięcie władzy, przekreślenie niepodległości Polski, wydanie Ojczyzny naszej w niewolę imperializmu anglo-amerykańskiego...

„W momencie gdy Partia mobilizuje cały naród do walki o pokój i socjalizm, trzeba nieustannie wykazywać antynarodowe, prowojenne oblicze nacjonalistów, dywersantów i szpiegów, którzy służą śmiertelnym wrogom naszej Ojczyzny w imię swych egoistycznych klasowych interesów i chcieliby zgotować Polsce los krajów zmarshallizowanych”.

Sądzę, że nie należało szczędzić tych cytatów, gdyż bez do k ł a d n e g o uprzytomnienia sobie, wśród jakich nastrojów ogólnych i jakich nastawień idących z góry sędziowie N. Sądu Wojsk. sądzili sprawy tatarskie, nie zdobędziemy się na obiektywną ocenę ich rażącego nas dziś zachowania się. Nie o to też chodzi, by wypominać politykom i publicystom tamtych lat to, co w świetle późniejszego rozwoju okazało się błędem.

Nie można przecież powiedzieć, że alarmy były całkowicie bezpodstawne i że czynniki kierownicze nie miały obowiązku nawoływania do czujności. Obowiązek taki *był* — nie otaczała nas życzliwość i dobra wola świata, który opuściliśmy, wchodząc na

drogę do socjalizmu. Zimna wojna wydana przez otoczenie kapitalistyczne nie była bynajmniej fikcją.

Złem była dopiero utrata równowagi duchowej przy propagowaniu czujności. Złem było rozgrzanie atmosfery alarmów tak, że zrodziła się w niej historyczna podejrzliwość. Złem było rzućcie dość na oślep słowami takimi, jak „tępić bezlitośnie”, „wykarczowywać”, „wykurzać z kryjówek” itp. Złem było, że musieli umilknąć ludzie, którzy nie chcieli przyłączać swego głosu do chóru podjudzań a doznawali zachęty ludzie, co radzi posługiwali się energicznie w dyskusjach argumentem o bandzie zdrajców, o zaprzęgnięciu się za srebrniki amerykańskie, o szajce dążącej do przekreślenia niepodległości Polski, o plugawej prowokacji w interesie imperializmu, o nędznych kreaturach chcących wydrzeć władzę ludowi itp.

Najgorsze zaś było, że w wypowiedziach takich, jak przytoczone wyżej, było dużo materiału łatwo palnego, który mogli podchwycić demagodzy i — niestety — wprowadzić do sądownictwa. Eugeniusz Śmiarowski powiedział w jednej ze swych wspianych mów obrończych, że z sądu należy demagogię wypędzić tak, jak wypędzono przekupniów z świątyni. Tymczasem wszystkim wymienionym wyżej rodzajom zła — nie wyłączając demagogii — otwierał drogę do sądownictwa wojskowego prezes N. Sądu Wojsk. płk Świątkowski.

Pułkownik-prezes

Atmosferę w N. Sądzie Wojsk. za prezesury płk. Świątkowskiego (od listopada 1950 do czerwca 1954) i jego osobistą rolę uzmysłowi kilka wyjątków ze złożonych na zapytanie Komisji oświadczeń sędziów N. Sądu Wojsk. z omawianego okresu. Zbieżność tych oświadczeń nie pozostawia wątpliwości, że zawarta w nich charakterystyka jest trafna i wyczerpująca.

Sędzia Dziwogo:

„Był to człowiek żelaznej woli, wyjątkowo pracowity, wymagający, w stosunku do podwładnych wyniosły, apodyktyczny a przy tym chorobliwie podejrzliwy i okrutny...

„Pracę swą w N. Sądzie Wojsk. zainaugurował odprawą, na której w słowach bardzo ostrych obciążył sędziów N. Sądu Wojsk. odpowiedzialnością za stan zaległości w tym sądzie i postawił przed sędziami jako najważniejsze zadanie — zlikwidowanie tych zaległości. Wystąpienie płk. Świątkowskiego na tej odprawie było zapowiedzią rządów 'silnej ręki'. Zaraz potem

nastąpiła zmiana na stanowisku zastępcy prezesa. Na miejsce płk. Drohomireckiego, przedwojennego sędziego, przyszedł płk Tomaszewski. Rozpoczęła się orka, niszcząca siły fizyczne i umysłowe. Posiedzenia odbywały się po południu i przeciągały się do późna w nocy. Godziny przedpołudniowe przeznaczone były na przygotowywanie się do posiedzeń i pisanie uzasadnień. Sędziowie mieli po dwa posiedzenia tygodniowo a w referacie przeciętnie 7-8 spraw. Uzasadnienia musiały być sporządzone najpóźniej w ciągu od 7 do 10 dni...

„Zaprowadzony system nie pozwalał na wnikliwe zbadanie sprawy i przemyślenie decyzji. Uwaga sędziego skierowana była przede wszystkim na to, by za wszelką cenę nadążyć za ruchem taśmy, która w regularnych odstępach podsuwała mu coraz nowe porcje spraw i by nie narazić się na publiczną krytykę płk. Świątkowskiego.

„Płk Świątkowski różnymi sposobami wywierał nacisk na orzecznictwo... Przede wszystkim wpajał sędziom N. Sądu Wojsk. pewne tzw. zasady, zaczerpnięte z praktyki radzieckiej i uznane za wzorcowe. Należy tu wymienić: stabilność i pryncypialność. Walka o stabilność wyroków miała na celu podniesienie autorytetu sądów I-szej instancji. Wychodziło się z założenia, że autorytet orzeczenia sądowego tkwi przede wszystkim w jego niewzruszalności, toteż zalecona była jak najdalej idąca ostrożność przy uchylaniu wyroków z przyczyn formalnych. Skoro wina została oskarżonemu udowodniona, to takie czy inne naruszenia procesowe uważać należało za nieistotne. Drugim dogmatem była zasada pryncypialności przy łagodzeniu kary. Karę wolno było łagodzić tylko w sposób wydatny. Łagodzenie kar np. z lat 15 do 12, z 12 do 10, czy z 7 do 5, uważano za niepryncypialne i na odprawach służbowych potępiano¹⁵.

„Nie przypominam sobie, by płk Świątkowski wywierał kiedy nacisk na sędziów przy rozstrzyganiu jakichś konkretnych spraw. Sądzę, że przypadków takich raczej nie było. Nacisk na sędziów w kierunku orzekania według pewnej linii wywierany był przez niego w inny — pośredni sposób. Działo się to poprzez wytyki w rozmowach indywidualnych z sędzią po zapadnięciu orzeczenia, poprzez odprawy służbowe i konsekwencje partyjne.

„Sprawy odchodziły z N. Sądu Wojsk. w teren za podpisem bądź prezesa bądź też jego zastępcy. Zastępca prezesa, ... płk Tomaszewski zatrzymywał sprawy, w których jego zdaniem zapadły błędne orzeczenia N. Sądu Wojsk. i przekazywał je płk. Świątkowskiemu. Płk Świątkowski w tych sprawach, gdzie uznał to za celowe, wzywał do siebie referenta, a czasami i przewodniczącego kompletu i w słowach nierzadko bardzo ostrych wytykał błędy. Sprawa wędrowała następnie na kolejną odprawę służbową, na której referent winien był jeszcze raz wytłumaczyć się z popełnionego błędu...

„Odprawy służbowe, urządzone przez płk. Świątkowskiego, szarpały nerwy sędziów. Nie wystarczało bowiem samo przyznanie się do błędu, trzeba było jeszcze przeprowadzić szczerą samokrytykę i wskazać na źródło błędu. Delikwent maglowany był do tego czasu aż nie wyznał, że źródłem jego błędów był jego nieprzewidywany do końca balast drobnomieszczański, brak należytej czujności wobec wroga, szkodliwy na danym etapie liberalizm. Do błędów wytkniętych sędziemu płk Świątkowski wracał wielokrotnie i wytykał mu je przy różnych okazjach.

15. Dwa ostatnie zdania sędziego Dziowgi są nieco dwuznaczne. Wyjaśniam więc, że „pryncypialność” nie oznaczała zachęty do wydatnego łagodzenia kar, lecz — przeciwnie — zabraniała łagodzić karę kiedy indziej, niż wówczas tylko, gdy wchodziło w grę wydatne złagodzenie. Oszczędzenie człowiekowi roku, dwóch czy nawet trzech lat więzienia nie było, wedle zasady, warte zachodu sędziów.

„W tej atmosferze wytworzyło się wśród sędziów uczucie lęku i brak pewności co do słuszności podejmowanych decyzji. Nad każdym sędzią wisiał przysłowiowy miecz Damoklesa w postaci konsekwencji służbowych za wydane orzeczenie”.

Sędzia Hochberg:

„Generalną zasadą było, że... z reguły wyrok może być wzruszony tylko w wyjątkowych przypadkach... Alfą i omegą była 'stabilność' wyroków... Dlatego... wszelka zmiana wyroku lub jego uchylenie stawiało referenta sprawy w sytuacji, że będzie musiał on poważnie usprawiedliwić swoje stanowisko i mieć solidne argumenty dla jego usprawiedliwienia.

„Konsekwencją zmiany lub uchylenia wyroku, w szczególności gdy to następowało wbrew wnioskowi prokuratora N. Prokuratury Wojsk. było rozważanie osądzonych w taki sposób spraw na odprawach sędziów N. Sądu Wojsk. przeprowadzanych przez ówczesnego prezesa N. Sądu Wojsk. płk. Świątkowskiego 1-2 razy miesięcznie. Odprawy takie odbywały się przeważnie wieczorami, trwały od godz. 19-tej do 23-24, po całodiennej pracy... Długie i nudne, prowadzone w stylu 'śledczym' indagacje przeważnie były stawiane nie w płaszczyźnie prawniczej, lecz wychodziły z założeń 'co was skłoniło do tego by NN, wrogowi ustroju, kontrewolucjoniście złagodzić karę (lub uchylić wyrok do ponownego rozpoznania)?'. Po czym następowała długotrwała pauza, przewodniczący odprawy świdrował oczyma sędziego-delikwenta, a ten... czuł się, jak oskarżony przed prokuratorem¹⁶.

Takie były maniery wobec niezawisłego sędziego N. Sądu Wojsk.

„Członkowie PZPR byli narażeni także na to, że poważniejsze 'odchylenia' od linii sądenia były rozważane na zebraniach POP, przy czym sędzia delikwent w końcu był doprowadzany do tego, by przeprowadził samokrytykę”.

Sędzia Kryże:

„Płk Świątkowski... zaprowadził rygory i traktowanie sędziów zupełnie analogiczne do traktowania żołnierzy w pododdziałach liniowych przez dowódcę kompanii...

„Z reguły przy omawianiu... spraw zarzucał poszczególnym referentom brak należytego uświadomienia politycznego, czujności politycznej, ślepotę polityczną i groził pociągnięciem do odpowiedzialności dyscyplinarnej, besztając referenta w sposób niejednokrotnie wysoce obraźliwy. Besztania takie miały również miejsce na zgromadzeniach sędziów N. Sądu Wojsk. Ze tego rodzaju odprawy były instrumentem zastraszania i wywierania presji na wszystkich sędziów bez wyjątku, nie trzeba szczególnie dowodzić...

16. Charakterystyczne dla postępowania płk. Świątkowskiego oświadczenie złożył Komisji ówczesny sędzia N. Sądu Wojsk. ppłk Gołębiowski. Na jednej z odpraw płk Świątkowski podał dwie sprawy przychylnie zareferowane przez ppłk. Gołębiowskiego „jako przykład błędnego orzecznictwa w sprawach członków sekty Świadków Jehowy. Na odprawie tej, jakkolwiek zawsze wszyscy sędziowie, których były omawiane sprawy, siedzieli, płk Świątkowski w bardzo ostrej formie i głosem podniesionym kazał mi wstać i na stojąco wysłuchać jego uwag oraz udzielać odpowiedzi. Mimo przejścia do omawiania spraw innych sędziów, nie dał mi polecenia usiąść, aż dopiero... po upływie pół godziny lub dłużej pozwolił mi usiąść”.

„W tym okresie odbywało się wprost niewolnicze recypowanie przepisów prawa procesowego i materialnego obowiązującego w Związku Radzieckim, niejednokrotnie sprzecznych z obowiązującym u nas prawem...

„Do jakich niekiedy dochodziło absurdów, wystarczy wskazać sprawę..., w której dwaj żołnierze byli oskarżeni o to, że w koszarach użyli obelżywych słów wobec portretów dostojników państwowych Polski i Związku Radzieckiego i jeden z nich uderzył butem w wiszący portret, spowodował rozbicie szklanej oprawy i upadek jego na ziemię. W czasie dyskusji nad zastosowaniem właściwej kwalifikacji prawnej tego czynu płk Tomaszewski proponował przyjęcie kwalifikacji usiłowania dokonania gwałtownego zamachu na te osoby, które były przedstawione na portrecie!...

„Jeśli chodzi o osobę płk. Tomaszewskiego, który przyszedł do N. Sądu Wojsk. w tym samym czasie, co płk Świątkowski i pełnił funkcję zastępcy prezesa N. Sądu Wojsk., to przede wszystkim muszę zaznaczyć, że nie posiadał żadnego wykształcenia prawniczego ani praktycznej znajomości prawa...

„Jeśli referent w sprawie kwestionował niekiedy materiały w śledztwie a zwłaszcza niektóre tzw. „zapiski urzędowe” organów UB czy MO, względnie dokumenty przez nich sporządzone, które pozostawały w wyraźnej sprzeczności z innymi dowodami, z reguły spotykał się z zarzutem ze strony płk. Tomaszewskiego: „Jak to, chcecie kwestionować urzędowe dokumenty pochodzące od naszych wypróbowanych ludzi, oddanych ustrojowi, a dawać wiarę wrogowi?”.

Sędzia Mioduski:

„(Płk Świątkowski) był to człowiek wyjątkowo apodyktyczny, odznaczający się uporem, żelazną energią i ogromną pracowitością, (urzędował normalnie od 8-tej rano do 23-ej wieczorem z 2-godzinną przerwą, nierzadko do 1-ej-2-giej w nocy). Przeciennie bystry, mierny prawnik, po polsku pisał bardzo słabo. Niezwykle podejrzliwy, wietrzył wokoło próby podważenia jego autorytetu... W obcowaniu z podwładnymi twardy i nieprzyjemny, wykorzystywał prerogatywy, jakie w stosunku do podwładnych daje dowódcy regulamin wojskowy... Dla ugruntowania swego autorytetu politycznego dawał wyraźnie odczuć, iż jest członkiem przodującej KPZR i wychowankiem społeczeństwa budowniczych komunizmu, wobec czego ma naturalną przewagę nad mniej upolitycznionym otoczeniem. Na rękę autokratycznym poczynaniom Świątkowskiego szła wydana w czasie jego prezesury dyrektywa Gł. Zarządu Polit. o wzmocnieniu autorytetu i roli dowódców w jednostkach wojskowych (taką jednostką był również i N. Sąd Wojsk.)¹⁷...

„(System płk. Świątkowskiego) nie mógł w tej lub innej mierze nie zaciążyć nad orzecznictwem N. Sądu Wojsk. Wpływ ten wywierał płk Świątkowski przez prowadzenie ostrej walki z przejawami rzekomego liberalizowania...

„Przeglądał on wszystkie te orzeczenia, w których wyrok uchylono lub złagodzono karę. Gdy jego zdaniem decyzja N. Sądu Wojsk. była niestuszną, wzywał sędziów uczestniczących w komplecie do swego gabinetu na 'rozmowę'. Czasem dawał się przekonać..., często jednak piętnował zapadłe orzeczenie mianem błędu politycznego i ostrzegał przed konsekwencjami, gdyby 'błędy' miały się powtórzyć. Te 'błędy' polegały najczęściej na uwzględnianiu okoliczności łagodzących, co w sprawach o przestępstwa polityczne spotykało się z dezaprobatą Świątkowskiego...

17. O tej dyrektywie będzie mowa w dalszym ciągu.

„Na naradach i w rozmowach z sędziami płk Świątkowski powoływał się niejednokrotnie na opinie i wypowiedzi członków kierownictwa Partii i Rządu. Sam występował jako rzecznik tych opinii, człowiek doskonale poinformowany o tym, co jest politycznie słuszne i potrzebne krajowi...

„O roli zastępcy prezesa N. Sądu Wojsk. do spraw szczególnych płk. Tomaszewskiego niewiele mogę powiedzieć... Był on jednostką pod każdym względem przeciętną, słabiutkim prawnikiem, mającym duże trudności z wypisaniem się w języku polskim. We wszystkich wystąpieniach z reguły solidaryzował się w pełni ze stanowiskiem płk. Świątkowskiego”.

NA ROZPRAWACH W I-szej INSTANCJI

Na tle przytoczonych wypowiedzi rysuje się wyraźnie obraz sędziów N. Sądu Wojsk. — ludzi o s a m o t n i o n y c h, odciętych od świata prawników z sądownictwa powszechnego, stale pograżonych w rozterce pomiędzy obowiązującą ich samodzielnością myślenia sędziowskiego (niezawisłość) a świadomością następstw, jakie ściągały na nich próby korzystania z prawa do tej samodzielności.

Podkreślam uczucie osamotnienia, jakie musiało ogarniać sędziów N. Sądu Wojsk. Słusznie uważa się wszędzie za wielką zaletę najwyższej instancji sądowej, że w tworzącym ją stosunkowo niewielkim gronie osób powstaje — w ciągłej współpracy i szczerej wymianie opinii — jednolitość poglądów na zasadnicze kwestie prawne, która jest warunkiem nadawania harmonijnego tonu orzecznictwu wszystkich sądów. W naszym N. Sądzie Wojsk. w omawianym okresie niszczone podstawy wytwarzania się ducha zbiorowości w zespole najwyższych sędziów, m.in. także przy pomocy straszaka, jakiego dostarczał dekret o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej.

Dekret ten wydany w październiku 1949 roku nabrał szczególnej ostrości na terenie wojska nie tylko dlatego, że z natury rzeczy armia ma tajniki, które winna szczególnie pilnie ochraniać, ale także dlatego, że osądzanie spraw o naruszenie tajemnicy państwowej powierzono w tej ustawie właśnie sądom wojskowym. A więc w tych wypadkach także osoba cywilna podlegała sądowi wojskowemu, przy czym mogło chodzić również o przestępstwa popełnione *nieumyślnie*. Jak daleko zaś sięgała ostrożność w tych sprawach, świadczy art. 5 wspomnianego dekretu. Wedle przepisu tego można było pociągnąć do odpowiedzialności przed sądem wojskowym — 1) osobę cywilną, 2) która nieumyślnie wykroczyła przeciw zarządzeniom wydanym dla ochrony tajemnicy państwowej, 3) choćby nawet w związku z jej czynem

wcale nie doszło, ale jedynie mogło dojść do ujawnienia tajemnicy państwowej.

Podkreślił znaczenie zagadnienia B. Bierut, oświadczając w swym referacie na listopadowym II Plenum, że „uchwalony ostatnio dekret o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej musi być z całym rygoryzmem skrupulatnie przestrzegany”¹⁸. Obracając się w kręgu tak kategoriycznych enuncjacji i w próżni, jaką obowiązek zachowania tajemnicy czynił dokoła każdego z nich, sędziowie N. Sądu Wojsk. odgradzali się jeden od drugiego, z obawy posądzenia o karygodną niedyskrecję nie zapytywali się wzajemnie o swą pracę¹⁹, a przeto nie tworzyli też ciała o zwartych poglądach sędziowskich — ciała, które by mogło przeciwstawić się kawalerskiemu poczynaniu sobie płk. Świątkowskiego.

„Zauważenia”

Jednym ze sposobów, którymi płk Świątkowski dyrygował sędziami N. Sądu Wojsk., były wprowadzone przez niego tzw. zauważenia. Były to — sporządzane przez komplet wyrokujący rewizyjnie — wytknięcia sądom I-szej instancji usterek, których nie można było lub nie chciało się naprawić w orzeczeniu II-giej instancji. Wytknięcia te były podawane do wiadomości płk. Świątkowskiego, który bardzo nastawał na ich sporządzanie i brak „zauważenia” w przypadku, w którym uważał je za potrzebne, karcił jako brak gorliwości. Czynił to wówczas zwłaszcza, gdy — jego zdaniem — należało wytknąć zbytnią łagodność wyroku w sprawach politycznych.

W tym nastawianiu sądów pomagał płk. Świątkowskiemu energicznie jego zastępca płk Tomaszewski: w aktach jest wiele „zauważeń” sporządzonych wówczas, gdy przewodniczył w II-giej instancji nie inny sędzia, lecz właśnie płk Tomaszewski, a strofu-

18. Ten „cały rygoryzm” czyni zrozumiałym wypadek z pracownikiem jednej z łódzkich fabryk wyrobów tekstylnych, który zabrał do domu — dla wykończenia — projekt szopy na magazyn i za to był oddany pod sąd, ponieważ projekt takiego budynku stanowił tajemnicę służbową...

19. „Jeśli chodzi o nakaz przestrzegania tajemnicy państwowej i służbowej”, pisze sędzia Dziwgo w swym oświadczeniu, „to za czasów płk. Świątkowskiego atmosfera była taka, że żaden z sędziów N. Sądu Wojsk. nie miał odwagi zagadnąć nawet najbliższego kolegę o sprawę, która nie była w jego gestii. Wiedziałem np., że jeden z sędziów, z którym łączyły mnie normalne koleżeńskie stosunki, ma jakieś zadania w gmachu Głównego Zarządu Informacji na ulicy Chałubińskiego, nie przyszło mi jednak nigdy do głowy zapytać go wprost, co tam robi”.

jących sądy I-szej instancji za zbytnią łagodność w sprawach politycznych. M.in. w styczniu 1953 roku wytknięto, jako zbyt niską, karę 10 lat więzienia wymierzoną Janowi M. Przepiętstwo tego oskarżonego polegało na tym, że jako zastępca dowódcy Straży Pocztovej przy dyrekcji okręgowej P.i.T. w Katowicach gromadził w swym mieszkaniu „wiadomości stanowiące tajemnicę państwową a mianowicie dane o rozmieszczeniu i urządzeniach rejonowego urzędu pocztowego nr 1 w Katowicach, o ilościowym stanie straży pocztowej przy okręgowej dyrekcji P.i.T. w Katowicach, o uzbrojeniu tej straży oraz dane o tamtejszych urządzeniach alarmowych i zabezpieczających i in.”. Dziesięć lat miało być za to za mało.

Jedno z „zauważeń” warto przytoczyć szerzej, gdyż charakteryzuje politykę karną forsowaną przez kierownictwo N. Sądu Wojsk.

Na początku r. 1951 Sąd Rejonowy w Poznaniu uznał 7 oskarżonych za winnych przestępstwa udziału w związku mającym na celu zbrodnię (art. 14 MKK) i skazał trzech głównych przestępców na kary po 7 lat i 6 miesięcy więzienia, resztę ukarał łżej. Czas trwania związku sąd oznaczył na okres od października 1948 r. do kwietnia 1950 r. „Skazani”, powiedziano w wyroku, „utworzyli związek przestępczy pod nazwą Stefan Batory, mający na celu popełnienie zbrodni z art. 86 § 2 KKWP²⁰. Brali udział w czterech zebraniach, na których omawiali sposoby i metody działalności związku, układali plany zaopatrzenia się w broń palną drogą dokonywania gwałtownych zamachów na milicjantów, werbowali nowych członków do związku”.

Brzmi to groźnie. Ale gdy sobie uprzytomnić, że czas działania obejmował 18 miesięcy i że w ciągu tego czasu przestępcy odbyli ogółem cztery zebrania, na których „układali plany”, nie decydując się jeszcze na żadne działanie, to niebezpieczeństwo, jakim groził związek „Stefan Batory”, wygląda raczej błado. Do reszty zaś ustala się pogląd na kaliber tego związku przestępczego, gdy zauważyć, że w chwili jego utworzenia najstarszy z założycieli miał 18 lat, drugi miał lat 17, trzech miało po 16 a dwóch po 15 lat.

Co do wyroku na takich to przestępców (przypominam, że trzech uznani za głównych dostali po 7 i ½ roku więzienia) miał pretensję komplet N. Sądu Wojsk., który pod przewodnictwem płk. Tomaszewskiego sądził tę sprawę w II instancji. Komplet wytknął mianowicie w swym „zauważeniu”, że w I instancji zbyt łagodnie zakwalifikowano czyn oskarżonych: należało uznać, że było to usiłowaniem zmienienia przemocą ustroju Państwa Polskiego, za które grozi także kara śmierci.

Chyba nawet w roku 1951 uznawanie piętnasto- i szesnastolatków za usiłujących pod egidą ducha Stefana Batorego zmienić przemocą ustrój państwa polskiego mało komu tylko mogło trafiać do przekonania. Płk Tomaszewski nie miał w tym względzie wątpliwości i najwidoczniej wpłynął i na innych sędziów, bo ci, pod innym przewodnictwem, na ogół dawali „zauważenia” z sensem. Dodajmy wreszcie, że „zauważenie” o którym mowa, kończy się jak następuje: „Nadto należy zauważyć, że wymierzając skaza-

20. Przepis ten odnosi się do kogoś, kto usiłuje zmienić przemocą ustrój Państwa Polskiego.

nym kary Sąd nie wziął pod uwagę, że skazany Kapolka... jest synem bogacza wiejskiego. Wymierzając mu jednakową karę z innymi skazanymi, którzy są pochodzenia robotniczego, Sąd nie wykazał należytej klasowej oceny moralno-politycznej sprawców przestępstwa". Otóż Kapolka jest oznaczony w sentencji jako „uczeń ślusarski” i w chwili tworzenia „Stefana Batorego” miał 18 lat.

Ażeby skończyć ze sprawą „zauważeń”, podamy jeszcze jedno, charakterystyczne dla kultu stabilności wprowadzonego w sądownictwie wojskowym. Na posiedzeniu w czerwcu 1951 roku, pod przewodnictwem płk. Świątkowskiego, wytknięto sądowi I-szej instancji, że w sprawie J. Boguszewskiego i innych są niedokładności w protokole rozprawy i braki w części opisowej wyroku. Po czym napisano w „zauważeniu”:

„Brak części opisowej wyroku uniemożliwia sprawdzenie, czy sąd słusznie przypisał skazanym w sentencji wyroku poszczególne czyny i powinien w zasadzie powodować uchylenie wyroku. Brak opisów czynów w części opisowej wyroku spowodował jeszcze to, że skazani zostali uznani winnymi popełnienia takich czynów, co do których było brak dostatecznych dowodów. N. Sąd Wojsk. nie uchylił wyroku z tego powodu jedynie dlatego, iż dwóm skazanym została wymierzona najwyższa kara i wobec czego nie wskazane jest ponowne przeprowadzenie przewodu sądowego, gdyż w zasadzie skazani przyznali się do przypisanych im w sentencji wyroku czynów, a co do których było brak dostatecznych dowodów, to N. Sąd Wojsk. umorzył postępowanie”.

A więc (pomijam stylizację „zauważenia”) stwierdzono, że: 1) nie można sprawdzić słuszności przypisania poszczególnych czynów, 2) „w zasadzie” powinno się uchylić wyrok, 3) uznano skazanych za winnych czynów, co do których nie było dostatecznych dowodów, 4) skazani przyznali się jedynie „w zasadzie” do przypisanych sobie czynów. I — „stabilność” zwyciężyła: utrzymano w mocy dwie kary śmierci.

Składy sądzące w sprawach tatarskich

Zanim przejdziemy do oceny roli sędziów, którzy w N. Sądzie Wojsk. sądzili w pierwszej instancji sprawy tatarskie, rzućmy okiem na nie od strony statystycznej. Było tych procesów 48, sądziło zaś w nich 20 sędziów w różnym układzie trójkowym. Z tych 20 osób jedynie 10 było sędziami N. Sądu Wojsk., reszta była przyciągana z sądów rejonowych (także pozawarszawskich). W jakim stopniu było to wynikiem niedostatku stanu liczebnego sędziów w N. Sądzie Wojsk. a w jakim chęcią obsadzenia składów sądzących oficerami, na których kierownictwo mogło zdobyć wpływ — nie mogę ocenić.

Niewątpliwie faktem zadziwiającym jest, że przewodniczenie na procesie w sprawie centralnej — a więc przewodniczenie na rozprawie, która miała odsłonić robotę głównej kuźni spisku dywersyjno-spiegowskiego — powierzono nie sędziemu N. Sądu Wojsk. (co by odpowiadało regule), ale ówczesnemu szefowi Wojskowego Sądu Rejonowego w Białymstoku, płk. Walągowi. Jak oświadczył Komisji, płk Waląg bronił się usilnie przeciw obarczaniu go tym obowiązkiem. Tłumaczył się brakiem wprawy w prowadzeniu procesu o charakterze wybitnie politycznym, sprawy bowiem, które rozpoznawał w Białymstoku, miały inny charakter (rabunki, bandytyzm).

Jednakże szef Zarządu Sądownictwa Wojskowego, płk Karliner, oświadczył mu, że taka jest decyzja Komitetu Centralnego, i płk Waląg — mając przed sobą do rozpoczęcia się procesu dwa tygodnie — przystąpił do studiowania 22 tomów akt. Oczywiście nie mógł wszystkiego przestudiować gruntownie²¹.

„Przebieg rozprawy śledzony był przez wiceministra Bezpieczeństwa Publicznego, gen. Romkowskiego, oraz kilku wyższych oficerów tego ministerstwa, m.in. płk. Różańskiego, którzy przysłuchiwali się rozprawie bądź to na sali rozpraw bądź też przy głośniku radiowym zainstalowanym w gabinecie szefa Zarządu Sądownictwa Wojskowego.

„W toku rozprawy spotykałem się z próbami nacisku i mieszanina się do czynności sądu ze strony gen. Romkowskiego. Przed przesłuchaniem oskarżonego Kirchmayera gen. Romkowski żądał, bym nie pozwolił Kirchmayerowi siedzieć w czasie składania przez niego wyjaśnień. Gdy zobaczyłem, że osk. Kirchmayer jest kaleką, do żądania tego się nie zastosowałem...

„Przed ostatnim słowem osk. Mossora, który jeden jedyny spośród wszystkich oskarżonych ani w śledztwie ani na rozprawie nie przyznał się do popełnienia zarzucanych mu przestępstw, gen. Romkowski żądał ode mnie i ppłk. Bojki, byśmy mu nie pozwolili 'gadać'. Powiedziałem, że jest to niemożliwe, bo oskarżony ma prawo do ostatniego słowa... Popierał mnie płk Karliner, który był zdania, że oskarżonemu Mossorowi należy zezwolić mówić, a jeśliby zachodziła możliwość ujawnienia przez niego, jakieś tajemnicy wojskowej, to byłoby raczej celowe zarządzić częściowo tajność rozprawy. Gen. Romkowski na to się nie zgodził i polecił 'osadzić' osk. Mossora. Do żądania gen. Romkowskiego nie zastosowałem się. Osk. Mossor przemawiał przez 45 minut...

„Pewien nacisk na wymiar kary usiłował wywrzeć również ówczesny prezes N. Sądu Wojsk., płk Świątkowski. Na parę godzin mianowicie przed ogłoszeniem wyroku przybył on do pokoju przeznaczanego na salę narad i starał się nas przekonać, że przy karze więzienia dożywotniego, wymierzonej kilku oskarżonym, powinniśmy orzec karę dodatkową — utraty praw — na zawsze. Na koncepcję tę, jako sprzeczną z ustawą — nie zgodziliśmy się”.

Obciążenie owych 20 sędziów uczestniczących w sprawach tatarskich było bardzo nierównomierne. Najczęściej zasiadał

21. Warto przytoczyć wyjątek z oświadczenia płk. Waląga dla uzmysłowienia sobie nacisku wywieranego na sędziów.

w składzie sądzącym wspomniany już mjr Karczmarz, sędzia N. Sądu Wojsk. bez kwalifikacji prawniczych. Ten autor powiedzenia „my sędziowie nie od Boga — jak trzeba skazać, to skazemy”, sędził w 39 na 48 procesów. Następne miejsce zajmuje ppłk Aspis, który (jak wynika z wielu oświadczeń dostępnych Komisji) na zebraniach sędziowskich okazywał dużo inicjatywy w gorliwym reprezentowaniu poglądów, jakie wdrażał sędziom płk Świątkowski. Sędził on w 19 sprawach, z których w 17 przewodniczył. Trzecim z kolei był ppłk J. Krupski, indywidualność zupełnie blada²²: sędził w 14 sprawach, przewodnicząc w 10 z nich. Reszta sędziów zasiadała od dwóch do dziewięciu razy.

W jednej sprawie, płk. Skibińskiego i czterech innych, zasiadał sam prezes N. Sądu Wojsk., oflankowany tymi właśnie dwoma sędziami, którzy mają najwyższą częstotliwość w sądzeniu spraw tatarskich — majorem Karczmarzem i ppłk. Aspisem. Wymierzono wtedy pięciu wyższym oficerom pięć kar śmierci.

Odpowiedzialność sędziów pierwszoinstancyjnych

Teraz wreszcie możemy przystąpić do próby odpowiedzi na pytanie: jaką odpowiedzialność ponoszą sędziowie, którzy w sprawach tatarskich sądzili w pierwszej instancji, za to, że ich wyroki — jak dziś wiemy — były niesprawiedliwe, a niektóre miały fatalne następstwa?

22. Trudno inaczej określić sędziego, który w odstępie dwóch miesięcy potrafił wydać dwa orzeczenia dość rażące w zestawieniu ze sobą.

Dnia 22 lutego 1955 roku, N. Sąd Wojsk. w składzie, któremu przewodniczył ppłk Krupski, udzielił przerwy wykonania kary jednemu ze skazanych w procesach tatarskich, płk. Szaadowi, „zważywszy, że skazany cierpi na chorobę nadciśnieniową, stwierdzoną orzeczeniem lekarskim z 27 września 1954 roku oraz że choroba ta uniemożliwia wykonanie wymierzonej skazanemu kary”. W rzeczywistości to powołane orzeczenie lekarskie brzmi nawet mniej niepokojąco: „Nadciśnienie samoistne niedużego stopnia... więzieni nie wymaga badania przez komisję lekarską”.

W równe dwa miesiące później, bo 23 kwietnia 1955 roku, skład trzech sędziów N. Sądu Wojsk. pod przewodnictwem znów ppłk. Krupskiego miał przed sobą prośbę innego skazanego ze spraw tatarskich — mjr. Skoczni — popartą świadectwem lekarskim: „...Zespół wyżej podanych jednostek chorobowych w warunkach więziennych będzie ulegać stałemu pogorszeniu i może doprowadzić do załamania się sił odpornościowych organizmu”. Jakkolwiek to orzeczenie lekarskie sygnalizowało stan bez porównania gorszy, niż w sprawie płk. Szaada, sędziowie „po odczytaniu pisemnego wniosku N. Prokuratora Wojsk. o nieuwzględnieniu prośby” postanowili nie udzielić przerwy.

Cofnijmy się pamięcią do czasów, kiedy wraz z wielką częścią Polski słuchaliśmy przez radio nagrań procesów „pokazowych” jak procesów w centralnej sprawie tatarowskiej i innych, których bohaterzy są obecnie zrehabilitowani. Ilu słuchaczom wówczas (z kilkuset tysięcy ich rzeszy) zabrzmiało coś zdradliwie w wyjaśnieniach oskarżonych czy zeznaniach świadków? Wszyscy śpiewali jak z nut. Było to zadziwiające, to prawda. Ale nie było nic *uchwytnego* a świadczącego o tym, że na napchanej widzami sali sądowej, przed nastawionymi mikrofonami, rozwijała się bez obawy o zdemaskowanie — beczelna NIEPRAWDA.

Dobrze jest przypomnieć to sobie, gdy sądzi się teraz sędziów ówczesnych. Chodzi o to, czy mieli oni więcej, niż publiczność na sali rozpraw i przy głośnikach radiowych, sygnałów, że rozgrywa się przed nimi potworna tragikomedia, której aktorzy, mając wszelkie pozory żywych ludzi, w rzeczywistości są kukłami poruszanymi przez starannie ukrytego reżysera.

Na pytanie to — co się tyczy sędziów z procesów tatarowskich — odpowiadam po zbadaniu obszernego materiału: *nie znalazłem dowodu, który by pozwalał przypisać tym sędziom świadomość*, że się ich oszukuje, że więc skazują ludzi niewinnych. O żadnym z nich nie można — z dowodami w ręku — twierdzić, że świadomie łamał praworządność.

Co mieli przed sobą sędziowie N. Sądu Wojsk. w pierwszej instancji?

1. Akta śledztwa, bardzo obszerne, pełne protokołów dociekliwych przesłuchań i konfrontacji — dokładnie natomiast wytrzebione z wszystkiego, co mogłoby było obudzić ich podejrzenia, a co dopiero niedawno stało się nam dostępne z archiwum Gś. Zarządu Inf.

2. Kategoryczne przyznania się oskarżonych w 74 przypadkach na 92.

3. Zeznania świadków wyraźnie obciążających oskarżonych i — co niewątpliwie ważne — nie oszczędzających przy tym samych siebie.

Każda z tych okoliczności dawała sędziom podstawy do wyrobienia sobie przekonania o winie oskarżonych. Uzasadnie to kolejno.

1. *Akta śledztwa*. Zawierały one jedynie to, co było zgodne z tezą oskarżenia. Wszystko natomiast, co było z nią sprzeczne — a więc w szczególności protokoły przesłuchań, podczas których podejrzani nie przyznawali się, wyjaśniali odmiennie

niż poprzednio lub później, albo podczas których świadkowie zeznawali niewygodnie, niezgodnie z rezultatami śledztwa przedstawionymi ostatecznie przez G. Zarząd Inf. N. Prokuraturze Wojsk. a przez ten urząd N. Sądowi Wojsk. — to wszystko pozostawało w najtajniejszych z tajnych teczek G. Zarządu Inf. i tego ani nie widziała N. Prokuratura Wojsk. ani, oczywiście, nie widzieli sędziowie.

Akta te były przy tym tak zagęszczone, że nie sposób było dopatrzyć się w nich luk spowodowanych wyłączeniem dysonansowych dokumentów. Wreszcie trzeba uwzględnić, że przedstawione sądowi akta śledztwa stały na stosunkowo wysokim technicznie poziomie. Były przeważnie pisane na maszynie lub pismem czytelnym i miały treść stylistycznie poprawną, czym różniły się korzystnie od tych nieudolnie sporządzonych, gramatycznymi i ortograficznymi błędami poprzeczonych dokumentów, jakich słabo wykwalifikowane niższe organy śledcze dostarczały w owym czasie sądom powszechnym. Akta śledztwa przedstawione w sprawach tatarskich miały wszelkie pozory solidnej roboty, na której można polegać.

2. *Przyznania się oskarżonych.* Procesy tatarskie rozgrywały się w czasie, kiedy przestała już krążyć legenda o wydobyciu przyznań się za pomocą narkotyków. Przed sądem stawali ludzie o pełnej sprawności psycho-fizycznej — trzeźwi, niczym nie odurzeni, odpowiadający przytomnie i inteligentnie. O tym zaś, że poddawano ich nieludzkim męczarniom, że potwornie wymyślnymi naciskami psychologicznymi doprowadzano ich do tego, że nie widzieli innego sposobu uratowania życia, niż przyznawanie się do winy — o omotaniach i prowokacjach — nie wiedział w ó w c z a s n i k t z niewtajemniczonych; nie ma zaś żadnych zgoda danych do tego, by sędziów włączać do grona ówczesnych wtajemniczonych.

W tych warunkach sędziowie nie tylko nie byli zdziwieni częstotliwością i rozlewnością przyznawań się, ale bywali wręcz zaskoczeni tymi wypadkami nieprzyznawania się, których było tak niewiele. Jeden ze skazanych w lipcu 1952 roku na dożywotnie więzienie, kmr Kraszewski, pisał w dwa lata później w swej prośbie do N. Sądu Wojsk. o nadzwyczajną rewizję:

„Nosilem się z zamiarem... odwołania przed sądem wszystkich mych zeznań. Jednak w trakcie przewodu sądowego zmieniłem swoje zdanie, a spowodowało to ustosunkowanie się Sądu do współoskarżonego Wojcieszka, który składał oświadczenie przed sądem w kolejności przede mną. Wynikało z tego, że Wojcieszek, podobnie jak ja, przyznał się w śledztwie do czynów niepełnionych i teraz w czasie przewodu sądowego stara się podważyć

logiką zarzucane mu fakty przez pytania stawiane współoskarżonym i świadkom a nawet w swoich oświadczeniach składanych przed Sądem zdecydowanie odwołujący zeznania swoje złożone w śledztwie. Jednak Sąd nie udzielił mu najmniejszej pomocy w sensie umożliwienia odnalezienia prawdy, a oskarżyciel publiczny niezwykle ostro napiętnował postępowanie Wojcieszka jako akt prowokacji. To było dla mnie widowym znakiem, że moje pierwotne przekonanie o nieuchronności mego losu było słuszne i że obecne moje usiłowania odwoływania zeznań będą jedynie walką z wiatrakami”.

Słuszny jest zarzut uczyniony tu Sądowi, że oskarżonemu odwołującemu swe przyznanie się w śledztwie „nie udzielił najmniejszej pomocy w sensie umożliwienia odnalezienia prawdy”. Ale z drugiej strony trzeba też stwierdzić, że zrezygnowanie przez drugiego oskarżonego w tym procesie z odwołania zeznań nie było udzieleniem Sądowi pomocy w odnajdywaniu prawdy.

Oskarżeni nie tylko się przyznawali, ale nie szczędzili (w tak zwanym ostatnim słowie) potępień swej działalności. Oto przykłady:

„Zrozumiałem w toku przeprowadzonego śledztwa wielkość mojej zbrodni” (Dobrowolski).

„Podzielał w zupełności kwalifikacje prokuratora odnośnie tego rodzaju czynności, które ja popełniłem” (Skibiński). Prokurator żądał kary śmierci.

„Do zarzucanych mi przestępstw całkowicie się poczuwam... Słów obrony na swoje postępowanie nie znalazłem” (Kurkiewicz).

„... kiedy już zorientowałem się całkowicie w głębi tej zbrodni w jaką wpadłem...” (Skoczeń).

„Całą ohydę tej działalności odsonił mi w ubiegłym roku proces kierownictwa tej organizacji” (Kita).

„... dopuściłem się tak wielkiej zbrodni wobec narodu...” (Orlik).

„Nie mam nic do powiedzenia na swoją obronę... Ogarnia mnie uczucie głębokiego wstydu, kiedy myślę o swoich przełożonych i o moich kolegach, polskich i radzieckich” (Jungraw).

„Zdaję sobie sprawę z ciężkiego przestępstwa, jakie popełniłem. Ja wiem, że mego życia nie starczyłoby, by naprawić te błędy” (Michowski).

„Na przestrzeni czterech lat wyrządziłem Polsce Ludowej nieobliczalne straty... Oszukałem Partię...” (Ścibior).

„Zdaję sobie sprawę z ogromu popełnionych przestępstw. Błądziłem i mam głębokie poczucie winy” (Jaworski).

Ze strony oskarżonych było to — dziś wiemy — grą o gło-

wy. Nie widzę możliwości kategorycznego twierdzenia, że sędziowie powinni byli przejrzeć tę grę, a przynajmniej, że nie wolno im było sądzić, że skazanym chodzi jedynie o uniknięcie ostateczności — a więc, że *przesadzali* w potępieniach samych siebie, ale nie że *wszystko* zmyślali. Nie dopuszczamy tezy, że przyznanie się oskarżonego rozstrzyga kwestię i pozwala sędziemu rezygnować z wszelkich innych dowodów. Ale nie można też tworzyć zasady, że sędziowie powinni żywić zawsze podejrzliwość wobec oskarżonych okazujących skruchę i wyobrażać sobie, że albo oskarżeni nabierają sędziów, albo że sztucznie ich skłoniono do komedii żalu.

Wreszcie trzeba podnieść, że bywały też częściowe przyznania się, co musiało dezorientować sędziów. Tak np. oskarżony w sprawie lotników płk Scibior przyznał się do tego, że należał do dywersyjno-szpiegowskiej organizacji w wojsku oraz że gromadził i przekazywał materiały szpiegowskie; przeczył natomiast, iżby — jak mu to zarzucał akt oskarżenia — zorganizował komórkę konspiracyjną w Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie. Płk Scibior bardzo żywo bronił się na rozprawie przeciw temu zarzutowi i wytłumaczył: „Zeznałem w śledztwie w sprawie komórki, że taką komórkę zorganizowałem, pod wpływem konfrontacji z Adameckim i Menczakiem, jednakże sumienie nie dawało mi spokoju, nie chciałem bronić się krzywdą dla drugich i po kilkudniowym namyśle zgłosiłem się do władz śledczych, że sprawę komórki odwołuję”.

Jeżeli oskarżony przyznając się do przestępczej działalności na dłuższej linii, przeczył słuszności jednego wykrawka aktu oskarżenia — to czy sędziom mogło przyjść do głowy, że władze przygotowujące oskarżenie posługiwały się wymuszaniem co do jednej tylko części tego oskarżenia a co do drugiej pozostawiały więźnia w spokoju? Czy sędziowie nie mieli prawa powiedzieć sobie, że skoro oskarżony nie bał się nie przyznawać do jednego zarzutu, to widocznie nie groziło mu nic poważnego, gdyby nie przyznał się także co do innych zarzutów?

Powtarzam: częściowe przyznania się mogły dezorientować sędziów — odwożąc ich od dawania posłuchu temu, o czym wówczas (jak twierdzi się często obecnie) rzekomo „mówiła cała Warszawa”.

3. *Świadkowie*. W sporządzonych w N. Prokuraturze Wojsk. sprawozdaniach z badań procesów tatarowskich (sprawozdania te stały się następnie podstawą do wszczęcia procesów rehabilitacyjnych) wielokrotnie wskazuje się na rozbieżności w zeznaniach

świadków lub na niezgodność pewnych szczegółów tych zeznań z wyjaśnieniami oskarżonych. Stwierdzenia te są trafne, nie sędzę jednak, by brak uwzględnienia t y c h nieszczelności w materiale dowodowym wystarczał do obarczenia sędziów zarzutem, że świadomie łamali praworządność.

Różnice tu i ówdzie w zeznaniach świadków są normalnym zjawiskiem w przewodach sądowych i nie muszą czynić tych świadectw bezwartościowymi. Spostrzegawczość pamięć, zdolność odtworzenia przeszłych zjawisk, to czynniki zmienne u różnych osób, toteż niejednakowa bywa też akuratność ich zeznań o tych samych nawet zdarzeniach. To elementarna zdobycz tzw. psychologii zeznań. Spotykamy się codziennie w uzasadnieniach wyroków z faktem, że sędzia nad p e w n y m i sprzecznościami w zeznaniach świadków czy wyjaśnieniach oskarżonych przechodzi do porządku. Przeciwnie nawet, okoliczność, że niekiedy zeznania świadków zbyt przypominały przystające dokładnie trójkąty, budzi w sędzim podejrzenie, że są one wyuczone a więc bezwartościowe.

Oczywiście, sprzeczności muszą pozostawać w rozsądnych granicach, nie mogą tworzyć w materiale dowodowym dziur, których nie można załatać żadnym logicznym rozumowaniem. Nie mogą iść tak daleko, by niweczyć t r z o n dowodów. W sprawach zaś tatarowskich wykazane sprzeczności w zeznaniach świadków nie miały takiej siły; pozostały b e z s p r z e c z n y materiał dowodowy był dostatecznie ciężki, by zadecydować o przypisaniu winy.

Dziś, gdy wiemy o całej reżyserii tych procesów, niemożność pogodzenia pewnych szczegółów w zeznaniach jednych świadków ze szczegółami w zeznaniach innych świadków jest d o d a t k o w y m sygnałem robaczowości całego ówczesnego postępowania dowodowego. Ale wtedy — kiedy sporadyczne rozbieżności, o których tu mowa, nie miały owego rewelacyjnego tła — nie urastały one do znaczenia bezwzględnych przeszkód w uznawaniu winy oskarżonych. Sędziowie mieli przed sobą dość z g o d n y c h zeznań, by móc wydać wyrok skazujący. O łamaniu praworządności w ścisłym znaczeniu, o posunięciach, które miałyby ściągnąć teraz na sędziów postępowanie *karne*, nie było mowy.

Krytyka sędziów N. Sądu Wojsk. I-szej instancji

Odrzucenie jednak odpowiedzialności karnej nie oznacza, iżby postawa sędziów, którzy w I-szej instancji sądzili w N. Sądzie

Wojsk. sprawy tatarskie, nie podlegała w ogóle żadnej krytyce.

A. Przede wszystkim sędziowie ci dopuścili do tego, że podczas gdy w sprawie centralnej rozprawa toczyła się jawnie z udziałem obrońców, to we wszystkich niemal sprawach odpryskowych panował nieprzebity mrok tajności. Jawność rozprawy była wyłączona od początku do końca i oskarżeni postawieni byli wobec perspektywy kary śmierci — bez obrońców. Jak już powiedziałem, Sąd miał *f o r m a l n ą* podstawę w odpowiednich przepisach procedury karnej. Ale przepisy te odnoszą się do przypadków wyjątkowych, Sąd zaś uczynił z nich stosowania regułę.

Podobnej zmiany wyjątku w regułę dokonał sąd wojskowy w innym jeszcze punkcie. Art. 185 KWPK nakazuje w § 1 doręczenie oskarżonemu aktu oskarżenia; nie trzeba tłumaczyć, jakie znaczenie ma to dla przygotowania się oskarżonego do obrony. W § 2 powołanego artykułu przewidziano wyjątek: „Jeżeli zachodzi konieczność zachowania tajemnicy ze względu na bezpieczeństwo Państwa, zamiast doręczenia odpisu aktu oskarżenia kierownik sądu zarządza odczytanie go”. Doprowadzenie do absurdu (by nie powiedzieć więcej) tego wyjątkowego przepisu przez korzystanie z niego we *wszystkich* procesach tatarskich obarcza przede wszystkim prezesa N. Sądu Wojsk. Ale i sędziów orzekających w tych warunkach nie można zwolnić od zarzutu niedostatecznej dbałości o zapewnienie oskarżonym należytej możliwości obrony.

Przecież był to już *trzeci* pierścień dławiącej oskarżonego tajności. Musiał bronić się sam, nieobeznany z techniką obrony — sam przeciw wyposażonemu w potężne środki aparatu oskarżycielskiemu; to raz. Gnębił go fakt, że na sali sądowej nie miał żadnej życzliwej mu duszy ani nikogo kontrolującego przewód sądowy pod kątem widzenia jego interesu; to dwa. Po trzecie zaś jednorazowe odczytanie mu długiego aktu oskarżenia nie mogło mu pozostawić w pamięci tylu szczegółów, ile było potrzeba jego obronie amatorskiej. Z tego ostatniego dodatkowego utrudnienia sędziowie nie mogli nie zdawać sobie sprawy. Nie mogli też chyba nie zadawać sobie pytania, czy groziłoby to bezpieczeństwu Państwa, gdyby oskarżonemu — który w swej celi pod władzą G. Zarządu Inf. był równie szczelnie odcięty od świata, jak gdyby go z wszystkim, co miał w ręku zamknięto w kasie pancерnej — gdyby temu oskarżonemu pozostawiono akt oskarżenia choćby na pewien tylko czas.

Pierwszy zatem zarzut to ten, że sędziowie, którzy sądzili

w tych warunkach nie okazali dość dbałości o prawo oskarżonych do obrony.



B. Mniemam następnie, że sędziowie winni byli zwrócić więcej uwagi, niż to uczynili, na fakt, iż co do konspiracji w wojsku ludowym nie dostarczono sądowi żadnych dowodów rzeczowych (w sprawie centralnej przedstawiono jedynie dokumenty dotyczące działalności oskarżonych na emigracji, przed ich przyjazdem do kraju). Obracano się wciąż w zakłętym kole wyjaśnień samych oskarżonych i zeznań świadków, którzy w gruncie rzeczy nie byli świadkami ale współoskarżonymi (będzie o tym mowa później).

W składanych obecnie oświadczeniach ówczesnych sędziów powtarza się twierdzenie, że wskazywano im na autorytatywne wypowiedzi Wyszyńskiego, który rzekomo uczył, że w sprawach konspiracyjnych i szpiegowskich nie obowiązuje normalna ścisłość przeprowadzenia dowodów. Stąd wielka waga przypisywana przyznaniu się.

Obłudna praktyka G. Zarządu Inf., zmierzająca do wydarcia podejrzanemu przyznania się, świadczy niewątpliwie o tym, jak bardzo tej instytucji zależało na takim dowodzie. Jest to zrozumiałe, skoro „dowody” zdobyte w okresie „operacyjnym” sposobami inkwizycyjno-prowokacyjnymi nie nadawały się, oczywiście, do przedstawienia. Jeżeli jednak Informacja i sfery do niej zbliżone głosiły tezę o rozgrzeszaniu przez Wyszyńskiego niepełności dowodów w sprawach o konspirację i szpiegostwo, to sędziowie powinni byli sprawdzić bliżej, jak w rzeczywistości wyglądała ta teza. Przekonaliby się wówczas, że wypowiedzi Wyszyńskiego nie wyglądały tak czarno, jak je malowano.

Wyszyński nie twierdził mianowicie, że w sprawach spiskowych nie potrzeba ścisłych dowodów, uważał jedynie, że nie można w nich dostarczyć dowodów tego samego rodzaju, co w innych okolicznościach. A więc „nie można wymagać, by w sprawach, w których chodzi o spisek, o przewrót antypaństwowy, stawiano takie żądania — pokażcie nam protokoły, uchwały, legitymacje członkowskie, podajcie numery waszych legitymacji; nie można wymagać, by spiskowcy swoją zbrodniczą działalność zatwierdzali aktem notarialnym. Żaden logicznie myślący człowiek nie może w ten sposób podchodzić do sprawy, gdy chodzi o spisek antypaństwowy”.

I dalej. „Zeznania oskarżonych... jako takie mają ogromne znaczenie dowodowe. Gdy podczas procesu zeznania samych oskarżonych stanowią jeden z dowodów, nie ograniczamy się

tylko do tego, że sąd wysłuchuje zeznań oskarżonych: przy pomocy wszelkich możliwych i dostępnych nam środków sprawdzamy te zeznania”.

To mogli sędziowie wyczytać w jednym z „Przemówień Sądowych” Wyszyńskiego. Powinni byli przynajmniej p r ó b o w a ć sprawdzić przyznania się oskarżonych środkami bardziej obiektywnymi, niż zeznania tych świadków, których im przedstawiało oskarżenie. Bo ci ludzie *nie byli świadkami we właściwym znaczeniu tego słowa*. Po pierwsze nie było wśród nich nikogo, kto by odpowiadał z wolnej stopy a więc nie był skrupowany w ten czy inny sposób. Po wtóre — i to najważniejsze — w olbrzymiej przewadze byli to ludzie, którzy sami występowali lub mieli występować jako oskarżeni w jednej ze spraw tatarskich.

Nie było poza czysto fizycznymi trudnościami żadnej przeszkody prawnej, aby tym wszystkim 92 ludziom wytoczyć jeden proces-*monstre*, w którym wszyscy oni występowaliby jako współoskarżeni. Nie darmo przecież sprawy tatarskie dzieliły się — wedle potocznych nazw — na centralną i odpryskowe: odpryski należały tak samo, jak centrum, do c a ł o ś c i sprawy o spisek w Wojsku Ludowym.

Ostatecznie wszystko kręciło się dokoła tej samej osi i działalność zarzucona oskarżonym z procesów odpryskowych była nie do pomyślenia bez działalności zarzuconej oskarżonym ze sprawy centralnej; a na odwrót charakter przestępstwa tych ostatnich występował w całej pełni dopiero na tle akcji poszczególnych osób, które oni wciągnęli do konspiracji. Można krótko powiedzieć, że w sprawach tatarskich dla doraźnych potrzeb mianowano współoskarżonych świadkami. Jako współoskarżeni mogliby składać jedynie w y j a ś n i e n i a, które mają stosunkowo słabą wartość dowodową; jako świadkowie składali z e z n a n i a, które wedle zasadniczej taksy są znacznie cenniejszymi dowodami.

Nie widzę, aby sędziowie dostatecznie liczyli się z tą okolicznością. Razi to wówczas zwłaszcza, gdy w sprawie, w której zapadały wyroki śmierci i sąd wydawał opinię negatywną co do usłaskawienia, przesłuchiowano j e d n e g o tylko „świadka”. A tak było w sprawach Rodego i Michałkowskiego i tak było w sprawie Barbasiewicza. Co prawda sędziowie mieli prawo nabrać przekonania o winie na podstawie przyznania się oskarżonych i zeznania choćby jednego tylko świadka; nie można im więc w tym wypadku zarzucać łamania praworządności. Inna rzecz, jednak, czy dojdzie w tych warunkach do wydania wyroku

śmierci można uważać za wynik wzorowo sumiennego oceniania sprawy²³.



C. Jaskrawą plamą na skrupulatności składu sędziów na rozprawie przeciw gen Kuropiesce jest odmowa przesłuchania świadków zgłoszonych przez oskarżonego. W sprawie tej odsłania się duża część mechanizmu prokuratorsko-sądowo-politycznego, jaki działał w sprawach tatarskich i dlatego powiemy o niej w tym miejscu nieco szerzej.

Gen Kuropiesce odczytano akt oskarżenia na 8 dni przed rozprawą. Już w trzy dni później wniósł on obszerne pismo do sądu, w którym podał 37 świadków, wyszczególniając, co mogą zeznać. Sąd zajął się tym pismem dopiero na rozprawie i po sprzeciwie oskarżającego N. Prokuratora Wojsk. odmówił wezwania tych świadków.

Prawda, że w danym przypadku sąd nie szczędził swego czasu na przesłuchiwanie świadków i dopuścił do głosu 10 osób zgłoszonych przez — prokuratora. Prawda, że owych 10 świadków obciążało oskarżonego i w większości obciążało kategorycznie. Prawda wreszcie że — zgodnie z tym, co tu powiedziano wyżej — sędziowie mieli w tych warunkach *formalnie* prawo do powzięcia przekonania o winie oskarżonego. Ale były też prawdy inne.

Po pierwsze ta, że z wezwanych przez oskarżyciela a przez sąd wysłuchanych 10 świadków sześciu miało wiszące nad sobą wyroki śmierci; że więc mieli oni powody do obaw, by przez ociągliwość wobec prokuratorskiego operowania ich zeznaniami nie przypieczętować własnego losu. Z pozostałych czterech świadków dwóch obciążało oskarżonego raczej słabo. W tej sytuacji choćby zwykłe dobre obyczaje sądowe powinny były skłonić sędziów do tego, by nie przyznawać oskarżycielowi monopolu przedstawiania świadków.

Ale znacznie ważniejsza jest druga prawda. Przyjmując nawet, że sędziowie mieli w zeznaniach przesłuchanych świadków podstawę do uznania, że żaden inny świadek nie potrafi już zachwiać ich przekonaniem o winie oskarżonego, pozostawała przecież zawsze jeszcze kwestia kary. Przecież nie można było przesądzić z góry, że z 37 świadków wskazanych przez gen. Kuropieskę na swą obronę absolutnie żaden nie powie nic takiego,

23. W procesie lotników (Adamecki i 7 innych) przesłuchano dwóch świadków. Zapadło sześć kar śmierci — o jedną więcej, niż żądał prokurator — i wszystkie wykonano.

co by można było poczytać za okoliczność łagodzącą i co by wobec tego pozwoliło odstąpić od wymierzenia kary śmierci. Przecież kary takiej nie wolno sumiennemu sędziemu wymierzać, póki nie wyczerpał wszystkich istniejących możliwości przekonania się, czy rzeczywiście oskarżony musi być raz na zawsze wyeliminowany ze społeczeństwa.

W sprawie gen. Kuropieski sędziowie mieli przed sobą 37 takich możliwości. A jednak — nie skorzystawszy z ani jednej z nich powiedzieli w uzasadnieniu wyroku: „Przy wymiarze kary N. Sąd Wojsk. miał na uwadze, że oskarżony dopuszczając się nikczemnej zdrady Ojczyzny wyrządził w owym czasie znaczną szkodę wojsku, że swoje całkowite zaprzękanie wywiadowi imperialistycznemu maskował perfidną dwulicowością i że oskarżony w metodach prowadzonego szpiegostwa wykazał ogrom zgnilizny moralnej”.

Jeszcze ostrzej występuje nieprzystojna sędziom pochopność w ich negatywnej opinii co do ułaskawienia, sporządzonej zaraz po wyroku. Znajdują się tam takie słowa: „Skazany kierował się pobudkami głębokiej nienawiści do ludowego ustroju Państwa Polskiego i zdawał sobie sprawę z tego, że działalność konspiracji idzie na rękę imperialistom, którzy przygotowują trzecią wojnę i chcieliby z Państwa Polskiego uczynić swoją kolonię. Skazany jest zatwardziałym zbrodniarzem antypaństwowym i ani w czasie prowadzonego śledztwa ani na rozprawie nawet słowem nie wyraził skruchy z powodu popełnionych zbrodni”.

Obciążyć człowieka „ogromem zgnilizny moralnej”, przypisać mu „głęboką nienawiść do ludowego ustroju Państwa Polskiego” i chęć pójścia na rękę mocom, które chcą z Polski uczynić wyzyskiwaną kolonię, nazwać go „zatwardziałym zbrodniarzem antypaństwowym” dokonać tych wszystkich ocen, zamknawszy przedtem usta wszystkim, od których można było usłyszeć cokolwiek na korzyść oskarżonego — to już dyskwalifikujące zlekceważenie kanonów etyki sądowej i zresztą wszelkiej innej.



Powiedziałem, że sprawa gen. Kuropieski nie od jednej tylko strony odsłania kulisy spraw tatarskich. Odbija się w niej także potęga nacisku wywieranego przez Informację na przyznawanie się więźniów — nacisku zdublowanego sugestiami, że przyznanie się jest głównym sposobem uniknięcia kuli.

Gen. Kuropieska nie przyznał się na rozprawie. Nie przyznawał się też w ciągu tych dwóch lat, przez które był uwięziony przed rozpoczęciem się procesu i w ciągu których z niepospolitym

hartem ducha wytrzymywał wszystkie bodajże środki udręk z arsenału Informacji. Ale w sześć dni po wyroku skazującym go na śmierć wniósł rewizję, w której — przyznaje się do winy i prosi jedynie o złagodzenie wyroku. W piśmie tym zaraz na pierwszej stronie jest oświadczenie: „Dla zadokumentowania mej najlepszej woli przedstawiam przebieg mej zbrodniczej działalności, którą potępiam”.

Jak się to stało? Skąd ten przeskok od dwuletniego niezłomnego oporu do nagłej zapaści i skruchy? Wy tłumaczenie jest w aktach — w notatce ówczesnego zastępcy szefa Zarządu IV (śledczego) G. Zarządu Inf., płk Kochana: „W krótkim czasie po skazaniu na karę śmierci podejrzany Kuropieska zgłosił się do mnie na rozmowę... Kuropieska oświadczył mi, że chyba będzie musiał zeznawać, aby ratować głowę, mimo że to, co będzie mówił, będzie nieprawdą”.

Nie można się dziwić, że człowiek skazany niewinnie na śmierć ratował głowę jak mógł a więc za cenę fikcyjnego przyznawania się. Ale z drugiej strony — i o tym nie wolno zapominać — niepodobna zaprzeczyć, że tego rodzaju obrót rzeczy miał złe reperkusje, bo utwierdzał sędziów w przekonaniu, że dobrze ocenili winę gen. Kuropieski — bez słuchania świadków zgłoszonych przez niego na poparcie obrony, którą następnie zarzucił. Tak mnożyły się ogniwa w łańcuchu złych akcji i złych reakcji.

Wskażmy wreszcie na objawiające się w sprawie gen. Kuropieski nienormalne powiązania czynnika politycznego z sądownictwem wojskowym.

Jak powiedziałem wyżej, gen. Kuropieska wniósł zaraz po wyroku rewizję, w której prosił o złagodzenie wyroku. Było to dnia 2 lipca 1952 roku. Przez blisko dwa lata N. Sąd Wojsk. nie reagował na tę rewizję, ani nie obalając w II-giej instancji wyroku pierwszoinstancyjnego (opiewającego na karę śmierci!) ani go nie zatwierdzając — utrzymując natomiast skazanego przez 700 dni w świadomości, że każdego z nich może być wyprowadzony na stracenie.

Ale w pierwszej połowie roku 1954 zaczął się już ruch w sprawach tatarowskich. Coraz więcej skazanych odwoływało swe zeznania, wskazując na ich wymuszenie. Kończyły się rządy płk. Skulbaszewskiego w G. Zarządzie Inf. W N. Sądzie Wojsk. zrozumiano, że niepodobna odkładać dłużej rozpatrzenia rewizji gen. Kuropieski. Czy zrobiono wobec tego rzecz, która nasuwała się sama przez się: czy mianowicie kierownictwo N. Sądu Wojsk. wyznaczyło samorzutnie rozprawę rewizyjną? Nie. Prezes N. Sądu Wojsk. nie uznał, iżby to należało do jego wyłącznej kompetencji.

W aktach jest notatka płk. Świątkowskiego, że 15 czerwca 1954 roku zwrócił się telefonicznie o zdanie w sprawie Kuropieski. „Tow. Radkiewicz zakomunikował, że jest decyzja kierownictwa Partii, że wyrok należy uchylić... i następnie sprawę ponownie rozpoznać”. A więc rozstrzygnięcie sprawy sądowej zapadło poza sądem. W 8 dni po telefonie płk. Świątkowskiego Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk zachowując się z całą powagą niezależnej instancji, poszło dokładnie w ślad decyzji zakomunikowanej prezesowi i na wniosek tego samego oskarżyciela, który dwa lata wcześniej domagał się kary śmierci na gen. Kuropieskę — uchyliło wyrok i przekazało sprawę do ponownego rozpoznania.

W dniu 25 stycznia 1956 roku N. Prokurator Wojsk. umorzył postępowanie karne przeciw gen. Kuropiesce. Ale i on widocznie bał się uczynić to na własną rękę, bez porozumienia z czynnikami politycznymi. W aktach jest bowiem jego zapisek z dnia 24 stycznia 1956 roku a więc z przedednia umorzenia: „Przewodniczący Rady Państwa akceptował umorzenie postępowania co do Józefa Kuropieski”. Zaden przepis prawny nie zna potrzeby takiej akceptacji.

◆

D. Za orzeczenie z gruntu wadliwe co do konstrukcji prawniczej uważam wyrok w sprawie ppłk. Ziemińskiego. Oskarżony ten, podobnie jak inni w tych sprawach, miał dwa zarzuty: 1) usiłowanie obalenia przemocą ustroju Państwa Polskiego (art. 86 KKWP) i 2) szpiegostwo (art. 7 MKK). Z tego drugiego zarzutu go uniewinniono; za tamto przestępstwo skazano go na 10 lat więzienia, uznając, że „był c z y n n y m członkiem konspiracji w wojsku, zmierzającej do dokonania zamachu stanu i obalenia ludowego ustroju Państwa”. Na czym sąd oparł swe uznanie, że Ziemiński był c z y n n y m członkiem spisku?

Ziemiński był jednym z tych oskarżonych, którzy nie przyznali się do winy. Swoje przekonanie o jego winie sąd uzasadnił czterema zdaniami. Jedno zdanie: „P r z y n a l e ż n o ś ć osk. Ziemińskiego do organizacji konspiracyjnej w wojsku potwierdziły zeznania świadków Barbasiewicza i Romana”.

Drugie zdanie: „Barbasiewicz zorganizował wśród oficerów I-go Oddziału Sztabu Gen. komórkę konspiracyjną, do której w końcu 1947 roku zawerbował osk. Ziemińskiego, uprzednio poinformowanego o celach konspiracji”.

Trzecie zdanie: „N. Sąd Wojsk. oceniając materiał dowodowy w sprawie, miał na uwadze, że zeznanie świadka Barbasiewicza, odczytane na rozprawie według protokołu konfrontacji

z dnia 2 czerwca 1950 roku zostało potwierdzone zeznanie św. Romana, który został przesłuchany na rozprawie”.

I czwarte zdanie: „Przesłuchany na rozprawie świadek Roman zeznał, iż Barbasiewicz werbując oskarżonego do konspiracji działał w porozumieniu ze świadkiem Romanem, że Barbasiewicz meldował Romanowi o zawerbowaniu oskarżonego i że oskarżony brał czynny udział w działalności komórki konspiracyjnej, zorganizowanej przez Barbasiewicza”.

Zanalizujemy teraz zasadność tych czterech twierdzeń.

1) Jedynym świadkiem, z którym sąd się zetknął, był Wł. Roman. Barbasiewicz — w chwili rozprawy przeciw Ziemińskiemu (23 lutego 1952 r.) — był już stracony. Innych świadków (mimo wniosku Ziemińskiego) nie wzywano.

2) Zeznania Barbasiewicza w śledztwie i Romana na rozprawie uzasadniały przyjęcie gołej „przynależności” Ziemińskiego do organizacji spiskowej, jak to powiedziano w pierwszym z cytowanych zdań. Natomiast nic w tych zeznaniach nie dawało podstawy do powiedzenia w sentencji wyroku, że Ziemiński był *czynnym* członkiem konspiracji.

3) Roman zeznał wprawdzie na rozprawie, że Barbasiewicz przekazywał mu meldunki pisemne Ziemińskiego, ale zarazem oświadczył:

- a) „osobiście z oskarżonym żadnego kontaktu nie utrzymywałem”;
- b) „wiadomości, które dostawałem od Barbasiewicza a on od oskarżonego, dotyczyły stanu oficerów z podziałem na wychowanków odrodzonego Wojska, przedwojennych i bez wykształcenia wojskowego, jak również dawał mi dane statystyczne”.

4) Ziemiński — który, powtórzmy, cały czas przeczył obciążającym go zeznaniom Barbasiewicza — wyjaśnił co do materiałów, jakie dawał Barbasiewiczowi: „Barbasiewicz miał wszystkie dane, gdyż on był szefem oddziału. Barbasiewicz brał ode mnie dane, ale drogą służbową. W roku 1948 i 1949 statystyki w ogóle nie było a była ona dopiero na 1 kwietnia 1950 roku. Ja miałem cały stan wojska. Ja żadnych wiadomości nie przekazywałem a o ile Barbasiewicz brał ode mnie, to za pokwitowaniem”.

5) W czwartym z przytoczonych wyżej zdań sąd przypisał świadkowi Romanowi zeznanie, że Ziemiński brał *czynny* udział w działalności komórki konspiracyjnej. Tymczasem w krótkim zeznaniu Romana na rozprawie nie ma nic o „czynnym udziale Ziemińskiego w działalności komórki konspiracyjnej” —

poza tym, że rzekomo dostarczał Barbasiewiczowi materiałów o stanie wojska, z którego to zarzutu sąd uniewinnił Ziemińskiego. Uznał mianowicie, że „zeznanie świadka Romana w tym przedmiocie nie daje dostatecznej podstawy do ustalenia, że oskarżony rzeczywiście przekazywał Barbasiewiczowi materiały wywiadowcze”.

Wynika z tego, że skład sędziów, którzy w I-szej instancji orzekali w sprawie Ziemińskiego (Aspis, Karczmarz, Kozłowski), nie miał absolutnie żadnej podstawy do tego, by do sentencji wyroku uznającego Ziemińskiego za członka konspiracji wkręcić słówko „czynny” ani by w uzasadnieniu wyroku przydawką tą opatrzyć jego udział w spisku. A to wkręcenie tylko może wytłumaczyć, dlaczego oskarżonemu, któremu nie udowodniono żadnej działalności konspiracyjnej, wymierzono karę dwukrotnie wyższą od minimum przewidzianego w art. 86 KKWP.

Na tym jednak nie kończy się demonstracja tego klinicznego wypadku.

Widzieliśmy, że sąd powoływał się na zeznania Barbasiewicza obciążającego Ziemińskiego zgodą na zawierbowanie go do konspiracji. Barbasiewicz zaś, skazany 29 października 1951 roku na karę śmierci, wniósł w cztery dni później skargę rewizyjną, w której odwołał wszystkie zeznania w śledztwie i na rozprawie, szeroko opisując, jak w G. Zarządzie Inf. urabiano jego psychikę.

Czy sądząc Ziemińskiego dnia 23 lutego 1952 roku — tj. w sześć tygodni po rozstrzelaniu Barbasiewicza, które nastąpiło dziwnie prędko po odwołaniu przezeń zeznań i osłabieniu przez to swej możliwej wartości świadka w przyszłych procesach odpryskowych — sędziowie I-szej instancji wiedzieli o tym odwołaniu, tego nie można stwierdzić i taką świadomością nie można ich tu obciążyć. Ale powinni byli o tym wiedzieć sędziowie, którzy — jako Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk. — sądzili sprawę Ziemińskiego w II-giej instancji dnia 11 marca 1952 roku. Bo utrzymując w mocy karę śmierci na Barbasiewiczza, powiedzieli w uzasadnieniu swej decyzji: „Odwołanie przez skazanego w skardze rewizyjnej wszystkich swoich dotychczasowych wyjaśnień... nie zasługuje na uwagę”. A to było wszystkiego na trzy i pół miesiąca przed rozprawą rewizyjną w sprawie Ziemińskiego.

Może jednak Zgromadzenie miało powody, by nie dać wiary odwołaniu Barbasiewicza? Wprawdzie schorzenia orzecznictwa Zgromadzenia Sędziów N. Sądu Wojsk. postaram się oświetlić dopiero w następnym rozdziale, to jednak dla całości sprawy, o której mówimy w tej chwili, powiem już tu, że skazanie Barba-

siewicza na karę śmierci stało na dwóch nogach: na przyznaniu się Barbasiewicza i na krótkim zeznaniu świadka Wł. Romana. Jest jasne, że odwołanie przez Barbasiewicza przyznania się osłabiło jedną z dwóch podstaw skazania, które zaczęło poważnie kuleć.

Powtarzam, co powiedziałem już wyżej z innej okazji: formalnie wolno sędziom nie dać wiary odwołaniu przyznania się, nie można tu więc zarzucać uchwytnego karnie łamania praworządności. Ale skoro skazanie na karę śmierci było w połowie oparte na zeznaniu jednego jedyne go świadka a w połowie na odwołanym przyznaniu się oskarżonego, to wielkie zaiste musiało być zadufanie sędziów, którzy nie zdobyli się na ostrożność sprawdzenia okoliczności tego odwołania przez przekazanie sprawy do ponownego rozpoznania. Tym bardziej, że Barbasiewicz powoływał w skardze rewizyjnej szereg świadków na dowód swej niewinności a na rozprawie nie miał obrońcy.

Uczestnicy Zgromadzenia nie mieli jednak tych skrupułów. Utrzymali jednomyślnie — i to bez żadnej dyskusji — karę śmierci. Nie miano tych skrupułów także w postępowaniu ułaskawieniowym.

Wracając do sprawy Ziemińskiego, stwierdźmy, że Zgromadzenie nie tylko nie pamiętało, że Barbasiewicz odwołał swe zeznania (przypomnieć mu zaś o tym było co najmniej obowiązkiem referenta, płk. Tomaszewskiego), ale brnęło dalej po drodze frazeologii, która sąd I-szej instancji doprowadziła do skazania Ziemińskiego na 10 lat za „gołą” przynależność do konspiracji. Oświadczyło mianowicie: „Sąd I-szej instancji na podstawie zeznań świadka Barbasiewicza... oraz zeznań świadka Romana... słusznie przyjął za udowodnione, że Ziemiński w roku 1948 został zwerbowany przez Barbasiewicza do kontrrewolucyjnej organizacji — konspiracja w Wojsku Polskim. Skazany od 1948 roku do maja 1950 roku należąc do konspiracji w Wojsku Polskim, usiłował obalić ustrój Państwa Polskiego przez dokonanie zamachu stanu”.

W dalszym ciągu będzie jeszcze mowa o tym, jak N. Sąd Wojsk. doszedł do tego, że mu sam fakt formalnego przystąpienia do organizacji konspiracyjnej wystarczał, by skazywać za usiłowanie obalenia ustroju Państwa Polskiego. Tu wskazuję jedynie, jak Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk. zwolniło się od obowiązku treściwego uzasadnienia wyroku: po prostu powiedziało, że Ziemiński, należąc do konspiracji, usiłował obalić ustrój Państwa Polskiego. Wystarczy zestawić dwa pojęcia — a) należeć do konspiracji, nic przy tym nie robiąc i b) usiłować obalić ustrój Państwa Polskiego — by zrozumieć,

jak wielka może być potęga frazesu. Niewątpliwie zaś miejscem najmniej odpowiednim do objawiania się tej potęgi jest wyrok najwyższej instancji sądowej.

Sprawa płk. Ziemińskiego nie zakończyła się tak tragicznie, jak inne. Ale studiować na niej można te same metody i ten sam klimat sądenia, które w innych wypadkach doprowadziły do nieodwracalnej katastrofy.



E. W uzasadnieniach wielu wyroków jest nieznośnie drętwa mowa. Skąpe stwierdzanie faktów uzupełnia się moralnymi ocenami postępowania oskarżonych — ocenami napuszonymi, pełnymi niewyszukanych aksentów wiecowych, które szczególnie muszą razić w wyrokach orzekających karę śmierci. Tu przecież waży każde wypowiedziane słowo, bo każde przecież zaciska się na gardle człowieka. Tymczasem wywijańce stylistyczne, zdania upstrzone grzmiącymi wyrażeniami, zdradzają podniecenie, dla którego nie ma miejsca przy sądzeniu i budzą podejrzenie, że sędziowie zastępowali zimną argumentację szumną frazeologią po to, żeby zagłuszyć niepewności we własnych sumieniach.

W szczególności, ponieważ nie można było oskarżonym o szpiegostwo udowodnić tego motywu, który normalnie kieruje szpiegiem w czasie pokoju — a więc interesowności, pobudek materialnych — przypisywano im lekką ręką „nienawiść do ustroju ludowego” i „perfidną bezideowość”. Ten demagogiczny chwyt (nie mówiąc już o tym, że „perfidna bezideowość” to czysty nonsens: możliwa jest bezideowa perfidia, ale nie na odwrót) powtarza się w jednym wyroku po drugim z małymi tylko wariantami. Oto kilka próbek z wyroków zakończonych karą śmierci.

„Oskarżony, który wykazał zdecydowaną wolę podważenia obronności Państwa Polskiego, jest niepoprawnym i groźnym wrogiem Polski Ludowej”.

„... uprawiał szpiegostwo z pobudek wybitnie wrogiego ustosunkowania się do władzy ludowej w Polsce”.

„Ogrom popełnionych zbrodni, perfidna bezideowość oskarżonych, których pobudką działalności zbrodniczej była wyłącznie nienawiść do władzy ludowej itd.”.

„Bez reszty oddany interesom państw imperialistycznych”.

„Wróg władzy ludowej — zdecydowany za dokonanie każdej zbrodni”.

„Wróg władzy ludowej nie cofający się przed żadną zbrodnią na szkodę Państwa”.

„...skazani... z całą świadomością, powodowani nienawiścią do ustroju Polski Ludowej i władzy ludowej, stali się zdrajcami swej Ojczyzny i Narodu, chcąc zaprzedać ją najgorszemu wrogowi ludzkości — ludobójczemu

imperializmowi anglo-amerykańskiemu. Działalność przestępcza oskarżonych wykazuje całą ich nikczemność i perfidną bezideowość”.

„... że pobudką działania skazanych była wyłącznie nienawiść do władzy ludowej w Polsce i że wykazali zdecydowaną wolę podważenia obronności Państwa Polskiego oraz że są zdecydowanymi i groźnymi wrogami Polski Ludowej...”.

„Sąd miał na uwadze perfidną bezideowość oskarżonych, których pobudką działania była wyłącznie nienawiść do władzy ludowej w Polsce”.

„W pobudkach swego działania oskarżony kierował się nienawiścią do mas pracujących Narodu i wolą przywrócenia ustroju wyzysku i rządów zdrady narodowej”.

„Skazany działał z pobudek wybitnie i zdecydowanie wrogich w stosunku do Ludu i Państwa Polskiego... Skazany był świadom, że jego zbrodnie godzą w Niepodległość Państwa Polskiego i Wolność Narodu oraz że skazany dążył do przeobrażenia Polski w kolonię imperialistycznego państwa”.

Powyższe zdania wyjęte są każde z innego wyroku. Jak widać jednak, inwencja ich autorów nie była bogata, skoro stereotypowość tych zdań jest tak wielka. Natrętnie nasuwa się tu myśl Goethego, że „gdzie braknie myśli, tam w porę zjawia się słowo”.

Wszyscy ci niepoprawni wrogowie Polski Ludowej, perfidni bezideowcy, nienawidzący władzy ludowej słudzy ludobójczych imperialistów, nikczemnicy gotowi do każdej zbrodni na szkodę Państwa, dążący do przeobrażenia Polski w kolonię i przywrócenia rządów zdrady narodowej itp., wszyscy przeciw którym rozpędzano się na tak wysokich koniach — wszyscy oni są dziś zrehabilitowani.



F. Bodaj najcięższy zarzut przeciw sędziom, którzy wyrokowali w sprawach tatarskich w I-szej instancji (dzielił go oni zresztą z sędziami z II-giej instancji) jest ten, że nie wyciągnęli nauki z wyroku w sprawie centralnej i dopuścili do tego, że w sprawach odpryskowych zapadały kary śmierci, podczas gdy w tamtej głównym spiskowcom nie wymierzono takiej kary.

Kulisy wyroku w sprawie centralnej odsłania złożone Komisji oświadczenie sędziego, który przewodniczył na tej rozprawie. Jak wytłumaczyć, że w sprawie centralnej nie orzeczono ani jednej kary śmierci, podczas gdy w sprawach pochodnych, „odpryskowych”, za te same przestępstwa wymierzono ich 37? Czy już po procesie w sprawie centralnej wyszły na jaw jakieś nowe okoliczności, które pogłębiły cień na czynach ludzi wmieszanych w konspirację wojskową? Nie, nic takiego się nie ujawniło. Czy przywódcom sądzonym w sprawie centralnej przyznano jakieś szczególne okoliczności łagodzące, których nie można było dopatrzeć się u innych oskarżonych? Nie. O względnej łagodności

wyroku w sprawie centralnej rozstrzygnęły względy pozasądowe.

We wspomnianym oświadczeniu płk Waląg pisze o końcowym stadium rozprawy, której przewodniczył:

„Przypominam sobie taką sytuację..., iż do gabinetu Szefa Zarządu Sądownictwa Wojskowego, gdzie przypadkowo byłem obecny, wszedł gen. Romkowski i oświadczył, że starał się przekonać 'Tomasza'*, iż pięciu oskarżonych powinno dostać kary śmierci, ale 'Tomasz' na to się nie zgodził. W gabinecie, jak pamiętam, oprócz płk. Karlinera, obecny był płk Zarakowski, płk Różański i ppłk Bojko”.

Taki był powód, że ani oskarżyciel w sprawie centralnej (płk Zarakowski) nie wnosił o kary śmierci ani sędziowie nie wymierzili jej żadnej z osób uznanych za głównych spiskowców.

Oczywiście, fakt ten wzbudził w sędziach, przed którymi rozwijaly się następne procesy, wątpliwości, czy ci, którzy bezpośrednio ulegli wpływom tamtych, powinni być potraktowani o tyle surowiej. Ówczesne kierownictwo N. Sądu Wojsk. uspokoiło jednak te skrupuły sędziowskie informacją, że względy wyższej polityki sprawiły, iż oskarżonych w sprawie centralnej — prowadzonej z wielkim rozgłosem — należało potraktować wyjątkowo, nie można więc wzorować się na ocenie karnej, jaką tam zastosowano, lecz we wszystkich *innych* sprawach tatarskich trzeba kierować się obowiązującą zasadą jak najsurowszej represji działań konspiracyjnych i szpiegowskich.

Tu trzeba nam przypomnieć, że w okresie, który wchodzi tu w grę, w sądownictwie wojskowym panował — propagowany usilnie przez ówczesne kierownictwo — pogląd, że za szpiegostwo właściwa jest z reguły jedna tylko kara: kara śmierci. Art. 7 MKK, dotyczący szpiegostwa, przewidywał wprawdzie karę od 5 lat więzienia. Ale teoria narzucana sądownictwu wojskowemu — zgodne zresztą z pleniącymi się w tamtych latach zapatrywaniami na potrzebę terroru sądowego — tego nie uwzględniała i nakazywała szpiega bezpowrotnie eliminować ze społeczeństwa²⁴

Jak daleko sięgała ta terrorystyczna teoria, tego dowód mamy w sprawie niejakiego Fliegera.

* „Tomasz” pseudonim Bolesława Bieruta.

24. Sąd Rejonowy w Łodzi skazał w październiku 1952 roku Zakowskiego za szpiegostwo na karę śmierci. W swej negatywnej opinii co do ułaskawienia N. Prokurator Wojsk. zaznaczył, że „w aktach sprawy znajduje się zaświadczenie lekarskie stwierdzające, iż skazany cierpi na sklerozę mózgu i paraliż nóg”. Podał też, że w wojnie z hitlerowcami Zakowski był ranny trzykrotnie.

Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski i wyrok na paralityku wykonano.

Zygmunt Flieger urodził się w roku 1925. Stracił matkę, gdy miał 3 lata — ojca, gdy miał 10 lat. Podczas okupacji pracował jako robotnik rolny. Po wyzwoleniu też był robotnikiem. Wstąpił do WIN-u ale w kwietniu 1947 roku ujawnił się i dalej pracował jako robotnik. Powołany w roku 1948 do wojska, był zdemobilizowany po półtorarocznej służbie, po czym pracował na kolei jako palacz na parowozie.

Praca ta nie odpowiadała mu — uważał ją za zbyt ciężką i mało płatną — prosił więc o zwolnienie a gdy mu go odmówiono, zbiegł w końcu października 1951 roku i przedostał się do zachodniego Berlina, skąd zamierzał udać się do Kanady lub do Francji.

Zatrzymany w Berlinie i umieszczony w obozie dla uchodźców, był oczywiście przesłuchiwany przez wywiad anglosaski i w trakcie tych przesłuchań — jak ustalono w wyroku — „wymienił w jakiej służył jednostce wojskowej oraz podał uzbrojenie pułku i wymienił nazwisko dowódcy tej jednostki”. Ponadto „przekazał wiadomości na temat stanu parowozów, regularności kursowania pociągów, o warsztatach naprawczych, o siatce płac na PKP i o trudnościach w zaopatrzeniu w tłuszcz”. Jak wielką wartość mogły mieć dla wywiadu obcego te dane z zakresu wiadomości palacza na lokomotywie, nie trudno ocenić.

Tłumacząc Fliegerowi, że uzyskanie pozwolenia na jego dalszy wyjazd na Zachód potrwa dłuższy czas i uzależniając to pozwolenie od jego powolności wywiadowi, zaproponowano mu wypad szpiegowski do Polski na dwa tygodnie. Flieger zgodził się, 15 grudnia wyjechał z Berlina i zaraz naza-jutrz ujęła go polska straż graniczna.

Jasne jest zatem, że było to jedynie uśiłowanie szpiegostwa przez człowieka o niezbyt szczęśliwych doświadczeniach życiowych w dzieciństwie i wczesnej młodości. Wystarczyło to jednak Sądowi Rejonowemu w Warszawie do skazania Fliegera na karę śmierci i do wydania negatywnej opinii co do jego ułaskawienia. N. Sąd Wojsk. utrzymał skazanie w mocy. Dopiero Rada Państwa była innego zdania i ułaskawiła Fliegera na więzienie dożywotnie.

Cokolwiek byśmy sądzili o tej teorii (niewątpliwie sprzecznej z kategorycznym nakazem indywidualizowania przestępstw i przestępców), jedno jest pewne: nie można było stosować jej w całej pełni w sprawach odpryskowych a odmawiać jej mocy obowiązującej w sprawie centralnej. I na odwrót: skoro przełamało się szczęśliwie rygorizm tej teorii w stosunku do naczelných sprawców, należało w konsekwencji odstąpić od niego w stosunku do tych innych oskarżonych, którzy bez inicjatywy i kierownictwa tamtych może nigdy nie znaleźliby się przed sądem. Sędziowie N. Sądu Wojsk. nie uważali jednak, iżby obowiązywała ich ta prosta logika a przynajmniej nie znalazłem śladów, iżby o tę logikę walczyli z uporem.

A mogli przecież mieć silne argumenty. Jeśli czynniki polityczne uznały, że ze względów bliżej nieokreślonych, ale bądź co bądź nie mających nic wspólnego z oceną winy generałów ze sprawy centralnej, nie należy tych generałów pozbawiać życia — to miały przed sobą prostą drogę: ułaskawienie. Skoro jednak, jak widzieliśmy, z a ż a d a ł y o d s ą d u, by w pokazowo pro-

wadzonym procesie nie zapadło ani jedno skazanie na karę śmierci, to nie mogły mieć żadnego — ani prawnego ani politycznego ani zwłaszcza moralnego — tytułu do oczekiwania, że sędziowie nie będą przestrzegać proporcji przy wyrokowaniu i nie będą dostosowywać kar na kamparsów do kary na przywódców.

Powiedziałem wyżej, że sprawy tatarowskie stanowiły jeden kompleks. Nie było rzeczowych powodów, by nie przeprowadzić przeciw wszystkim w nim oskarżonym jednej rozprawy — owszem, znacznie bardziej uwypukliłaby się rola każdego z oskarżonych, gdyby ją można było w ciągłości przewodu zestawić z rolą wszystkich innych. Przypuśćmy zaś na chwilę, że taki możliwy zbiorowy proces rzeczywiście urządzono i że zapadł potem jeden zbiorowy wyrok; czy byłoby do pomyślenia wymierzenie kierującym konspiracją generałom kar dożywotniego więzienia a 37 ludziom, którzy do tej konspiracji weszli bocznymi drzwiami — kar śmierci?

Sędziowie mieli więc mocny grunt, by na nim stanąć i opierać się naciskowi. Wyrok w sprawie centralnej — nie zaatakowany przez prokuraturę — powinien być wedle wszelkich reguł sądownictwa i etyki stanowić drogowskaz w sprawach odpryskowych. Nie ma i nie może być takich „wyższych względów”, które by nakazywały w postępowaniu sądowym karać stosunkowo łagodnie podżegaczy a odgrywać się na podżęgniętych. Dopuszczenie do tego oznacza koniec sądu. Reszta to administracja, nie sądownictwo.

Sędziowie mieli zresztą jeszcze jeden argument. Kara śmierci ma znaczenie jedynie terrorystyczne; co do tego nie ma wątpliwości. I tylko sędzia, który wierzy w potrzebę i skuteczność terroru, może usprawiedliwiać przed sobą i innymi wydanie wyroku śmierci. Ale w sprawach odpryskowych orzekano — a zwłaszcza wykonywano — karę śmierci w najgłębszej tajemnicy. Całymi latami rodziny straconych mogły jedynie domyślać się losu człowieka, który z więzienia nie dawał znaku życia. Nie można więc było twierdzić, że z tych 19 egzekucji wielki strach padł na korpus oficerów polskich. Można było raczej pytać: jaki jest cel odbierania ludziom życia, jeśli groza tego faktu nie wychodzi na zewnątrz jako ostrzeżenie prewencyjne? Nie widać z akt, by to pytanie niepokoiło sędziów i by taki niepokój wygrywali przeciw naciskom.

Zarzut, jaki tu stawiam sędziom, jest ciężki. Trzeba jednak przyznać, że ówczesne wpływy pozasądowe czyniły, co mogły, by utrudnić oficerom sądowym zajęcie postawy godnej sędziego. W oficjalnej publicystyce stworzono granicę psychozy sięgającą

w atmosferę potępienia „wrogów”²⁵. Ingerencja czynników politycznych w orzecznictwo wojskowe była jawna; co najmniej jawnie, nie wywołując protestu, operowano na zebraniach sędziów wojskowych argumentem o życzeniach czynników politycznych. Nie można też pominąć faktu, że przynajmniej część sędziów i prokuratorów — tj. ci, którzy mieli do czynienia z wykonywaniem wyroków śmierci — wiedzieli, że istnieje aprobata tajnych procesów i zakonspirowanych rozstrzeliwań²⁶.

O tym wszystkim trzeba pamiętać, sądząc sędziów.

W ZGROMADZENIU SĘDZIÓW N. SĄDU WOJSK.

W drugiej instancji rozpatrywało sprawy tatarskie (z wyjątkiem tych kilku, które w I-szej instancji sędził wojskowy sąd rejonowy) Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk. a więc zespół obejmujący kilkunastu najwyższych oficerów sądowych. Roz-

25. Widocznie jednak było tego, zdaniem niektórych, mało. W aktach wydziału IV Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej znajduje się „informacja o przejawach zdrady ojczyzny w wojskach lotniczych”, podpisana 23.V.1953 r. przez szefa G. Zarządu Inf., płk. Wozniesińskiego. Powiedziano w niej m.in., że „wskazane byłoby... postawić przed rządem P.R.L. zagadnienie powzięcia uchwały o odpowiedzialności bliższych członków rodziny zdrajców ojczyzny, jak to jest przyjęte w ZSRR i innych krajach demokracji ludowej, co ma duże znaczenie profilaktyczno-zapobiegawcze”.

26. Tym, którzy przyzwyczajeni do obyczajów sądownictwa powszechnego zdziwią się, czytając o sędziach mających do czynienia z wykonywaniem kary śmierci, należy wyjaśnić, że w Tymczasowej Instrukcji o wykonywaniu orzeczeń w sprawach sądowych (wprowadzonej rozkazem marsz. Rokossowskiego z dnia 24 czerwca 1953 r.) znajdują się następujące przepisy:

„§ 9. Bezpośrednio przed wykonaniem kary śmierci przewodniczący sądu lub sędzia delegowany przez szefa sądu sprawdza tożsamość oskarżonego i podaje mu do wiadomości treść wyroku oraz decyzję Rady Państwa.

„§ 10. Lekarz obecny przy wykonaniu kary śmierci stwierdza śmierć skazanego, po czym naczelnik więzienia sporządza niezwłocznie protokół... (który) podpisuje naczelnik więzienia, prokurator, lekarz, sędzia obecny przy wykonaniu kary śmierci oraz dowódca oddziału egzekucyjnego”.

Nakazanie obecności sędziego przy egzekucji wychodziło poza dyspozycję art. 314 KWPK, który mówi, że „przy wykonaniu kary śmierci powinien być obecny prokurator, lekarz oraz na żądanie skazanego, w miarę możliwości, duchowny”. O sędzim tu ani słowa.

Może zresztą to *praeter legem* idące zarządzenie miało głębszy sens? Może perspektywa uczestniczenia w koszmarniej ceremonii miała skłaniać sędziów do zwielokrotnienia ostrożności przy skazywaniu na śmierć? Rzecz raczej wątpliwa.

prawy odbywały się na posiedzeniu, na które nie wzywano oskarżonego i normalnie nie dopuszczano obrońcy. Wokanda takiego posiedzenia obejmowała z reguły kilkanaście spraw, czasem dwadzieścia kilka. Jest oczywiste, że w tych warunkach uczestnicy Zgromadzenia — przeciążeni zwykłą swą pracą w sesjach trójkowych, których mieli dwie w każdym tygodniu — nie mogli znać akt spraw, w których wydawali orzeczenia ostateczne. Akta znał jedynie referent danej sprawy, który składał sprawozdanie i udzielał odpowiedzi, jeśli padały pytania i rozwijała się dyskusja.

W sprawach tatarowskich, uznanych za szczególnie tajne, akta były przechowywane w kancelarii tajnej, gdzie w ogóle nie miał do nich dostępu żaden z sędziów poza prezesem N. Sądu Wojsk. płk. Świątkowskim, jego zastępcą płk. Tomaszewskim oraz sprawozdawcą w konkretnej sprawie; tym sprawozdawcą zresztą był w 34 sprawach, w których zgłoszono rewizje, 12 razy płk Tomaszewski.

Do marca 1952 roku orzeczenia Zgromadzenia zapadały w formie normalnych postanowień, tzn. sporządzano sentencje z uzasadnieniami i podpisywali je wszyscy sędziowie, którzy uczestniczyli w Zgromadzeniu — zgodnie z przepisem art. 272 § 1 KWPK: „Po rozpoznaniu sprawy N. Sąd Wojsk. wydaje postanowienia, które podpisują przewodniczący i członkowie sądu”.

Ale w dniu 26 marca 1952 roku płk Świątkowski wydał zarządzenie nr 6, którym najzupełniej bezprawnie zmienił dotychczasowy porządek rzeczy i wprowadził nowy, oddalając jeszcze bardziej sędziów od znajomości spraw rozstrzyganych pod ich zbiorową firmą. Zarządzenie posługiwało się tym samym fortelem, po jaki płk Świątkowski sięgnął, gdy chodziło o umożliwienie mu — wbrew prawu — rozstrzygania jednoosobowo o przedłużaniu aresztu tymczasowego.

Przypominam, że art. 27 § 2 KWPK brzmi: „Postanowienia nie umieszczone w protokole podpisują wszyscy, którzy je wydali”. Wystarczało więc 1) skorzystać z tego, że nie wiedzieć dlaczego wojskowa procedura karna nazwała „postanowieniem” orzeczenie, które wedle wszelkich reguł teorii było **w y r o k i e m** i 2) zapadające na Zgromadzeniu „postanowienie” rewizyjne uczynić częścią integralną protokołu posiedzenia, by odpadła potrzeba żądania podpisów wszystkich sędziów, którzy je wydali. Potrzebne wtedy już były dwa tylko podpisy uwierzytelniające, że przebieg posiedzenia odpowiadał jego streszczeniu w protokole: podpis przewodniczącego (z reguły był nim płk Świątkowski) i podpis sekretarza Zgromadzenia. Odtąd sędziowie w ogóle nie mieli widzieć, jak wygląda uzasadnienie ich postanowienia i gło-

sując nad sentencją, dawali z góry placet na uzasadnienie, które miał sporządzić sprawozdawca i które szło już do akt bez pokazywania go uczestnikom Zgromadzenia.

Tej reformy — jawnie sprzecznej z kodeksem — zarządzenie dokonało jednym zdaniem: „Oryginał postanowienia jest składową częścią protokołu z tym, że sporządza się oddzielnie i podpisuje się w oryginale wraz z łącznym protokołem posiedzenia przez Przewodniczącego i Sekretarza Zgromadzenia”.

Perfidia tego zdania tkwi w tym, że z jednej strony czyni ono oryginał postanowienia „składową częścią protokołu” (co umożliwia odsunięcie sędziów od wglądu w całość orzeczenia, której nie podpisują) a z drugiej oświadcza, że oryginał „sporządza się oddzielnie” (co czyni zadość postulatowi, by orzeczenie kończące sprawę prawomocnie było samoistnym dokumentem). Ale to oświadczenie o oddzielnym sporządzaniu oryginału — to były tylko słowa.

W rzeczywistości istniał oryginał jednej tylko rzeczy: oryginał protokołu posiedzenia, podpisany przez przewodniczącego i sekretarza Zgromadzenia. To zaś, co w zarządzeniu płk. Świątkowskiego nazwano oddzielnie sporządzonym oryginałem postanowienia, to wedle reguł logiki i regulaminów kancelaryjnych było wypisem z protokołu posiedzenia, uwiecznionym znów tylko przez przewodniczącego i sekretarza. I jeżeli w następnym zdaniu zarządzenie oświadczało, że „oryginał postanowienia wszywa się do akt nadzoru prowadzonych do każdej sprawy”, to rozumując prawidłowo wszywano faktycznie jedynie wypis z protokołu ochrzczony nazwą oryginału postanowienia.

Ale w rzeczywistości konfuzja była znacznie większa i pogłębianie form prawnych znacznie cięższe. Bo protokoły posiedzeń Zgromadzenia, które po marcu 1952 roku powinny były zawierać „oryginały postanowień” jako swoją część składową, w ogóle takich postanowień nie zawierają!

Typowy wpis do protokołu dotyczący rozpoznawanej w Zgromadzeniu sprawy tatarskiej — wówczas nawet gdy chodziło o utrzymanie kilku kar śmierci — brzmiał, jak następuje: „Sędzia sprawozdawca (tu nazwisko) po zreferowaniu sprawy wnosi o utrzymanie wyroku N. Sądu Wojsk. w mocy. Naczelny Prokurator Wojskowy popiera wniosek referenta o utrzymaniu wyroku w mocy. W głosowaniu wyrok został utrzymany w mocy — jednogłośnie”. To było wszystko. Jak wyglądał wyrok, który utrzymano w mocy, nikt z tego nie wyczyta.

Czymże więc było to, co pod nazwą oryginału postanowienia wszywano do akt nadzoru? Nie było to wypisem z protokołu

posiedzenia, bo w tym protokole nie był umieszczony tekst postanowienia. Nie było też prawidłowym oryginałem postanowienia, bo taki powinien być mieć podpisy wszystkich, którzy wydali to postanowienie. A więc czym było? Ze stanowiska ściśle prawnego jest pewne: po 26 marca 1952 roku w sprawach tatarskich *nie mamy prawidłowych orzeczeń II-go instancyjnych*.

Naciągane interpretowanie prawa

Poznaliśmy wyżej — z wypowiedzi kilku sędziów N. Sądu Wojsk. — jaką atmosferę presji na sędziów wytworzył tam płk Świątkowski, jak wyzyskując wiatr wiejący na terenie politycznym przyginał osobistą swą ingerencją indywidualności sędziowskie i nie dopuszczał do objawiania się niezawisłej interpretacji prawniczej. Dopiero mając na uwadze, że stosunki w N. Sądzie Wojsk. były najzupełniej sprzeczne z podstawowymi pojęciami o kształcie najwyższej instancji sądowej, można zrozumieć, że dochodziło tam do wykładni przepisów prawa naciągniętej tak, że już trzaskała. A naciągnięcia te szły zawsze w kierunku terrorystycznym.

Tak np. uchwała Zgromadzenia Sędziów N. Sądu Wojsk. z 25 lipca 1952 roku w sposób okrężny, poprzez czysto sofistyczne rozumowanie, dopuściła do tzw. *reformatio in peius*, to znaczy przekreśliła zasadę obowiązującą u nas i w ogromnej większości krajów kulturalnych, że wniesienie przez skazanego w I-szej instancji odwołania od wyroku nie może pogorszyć jego położenia. Inaczej mówiąc: skorzystanie przez nieprawomocnie jeszcze skazanego z przysługującego mu prawa skarżenia się na wyrok nie powinno mieścić w sobie ryzyka, które podważa to jego dobre prawo: ryzyka, że druga instancja wymierzy mu *cięższą* karę. Zasadę tę obalano przed wojną w krajach faszystowskich, obalono ją też w Polsce za rządów pułkownikowskich. Po wojnie, w nowym ustroju, przestrzegamy tej zasady bardzo ściśle w sądownictwie powszechnym. Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk. wyłamało się wspomnianą uchwałą z tych dobrych obyczajów.

Drugi przykład mamy w traktowaniu art. 22 MKK. Przepis ten brzmi: „Kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego, bądź obniżyć powagę jego naczelných organów — podlega karze więzienia do lat 5-ciu lub aresztu”. Przez szereg lat rola tego przepisu (wprowadzonego w roku 1946) nie była chlubna także na terenie sądownictwa powszechnego. W czasach mianowicie kultu jednos-

tki opowiedzenie ostrego dowcipu o kierowniczej osobistości — w szczególności o B. Bierucie i o Stalinie — było traktowane jako „fałszywa wiadomość” szkodliwa dla interesów Państwa Polskiego lub obniżająca powagę Polskich Organów Naczelnych. Doprowadzało to nieraz do orzeczeń, które dziś brzmią groteskowo, ale które wówczas wymierzały za tego rodzaju przestępstwo przeciętnie 2 lata pozbawienia wolności.

Ale sądownictwo wojskowe poszło dalej. Dnia 10 lutego 1953 roku Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk. wydało postanowienie, które umożliwiło podciąganie stanu faktycznego z art. 22 MKK pod kwalifikację z art. 87 KKWP. Ten ostatni przepis mówi o przygotowaniach do usiłowania zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego lub do usiłowania usunięcia przemocą organów władzy zwierzchniej Narodu — i grozi karą nie do pięciu lecz do 15-tu lat więzienia. Postanowienie to sankcjonowało poprzednią już praktykę niższych sądów wojskowych, które opowiedzenie dowcipu potrafiły kwalifikować jako przygotowanie do usiłowania zmiany przemocą ustroju socjalistycznego zaprowadzonego w Polsce Ludowej. Rozumowanie był następujące: opowiadając dowcip, oskarżony wzbudzał wśród słuchaczy nastroje politycznie nieprzychylny; z tych nieprzychylnych nastrojów mogła zrodzić się chęć (usiłowanie!) zmienienia przemocą panującego ustroju; ergo oskarżony, budząc tego rodzaju nastroje, „przygotowywał” usiłowanie akcji kontrrewolucyjnej.

Rozumowanie takie wydaje się nam dziś zawstydzającym. A jednak było tolerowane a nawet popierane przez Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk.

Trzeciego przykładu dostarcza postanowienie Zgromadzenia z 10 lipca 1951 roku. Kodeks Karny W.P. zawiera art. 88, który mówi, że kto w celu przestępstwa kontrrewolucyjnego „wchodzi w porozumienie z innymi osobami”, ten może być ukarany więzieniem od 6 miesięcy do lat 15-tu. Zdawałoby się, że jest tu wyraźnie objawiona wola ustawodawcy, że kto przystawszy do ugrupowania kontrrewolucyjnego, nie rozwinął w nim jednak *z a d n e j* konkretnej działalności, ten nie powinien podlegać karze wyższej niż 15 lat więzienia a może być ukarany także 6-ciu miesiącami więzienia.

W N. Sądzie Wojsk. za prezesury płk. Świątkowskiego uznano jednak, że to mało i że samą „gołą” przynależność do tego rodzaju ugrupowania należy móc karać — śmiercią a co najmniej nie niżej, niż 5-ciu latami więzienia. Do tego właśnie celu zmierzało wspomniane postanowienie Zgromadzenia z 10 lipca 1951 roku, które mówiło: „Mogą zajść przypadki, że samo przystąpienie do przestępnego związku mającego na celu zmianę

przemocą ustroju Państwa Polskiego, bez przejawienia konkretnej działalności i bez podjęcia dodatkowych aktów skierowanych do realizacji zbrodni z art. 86 KKWP — należy traktować już jako dokonanie tej zbrodni”.

Otóż zbrodnia z art. 86 KKWP zagrożona jest właśnie karą od co najmniej 5 lat więzienia aż do kary śmierci. Wymienione postanowienie najwyższej wojskowej instancji sądowej zmuszało więc sądy wojskowe do wymierzenia kary 5 lat więzienia (jeśli nie wyższej) człowiekowi, który na propozycję przystąpienia do związku kontrrewolucyjnego kiwnął głową przyzwalająco i w ten sposób został „zawerbowany” a potem już żadnej konkretnej działalności nie przedsięwziął.

Wymierzenie nieprzepisanej kary

Zdarzyło się w sprawie centralnej. Jak nam już wiadomo, pozasądowo uznano, że w sprawie tej, prowadzonej jawnie, nie zapadną kary śmierci. Wymierzono natomiast oskarżonym w niej czterem generałom, jako naczelnym spiskowcom, karę więzienia dożywotniego. I to wymierzono ją zarówno za szpiegostwo (art. 7 MKK), jak za usiłowanie obalenia przemocą ustroju Państwa Polskiego (art. 86 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego). O skazanie na więzienie dożywotnie na podstawie Małego Kodeksu Karnego nie można mieć pretensji bo tam to było dopuszczalne. Inaczej jest z tym drugim skazaniem.

Osobliwością mianowicie Kodeksu Karnego Wojska Polskiego jest, że nie zna kary więzienia dożywotniego. Nie wiem, jakie były tego przyczyny, ale taki jest fakt. Kodeks ten nie zna nawet zasadniczo kary więzienia dłuższej, niż przez 10 lat — w przeciwieństwie do Kodeksu Karnego powszechnego, który pozwala skazywać na więzienie do lat 15; dopiero w dwa lata po wydaniu KKWP ustawa zezwoliła w czterech wypadkach przestępstw z KKWP (m.in. w wypadku art. 86 KKWP) stosować więzienie w rozpiętości do 15 lat. Ale i w tych czterech wypadkach *nie upoważniono* do wymierzenia kary więzienia dożywotniego.

Tymczasem generałom Tatarowi, Kirchmayerowi, Hermanowi i Mossorowi dano za przestępstwo z art. 86 KKWP właśnie dożywotnie więzienie. W sądzie I-szej instancji stało się to może przez niedopatrzenie. Ale przy rewizyjnym rozpatrywaniu sprawy centralnej na Zgromadzeniu Sędziów N. Sądu Wojsk. sędzia płk Dziwogo (jak oświadczył Komisji) zwrócił uwagę na ten błąd. Oto jego słowa:

„W skardze rewizyjnej... Tatar, kwestionując wymiar kary, zarzucił m.in., że wymierzona mu z art. 86 KKWP kara więzienia dożywotniego jest karą nieprzewidzianą w ustawie i że z tego przepisu mógł być skazany na karę więzienia w wysokości co najwyżej 15 lat. Na Zgromadzeniu wyraziłem pogląd, że kara więzienia dożywotniego z art. 86 KKWP żadną miarą nie może być utrzymana, albowiem rzeczywiście kary takiej przepis ten nie przewiduje. Płk Świątkowski, który przewodniczył Zgromadzeniu, oświadczył, że sprawa ta referowana była na bardzo wysokim szczeblu i że tam zapadła decyzja, że wyrok w sprawie Tatara winien być utrzymany w mocy bez żadnych zmian.

„Byłem zdania, że w naszym ustroju nie ma i nie może być takiego autorytetu, który władny byłby udzielić sądowi dyspensy na łamanie prawa. Głosowałem przeciwko utrzymaniu kary więzienia dożywotniego z art. 86 KKWP. Był to jedyny głos protestu przeciwko jawnemu bezprawiu. Wynik głosowania powinien być uwidoczniiony w protokole posiedzenia Zgromadzenia, gdzie zgodnie z zarządzeniem Świątkowskiego notowano nazwiska sędziów głosujących przeciwko zdaniu większości”.

Usiłowałem sprawdzić twierdzenie sędziego Dziowgi (nie mając zresztą osobiście wątpliwości co do jego prawdomówności). Natrafiłem wtedy na rzecz osobiłą: w Księdze Protokołów posiedzeń Zgromadzenia Sędziów N. Sądu Wojsk. w roku 1951, w której mieszczą się protokoły wszystkich posiedzeń, jakie odbyły się w owym roku — w księdze tej (jak poświadczył pisemnie Komisji kierownik kancelarii N. Sądu Wojsk.) „brak jest protokołu Zgromadzenia Sędziów N. Sądu Wojsk. z dnia 18 października 1951 roku, w którym to dniu była rozpoznawana sprawa rewizyjna Tatara Stanisława i in.”.

Tak więc w sprawie centralnej nie tylko świadomie wymierzono w najwyższej wojskowej instancji sądowej cztery razy karę ustawowo niedopuszczalną za dane przestępstwo, ale także ślad tego faktu zatarło — podobnie jak kasjer czy buchalter niszczą dowody defraudacji.

Tak pojmowano tam dawanie przykładu praworządności.

Pobieżność rozpoznawania drugoinstancyjnego

Przestudiowanie protokołów tych posiedzeń Zgromadzenia Sędziów N. Sądu Wojsk., na których rozpoznawano rewizyjnie sprawy tatarskie, daje zaskakujące wyniki.

Przed wszystkim okazuje się, że wokandy w tych dniach nawet, kiedy rozważało się sprawę odpryskową zakończoną w I-szej instancji wyrokiem śmierci, obejmowały po kilkanaście a nawet dwadzieścia kilka spraw. Tak np. rewizja Barbasiewicza (jednego z 19 straconych) była utopiona wśród 20 spraw; rewizja

zja Chojckiego wśród 19 spraw; rewizja Skibińskiego, Jaworskiego, Zawilskiego, Biernackiego i Dobrowolskiego wśród 23 spraw; rewizja Machalli (rozstrzelany) wśród 20 spraw; rewizje Mieszkowskiego, Kasperskiego, Przybyszewskiego, Staniewicza i Wojcieszka (trzy kary wykonano) wśród 19 spraw; rewizje Sokołowskiego, Rypsonia, Kurkiewicza i Sabiły (dwie kary wykonano) wśród 30 spraw!

Wszystkie przykłady, które przytoczyłem (do wyczerpującego wyliczenia jest daleko), odnoszą się do wyroków z karą śmierci, które Zgromadzenie utrzymało w mocy — a tylko niektórym ze skazanych udało się w postępowaniu ułaskawieniom uratować życie. Nasuwa się od razu pytanie, jaka mogła być dokładność rozpatrywania sprawy gardłowej — wówczas zwłaszcza, gdy w jednej sprawie jest czterech lub pięciu skazanych na śmierć — jeśli była jedynie incydentem wśród dwudziestu kilku innych spraw załatwionych na tym samym posiedzeniu? Ile uwagi można było w tych warunkach poświęcić kwestii życia i śmierci skazanych ludzi?

Druga rzecz, która uderza, to zupełny brak dyskusji nad sprawami tatarskimi w II-giej instancji. Na tym samym posiedzeniu, z którego protokół notuje dyskusję w sprawach stosunkowo pomniejszych, w sprawie tatarskiej nie ma żadnej dyskusji: z kilkunastu sędziów uczestniczących w Zgromadzeniu nikt poza referentem nie zabiera głosu. Odnośny zapisek w protokole obejmuje (jak już przytaczałem) cztery, pięć linijek. Na przykład w tzw. sprawie lotników — sześć kar śmierci wykonanych, dwie kary więzienia dożywotniego — zapisek brzmi w całości:

„Sędzia sprawozdawca ppłk Aspis Feliks po zreferowaniu sprawy wnosi o utrzymanie wyroku N. Sądu Wojsk. w mocy. N. Prokurator Wojsk. popiera wniosek referenta o utrzymanie wyroku w mocy. W głosowaniu wyrok został utrzymany w mocy — jednogłośnie”.

Identyczna — jakby pieczęcią odbijana — jest formuła użyta w innych rozprawach rewizyjnych zakończonych wyrokiem śmierci. Kierownictwo N. Sądu Wojsk. potrafiło wiadomymi metodami tak omroczyć umysły sędziów, że wyroki śmierci utrzymywano w mocy wśród dosłownie grobowego milczenia.

Fatalnie zaważyła tu teoria (była już o niej mowa), że za szpiegostwo oficer — wyższy zwłaszcza — może odpokutować jedynie śmiercią. Nie widać, iżby w obchodzących nas sprawach zastanawiano się kiedykolwiek nad kwestią okoliczności łagodzących. Czyżby ich nie było w żadnym przypadku? Owszem, były. Wśród skazanych było przecież wielu mających wysokie odzna-

czenia bojowe zdobyte w walkach o Polskę. Ale teoria nie uznawała okoliczności łagodzących — takich nawet — a płk Świątkowski był tej teorii energicznym głosicielem; przypominam przytoczone wyżej słowa sędziego Mioduskiego o tej kwestii.

Kilka przykładów. Nie przyznano żadnych okoliczności łagodzących straconemu później płk. Sokołowskiemu, który miał *Virtuti Militari* i 3 razy Krzyż Walecznych za walki z hitleryzmem. Nie przyznano ich skazanemu na śmierć ppłk. Głowackiemu, nie sprawdzwszy jego twierdzenia, że we wrześniu 1939 roku pod jego dowództwem rozbito oddział SS Leibstandarten, który kilka dni wcześniej stał się pod Sochaczewem z grupą, w której zginął Marian Buczek; „miałem to szczęście”, mówił Głowacki na rozprawie, „że pomściłem śmierć nieodżałowanej pamięci Mariana Buczka — on poległ 10, ja 16 rozbiłem kompletnie SS Leibstandarten”. Nie przyznano łagodzących okoliczności płk. Barbasiewiczowi, który miał *Virtuti Militari*, Polonia Restituta, Krzyż Walecznych, brązowy, srebrny, złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Partyzancki.

Nie przyznano ich mjr. Godlewskiemu, pisząc wyrażnie w uzasadnieniu wyroku I-szej instancji: „N. Sąd Wojsk. uznał, że w sprawie niniejszej nie ma okoliczności łagodzących, ponieważ zasługi bojowe oskarżonego nie mogą *w najmniejszym stopniu* złagodzić jego winy wobec ogromu dokonanej zbrodni”. Nad sprawą tą zatrzymamy się, ponieważ rzuca ona światło na dokładność rozpatrywania rewizyj w Zgromadzeniu Sędziów w N. Sądzie Wojsk.

Zgromadzenie utrzymało w mocy wyrok wymierzający mjr. Godlewskiemu karę śmierci za szpiegostwo. Powiedziano przy tym w uzasadnieniu: „Biorąc pod uwagę szczególnie wysokie niebezpieczeństwo społeczne popełnionego przez skazanego czynu zbrodniczego, wagę jaką dla szpiegowskiego ośrodka w Wojsku Polskim przedstawiały udzielone przez Godlewskiego wykazy oficerów, znaczenie udzielonego materiału, który — jak zeznał świadek Roman — został wykorzystany przez członka ośrodka szpiegowskiego Kirchmayera przy opracowaniu raportów wywiadowczych przeznaczonych dla ambasad anglosaskich w Warszawie..., Zgromadzenie Sędziów N. Sądu Wojsk. uważało, że N. Sąd Wojsk. zastosował doń, jako do szczególnie niebezpiecznego zdrajcy Ojczyzny, właściwą karę”. Uzasadnienie to jest najzupełniej wadliwe.

1) Nie stwierdza się, by człowiek, którego uznano za szpiega, był wprost powiązany z jakąś placówką obcą. Przeciwnie, stwierdza się jedynie, że dostarczał materiałów „szpiegowskiemu ośrodkowi”.

kowi w Wojsku Polskim”, nazywa się go z tego tytułu „niebezpiecznym zdrajcą Ojczyzny” i uznaje za właściwą dla niego karę śmierci, której — jak dobrze było wiadomo wszystkim sędziom N. Sądu Wojsk. — kilka miesięcy wcześniej nie wymierzono generalskim kierownikom owego „szpiegowskiego ośrodka”.

2) Sędziowie przy ocenie właściwej kary mieli na względzie, że wedle zeznania Romana materiał udzielony przez Godlewskiego „został wykorzystany przez... Kirchmayera przy opracowaniu raportów wywiadowczych dla ambasad anglosaskich w Warszawie”. Ale Godlewski dostarczał owych materiałów bezpośrednio jedynie Romanowi, który dopiero oddawał je Kirchmayerowi. To więc, co działo się z materiałami po oddaniu ich Romanowi — co i kto z nimi robił — mogłoby obciążać Godlewskiego wówczas tylko, gdyby mógł to przewidzieć. Tymczasem Roman, przesłuchany jako świadek na procesie przeciw Godlewskiemu, zeznał, że na pytanie Godlewskiego, po co mu ów materiał, nie dał Godlewskiemu odpowiedzi. A zatem nie było dowodu, że Godlewski wiedział iż materiały trafiają do rąk Kirchmayera a tym mniej że wiedział, co Kirchmayer z nimi robi.

3) Jeżeli przestępne wykorzystanie materiałów przez Kirchmayera miało być rzucone na szalę życia Godlewskiego, to powinno było być poświadczane przez Kirchmayera. Tymczasem Kirchmayer nie był świadkiem w sprawie Godlewskiego. Mało tego. Godlewskiemu przypisano m.in., że przekazał Romanowi (a ten Kirchmayerowi) „imienny wykaz obsady personalnej Prasy Wojskowej”. Wartość wywiadowcza tego rodzaju materiału nie jest w ogóle widoczna; główna jednak, że Kirchmayer, jako oskarżony w sprawie centralnej, stanowczo zaprzeczył, by zalecał Romanowi werbować Godlewskiego i by w ogóle wykorzystywał jakiegokolwiek materiały od niego; wyjaśnił przy tym, że sam pracował, w 1949 roku w „Prasie Wojskowej” i gdyby chciał, sam mógł uzyskać te dane, których rzekomo dostarczył mu Godlewski.

Co wobec tego można powiedzieć innego o Zgromadzeniu Sędziów N. Sądu Wojsk., niż to, że w sprawach tatarskich było maszynką do utrzymywania w mocy wyroków I-szej instancji?



W jednym wypadku można z Księgi Protokołów wyczytać dokładnie, ile czasu Zgromadzenie poświęcało sprawie z rodzaju tatarskich. Rewizja skazanych na śmierć czterech oficerów —

Kity, Orlika, Głowackiego i Skoczni — była wyjątkowo rozpoznawana w Zgromadzeniu sama jedna; żadnych innych spraw tego dnia nie było na wokandzie. Można więc z całą ścisłością stwierdzić, jak długo trwało zreferowanie sprawy, przemówienie prokuratora i narada nad orzeczeniem, którym utrzymano w mocy cztery skazania na karę śmierci.

Protokół notuje, że posiedzenie zaczęło się o godz. 11-tej a skończyło o 11.15.

POSTĘPOWANIE UŁASKAWIENIOWE

Znamy już okazy drętwej mowy, jaką posługiwano się w wyrokach skazujących na karę śmierci i w załączonych do nich negatywnych opiniach co do ułaskawienia. Nie mniej frazeologii bywało w opiniach, którymi prośby o łaskę zaopatrywał N. Prokurator Wojsk. Zwraca przy tym uwagę, że w sprawach tatarowskich odstąpiono w Prokuraturze od zwykłego trybu w postępowaniu ułaskawieniowym. W Nacz. Prokuraturze Wojsk. istniał przecież wydział ułaskawień, do którego organizacyjnie należało przygotowywanie opinii co do tego, czy skazany zasługuje na łaskę. Ale w sprawach tatarowskich powierzano przygotowywanie takiej opinii nie właściwemu wydziałowi, ale specjalnie delegowanym oficerom — i to ludziom młodym, nie mającym ani wielkiego doświadczenia życiowego ani szczególnej wiedzy prawniczej.

Nie sądzę, iżby opinie, które w ten sposób dochodziły do skutku, były należyłą pomocą dla czynnika decydującego o ułaskawieniu. Z pewnością nie było tej pomocy w przypadku płk. Adameckiego, jednego ze skazanych w sprawie lotników. Na rozprawie w I-szej instancji prokurator żądał kary śmierci na 5 spośród oskarżonych, dla Adameckiego domagając się kary dożywotniego więzienia. Sąd poszedł dalej: wydał sześć wyroków śmierci, obejmując nimi także płk. Adameckiego.

Oficer, któremu zlecono opracowanie projektów opinii co do ułaskawienia tych sześciu lotników, zaznaczył w zakończeniu swego elaboratu, że oskarżyciel żądał dla Adameckiego więzienia dożywotniego, a Sąd skazał na śmierć. Ustęp ten N. Prokurator Wojsk. skreślił i dopisał swą opinię, że „skazani są zdecydowanymi wrogami Ludowej Polski” i „żaden z nich nie zasługuje na łaskę”. Wykonano wyrok na wszystkich sześciu.

Wstrzymywanie wykonania kary śmierci

W sprawach tatarowskich działała praktyka nieznana ani prawu ani zwyczajom sądowym, ani elementarnemu humanizmowi: wstrzymywanie (przez czynnik, który oświadczył, że nie korzysta z prawa łaski) wykonania wyroku z tego jedynie powodu, że skazaniec miał być jeszcze wykorzystany jako świadek w dalszych procesach. Powtarzam, że żaden przepis prawa nie upoważniał Prezydenta R.P. ani Rady Państwa do tego rodzaju dyspozycji. Praktyka taka jednak była i doprowadzała do rażących objawów. Przytoczę kilka.

Dnia 18 listopada 1952 roku Prezydent R.P. nie skorzystał z prawa łaski co do płk. Oborskiego²⁷. Ale N. Prokurator Wojsk. zawiadomił o tym Prezesa N. Sądu Wojsk. dopiero 3 lutego 1953 roku i w trzy dni później wyrok wykonano. Co działo się przez dziesięć tygodni z człowiekiem, którego los był definitywnie przesądzony?

Dnia 19 listopada 1952 roku Prezydent R.P. z pięciu skazanych na śmierć oficerów marynarki ułaskawił dwóch, nie skorzystał natomiast z prawa łaski co do kmdrów Mieszkowskiego, Przybyszewskiego i Staniewicza. O ułaskawieniu tamtych dwóch N. Prokurator Wojsk. zawiadomił płk. Świątkowskiego w dniu 28 listopada 1952 roku. Natomiast o nieskorzystaniu z prawa łaski co do Staniewicza N. Prokurator Wojsk. zawiadomił dopiero 10 grudnia 1952 roku, a co do Przybyszewskiego i Mieszkowskiego jeszcze o dwa dni później, bo 12 grudnia 1952 roku. Czy to z litości przedłużono skazańcom życie o dwa tygodnie?

Odpowiedź dają akta. Są w nich mianowicie protokoły dwóch przesłuchań Staniewicza dnia 28 listopada, dwóch w dniu 2 grudnia i jednego w dniu 11 grudnia, tj. w przeddzień wykonania wyroku; w przesłuchaniach tych uzyskano od skazańca materiał obciążający pięciu wyższych oficerów marynarki. A więc w tym czasie, kiedy N. Prokurator Wojsk. już niewątpliwie wiedział o nieułaskawieniu Staniewicza, wykorzystywano tego ostatniego jeszcze pięciokrotnie dla pognębienia innych. Ostatni raz, na kilkanaście godzin przed rozstrzelaniem.

O pozostałych dwóch z tej samej grupy mówi „notatka służbowa” z dnia 11 grudnia 1952 roku podpisana przez oficera śledczego Informacji:

27. Było to na 4 dni przed wygaśnięciem urzędu Prezydenta R.P. Nazajutrz tj. na 3 dni przed tym wygaśnięciem, Prezydent R.P. nie ułaskawił 7 oficerów ze spraw tatarowskich (dwóch z tych ostatnich oficerów uratowało się w niewiadomy sposób).

„Skazany Mieszkowski był przesłuchiwany dnia 9, 10 i 11 grudnia 1952 roku. Podczas przesłuchania Mieszkowski oświadczył, że będąc w więzieniu na Mokotowie napisał oświadczenie na imię Najw. Sądu Wojsk. W oświadczeniu tym podał, że zeznania złożone przez niego w śledztwie i na rozprawie sądowej nie odpowiadają prawdzie i zostały przez niego zmyślane. Podobne oświadczenie napisał Przybyszewski... Na przesłuchaniu Mieszkowski oświadczył, że złożone przez niego zeznania w śledztwie i na rozprawie sądowej nie odpowiadają prawdzie. Stwierdził on, że nie będzie zeznawać o konspiracji w Marynarce Wojskowej, gdyż takowej nie było i została zmyślona przez organa Informacji. Na żadne pytania związane z konspiracją nie chciał dać odpowiedzi”.

Jest jasne, że skazani, którzy odwoływali zeznania, byli bezużyteczni. Dnia 16 grudnia 1952 roku wykonano wyroki na Mieszkowskim i Przybyszewskim.



Cel procedury wstrzymywania wykonania kary śmierci jest wyraźnie wskazany w piśmie Przewodniczącego Rady Państwa z dnia 29 kwietnia 1953 roku do Marsz. Rokossowskiego. „Zgodnie z wnioskiem Ob. Marszałka wyrażam zgodę na wstrzymanie wykonania wyroku na skazanych Sokołowskim Zygmuncie i Kurkiewicz Romanie do czasu zakończenia postępowania karnego przeciw Zymierskiemu Stanisławowi”.

W cztery miesiące później, dnia 27 sierpnia 1953 roku N. Prokurator Wojsk. w piśmie do Prezesa N. Sądu Wojsk. przypominając, że powyższą decyzją wstrzymane było wykonanie wyroku na Sokołowskim oświadcza: „z uwagi na to, że obecnie ustały przyczyny uzasadniające wstrzymanie wykonania orzeczonej... kary śmierci — proszę o zarządzenie jej wykonania”. I wyrok na Sokołowskiego wykonano w dwa dni później.

Co do Kurkiewicza „przyczyny uzasadniające wstrzymanie wykonania” trwały tak długo (czy też tak zmieniły swój charakter?), że Rada Państwa 25 stycznia 1954 roku powzięła nowe postanowienie: ułaskawiła w tym dniu Kurkiewicza, którego ułaskawienie dziewięć miesięcy wcześniej odrzuciła.



Dziwne były perypetie z ułaskawieniem ppłk. Głowackiego i mjr. Skoczni. Byli oni skazani na śmierć wraz z ppłk. Kitą i ppłk. Orlikiem w dniu 8 sierpnia 1952 roku. W dniu 28 listopada 1952 roku N. Prokurator Wojsk. zawiadomił płk. Świątkowskiego, że dnia 19 listopada 1952 roku Prezydent R.P. nie skorzystał z prawa łaski co do Kity i Orlika i dwa te wyroki

wykonano. Ale w aktach są takie same odmowne decyzje Prezydenta R.P. z 19 listopada 1952 roku co do Skocznia i Głowackiego, którym jednak (z nie trudnych do odgadnięcia przyczyn) nie nadano biegu. Tak to trwało z górą rok, aż dnia 25 stycznia 1954 roku Rada Państwa ułaskawiła nie ułaskawionych poprzednio skazańców.

Wprost już cyniczne świadectwo wyduszania ze skazanych ostatniej kropli użyteczności i posyłania ich wtedy dopiero na egzekucję znajduje się w sprawie płk. Skibińskiego i czterech innych razem z nim skazanych na śmierć dnia 28 kwietnia 1952 roku. W dwadzieścia miesięcy później, dnia 21 stycznia 1954 roku N. Prokurator Wojsk. zwrócił się do płk. Skulbaszewskiego o „zajęcie umotywowanego stanowiska co do potrzeby dalszego wstrzymywania wykonania kary skazanych na karę śmierci” — i tu wymieniono nazwiska dziesięciu oficerów skazanych w czasie od kwietnia do października 1952 roku, między innymi płk. Skibińskiego i jego towarzyszy.

Wynika z tego, że: 1) co do oficerów tych wstrzymano wykonanie kary śmierci; 2) dysponentem wyzyskiwania zeznań tych oficerów w czasie po wstrzymaniu wykonania wyroku był G. Zarząd Inf. — inaczej nie trzeba by było prosić zastępcy jego szefa o zajęcie stanowiska co do potrzeby dalszego wstrzymywania wykonania.

Płk Skulbaszewski odpowiedział tego samego dnia 21 stycznia 1954 roku. Wyraźnie stwierdza, że przyczyną wstrzymywania był fakt, że oficerowie o których mowa, „zeznają o przestępczej działalności szeregu osób znajdujących się na wolności lub też aresztowanych, których sprawy są w toku”. W dalszym ciągu płk Skulbaszewski omawia „wartość” każdego z dziesięciu oficerów jako świadka i dochodzi do wniosku, że co do jednego z nich tylko nie należy jeszcze wykonywać wyroku. Pismo kończy się jak następuje:

„Stwierdzając możliwości wykonania wyroku wobec szeregu wyżej wymienionych osób, zaznaczam, że kieruję się względami:

- a) możliwością zastąpienia świadka na rozprawie sądowej jego zeznaniami,
- b) bardzo wielkimi trudnościami, jakie nasuwa praca z tymi ludźmi jako świadkami. Zachowanie każdego z nich określa dziś fakt przebywania od dłuższego czasu pod grozą wykonania kary śmierci”.

Wzgląd podany wyżej przez płk. Skulbaszewskiego pod a) oznacza po prostu, że można po śmierci świadka odczytać jego zeznania złożone poprzednio czy to w śledztwie czy na rozprawach sądowych. Czyli, że zbyteczne jest, by człowiek żył

dalej, skoro można już posługiwać się jego trupem. Albo jeszcze inaczej: przez półtora roku „murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść” — na rozstrzelanie.

Na szczęście wymienionych oficerów Rada Państwa była innego zdania i po kilkunastu miesiącach dręczenia potwornym wyczekiwaniem ułaskawiono ich wszystkich. *Nota-bene*, w sprawie tych ułaskawień odłania się jeszcze jedna anomalia — końcowy jeszcze zgrzyt rażący ucho prawnika. W aktach znajduje się „notatka służbowa” N. Prokuratora Wojsk. z 23 stycznia 1954 roku, w której podając nazwiska dziesięciu oficerów skazanych w czasie od kwietnia do października 1952 roku na karę śmierci a mających wstrzymane wykonanie tych kar, stwierdza, że „wstrzymanie wykonania wyroków nastąpiło na wniosek władz śledczych, uzasadnione potrzebami dalszych rozpracowań w sprawie Tataru, Kirchmayera, Komara i Spychalskiego za zgodą odnośnie pierwszych ośmiu ob. Prezydenta R.P., odnośnie pozostałych dwóch ob. Przewodniczącego Rady Państwa”.

Ta ostatnia uwaga jest nieścista. Przewodniczący Rady Państwa wyraził zgodę na wstrzymanie wyroku co do jednego tylko z wchodzących tu w grę dziesięciu oficerów. Z pozostałych zaś dziewięciu co do sześciu wyraził w dniu 9 grudnia 1952 roku zgodę na wstrzymanie wykonania już nie Prezydent R.P. (takiego stanowiska nie było już w grudniu 1952 roku), lecz Prezes Rady Ministrów który w tym czasie z racji swego urzędu w ogóle nie miał żadnej prawnej styczności z wyrokami sądowymi.

UWAGI KOŃCOWE

Powiedziałem już, że nie widzę możliwości pociągnięcia kogośkolwiek z pozostałych w Polsce sędziów N. Sądu Wojsk. do odpowiedzialności karnej za łamanie praworządności w sprawach tatarskich. Wskazałem również jakie uchybienia (sądowe niekaralne) można im wytknąć i do tej kwestii wrócę jeszcze. W tej chwili chcę uzasadnić bliżej zdanie co do niemożności wyciągnięcia w stosunku do sędziów N. Sądu Wojsk. konsekwencji karnych z powodu katastrofy procesów tatarskich. W kodeksie karnym jest jeden tylko artykuł, który mógłby tu wchodzić w rachubę: art. 286, który w swym § 1 brzmi: „urzędnik, który przekraczając swą władzę lub nie dopełniając obowiązku, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego podlega karze więzienia do lat pięciu”. Późniejszymi postanowie-

niami tak rozszerzono pojęcie „urzędnika” z tego przepisu, że art. 286 KK stał się przysłowiowym workiem, do którego wrzuca się w dużym pomieszaniu najróżniejsze, gdzie indziej nie dające się pomieścić przestępstwa osób pełniących jakiekolwiek funkcje publiczne. W zasadzie więc można by tu myśleć o zarzucie z tego przepisu.

Ale art. 286 w swym § 1 obejmuje przestępstwo „umyślne”. Trzeba by więc móc zarzucić sędziom, że skazywali z pełną świadomością, że oskarżenie jest fałszywe, dowody sfingowane i oskarżeni niewinni. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że nic podobnego się nie zdarzyło, a bądź co bądź nic podobnego nie można by dowieść nikomu z sędziów. Fabrykowanie dowodów odbywało się w G. Zarządzie Inf., a jak wiadomo nic z tego, co się tam działo, nie przenikało na zewnątrz, a zwłaszcza do Sądu.

Jednakże przestępstwo z art. 286 można popełnić także nieumyślnie; mówi o tym § 3 tegoż artykułu, stanowiąc, że karą w tym przypadku jest areszt do sześciu miesięcy. Czy więc nie można zarzucić sędziom N. Sądu Wojsk., że wprowadzili nie zdawali sobie sprawy z tego, że skazują ludzi niewinnych i bynajmniej nie chcieli skazywać ludzi niewinnych, powinni jednak byli i mogli przewidzieć (taka jest definicja niedbalstwa jako przestępstwa nieumyślnego), że skazują ludzi fałszywie oskarżonych lub że skazują na podstawie niedostatecznych dowodów? Czy nie było karalnego niedbalstwa w tym, że sędziowie w I-szej instancji odrzucali świadków przedstawianych przez oskarżonych²⁸ a w II-giej instancji bez długich a nawet bez żadnych dyskusji godzili się na wymierzanie kary śmierci? Czy bez żadnych dyskusji godzili się na wymierzanie kary śmierci? Czy nie powinni byli pozwolić grać okolicznościom łagodzącym? Czy sędzia przy kształtowaniu orzeczenia tak głęboko wciskającego się w los człowieka nie powinien liczyć się z szeregiem nakazów czy zakazów, które nie są umieszczone wyraźnie w kodeksie, ale przecież obowiązują moralnie lub choćby są podyktowane zwykłą ostrożnością?

Trzeba zdawać sobie sprawę ze specyficzności procesu powstawania orzeczenia sędziowskiego. Gdy kierownik placówki handlowej dopuszcza do powstawania zaległości w księgowaniu lub w zbieraniu dokumentacji, to może i powinien przewidywać, że to doprowadzi do niedoboru. Gdy kierownik placówki wytwórczej nie pilnuje, by kontrolowano wydawanie surowców i odbiór produktów w odpowiedniej ilości i jakości, to może i powinien

28. Gen. Kuropiesce, przypominam, odrzucono 37 świadków.

przewidywać, że rezultatem będzie brakoróbstwo i marnotrawstwo. Gdy ktoś, bez złej skądinąd myśli, z domu przy ulicy wyrzuca przez otwarte okno jakiś niepotrzebny mu przedmiot, to może i powinien przewidzieć skutki tego, że przedmiot ten spadnie komuś na głowę. To są proste przykłady „nieumyślności” karalnej w myśl kodeksu karnego.

Ale w przypadku sędziego rzeczy nie układają się tak prosto. Dwa przepisy proceduralne określają sytuację sędziowską na rozprawie. Jeden (art. 320 KPK) wskazuje sędziemu o b o w i ą z e k : „Podstawę orzeczenia stanowi całokształt okoliczności ujawnionych w toku przewodu sądowego”; a więc sędzia jest obowiązany uwzględniać wszystko, co wyszło na jaw na procesie, i to tylko, co w ten sposób wyszło na jaw, czyniąc tworzywem swej opinii. Konsekwencją tego obowiązku jest drugi obowiązek: sędzia musi dążyć do zdobycia w toku przewodu sądowego jak najszerszego „całokształtu okoliczności” — inaczej, oczywiście, opinia jego będzie miała za wąską podstawę.

Drugi przepis (art. 9 KPK) wyposaża sędziego w *prawo*: „Sędziowie orzekają na mocy przekonania opartego na swobodnej ocenie dowodów”²⁹. A więc sędzia jest obowiązany zbierać dowody wzdłuż całego szlaku przewodu sądowego, ale w ocenie wartości każdego z tych dowodów i wszystkich ich razem wziętych — jest swobodny. Dotykamy tu kwestii wielce skomplikowanej. Jakiego rodzaju jest ta swoboda sędziego?

Rzeczą oczywistą przecież jest, że sędzia nie może oceniać dowodów wedle widzimisie. Nie jest niezależny od kanonów logicznego myślenia i pogląd swój musi p r z e k o n y w u j ą c o u z a s a d n i ć. Mimo to pozostaje jeszcze duży luz. Gdyby ocena dowodów była prostym działaniem rachunkowym a nie zawiłą operacją myślową, to nie meilibyśmy takich zjawisk, jak różna ocena tego samego materiału dowodowego w I-szej i II-giej instancji i jak różnica zdań pomiędzy sędziami z jednego sądowniczego kompletu. Rozum, wiedza, doświadczenie życiowe, poglądy filozoficzne a nawet temperament — oto czynniki, które w nierówniejszej mierze wchodziły w skład umysłowości poszczególnych sędziów. Różnice te zaś sprawiają, że dwaj sędziowie mogą odmiennie oceniać wartość tych samych dowodów, jakkolwiek obaj będą najgłębiej przekonani o sumienności swej oceny. Jednym z najczęstszych zjawisk z tej dziedziny jest fakt, że jeden i ten sam świadek wywiera na jednym z członków składu sądowniczego

29. Kodeks Wojskowego Postępowania Karnego zawiera analogiczne dwa przepisy w art. 3 i 240.

cego wrażenie wiarygodnego, podczas gdy drugi sędzia odnosi wrażenie wręcz przeciwnie.

Mówiąc konkretnie, jeśli sędzia w sprawach tatarskich uznał, że wyraźne przyznanie się oskarżonego plus wyraźne obciążające zeznanie choćby jednego świadka wystarczają mu do urobienia sobie przekonania o winie, to nie można mu zarzucać, że powinien był i mógł przewidywać, że i to zeznanie i tamto przyznanie się były fałszywe. Niebezpieczne jest zwłaszcza przypisywanie sędziom, że powinni i mogli byli wiedzieć to, co okazało się dopiero znacznie później i dzięki czemu jesteśmy dziś o tyle mądrzejsi.

Co się zatem tyczy uznawania winy oskarżonych w sprawach tatarskich nie widzę możliwości pociągnięcia sędziów do odpowiedzialności karnej nawet za nieumyślność w rozumieniu kodeksu karnego. Popełnione przez nich uchybienia nie przekroczyły granic swobodnego uznania sędziowskiego i są z rzędu tych, do których naprawienia służą środki odwoławcze. A uchylenie wyroku w instancji odwoławczej z powodu tego rodzaju uchybień nie powoduje z reguły wystąpienia przeciw sędziom, którzy wydali wadliwy wyrok.

Inna rzecz, co się tyczy wymiaru kary. Tu mogą się nasuwać wątpliwości — w związku zwłaszcza z uwagami, które już padły poprzednio. Gdy była mowa o sędziach I-szej instancji wytknąłem w szczególności, że zbyt pochopnie uznawali, iż oskarżeni popełnili tak ciężkie zbrodnie i że są tak zdeprawowani, że kara śmierci jest *jedyną* karą należną w tych przypadkach.

Osobiście uważam, że była tu lekkomyślność. Ale znów — kiedy mowa o pociąganiu do odpowiedzialności karnej — trzeba zważyć, że kodeks karny zna lekkomyślność jako postać przestępstwa z winy nieumyślnej, określając ją jako przewidywanie możliwości skutku przestępnego, lecz zarazem bezpodstawne przypuszczenie, że się tego skutku uniknie. Trzeba by zatem winę sędziów tak konstruować, że przewidywali, iż kara śmierci jest może zbyt surowa w danych wypadkach, ale bezpodstawnie przypuszczali, że ta zbyt surowość nie nastąpi. Sztuczność takiej koncepcji i niemożliwość przeprowadzenia do w o d u w tym kierunku są oczywiste. Lekkomyslność w sensie potocznym *była* — w sensie kodeksowym nie można jej przypisać.



Są zawody, których wykonywaniu nieodłącznie towarzyszy ryzyko, obowiązek narażenia się w razie potrzeby na niebezpie-

czeństwo. Takie ryzyko stanowi o szlachectwie tych zawodów. Strażakowi nie wolno tchórzyc przed dymem i ogniem. Lekarz nie może odmówić pójścia do zakaźnie chorego. A sędziemu nie wolno troski o utratę pozycji stawiać wyżej, niż dbałość o sztywny kark, o nieugiętość postawy wobec zewnętrznych nacisków. Ostatecznie przecież nic więcej, niż wyjście z sądownictwa wojskowego, nie groziło umundurowanym sędziom, gdyby oparli się tym osobliwym teoriom prawnym, które wciskało w nich kierownictwo N. Sądu Wojsk. Nie wzięli na siebie tego ryzyka — i to jest zarzut, którego — sądzę — nie można z nich zdjąć.

Ale zanim wypowie się ostateczne zdanie, trzeba mieć na uwadze szereg okoliczności, które zbieżnie prowadzą do uznania, że N. Sąd Wojsk. w okresie spraw tatarskich nie był sądem we właściwym znaczeniu tego słowa.

Po pierwsze, przypomnijmy sobie, że N. Sąd Wojsk. był jednostką wojskową i miał w osobie prezesa swego dowódcę. Zadane papierowe zastrzeżenia niezawisłości sędziowskiej oficerom pełniącym służbę w N. Sądzie Wojsk. nie zmieniają faktu, że byli oni oficerami, że dowodził nimi pułkownik, który mógł każdemu z nich kazać stać, gdy mówił do niego (wiemy, że zdarzyło się to z sędzią ppłk. Gołębiowskim) i że do jednostki wojskowej, jaką był N. Sąd Wojsk. odnosiła się Dyrektywa nr 01/Polit. ogłoszona w styczniu 1952 roku z podpisem Szefa Głównego Zarządu Politycznego MON, w której się mówiło:

„Miały miejsce na zebraniach partyjnych wypadki ostrych wystąpień przeciwko dowódcom, wystąpień nie nacechowanych partyjną troską o porządek wojskowy i dyscyplinę, lecz dyktowanych drobnomieszczańską niechęcią do dyscypliny i bezwzględnego podporządkowania się dowódcy”. Z tej racji Dyrektywa przypomina, że tow. Stalin mówiąc o demokracji wewnątrzpartyjnej, uczy, że „... demokracja nie jest czymś ustalonym dla każdego okresu i we wszystkich warunkach, bowiem bywają momenty, kiedy nie ma możliwości i sensu wcielać ją w życie... demokrację należy rozpatrywać w zależności od warunków, nie powinno być fetyszyzacji demokracji wewnątrzpartyjnej, albowiem urzeczywistnienie demokracji wewnątrzpartyjnej zależy od konkretnych warunków czasu i miejsca” (*Dzieła*, t. VI, z referatu na XIII Konferencji WKP b)”.

Takie poglądy na stosunek do dowództwa i na walory demokracji wszczepiano także oficerom-sędziom N. Sądu Wojsk., bo Dyrektywa odnosiła się i do nich. W N. Sądzie Wojsk. na pewno nie było fetyszyzowania jakiegokolwiek demokracji. Jego prezes-dowódca dbał o to pilnie. Nie dochodziło, co prawda, do tego, by dawał wprost rozkazy sędziom. Ale widzieliśmy z przytoczonych wyjątków z oświadczeń sędziów, że potrafił dość brutalnie strzec swego autorytetu i jadowitą „obróbką” w cztery oczy i na

zebraniach tępić w sędziach „drobnomieszczańską niechęć do dyscypliny”. Umiał im też kłaść do głowy, że „bywają momenty, kiedy nie ma możliwości i sensu wcielać (demokracji) w życie”. A sędziowie-oficerowie nie mogli wyzbyć się całkowicie psychiki żołnierskiej i gdy ich traktowano, jak żołnierzy — zachowywali się, jak żołnierze. Nie ich winą było, że w N. Sądzie Wojsk. panowała atmosfera więcej wojskowa, niż sądowa i że do tego, by w takiej atmosferze być prawdziwie SĘDZIĄ, trzeba było mieć dużo więcej niezłomności ducha, niż to w owej epoce widziało się normalnie koło siebie.

Po drugie, w N. Sądzie Wojsk. nie operowano wobec sędziów jedynie argumentami z programu dyscypliny wojskowej. Odwoływano się do ich patriotyzmu, ich szlachetnego obowiązku stróża ustroju ludowego, do ich lojalności partyjnej. Nie było z pewnością przypadkiem, że instytucja, która sprawowała nadzór nad postawą polityczną wojska powołała się we wspomnianej Dyrektywie na pouczenie Stalina podważające demokrację wewnątrzpartyjną a więc na wypowiedź dziś bardzo kwestyjną. Czy można wypominać sędziom-oficerom, że nie lekceważyli Dyrektywy i nie występowali na zebraniach partyjnych ostro przeciw idącym z góry nastawieniom alarmistycznym? Przyszajmy im dobrodziejstwo wątpliwości, do którego ma w naszych sądach prawo każdy, kogo się obwinia; może rzeczywiście wierzyli w to, że swym orzekaniem, operującym tak wielkimi skrótami skrupułów, walczą z plagą zdrady kraju i rewolucji?

Nie zapominajmy też — to trzecie — że specyficznie wojskowa akcja naciskowa na sędziów rozwijała się w ogólnym klimacie politycznym, który co najmniej nie sprzyjał rozważnej, samodzielnej myśli sędziowskiej. Nie zapominajmy o tym rozgrzanym powietrzu, którym się wówczas oddychało, o poglądach na zagrożenie wewnętrzne i zewnętrzne, jakie szerzyła ówczesna oficjalna publicystyka, o nawoływaniach do czujności rewolucyjnej i do tępienia zaczajonych wrogów niepodległej ludowej Polski. Przecież w chwili obecnej na miesiące dopiero liczymy czas, odkąd przestaliśmy chodzić na szczudłach i sami sobie sypać piaskiem w oczy.

Dopiero gdy uzmysłowić sobie te wszystkie tłoczące czynniki, wśród których kształtowała się umysłowość sędziów N. Sądu Wojsk. w czasie procesów tatarskich, zyskuje się właściwą perspektywę na ich rolę. Dopiero wtedy staje się zrozumiałe tak perwersyjne zjawisko, jak ów sędzia „nie od Boga”, który był gotów skazywać, ilekroć mu powiedziano, że trzeba skazać i który prawdopodobnie uważał, że w ten sposób służy interesom Państwa. Przecież ten człowiek nie sam wdarł się do najwyższej woj-

skowej instancji sądowej, ale go — wolnego od obciążenia wykształceniem prawniczym — ktoś tam wprowadził, ktoś tam utrzymywał i ktoś sadzał (jego właśnie!) do sądenia w bez mała wszystkich sprawach tatarskich. Przecież ten człowiek wyjechał na fali kultu dyscypliny i posłuszeństwa a lekceważenia kompetencji fachowej, których przejawy mieliśmy, niestety, nie tylko w wojskowym sądownictwie.

Gdyby nie te wszystkie czynniki, grzechy wypomniane tu sędziom N. Sądu Wojsk. w sprawach tatarskich byłyby moralnie śmiertelne. W warunkach, jakim tych sędziów poddawano, trzeba uznać, że sądownictwo wojskowe miało fatalnie skrzywiony kręgosłup — nie z winy samych sędziów. Wobec tego zaś, kto wie, czy nie należałoby pytać: w jakiej mierze można oficerów sądowników, gdy występowali w sprawach tatarskich, traktować w ogóle jako sędziów i żądać od nich, by zdawali sprawę, jako sędziowie?

Przecież akta innych spraw (o bez porównanie mniejszym kalibrze) świadczą, że ci sami oficerowie — gdy zwłaszcza byli pozostawieni sami sobie — potrafili zdobyć się na poważne dyskusje, na umiejętne analizy prawnicze, na sumienne poszukiwanie dowodów, na wazenie okoliczności łągodzących. Jednym słowem, zachowywali się wówczas rzeczywiście po sędziowsku. W sprawach tatarskich odbiegały ich te zalety. Nie ma na to innego wytłumaczenia, niż że działał tu zespół zewnętrznych przyczyn, który ludzi zdolnych (przynajmniej w ich większości) do roli sędziów ściągał na ich nieszczęście w dół i czynił autorami tragicznych wyroków.

W takim kontekście trzeba oceniać tę ich odpowiedzialność, jaka może pozostawać po odrzuceniu odpowiedzialności k a r n e j.



Jestem świadom, że ta konkluzja nie zadowoli tych, co koniecznie pragną, by nowymi ofiarami przebłagać tamte wstrząsające ofiary. Rozumiem niechęć do zwalania wszystkiego na system, które zbyt często wynika z lenistwa lub z braku odwagi, by wyciągnąć konsekwencje w stosunku do osób.

Ale po pierwsze, nie wyobrażajmy sobie, że w świecie społeczno-politycznym zjawiska zawsze przebiegają tak, iż można je dokładnie zlokalizować, oznaczyć, gdzie i kiedy każde z nich się zaczyna a gdzie i kiedy kończy. Zjawiska bywają, jak perz rozłożyste pod ziemią uczepiony: ciągnie go się i ciągnie a w całości wyciągnąć nie można. System więc to nie fikcja. R z e c z y w i s t o ś ć polska w latach, które tu dla nas wchodzą

w grę, była taka, że nad naszym życiem wisił splót też tym bardziej apodyktycznych, im mniej zgodnych z prawdą. Wyjaławiły one myślenie ludzi, łamały charaktery, hodowały przerost komenderowanie i przeszczepiały na grunt rewolucyjny jezuicką zasadę, że cel uświęca środki. W tych warunkach nie zawsze jest możliwe wypłatanie ściśle osobistej odpowiedzialności z kompleksu wytworzonego przez mity, nadużywanie dobrej wiary członków Partii i płytkie naśladownictwo niedobrych wzorów.

Po drugie, przypisywanie systemowi, co systemowego, bynajmniej nie oznacza zdejmowania wszelkiej odpowiedzialności ze wszystkich, którzy go urzeczywistniali. Byli tacy, co ludowali się właśnie w najgorszych stronach systemu i z całą zapamiętałością wyzyskiwali władzę daną im nad drugimi. Byli inni, którzy przymykali oczy, jakkolwiek ich — p r a w e m im przepisany — obowiązkiem było mieć je otwarte. Inni jeszcze ze słabości ducha lub z wygodnictwa głuzyli w sobie protesty własnych sumień i przekonywali samych siebie, że słuszność jest nie po stronie ich skrupułów, lecz po stronie dyrektyw, które otrzymywali.

Krytyka więc systemu nie jest równoznaczna z ustawianiem rzeczy tak, iż po jednej stronie jest anonimowy System, czyli wszystko i nic, — a z drugiej same niewiniątka. Nie jest tak, iżby za bezmierne krzywdy ludzkie nikt absolutnie nie powinien odpowiadać. Po odsypaniu, ile trzeba, na karb systemu pozostaje jeszcze spory zasób r ó ż n o r a k i c h odpowiedzialności do rozdzielenia. Na tym miejscu była mowa o jednym tylko rodzaju odpowiedzialności: o odpowiedzialności karnej podwładnych sędziów N. Sądu Wojsk. Takiej odpowiedzialności nie stwierdzam.

Po trzecie, najważniejsze w obecnych dociekaniach nad niedawną przeszłością nie jest chyba wyszukiwanie indywidualnych winowajców — choć, powtarzam, nie należy z niego rezygnować. Najistotniejsze jest niewątpliwie zdanie sobie sprawy, po jakich drogach doszło do klęski, którą prawo i moralność publiczna poniosły w sprawach tatarskich. Te właśnie drogi starałem się odsłonić na tych kartach. Groźne ostrzeżenie, by nie dopuścić do powstania znów warunków, wśród których rozwinęła się ta skandaliczna tragedia — to jedyna korzyść, jaka z niej może wypłynąć dla Polski prawdziwie ludowej. A jeśli naród weźmie sobie to ostrzeżenie do serca — będzie to najzaszczytniejszą nagrodą, jaką historia dać może męczeńskim ofiarom.

Mieczysław SZERER

**WYKAZ SPRAW Z GRUPY TATARA I IN. ROZPATRYWANYCH
PRZEZ NAJWYŻSZY SĄD WOJSKOWY W I-szej INSTANCJI**

<i>L.p. Nr sprawy</i>	<i>Nazwisko i imię skazanego</i>	<i>Skład Sądu</i>
1. Sn. 2/51	Perdzyński Tadeusz	ppłk Bojko Roman mjr Karczmarz Teofil kpt. Sieracki Władysław
2. Sn. 3/51	Siemiński Władysław	ppłk Bojko Roman mjr Karczmarz Teofil kpt. Sieracki Władysław
3. Sn. 4/51	Barbasiewicz Zdzisław	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil mjr Ruszczak Kazimierz
4. Sn. 6/51	Tatar Stanisław + 8	ppłk Waląg Roman ppłk Bojko Roman mjr Karczmarz Teofil
5. Sn. 7/51	Rękosiewicz Eugeniusz	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil mjr Ruszczak Kazimierz
6. Sn. 8/51	Roman Józef	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil mjr Ruszczak Kazimierz
7. Sn. 9/51	Szaad Albert	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil mjr Ruszczak Kazimierz
8. Sn. 10/51	Maliszewski Edward	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil mjr Ruszczak Kazimierz
9. Sn. 11/51	Maszlanka Bronisław	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Michnik Stefan
10. Sn. 12/51	Podoski Jan-Józef	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil mjr Ruszczak Kazimierz
11. Sn. 13/51	Machalla Zefiryn	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Michnik Stefan
12. Sn. 14/51	Lewandowski Jerzy	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Michnik Stefan
13. Sn. 15/51	Leszczyński Albin	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Kozłowski Stanisław
14. Sn. 16/51	Godlewski Henryk	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Kozłowski Stanisław

<i>L.p.</i>	<i>Nr sprawy</i>	<i>Nazwisko i imię skazanego</i>	<i>Skład Sądu</i>
15.	Sn. 1/52	Wiloch Józef-Ignacy	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Kozłowski Stanisław
16.	Sn. 2/52	Marcinkiewicz Józef	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Kozłowski Stanisław
17.	Sn. 3/52	Ziemiński Tadeusz	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Kozłowski Stanisław
18.	Sn. 4/52	Skibiński Franciszek + 4	płk Świątkowski Wilhelm ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil
19.	Sn. 5/52	Adamecki Bernard + 7	płk Parzeniecki Piotr ppłk Krupski Juliusz mjr Karczmarz Teofil
20.	Sn. 6/52	Chojecki Maksymilian	ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil ppor. Michnik Stefan
21.	Sn. 7/52	Wecki Stanisław	mjr Karczmarz Teofil por. Mirski Mieczysław ppor. Michnik Stefan
22.	Sn. 8/52	Sidorski Romuald	ppłk Krupski Juliusz por. Mirski Mieczysław ppor. Michnik Stefan
23.	Sn. 9/52	Jurkowski Jerzy	mjr Karczmarz Teofil por. Kozłowski Stanisław por. Mirski Mieczysław
24.	Sn. 10/52	Kuropieska Józef	płk Parzeniecki Piotr ppłk Aspis Feliks mjr Karczmarz Teofil
25.	Sn. 11/52	Kowalski Aleksander	mjr Karczmarz Teofil por. Paramonow Jan ppor. Michnik Stefan
26.	Sn. 12/52	Tarasiewicz Zenon	mjr Karczmarz Teofil por. Mirski Mieczysław ppor. Michnik Stefan
27.	Sn. 13/52	Żaczkiewicz Władysław	ppłk Aspis Feliks por. Paramonow Jan ppor. Michnik Stefan
28.	Sn. 14/52	Mieszkowski Stanisław + 6	płk Parzeniecki Piotr ppłk Krupski Juliusz mjr Karczmarz Teofil
29.	Sn. 15/52	Głowacki Ludwik + 3	ppłk Krupski Juliusz ppłk Krasuski Zygmunt mjr Wnorowski Bolesław

30. Sn. 16/52 Oborski Mieczysław	ppłk Krupski Juliusz ppłk Karpiński Beniamin mjr Wnorowski Bolesław
31. Sn. 17/52 Bochenek Józef	ppłk Krupski Juliusz ppłk Karpiński Beniamin mjr Wnorowski Bolesław
32. Sn. 18/52 Jachniak Władysław	ppłk Aspis Feliks mjr Wnorowski Bolesław por. Kozłowski Stanisław
33. Sn. 19/52 Naruszewicz Czesław	ppłk Krupski Juliusz mjr Wnorowski Bolesław mjr Karczmarsz Teofil
34. Sn. 20/52 Sokołowski Zygmunt + 3	ppłk Krupski Juliusz mjr Karczmarsz Teofil mjr Wnorowski Bolesław
35. Sn. 22/52 Cichoń Stefan	mjr Karczmarsz Teofil ppłk Krupski Juliusz ppłk Krasuski Zygmunt
36. Sn. 23/52 Wojtowicz Michał	ppłk Krupski Juliusz ppłk Krasuski Zygmunt mjr Karczmarsz Teofil
37. Sn./53 Adamkiewicz Feliks	ppłk Krasuski Zygmunt mjr Karczmarsz Teofil por. Mydlak Marian
38. Sn. 2/53 Rode Aleksander + 1	mjr Karczmarsz Teofil ppłk Krasuski Zygmunt por. Mydlak Marian
39. Sn. 4/53 Twarogowski Tadeusz + 1	ppłk Krasuski Zygmunt mjr Karczmarsz Teofil por. Mydlak Marian
40. Sn. 5/53 Litwin-Staszewski Gustaw	ppłk Krasuski Zygmunt por. Mydlak Marian por. Cieślak Antoni
41. Sn. 6/53 Gadecka Zofia	ppłk Krasuski Zygmunt por. Mydlak Marian por. Cieślak Antoni
42. Sn. 7/53 Kostuch Tomasz + 2	ppłk Krupski Juliusz mjr Karczmarsz Teofil mjr Sieracki Władysław
43. Sn. 10/53 Zieniewicz Józef	ppłk Karczmarsz Teofil ppłk Krasuski Zygmunt kpt. Cieślak Antoni
44. Sn. 11/53 Jaroszewicz Jan	ppłk Krupski Juliusz kpt. Mydlak Marian kpt. Bieniaszewski Michał

45. Sn. 12/53 Luśniak Eugeniusz	ppłk Karczmarz Teofil kpt. Bieniaszewski Michał kpt. Cieślak Antoni
46. Sn. 4/54 Kołodziejski Józef	ppłk Krupski Juliusz ppłk Karczmarz Teofil kpt Mydlak Marian
47. Sn. 5/54 Wójtowicz Czesław	ppłk Karczmarz Teofil ppłk Krupski Juliusz mjr Porzecki Adam
48. Sn. 7/54 Uziembło Adam	ppłk Karczmarz Teofil mjr Sieracki Władysław mjr Porzecki Adam

MIECZYŚLAW SZERER jest najstarszym z żyjących i jednym z najwybitniejszych prawników polskich.

Urodził się w 1883 r., studia ukończył na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i tam uzyskał doktorat w 1907 r. W 1910 r. opublikował pierwszą książkę, która do obecnej chwili nie straciła wartości naukowej, pt. „Kara — studium socjologiczne”.

W pierwszym okresie niepodległej Polski swe zainteresowania skierował ku zagadnieniom prawa publicznego: poza licznymi artykułami opublikował większe studium nt. parlamentaryzmu, pracował w dziale prasowym Gabinetu premiera Nowaka, przez pewien czas zajmował stanowisko dyrektora departamentu w Ministerstwie WR i OP. Pod koniec lat 20-tych i do wybuchu drugiej wojny światowej był adwokatem, występował jako obrońca w procesach politycznych, m.in. Henryka Dembińskiego w Wilnie. W związku z działalnością literacko-eseistyczną został członkiem PEN-Clubu, do którego wprowadził go Stefan Żeromski.

Wojnę 1939-1945 spędził w Anglii. Poza pracą nt. angielskich doktryn liberalnych (dotychczas nie wydaną) i zbieraniem materiałów, które stały się podstawą wydanej w PRL książki nt. ustroju sądowego Wielkiej Brytanii prowadził różne rodzaje działalności, m.in. był członkiem polskiej Rady Narodowej, a także międzynarodowej komisji dotyczącej zbrodni niemieckich.

Do Polski wrócił w 1946 r. i został wkrótce mianowany sędzią Sądu Najwyższego — pozostawał nim do 1962 r. Przejście na emeryturę zaznacza się wzmożoną aktywnością. Dr Szerer wydaje m.in. fundamentalną pracę „Karanie a humanizm”, publikuje liczne artykuły, m.in. przeciwko karze śmierci, eseje, glosy. Radio nadało napisane przez niego słuchowiska nt. procesu brzeskiego oraz sprawy Eligiusza Niewiadomskiego.

W maju 1978 r. otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego.



Komisja, której członkiem był M. Szerer, została powołana na fali liberalizacji 1956 roku i występujących wówczas tendencji (niebawem zahamowanych) do obiektywnego przedstawienia źródeł i mechanizmów stalinizmu

w Polsce. Wchodziła tu w grę zgoda Komitetu Centralnego PZPR i porozumienie ministrów Sprawiedliwości i Obrony Narodowej. Sprawozdanie zostało na pewno złożone tym dwu ministrom i może trzeciemu organowi (ministrowi Spraw Wewnętrznych?), ale to nie jest pewne.

Tekst s. Szerera wywołuje pod jednym względem uczucie zawodu: Autor nie domaga się (choć przyszłość pokazała, że byłoby to w każdym razie bezskuteczne) pociągnięcia do odpowiedzialności karnej sędziów wydających zbrodnicze wyroki. Rozumowanie prawnika jest tu bez zarzutu, natomiast z punktu widzenia sprawiedliwości i elementarnych odczuć moralnych nie można się z nim zgodzić. Nie przekonuje również wysunięta w tekście wątpliwość czy do owych wojskowych ferujących wspomniane wyroki znajduje w ogóle zastosowanie pojęcie „sędzia”. Narzuca się chyba wniosek, że gdyby nimi nie byli, to i dr Szerer musiałby ich uznać za sprawców morderstw.

Powstaje na tym tle szersze zagadnienie: skoro istnieje trudność znalezienia przepisu pasującego do danego stanu faktycznego, którego represjonowanie niejako się narzuca, to czy nie należy dołożyć starań, aby taki przepis powstał? Problem jest oczywiście niezmiernie złożony i wymagałby rozwikłania wielu wątpliwości i ostrożnego wyważenia wszystkich „za” i „przeciw”. Jak dalece jednak tolerancyjne nastawienie do ludzi, którzy wyrządzili innym nieodwracalne krzywdy, sprzyja dalszym niesprawiedliwościom — o tym świadczy m.in. fakt, że co najmniej trzech sędziów wojskowych, wymienionych w sprawozdaniu M. Szerera, pozostało w Sądzie Najwyższym z tą jedynie zmianą, że w Izbie Karnej a nie Karno-wojskowej. Są to: Dziwigo i Kryże (obecnie na emeryturze) oraz Mioduski (orzeka do chwili obecnej).

R E D A K C J A

WSPOMNIENIA

Ks. Inf. Teofil SKALSKI

GARSTKA WSPOMNIEŃ Z MEGO ŻYCIA (4)

Po odejściu Polaków smutny widok robili pozostali jacyś niby polscy jeńcy w mundurach. Jedni z nich to byli Galicjanie, Rusini służący z przymusu w armii polskiej, inni — bojaźliwi Żydki z Galicji i Królestwa, którzy woleli pozostać w Kijowie między swoimi, niż swoją krew wystawiać na niebezpieczeństwo za Polskę, ale niestety byli między nimi również i Polacy... Ci przeważnie udawali, że nienawidzą bolszewików i szukali schronienia i wszelkiej pomocy wśród polskiego społeczeństwa, wymyślając rozmaite powody swego odbicia się od wojska i zupełnie przypadkowego pozostania. Wiele osób ofiarnych, głęboko patriotycznych, dało się złapać na lep takich gadań i dzieliło się z nimi gałganami i ostatnim kawałkiem chleba, w najlepszej wierze, wciągając i innych do niesienia pomocy „tym biednym”, otwierali przed nimi swą duszę, a ci nikczemni, będąc już w służbie u bolszewików, zdradzali takich naiwnych, oszukanych swoich dobrodziejów, których brały w swoje łapy „czerezwyczajki” i srogą ponosili pomstę. Z pięciu zatrzymanych przy kościele księży rychło musiałem wyprawić dwóch na głuche parafie, bo dali się złapać na wędkę i zaopatrzyli w metrykę jednego z takich gałganów, który omamił zakrystiana przy kościele św. Mikołaja, wyzyskał go materialnie, wkradł się w jego zaufanie, a ten mu wyśpiewał, gdzie schowane są niektóre cenniejsze rzeczy jego i tych księży, co puciekali z parafii św. Mikołaja. Zakrystian i jego syn zostali zaaresztowani, wszystkie rzeczy wygrzebane i skonfiskowane. Tak było w pierwszych tygodniach, ale cokolwiek później pojawili się prawdziwi polscy jeńcy. Złe utrzymywani w obozach uciekali z nich, lub odzyskawszy w szpitalach zdrowie, też z nich uciekali, czasami wprost w szlafroku szpital-

nym. Ukryć, zaopatrzyć choć trochę, przetrzymać, a potem w ukraińskim chłopskim przebraniu wyprowadzić w ślad za wojskiem — to był naprawdę wielki ambaras i ogromne niebezpieczeństwo. A jednak sporo było Polaków, którzy nie wahali się nieść takie ofiary. Pamiętam też parę takich wypadków, jak przybłąkany żołnierz polski, goły i bosy, jak mówią bez niczego przy duszy, przygarnięty przez jakąś rodzinę zapadał na tyfus plamisty, bo mnóstwo wszy sowieckich ze sobą przyniósł i niepodobna takiego chorego oddalić z domu, bo w szpitalach nie da się ukryć i sprawa się wyda. I poczciwi lekarze polscy bezinteresownie odwiedzali takich chorych, a dom, w którym ukrywano chorego, często zapadał dotknięty zarazą, a czasem i przypłycał śmiercią niektórych członków rodziny. Pamiętam, zawitało do mnie kiedyś pięciu takich żołnierzy. Ulokowałem ich w jakiejś izbie, każąc ją co prędzej ogrzać, a tu jeden z nich wali się z nóg; mierzymy mu temperaturę — ma ponad czterdzieści stopni gorączki. Moja kucharka, Antonina Rutkowska, lituje się nad nim i układa na swoim czystym łóżku. Poleżał parę dni i jakoś pozdrowiał, ale tymczasem Antonina zapadła na tyfus powrotny, bo i on w chwili gdy leżał na jej pościeli miał ostatni paroksyzm powrotnego tyfusu. Poczciwa kobieta chorowała mi chyba z pięć tygodni. Zetknąłem się też z wypadkiem, mającym w sobie cokolwiek komizmu, ale też świadczącym o dobrym sercu i przychylnym nastawieniu ludności niepolskiej do wojska polskiego. Oto przychodzi do mnie prawosławna zakonница z monasteru Wyszogrodzkiego, który jest o dwadzieścia parę kilometrów od Kijowa, przy Dnieprze, w górnym jego biegu. Tam był ustawiony w wysokich żytach na czatach polski żołnierz. Stoi do bę, stoi dwie, nikt go nie luzuje, wreszcie osłabł. Przechodząca brzegiem rzeki zakonница informuje go, że już od dwóch dni nie ma w Kijowie wojsk polskich. Przerażony chłopak ucieka do tego pobliskiego klasztoru. Prawosławne zakonnice, bazylianki, nie znają klauzury. Zwykła profesja, a profesja odbywa się u nich dopiero po skończonej czterdziestce, zajmuje oddzielny domek lub przynajmniej mieszkanie, skupia przy sobie kilka „posłusznic”, to znaczy nowicjuszek i probantek, zaprawiając je, jak umie, i rozumie, do życia zakonnego. Do takiego gronka trafia nasz żołnierz, młodziutki, o miłej twarzy chłopaczek. Zakonница wpada na pomysł i aby go lepiej ukryć odziewa go w habit. Przez parę tygodni skrobie chłopiec ziemniaki razem z posłusznicami i wykonuje niejaki roboty w polu. Ale o zgrozo dowiaduje się o tym „Igumenia”, przełożona klasztoru. Myje głowę dobroczynnej siostrze i wyprowadza ją właśnie do mnie, bym rozstrzygnął jak sprawie zaradzić. Dałem trochę pieniędzy na

zakup chłopskiego przyodziewku i poradziłem pocziwym kobietom, by żołnierzyka wyprawiły na Zachód, w ślad za wojskiem sowieckim, następującym na stopy wojska polskiego. Tak się pewnie też i stało, bo już się więcej w tej sprawie do mnie nie zwracały.

Jest już listopad, noc w pełni księżyca, lekki przymrozek daje się odczuwać. Jakiś jegomość o powłóczystej brodzie zjawia się u mnie w gabinecie. „Księżu dobrodzieju, należę do polskiej partii komunistów, zdaję sobie sprawę z bezsensowności zwracania się do was, obywatelu, jako do kapłana, ale wydarzył się u nas w klubie polskich komunistów wypadek: jeden z naszych towarzyszy otruił się i teraz w niebogłosey woła, by mu sprowadzić księdza. Tłumaczyłem mu, że to nie ma żadnego sensu, ale on uparcie prosi, więc w imię bezstronności proszę księdza udać się zaraz za mną”. Nie ma więc co gadać, a przewidując, że otruty pewnie będzie miał torsję, chwytam woreczek z Olejami świętymi, komżę i stułę, ale Przenajświętszego Sakramentu nie biorę, i już kroczę po pustych ulicach miasta, gdyż chodzenie po mieście w godzinach wieczornych jest dla ogółu wzbronione. Jegomość komunista ani słowa do mnie nie mówi. Wreszcie jesteśmy na Proréznej. Klub komunistów polskich zajmuje lokal byłego komitetu polskiego. Odźwierny oświadcza, że pół godziny temu chorego zabrało pogotowie ratunkowe na swoją stację; stąd niedaleko na Rejtarską, więc udajemy się tamtędy. Na spotkanie moje wychodzi młody Żyd w ubraniu wojskowym, pewno niedokończony student medycyny. — „Ja tutaj komendantem pogotowia — o co wam towarzyszu księżu chodzi?”. — „A to mnie ten pan przyprowadza do chorego, co w klubie polskim się otruił”. — „A jest, już mu przemyto kiszki, nic mu złego nie będzie. Ale wy, duchowny ojcie, przynajmniej go dobrze *wyrugajcie*, by takich głupstw drugi raz nie robił”. Poczekałem trochę, wreszcie dwóch towarzyszy prowadzi pod ramiona denata. — „A, niezmiernie wdzięczny jestem, że ksiądz pospieszył. Już niebezpieczeństwo minęło, ale pomimo to chciałbym się wyświadczyć”. — „No, ale gdzie?” — „Może ksiądz po mału podąży za nami znowuż do klubu, to tam spokojnie odbędę spowiedź, bo tu ruch i turkot karettek pogotowia niemożliwy”. No idę, już dwunasta w nocy, jakimiś schodkami ciemnymi od podwórza dostaję się na drugie czy trzecie piętro do dobrze mi znanej sali, gdzie teraz czytelnia polskich komunistów, kilka pism i książek widzę rozrzuconych na długim stole. Po kilku minutach wprowadzili chorego i odeszli. I odbyła się spowiedź, jak należy. Komendant klubu wypisał dla mnie przepustkę na przejście

miasta o tej porze, jacyś dwaj, niby polscy żołnierze, dopomagają mi ostrożnie schodzić po ciemnych schodach, ale kiedy już mam uchylić drzwi od ulicy obaj moi towarzysze, jeden po drugim, całują mnie serdecznie w ręce. — „To my, proszę Ojca, żołnierze polscy, nas tu wzięli z obozu jeńców na posługaczy. A niech oni zginą, ci komuniści. Ten, co się spowiadał, to też z wojska — pono porucznik czy podchorąży, że został z nami teraz żałuje”. I rzeczywiście tak się potem okazało: ten, co się truł, uciekł do Polski przy pomocy księdza Fedukowicza z Żytomierza, i — jak słyszałem — nawet od „Wyzwolenia” posłował w Sejmie.

W tymże mniej więcej roku 1920, albo najdalej w 1921, w dniu trzecim Bożego Narodzenia, dostałem sposobności prawdziwie wyjątkowej, a może jedynej w dziejach rewolucji rosyjskiej, odprawiania Mszy św. dla pozostających w areszcie *osobowo oddzielą* — jak już wzmiankowałem, to też sama „Czerezwyczajka”, tylko przy wojsku. W wojsku sowieckim było trochę dawniejszych oficerów carskich, więc pewnej siostrze Czerwonego Krzyża, nawet Rosjance, ale dawniejszej siostrze wojennej, udało się jakoś uzyskać prawo wstępu do tego straszego przybytku i dla mnie, i nawet odprawienia w nim Mszy św. ku pociesze tych katolików, co wówczas tam pozostawali jako więźniowie polityczni. Byli to przeważnie ludzie młodzi, wyłapani przez bolszewików jako należący do Organizacji P.O.W. Według nastawienia bolszewików, bardzo wrogiego do wszystkiego co miało związek z wojskiem polskim, tym nieszczęśliwym w większości groziła kara śmierci. Były tam zacne, odważne panienki, akademicka młodzież męska, paru starszych panów i dwóch księży: prefekt gimnazjalny z Humania, ksiądz Andrzej Kobierski i proboszcz z Oratowa, Kalikst Butyniec. *Osobyj Otdiel* mieścił się wówczas przy ulicy Instytuckiej, w przerebionym *ad hoc* prywatnym wspانياłym domu. Na wyznaczoną godzinę jedenastą stawilem się w towarzystwie sługi kościelnego z polowym ołtarzykiem, podarowanym mi przez księży kapelanów wojsk niemieckich, kiedy to w 1918 roku opuszczały Kijów. Zameldowałem się, powiedziano mi, że trzeba poczekać aż wróci komendant i więźniowie zjedzą obiad. Czekam godzinę jedną, drugą, aż wreszcie o w pół do drugiej wprowadzają nas do wspانياłej sali, znajdującej się po środku domu, do której wchodzi się przez kilkoro drzwi z jednej i drugiej strony. Dano mi stół, rozstawiliśmy ołtarzyk, ubrałem się w ornat i oczekuję. Czterech żołnierzy w papachach, z karabinami w ręku rozstawiło się po rogach komnaty. Podszedł do mnie komendant, podziwił urządzenie ołtarzykowe, ale uprzedził, że nauki żadnej dla żołnierzy

wypowiedzieć nie będę miał prawa i że ksiądz Butyniec za karę, że usiłował skomunikować się z jednym z więźniów, pozbawiony został prawa uczestniczenia w nabożeństwie. Prosiłem go, aby to zarządzenie cofnął, ale nie ustąpił. Wreszcie dozorczy pootwierali drzwi boczne i nimi pospiesznie wchodzili bladzi, zmęczeni więźniowie i ustawiali się szeregami. Poświęciłem miejsce i pokropiłem wodą święconą i — mimo zakazu komendanta — odzywałem się w te słowa: „Wyjątkową macie okazję wysłuchania Mszy św. i przystąpienia do Komunii św., a chociaż nie jesteście na czczo to uspokajam was, że w takich okolicznościach wyjątkowych nie obowiązuje was post eucharystyczny. Nie możecie się spowiadać, ale pewnie pragniecie rozgrzeszenia, wzbudzajcie więc skruchę, mówcie wszyscy publicznie *Spowiedź powszechną*, a ja was wszystkich razem rozgrzeszę”. Uklękli bez wyjątku wszyscy: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina — wołają — i łkać zaczęli, a i ja ledwo łzy wstrzymywałem, a towarzyszący mi sługa kościelny, ogromny, silny drab z wojska, szwajcar kościelny, też beczał. Wreszcie rozgrzeszenie udzielone: módlcie się, śpiewajcie kolendy... Kierując tymi ludźmi w ten sposób, że gromadnie ich rozgrzeszyłem, że Komunię dawałem nie na czczo, że Mszę św. o drugiej rozpocząłem wcale nie myślałem, że przekroczyłem kompetencje kanoniczne — chciałem największą im duchową przynieść pomoc i sądzę, że Bóg mnie za to sądzić nie będzie. „Bóg się rodzi”, „W żłobie leży” towarzyszyły Konsekracji i Podniesieniu Hostii. Czterdzieści parę rozdzieliłem między nich komunikatów. A jak się potem dowiedziałem w Warszawie, spotkawszy jedną z tych panienek, które uczestniczyły w tym nabożeństwie, a która potem została spod groźby śmierci wymieniona za komunistę, że wówczas wśród komunikujących i przyjmujących moje rozgrzeszenie było paru takich, którzy do chwili wprowadzenia ich na salę uważali się za niewierzących i tylko ogólnym nastrojem opanowani — a mówmy po katolicku — nagłą łaską Bożą dotknięci — i rozgrzeszenie z wiarą ode mnie przyjęli i w tajemnicy nad tajemnicami, w Komunii Eucharystycznej wierzyli, że Boga Najwyższego, prawdziwego, Jezusa Chrystusa, Pana Naszego do duszy swojej przyjęli.

Rok 1920 i 1921 należały do lat, w których egzystencja była najcięższa. Opału żadnego dostać nie można było, roztawiliśmy małe żelazne piecyki z długimi rurami, szpecącymi mieszkanie i rozbierając co się dało na podwórzu lub kupując u złodziei belki z rozmaitych budowli, paliliśmy w nim o tyle, że ja w gabinecie moim doprowadzałem temperaturę do 6 stopni, a w pokoju sypialnym zaledwie do 4-ch powyżej zera, a zimy w tych latach

były surowe. Ręce miałem tak poodmrażane, że pewne pocziwe parafianki to zauważywszy jakieś mitenki z prostej włóczki mi zrobiły, ale i dotąd rąk moich nigdy nie wyleczyłem. Prawda, że i jeden rok z moich więziennych lat do tego jeszcze był takim, że przez całą zimę moja cела prawie wcale nie była opalana. W kamienicach nowoczesnych o centralnym ogrzewaniu nie było dokąd odprowadzać dymu z takich piecyków — niektórzy wypuszczali go do wentylatorów — słowem — gdzie zauważyli jakiś otwór; stąd powstawały pożary i niejeden wspaniały dom spłonął. Litość brała odwiedzać takie nieogrzewane mieszkanie, szczególnie jeśli w nim znajdował się ktoś chory. Wzywają mnie na Małą Żytomierską do domu Palczewskiego, do chorej Francuzki. Francuzek było sporo w naszym kraju: sprowadzone z Francji w młodości w charakterze bon do dzieci, wyuczały je doskonałe francuskiej mowy i tak się zżywały z polskimi domami, że już do Francji nie wracały, pozostając przy polskich rodzinach w charakterze domowniczek, rezydentek albo osiadały samotnie w większych miastach i biegając za lekcjami zapewniały sobie utrzymanie. Do jednej właśnie z takich zostałem wezwany. Wschodzę — pokój przesłiczny o dużym weneckim oknie, wychylającym się półkolem ponad chodnik ulicy, przede mną ogromna klatka, zajmująca pół pokoju i sięgająca do trzech czwartych wysokości ścian. W klatce wisi jeszcze kilka zwyczajnych klatek i jedna jakaś ptaszyna w jednej z nich się męczy. Ale gdzie chora? — oglądam się i spostrzegam u samych drzwi na małej sofce skulone biedne ludzkie stworzenie. Zbliżam się, odbywa się spowiedź, udziela się Wiatyk, Oleje św. itp. Wreszcie rozmawiam z chorą. Ta klatka i te pomniejsze klatki były pełne ptactwa, gdy stara panna po całodziennym bieganiu po lekcjach, po dreptaniu po wysokich schodach kamienic wracała wreszcie zmęczona do domu, to ta cała rzesza ptasia tak ją witała radośnie, tak to wszystko szczebiało, przemawiało zrozumiałą dla niej mową, a gdy przy tej rewolucji zabrakło wszystkiego — od ust sobie odejmowała i je karmita, ale kiedy teraz w domu i kaloryfery przestały działać, to na jej oczach jeden po drugim z ukochanych jej przyjaciół ginął, a ona sama już więcej nie ma komu dawać lekcji. Do Francji wrócić niepodobna, więc musi iść w ślady swoich ukochanych skrzydlatych przyjaciół, tych kanarków, szczygłów i papużek. Dowiedziałem się, że i ordynarna srocзка znalazła przytułek w tej klatce, a była taka ciekawa i zabawna... O mój Boże, ile to razy z bezgranicznym smutkiem opuszczałem takich wydziedziczonych, chorych i zmarniałych ludzi, ongiś społecznie pożytecznych, a przynajmniej społeczeństwu nie uciążliwych i nieszkodliwych — a jednak wyrzu-

conych wprost poza nawias życia. Walutę kursującą obezteniło życie, po wsiach nikt jej do rąk brać nie chciał, wszystko się oceniało i płacono pudami zboża. Mieszczuchy niczego nie wytwarzający, a żyjący z pensji wprost przymierali z głodu, bo poborów oficjalistów państwowych, z powodu jakiejś teorii bolszewicy nie podnosili, a i wypłacali je z takim opóźnieniem, że np. nauczyciele szkół powszechnych otrzymawszy swą miesięczną gażę, mogli za nią kupić zaledwie pół bochenka chleba. Moja sytuacja materialna stawiała się też katastrofalną, na utrzymanie sprzedawałem co tylko mogłem. Pamiętam, że raz za ślub robotnik fabryczny ofiarował mi tylko 67 kopiejek, z których po 30 dałem organiście i zakrystianowi, a inny zaś dał 15 rubli, a potem zamyślił się i powiada: „Może by mi ksiądz to zwrócił, bo by mi się one przydały, a jak złapię rybę, to księdzu za ślub przyniosę”. Widocznie jednak żadna ryba złapać się nie dała, bo ani tych 15 rubli, ani ryby nigdy nie otrzymałem. Księża z parafii wiejskich, gdzie im *iura stole* opłacano zbożem, wspierali mnie po trosze mąką i tłuszczem, parafianie też kijowscy, przebywający już w Warszawie, kilka razy opłacili mi paczkę „Ara” — to taka jakaś instytucja amerykańska, działająca po większych miastach Rosji. Jeżeli ktoś wniesie w jej przedstawicielstwie zagranicznym 10 dolarów, to ona wydawała wskazanemu w Rosji paczkę z pewną ilością produktów lub za cenę droższą nawet — komplet licznych materiałów odzieżowych. Papież też był opłacił kilkadziesiąt paczek odzieżowych dla rozdania obdartym księżom i ubogim katolikom. Na odpuszcie w Berdyczowie spotkałem dwóch kapłanów w sutannach białych, uszytych z konopnego samodziałowego grubego płótna. Takim więc współpracownikiem było mi bardzo miło z daru Papieża dać, kiedy mogłem, choć pół paczki materiału. Niestety ten kort bywał na sutanny za gruby i w kolorze ciemnogrnatowym, ale płaszcz — nawet ja — uszyliśmy sobie z tego. Przy dokonany przez chłopów podziale między sobą ziemi z większych majątków produkcja rolna w tak bogatym i żyznym kraju obniżyła się ogromnie. Zboże zanieczyszczone chwastami, buraki cukrowe albo całkiem nie zasiane albo zarosłe burzanem po kolana — to powszechne w owe lata widowisko, a w innych prowincjach Rosji, w stepowych i nadwołżańskich działo się jeszcze gorzej. Sowiety wzywały o pomoc zagranicę i z niej czerpały. Nie słyszałem jednak, aby szersze warstwy społeczeństwa z darów zagranicznych korzystały. Nieprzychylnie więc dlatego przyjęliśmy wezwanie i zarządzenie partii, kiedy to jakoby na rzecz głodujących postanowiono skonfiskować we wszystkich świątyniach rzeczy cenne. Mieliliśmy się więc poddać rabunkowi kielichów, monstrancji, krzy-

ży, lichtarzy — słowem wszystkiego, nawet szatek na obrazach, precjozów na nich i nigdy nie dowiedzieć się na jaki cel to poszło.

W Kijowie na czele tej akcji wywłaszczania świątyń z rzeczy cennych stanął niejaki Michajlik, kijowski Żyd, przed rewolucją pokątny doradca, a przy sowietach — generalny prokurator Republiki Ukraińskiej. Ze zwykłych, zaufanych obywateli kraju i miasta nie powołano do tego wywłaszczającego a potem rozdzielczego komitetu nikogo. Współczując potrzebie głodnych, nigdy nie żałowaliśmy poświęcić na ich zaopatrzenie wszystkiego, co kościoły miały najcenniejszego. Do tej jednak akcji, w ten sposób podjętej przez bolszewików nikt nie miał żadnego zaufania, a przeciwnie — najjaśniej zdawaliśmy sobie sprawę, że tu tylko pretekstem jest głód, a celem zrabowanie kościołów na cele partyjne, a o głodujących nikt z rządu sowieckiego na serio nie myśli. Nigdy też po dokonaniu akcji wywłaszczania nie spotkałem się z publicznym jakimś sprawozdaniem, że tyle a tyle wpłynęło wartości z kruszców kościelnych i tyle a tyle wyekspensowano na rzecz nagich i głodnych. Waluta sowiecka była bez wartości, dewiz zagranicznych nie mieli, kopalnie kruszców zamarły, produktów rolnych brakło dla własnego państwa, więc skarb sowiecki był pusty. Dlatego też rabowano świątynie Pańskie, a że przeczuwano, iż to zarządzenie spotka się ze sprzeciwem, bardzo więc surowe zapowiedziano kary, aż do kary śmierci włącznie, dla tych wszystkich, którzy by coś ukryli lub też utrudnili rządowi zbieranie tych cenneści. W Kamieńcu Podolskim nad księżmi Dworackim, Lubczyńskim i Niedzieskim odbył się publiczny, pokazowy sąd za to, że ukryli monstrancje i kielichy i wszystkich trzech skazano na śmierć. Choć potem wyrok zamieniono na dwa lata więzienia, ale dla przestraszenia nas wszystkich szeroko o tym wyroku rozpublikowano, nie wzmiankując jednak, że go nie wykonano. Wreszcie zbliżał się termin tej rekwizycji w Kijowie. Towarzysz Michajlik opublikowuje najpierw w gazecie wezwanie, żeby proboszczowie wszelkich świątyń i wyznań stawili się na zebranie, zaopatrzeni w księgi dawniejszych inwentarzy kościelnych. Jak już poprzednio gdzieś wzmiankowałem, Sowiety — jeszcze bodajże w roku 19-tym — przeprowadzały przez swoich urzędników rejestrację całego mienia świątyń. Rejestracje te były więc oficjalne i sporządzone inwentarze — zdawało się — powinny były zadowolić Sowiety. Ale, jak pisałem, przeprowadzenie tej inwentaryzacji przez p. Mikołaja Głobę i jego pomocników było nader powierzchowne i raczej przychylnie temu, aby kościoły mogły coś zachować nieoficjalnie. Pan Michajlik widocznie już zdobył doświad-

czenie, że na podstawie tych inwentarzy oficjalnych niewiele z cerkwi i kościołów zebrać potrafi. Więc wpadł na pomysł zmuszenia nas do przedstawienia dawniejszych inwentarzy kościelnych — naturalnie nie wydawało się to pomysłem ani dla cerkwi ani dla kościołów. Wezwanie więc Michajlika do przybycia na posiedzenie jakoś wszyscy i katolicy księża i popi prawosławni bez żadnego porozumienia się zignorowaliśmy. Na posiedzenie stawili się tylko rabini i pastor z kirchy luterkańskiej, z takich właśnie świątyń, gdzie w utensyliach kościelnych i tak by pan Michajlik na pewno niczego kosztownego nie znalazł. Zawrzał więc złością na wszystkich proboszczów świata ten rzecznik prawa i sprawiedliwości sowieckiej i na razie nakazał aresztowanie przynajmniej nas, proboszczów kijowskich. Sprowadzono więc do aresztu coś dwudziestu kilku popów i księdza Bienieckiego z kościółka św. Ignacego, proboszcz od św. Mikołaja gdzieś się zawieruszył, a o mnie na razie zapomniano. Wkrótce pomyślałem, że jednego po drugim proboszczów prawosławnych wypuszczono, ale każdy z nich dał podpis, że odszuka dawniejsze inwentarze i przedstawi je. Ksiądz Bieniecki też został zwolniony, gdyż usprawiedliwił się tym, że jego kościółek bardzo jest nowy, zaledwie parę lat istniejący i księgi inwentarzowej właściwie nie posiada. Pocieszałem się, że o mnie zapomniano i że mi to jakoś ujdzie na sucho. Ale gdzie tam. 2 maja 1921 roku, kiedy przygotowuję się w zakrystii, by iść do chorego na tyfus płamisty, leżącego w zapowietrzonym baraku na Kureniówce, raptem staje przede mną milicjant w czerwonej czapce i pokazuje mi nakaz, że poszukuje jakiegoś księdza Skalskiego i ma obowiązek go aresztować i odprowadzić do cyrkułu policji. Zacząłem mu jakoś odpowiadać wymijająco, chcąc najpierw pójść do chorego, ale gdy postawił mi pytanie wprost, czy czasami to właśnie ja nie jestem tym poszukiwanym księdzem Skalskim, to nie było rady — musiałem potwierdzić i oddać się do jego dyspozycji. Był na tyle uprzejmy, że pozwolił mi udać się na plebanję, gdzie zaopatrzyłem się w koc, jasek i trochę jadła i porozumiałem się telefonicznie z prezesami polskich misji: repatriacyjnej i optacyjnej, z p. Adamem Roszkowskim i p. Soroką, powiadamiając ich, że jestem aresztowany i prosząc, aby zechcieli interweniować wobec sowieckiego prezesa *Inotdiełu* (prezes wydziału spraw zagranicznych w *Ispółkomie*)... Zostałem wprowadzony do cyrkułu i wtrącony za kratę. W tym pomieszczeniu nie było żadnego sprzętu i nikogo innego. Ale w jakiejś pół godziny otrzymałem współkolegę, a był nim wysoki, rudy, młody Żyd. Przyprowadził go, za kark trzymając, oficer sowiecki. Klął na niego mocno, od sukinsynów mu wymyślał, harapem

wymachiwał i oświadczył dyżurnemu policjantowi, że tego „moszennika” przyłapał na kieszonkowej kradzieży na Galickim bazarze. Gdy pan oficer oddalił się, rudy Żyd usadowił się tuż obok mnie na podłodze przy ścianie i już mieliśmy zacząć koleżeńską rozmowę, gdy mnie raptem wezwano, abym z rzeczami szedł gdzieś dalej. Poprowadzono mnie ulicami — Wielką Włodzimierzowską, aż do rogu Bibikowskiego bulwaru, gdzie w gmachu dawnego sądu gromadzkiego mieścił się tak zwany *Rewtrybunał*. Tam zamknięto mnie w dużej, brudnej sali, gdzie zmięta słoma na pryczach świadczyła, że musieli tam być więzieni jacyś ludzie. Znajdował się w tym pomieszczeniu jeszcze jakiś świecki, który się wnet do mnie przybliżył i zaczął się uskarżać, że go zamiast proboszcza jakiejś filialnej cerkiewki zabrali, bo był przy niej syndykiem, że on żadnych inwentarzy nie posiada i dlatego nie mógł dać przyrzeczenia, że dostarczy księgi inwentarzowe — jak to zrobili zwolnieni popi, którzy z nim tu przez kilka dni przebywali. Zrozumiałem więc, że jestem aresztowany w celu wydobycia ode mnie księgi inwentarzowej. I rzeczywiście — po jakichś paru godzinach, kiedy stanąłem w kancelarii śledczego, ten zapytał mnie dlaczego nie stawilem się na posiedzenie. Odpowiedziałem, że jeżeli by mi przysłano awizację osobistą, to bym się stawił, ale jeżeli kogoś wzywa się przez gazetę, to takie rozporządzenie nie może być obowiązujące, gdyż nikt nie ma obowiązku czytać gazet. — „Ma ksiądz dostarczyć księgi inwentarzy kościelnych”. — „Takich nie mam. Przy kościołach bywają tak zwane 'wizytacyjne sprawozdania', które sporządza się co pięć lat i tak zwane 'Opisy przy zdawaniu parafii'. Ja objąłem kościół św. Aleksandra po nagłym zgonie mego poprzednika, nikt mi więc kościoła nie zdawał i opisu inwentarza nie przedstawiał. Oficjalnej zaś wizytacji biskupa nie miałem i wizytacyjnego sprawozdania nie przedstawiałem”. — „No, — odpowiada — jak ksiądz posiedzi kilka tygodni, to ksiądz wyda...”. Wtem zadzwonił na biurku telefon. Co i kto mówił nie rozumiałem, ale że rozmowa toczyła się w mojej sprawie pojąłem z lakonicznych odpowiedzi śledczego. Jeszcze pod swoim adresem posłyszałem parę pogroźek i wreszcie mi mówi: — „Proszę podpisać, że ksiądz nie ruszy się z miasta bez mojego zezwolenia. Sprawę księdza oddaję pod decyzję *Rewtrybunału*, a tymczasem go zwalniam”. Skłoniłem się, zabrałem swoje manatki i na piątą już byłem w domu, a o szóstej już odprowadzałem solenne nieszpory, gdyż 3 maja jest dniem św. Aleksandra męczennika, patrona kościoła i w mojej parafii był odpust. Wieczorem zaglądaliśmy do mnie panowie z misji polskiej. Okazało się, że interweniowali w mojej sprawie i że to wskazania zagranicznego oddziału, dane

memu śledczemu przez telefon, zmusiły go do wypuszczenia mnie i przekazania sprawy na jawną drogę sądową. Parę razy musiałem się jeszcze zjawiać w tym trybunale, aż wreszcie odbył się sąd i skazano mnie na trzysta tysięcy rubli kary z miesięcznym terminem do jej wniesienia. Tymczasem bolszewicy, dążąc do zmiany bezwartościowej waluty rublowej na czerwienice i niezapłacenia za nią posiadaczom, codziennie sami obalali jej wartość, notując w giełdowych sprawozdaniach wprost karkołomny jej spadek. I stało się, że przed upływem miesiąca moja kara — trzysta tysięcy — równała się zaledwie trzydziestu carskim złotym rublom, które moi parafianie bardzo łatwo zdobyli i za mnie wnieśli. Tak się skończyły te perypetie, ale za to uratowałem prawie cały skarbiec kościelny. Pan Michajlik, który osobiście był u mnie dla rekwizycji kosztowności, musiał się więc zadowolić inwentarzem pana Głoby i zebrał zaledwie cztery i pół funta srebra, do czego mu wspomniałomyślnie dodałem od siebie jeszcze 5 srebrnych dolarów amerykańskich i kilka krzyży dekoracyjnych państwowych, ofiarowanych jako wota po zmarłych oficerach i urzędnikach. Jeszcze ani sądu, ani tej rekwizycji nie było, kiedy w parę dni po odpuście ciągnę małym wózeckiem pod górę na Pieczersk, po stromych wertepach gdzieś za szpitalem wojskowym — bo, pamiętam, prosił mnie oficer sowiecki, by jakoś chyłkiem, nieznacznie do jego domu przybyć i ochrzcić mu dziecinę, beznadziejnie chorą na ospę. Aż tu, jak spod ziemi, obok mego wehikułu idzie ów Żyd ryży, spotkany przeze mnie w cyrkule. — „A, zdrastwujcie! — tak przyjaźnie, po koleżeńsku mnie wita — *nuu, was oswobodili? Stawa Bohu... a za czto was ariesztowali?*”. — „Za worostwo, moej miłyj, tak kak i tiebia” — odpowiadam (za kradzież, tak samo jak ciebie, mój miły). — „Nu, nie dumaj” (nie myślałem) — powiada. — „Ale się wszystko zdarza na świecie... *Daj Boh wstrietitsia*” (Daj Boże spotkać się), i odeszedł gdzie w zarośla. Może by innemu, szczególnie idącemu samotnie, nie przepuścił i odzież i portmonetkę zabrał, ale znajomemu — nie wypadało. — Bodaj to zażyłość koleżeńska!

Odwoływanie się moje w chwili tego aresztowania do opieki misji polskiej opierało się na przekonaniu, że pewien paragraf umowy Ryskiej mnie cokolwiek chroni, w nim bowiem rząd sowiecki zobowiązywał się wobec rządu polskiego zapewnić poszanowanie praw Kościoła katolickiego, jego instytucji, jego mienia i praw duchowieństwa. Prawda, że ten paragraf dość niejasno i ogólnikowo był zredagowany i nie chciało się wierzyć, że pewne zdanie, do niego włączone: „o ile by się to nie sprzeciwiało ogólnym ustawom sowieckim” — lub też coś w tym rodzaju (umowy

Ryskiej nie mam pod ręką, więc nie mogę być ścisły) — obalało, przynajmniej w interpretacji sowieckiej, całą jego wartość. Rząd zaś polski, takim jakimś niedokładnym paragrafem zasłaniał sobie wobec opinii społeczeństwa polskiego, że nie pozostawił ludności polskiej i Kościoła katolickiego w Rosji na zupełną pastwę Sowietów, ale widocznie zdawał sobie sprawę z bezwartościowości tego paragrafu, gdyż ani razu na jego podstawie nie zaprotestował i nie żądał od Sowietów niewtrącania się w życie Kościoła i zaniechanie jego ucisku. Przeciwnie zaś Sowiety w swoich gazetach wyśmiewały nawet pretensje eksperta religijnego w czasie paktów ryskich, biskupa Adolfa Szelągka i opiewały swój triumf, że Kościół katolicki przez umowę Ryską nie uzyskał w unii sowieckiej żadnego uprzywilejowanego stanowiska. Interwencja więc w mojej sprawie tych panów z misji polskiej miała charakter tylko prywatny, a ze strony Sowietów grzecznościowego jej przyjęcia.

W uskutecznianiu swych zadań obie misje polskie, funkcjonujące w Kijowie — tak optacyjna, jak i repatriacyjna — znajdowały na drodze oficjalnej wiele trudności. I dlatego, z natury rzeczy, niejedna sprawa była załatwiana raczej na podstawie prywatnych stosunków przedstawicieli polskich i sowieckich, lub też przez najrozmaitsze obchodzenie i wymijanie ustalonych przepisów i procedur. Moje podanie optacyjne o przyznanie mi obywatelstwa polskiego zostało w Charkowie bezpodstawnie odrzucone jako odwet za to, że polski urząd optacyjny odmówił obywatelstwa polskiego pewnemu Żydowi, który też optował na rzecz Polski, a sowietom widocznie na tym zależało, aby go legalnie przeszwarcować do Polski, jako optanta. W urzędach sowieckich, zajmujących się Opcją-Repatriacją pracowali urzędnicy ideologią swoją zgoła obcy Sowietom, stąd też często sprzyjali sprawie wyjazdu Polaków do Polski, a repatriację Żydów utrudniali, o ile sami nie byli Żydami. Najopłakańszy był los polskiej młodzieży i dzieci, chciało się więc, aby wszyscy oni mogli opuścić Sowiety i nie podlegać gangrenie komunizmu. Zresztą oni sami do Polski się rwali.

Do Kijowa wróciła z Warszawy jako urzędniczka repatriacyjna panna Cina Orlikowska; miała ona za zadanie uratować jak najwięcej dzieci i wyprawić je do Polski. Jej nieoficjalnymi pomocnikami w tej sprawie były dwie zakonnice (szarytki) SS Bogumiła i Władysława oraz mój sekretarz, Zygmunt Lepiesowski. Wyszukali mnóstwo dzieci, wynaleźli sposoby ulegalizowania ich wyjazdu, a panna Orlikowska przeprowadzała oficjalne manipulacje repatriacyjne. Sowiety nawet się nie opatrzyły jak cała plejada dzieci i starszej młodzieży już się okazały w granicach

Polski. Ja sam nie brałem w tej sprawie bezpośredniego udziału, choć doskonale o wszystkim wiedziałem i naturalnie jej sprzyjałem. Ale jakiś list chłopca do rodziców o tym, że zawdzięczając mojemu poleceniu został łatwo przyjęty do pewnego internatu w Polsce i list księdza biskupa Mańkowskiego do mnie, w którym informował się o jednego młodzieńca kijowskiego, z mojej rekomendacji przyjętego do małego Seminarium w Buczaczu i w którym zachęcał mnie, aby się nie krępować i więcej mu przysyłał takich chłopaków, gdyż upatruje w nich kadry przyszłych księży dla diecezji w Rosji, wystarczyły aby mnie w oczach Sowietów uczynić odpowiedzialnym za całą akcję repatriacji młodzieży kijowskiej i następnie przy moim uwięzieniu i sądzie to uwypuklać jako jeszcze jeden ważny dowód mojej kontrrewolucji.

Pomiędzy Polską a Rosją Sowiecką poczta przez dłuższy czas normalnie nie funkcjonowała. Jednak misje repatriacyjne korzystały z nietykalności swoich kurierów i co pewien czas po ich przybyciu bardzo wielu ludziom dostarczano listy i pomniejsze paczki z Polski. Działo się to zupełnie jawnie: przy rozpakowywaniu worków kurierskich był obecny urzędnik sowiecki, prawdopodobnie agent Czerezwyczałki i orzekał, czy jakaś paczka nie podlega ocenie lub doręczenie listu zakwestionowaniu. I na moje imię tą drogą przychodziło sporo listów: jedni żądali metryk, drudzy prosili o wiadomości o pozostałych w Kijowie krewnych i bliskich, inni jeszcze prosili o odesłanie przy zręczności na Kijowszczyznę, Wołyń lub Podole listów lub zasiłków dla tam gdzieś pozostających ich rodziców czy dzieci. Słowem nie proszony i nie dziękowany obarczony byłem dziesiątkami rozmaitych zleceń. Zdarzali się i tacy, którzy nie znali nawet mojego nazwiska, a tylko skierowywali swoje prośby do proboszcza. Czasami i sama Misja, nie znając żadnej zręczności dla doręczenia nadeszłej do nich korespondencji, upraszała mnie, abym zechciał pośredniczyć i jakoś przy komunikacji z innymi księżmi doręczyć przesyłki adresatom. Uważałem spełnianie tych rzeczy za funkcję mnie obciążającą, ale miłosierną, jakby zastępczą Czerwonego Krzyża, bo tyle szczęścia i pociechy, a czasami i pożytku materialnego, te moje małe usługi przynosiły ludziom. Sowiety jednak, upatrując z zasady w księżach swoich przeciwników, zwróciły na to uwagę, że czegoś ludzie do mnie pisują i odwołują się z Polski i pewnie dla wyegzaminowania mnie urządziły na tej drodze pewną prowokację. Oto doręczono mi przez repatriację list, w którym jacyś rodzice mnie proszą, że ich młodociany syn, pozostały dla jakichś względów w Kijowie, jest pozbawiony ciepłego płaszcza, że oni komuś kto jest w Polsce opłacili koszt kożuszka pozostawionego w Kijowie u kogoś tam, przy takiej

to a takiej ulicy, a także nazwisko tego, i że syn ich powiadomiony o tym przeze mnie, jeżeli taki się zgłosi, to kożuszek otrzyma. Adres tego syna też mi był wskazany. Jakiś czas tego zlecenia nie spełniałem, myśląc sobie, a może tam „czyjś syn” jest w P.O.W. i każdy kontakt mój z nim mnie naraża? Ale gdy nadeszły mrozy i w mieszkaniach wcale prawie nie palono, to myślę sobie, że z tej mojej ostrożności ucierpi młode życie, które może pracuje dla ojczyzny. Więc ten list na adres tego chłopca odesłałem. I cóż się dzieje: ten chłopiec, to młodzieniec lat dwudziestu kilku, szpieg i prowokator sowiecki. On się wciąż kręci w korytarzach misji polskiej i nadśłuchuje co i jak mówią między sobą repatrianci, szpieguje mnie w kościele i to dlatego, abym wszedł z nim w kontakt podsunieto mi tę prośbę do spełnienia, a on miał obowiązek symulowania peowiaka i wkopania mnie w ten sposób. Kilkakrotnie byłem badany na temat tego kożuszka i w Kijowie w tak zwanym K.R.G. i przez śledczego w Moskwie, aż oskarżający mnie na sądzie prokurator Katanjan zawstydził się robić mi z tego powodu zarzuty, a o tym chłopcu wprost powiedział memu obrońcy: — „E, nie będę tej kwestii podnosił, bo ten chłopiec, to wprost *moszennik* (szubrawiec)”.

Kiedy uruchomiono pocztę między Sowietami a Polską, przy urzędzie pocztowym na Kreszczatyku umieszczono szyld głoszący, że poczta sowiecka szanuje nietykalność korespondencji i jej tajemnicę. Czytając to od razu pomyślałem, że na pewno naruszają właśnie tę tajemnicę. I rzeczywiście — niezadługo przyszedł do mnie nieznamy mi Rosjanin, urzędnik poczty i przestrzegł mnie, abym był bardzo ostrożny w mojej korespondencji, gdyż każdy list adresowany do mnie podlega rewizji, jest rozklejany, czytany w „czarnym gabinecie”. Po takim ostrzeżeniu, oglądając każdy przychodzący do mnie list, postrzegłem ślady odklejania na kopertach, czasami naderwane kawałki arkusików znajdowały się w kopertach, czego nie mógł uczynić piszący, a włożył je ten, co nieuważnie wyciągał pismo z koperty, naderwał je, a potem, nie mając listowi nic do zarzucenia, z powrotem wkładał te naderwane kawałki do koperty. Parę razy niektórzy księża, prosząc o indulty, wkładali małe datki na moją kancelarię wprost do listów. Stale w takich wypadkach wzywano mnie na pocztę i żądano dopłaty za w ten sposób nielegalnie przysyłane mi pieniądze. List z tymi pieniędzmi był zaklejony, a urzędniczka już wiedziała, że znajduje się w nim określona suma pieniędzy i żądała stosownej dopłaty. Aż raz jej powiedziałem: — „Pani jest wprost jasnowidząca — w zaklejonym liście widzi co on zawiera”. Roześmiała się szczerze, ale nic mi nie odpowiedziała. To,

że sam byłem ostrożny w listach ani trochę mnie nie ochraniało, bo moich pewnie nie rozpoznawali i nie czytali, a poleconych wysyłać wystrzegałem się, ale ileż to naiwnych, szczerych i otwartych listów przyszło do mnie od innych. Zdarzali się też ludzie, co przewidując możliwość kontroli listów, wyrażali się w sposób figuralny, jakiś tajemniczy, rozumiwały tylko dla mnie, a w istocie pisali o rzeczach błahych, na bolszewikach wywierało to jednak wrażenie i stwarzało w stosunku do mnie jeszcze większą ich podejrzliwość i nieufność. Kiedy mnie badali i kiedy im powiedziałem, że czytacie moje listy, to już nie wstydząc się zadawali mi pytania, co znaczyło to czy owo w którymś z adresowanych do mnie listów. W końcu sformułowali w stosunku do mnie konkretny zarzut, że pomiędzy mną, a biskupami polskimi istnieje jakiś „szyfr”, bo biskup Szelażek z Łucka pisząc kiedyś do mnie w sprawie facultatesów kanonicznych, które wyrabiał u Nuncjusza Laurego, nazwał go Wawrzyńcem, i że ten w sprawie mojej napisał do matki do Rzymu. Biskup zaś Dubowski, pisujący wpierw do mnie, posiadał pismo nader niewyraźne, jego hieroglify, niemożliwe przecie do odczytania, brali za jakieś umówione między nami porozumiewawcze znaki. Korespondencja więc przechodząca do mnie i z kraju i z Polski stawiała się dla mnie prawdziwym niebezpieczeństwem i nieszczęściem. Sumiennie tu zaznaczam, że w tej korespondencji na włos żadnej polityki nie było i że Sowiety zupełnie na próżno na jej podstawie uzbrajały się przeciwko mnie. Ale poradzić na to nie było żadnej możliwości. Najczęściej zupełnie nie przewidywałem, że ktoś będzie do mnie pisał, a ten co pisał nie mógł sobie nawet wyobrazić, że znajdzie się taki głupi, a podejrzliwy kontroler, co każdą bagatelkę po swojemu wykręci i we wszystkim coś przeciw sobie upatrzy. Chorobliwa, epidemiczna podejrzliwość agentów bezpieczeństwa sowieckiego, rodząca się z tej teorii, białej w ich niemądre głowy, że ludzie klasowo różni coś koniecznie jedni przeciwko drugim knują, stawiała się wprost niepokonalna i brzemienne w wielkie przesładowania i ucisk obywateli najspokojniejszych i najlojalniejszych. To, że ktoś otrzymywał listy z Polski od żony, męża, brata, siostry, rodziców, takie najniewinniejsze, ileż razy stało się powodem, że kogoś wrzucano do więzienia lub deportowano w dalekie puszcze północy i wschodu. I jeżeli na mnie spadały gromy sowieckiej nienawiści, to w niemałej mierze muszę to przypisać tej okoliczności, że stanowisko moje wystawiało mnie na sposobność otrzymywania dużej korespondencji. Przyjaciele, krewni, oddani mi księża, biskupi, ludzie obcy mi i nieznajomi, ale żywiący przekonanie, że kto jak kto, ale ksiądz będzie miał współczucie i sprawę jakoś ułatwi i coś odpowie, poinformuje,

nadeśle darmo tak potrzebną metrykę. Ci wszyscy pisując do mnie stawali się grabarzami mojej wolności i nie wyobrażali sobie nawet, że ich obojętne, apolityczne zupełnie listy były też lekkim popchnięciem w moje plecy, gdy już stał nad smoczą jamą sowieckiej bezwzględności.

Prezesi misji polskich w Kijowie, konsule generalni z Charkowa wprost ze stanowiska swego i stanowiska mego poczuwali się do obowiązku zaszczytania mnie swoimi odwiedzinami. Niektórzy z nich byli nawet dawnymi moimi parafianami, darzącymi mnie — jak na przykład inżynier Adam Roszkowski — wielką życzliwością i obopólną sympatią. Najserdeczniejszymi też z Polski kurierami dyplomatycznymi prawie bez wyjątku stawali się ci, co parę lat temu zaledwie wyjechali z Kijowa i dlatego głównie przyjmowali na siebie tę misję, aby odwiedzić pozostałych tu bliskich, coś zabrać z reszty pozostawionego mienia a czasami nawet ożenić się i wywieźć swoją dawną ukochaną. Ci wszyscy też i z potrzeby, i z pamięci, z przyjaźni nie zaniebdywali bywać u mnie. Nie przeczuwałem, że Sowiety tak będą nierozsądne, ażeby w tych kontaktach z polskimi katolikami, wreszcie moimi dawnymi znajomymi, upatrywać już zaraz coś konspiracyjnego... Tymczasem Sowiety wielce to niepokoiło. Jakoś właśnie w tym czasie musiałem zmienić mojego osobistego służącego i poszukując pewnego kandydata napisałem do Żytomierza do ks. Stanisława Jachniewicza, czy nie mógłby mi kogoś z okolic Żytomierza zarekomendować, bo do szlachty zagonowej podżytomierskiej miałem jakieś zaufanie jeszcze z czasów mojej profesury w Żytomierzu. Pochodzący z niej Franciszek Szczepański pozostał u mnie lokajem coś przez lat jedenaście i na ogół usługę polską, rekrutującą się z tych stron, można było traktować jako prawdziwych przyjaciół domu. W tej więc sprawie zamieniliśmy z księdzem Jachniewiczem parę listów. Niestety i one były przeczytane przez bolszewików. I pewnego dnia, gdy wychodzę z zakrystii, podchodzi do mnie młody człowiek o sympatycznej twarzy i powiada, że go jakaś moja parafianka, którą mi nazywa, a której ja jakoś sobie przypomnieć nie mogę, poleca jako kandydata na służącego, że jest zawodowym lokajem, że przybył świeżo z Kaukazu, gdzie na własną rękę próbował prowadzić restaurację, ale że go rewolucja z tej placówki zmiotła, a że do Galicji, skąd pochodzi, na razie wrócić nie może, więc ofiaruje mi swoje usługi. Wydał mi się tak sympatyczny i prawdomówny, że go przyjąłem. W usługach okazał się nader sprytny, pracowity i grzeczny i dla mnie i dla moich gości; sprawiłem mu ubranie, obuwie, gdyż był obdarty i traktowałem go przyjaźnie i byłem z niego całkiem zadowolony. Tylko klucznica

moja, zakonnica Maria Łaszkowska, kiedyś mi mówi, że ten nasz Aleksy Kuryj prawdziwie nigdzie nie wychodzi, ale regularnie o godzinie w pół do 10-tej wieczór musi choć na pół godziny gdzieś się oddalić — co on może mieć za znajomości? Nie zwróciłem większej uwagi na te gawędy. Tymczasem po jakichś kilku miesiącach spostrzegłem się, że moje sprawy materialne pogarszają się okropnie i że skala utrzymania mego domu musi się kurczyć. Postanowiłem, że lokaja oddalę, a tu jak raz konsul Świrski mi mówi, że potrzebuje woźnego do biura i prosi, czy nie mógłbym kogoś z parafian mu wskazać. — „Proszę brać Aleksego” — powiadam mu. — „Ale owszem, ja go już zauważyłem u księdza i bardzo mi się on spodobał”. Tak się też stało i Aleksy rychło przeszedł do konsulatu. Tam go owładnęła myśl wyjazdu do miejsca rodzinnego w Galicji i okazało się, że jest Rusinem, greko-katolikiem. Zaczął sobie w kierunku tego wyjazdu kaptować pana Wielowiejskiego, kierownika biura i w końcu mu wyśpiewał, że jest szpiegiem sowieckim z musu, że był mi przez nich podsunięty, że jakieś tam relacje o mnie codziennie musiał zdawać, ale że mi nie szkodził. Jan Wielowiejski uwierzył w szczerość zeznań Kuryja i go nie oddalił, a mnie to wszystko zakomunikował. Pomimo to jednak Kuryj, mając z Misji pewien zagraniczny list do mnie, wpierw go na kontrolę przedstawił bolszewikom, ale — że zawsze chłopskie gamoństwo w nim pokutowało — to oddając mi coś tam innego nie spostrzegł że tego listu nie podaje, choć mi o nim anuncjuje, przy czym zmieszał się i poczerwieniał okropnie. W parę dni potem doręczył mi ten list. Była w nim mowa o pieniądzach, które pewien ksiądz za moim pośrednictwem przesyła z Polski swoim rodzincom, zamieszkającym w Barze. Przy badaniu śledczy G.P.U. poruszał i kwestię tych pieniędzy. Oprócz Aleksego znani mi byli jeszcze inni sowieccy szpiegowie nastawieni na mnie. Byli to ludzie nieszczęśliwi, najzyczliwsi dla mnie, którzy wprost mi opowiadali: „Jesteśmy zmuszeni pod groźbą aresztu, utraty pracy i wywiezienia dawać informacje o tobie, nasz Ojczy. Nie potępiaj nas a sam nas ucz, co i jak mamy o tobie mówić”. I bywali u mnie i opowiadali jakie mają zlecenia w stosunku do mnie i musiałem ich nauczać i nastrajać jak i co mają gadać o mnie. Z tego stosunku z ludźmi, niby to mnie szpiegującymi, przekonywałem się z jednej strony jak wprost ograniczeni są agenci G.P.U., a z drugiej przygnębiałem się, bo jasne mi się stawało, że jestem tropiony jak zając przez ogary i że w końcu mnie dopadną i rozszarpia. Gdy przyjechał jakiś ksiądz, to obserwator kolejowy już dawał znać do G.P.U., a ono zlecało moim opiekunom dowiedzieć się kto i skąd on jest, dlaczego przyjeżdżał do

mnie. Katolicy z mojej diecezji, przybywający do mnie w rozmaitych sprawach, nieraz godzinami czekali na mnie w przedpokoju, bo czy grzebałem kogoś, czy jeździłem do chorego, czy byłem zajęty w kościele — a już między nich wmieszał się wywiadowca, coś węszył, a oni, pocziwi, widząc brata Polaka, najszczerzej i najnaiwniej wypowiadali po co przybyli i co mieli na duszy. Słyszę właśnie wracając jak mówią: „My do księdza Prałata, bo w szkole naszej Bóg wie co się dzieje: jakiś bezbożny Żydek na nauczyciela nam się wpakował i dzieci nam gorszy; tu słyszymy jest jakiś wydział polski, to się zwrócimy do niego, ale chcieliśmy, aby Ksiądz nas poparł”. Nie rozumiem całkiem, że ten „wydział polski”, to polska sekcja w miejscowej partii komunistycznej, że u niej szukać obrony przed krzywdami narodowymi i religijnymi, to wszystko jedno, jakby prosić kamieniego bałwana, żeby cud uczynił i ulitował się nad ludzką niedolą. Do grona dobrowolnej nocnej straży przy kościele też delegowano takiego wywiadowcę, bo G.P.U. podejrzało, że urządzam nocne zebrania konspiracyjne, chociaż zwykle zmęczony niezmiernie spałem od dziesiątej snem kamiennym. Stale ludzie tej kategorii bywali w kościele, śledzili ruch bractw, przysłuchiwali się kazaniom, uważali czy nie urządzamy katechizacji dzieci. Ba, nawet do liczby moich gości się wciskali. Było zwyczajem, że na Wielkanoc, na święcone, przychodzili do mnie panowie, nieproszeni ale mi bliscy. Pewnego roku zjawia się na to przyjęcie zupełnie mi daleki człowiek, ale już w moich oczach podejrzany i siedzi przydługoo i nieproszony wciska się do stołu, aż truchleję jak moi goście swobodnie sobie rozmawiają i nie jeden docinek i dowcip ostry leci w kierunku sowieckiego ustroju i ich przodowników. Aż musiałem delikatnie na ucho przestrzegać, aby byli w swoich wypowiedziach mniej szczerzy i ostrożniejsi, gdyż tego jednego współbiesiadnika nie jestem pewny. Do domu naszego wcisnęli się z rekwizycji komuniści polscy, wprowadzie między nimi byli tacy, co w wigilię szabasu zapalali świece, ale co też poczuwali się do obowiązku dozoru nade mną. Siedzę sobie kiedyś wieczorem w cieniu drzew orzechowych, aż tu przechodzą obok, nie spostrzegając mnie, lokatorzy z probostwa i słyszę jak mówią: „Proboszcz kościół zewnętrznie restauruje, skąd na to może mieć pieniądze? To jemu z Polski przysyłają, a Polska pieniędzy tak za darmo nie wyłoni”. Nie wiedzieli głupcy, że spieniężyłem kielich złoty i sprzedałem czternaście pięknych dywanów, aby temu wymogowi wydziału budowlanego, zmuszającego mnie do otynkowania ścian potłuczonych przez kule, uczynić zadość. A jednakże złośliwej, podejrzliwej głupoty tych ludzi lekceważyć było niepodobna...

Kilka osób, bywających u mnie częściej, zrewidowano i bez żadnych podstaw aresztowano. Widoczne się stawało, że to wciąż koło mej osoby kołują, myśląc że gdzieś napotkają coś kompromitującego mnie politycznie. W Żytomierzu siedziała już p. Jadwiga Lipińska, w Kijowie p. Janina Zdanowska — pierwszą obarczali winą za mój kontakt z nauczycielstwem polskim, chociaż nie była nauczycielką, a tylko jej siostra p. Emilia Korzeniowska, której nawet już w Rosji nie było; a drugą, że miała służyć za łącznika pomiędzy mną a przedstawicielstwem misji polskich — a wszystko to wyssane z palca. Kiedy Komitet Wykonawczy Polski i Zarząd Macierzy Polskiej opuszczały Kijów, to jakie im pozostały pieniądze odnieśli mnie. Miałem więc czym na razie rozporządzać na rzecz najbiedniejszych i na dokarmianie więźniów, ale też mogłem cokolwiek przychodzić z pomocą i znajdującym się w okropnych warunkach materialnych nauczycielom szkół polskich. Przez pośrednictwo paru zaufanych osób przysyłałem małe zapomogi i do Winnicy na Podolu, i do Żytomierza dla Wołynia, i do Humania na Ukrainie — szczególnie biedowali nauczyciele z większych miast, bo nauczycieli wiejskich wspierało włościanstwo. Traf chciał, że przy rewizji u pewnego nauczyciela matematyki w Żytomierzu natrafiono na 5 dolarów. Zmuszony do zeznania skąd pochodzą te pieniądze w takiej walucie, musiał powiedzieć, że otrzymał je ode mnie w charakterze zapomogi i rzeczywiście pośredniczka moja z Żytomierza obdarzyła go tą kwotą. Ten mały wypadek utwierdzał bolszewików w przekonaniu, że rozporządzam jakimiś tajnymi środkami i zaostriżył w stosunku do mnie ich „ślezkę” (od śledzić).

(D.c.n.)

Ks. Inf. Teofil SKALSKI

Ester ROZENTAL-SZNEIDERMAN

NA EKSPORT

Autorka tych wspomnień, komunistka żydowska związana z KPP, wyjechała z Polski do ZSSR w roku 1926. Spędziła w Związku Sowieckim trzydzieści dwa lata. Mieszka obecnie w Jerozolimie, gdzie niedawno wydała w dwóch tomach swoje wspomnienia. Dwa drukowane niżej rozdziały, w przekładzie na polski Anny Dresner, przysłała nam sama autorka. Tytuł ogólny oraz tytuły rozdziałów i podrozdziałów pochodzą od niej. (Redakcja).

I. W GMACHU KOMINTERNU

1. *Na schodach*

Któż może pojąć i opisać święty dreszcz, jaki mnie przejął, gdy weszłam do gmachu Kominternu, znajdującego się nieopodal Kremla... Wątpię, czy młody czytelnik naszych czasów potrafi sobie to uprzytomnić.

Po dziś dzień odczuwam niezwykłą lekkość ciała, jak gdyby mi skrzydła urosły. Nie szłam, unosiłam się w powietrzu... Z przepustką w rękę idę na górę, do polskiego przedstawicielstwa. Nagle, po raz pierwszy w życiu ujrzałam przed sobą schodzącego w dół Murzyna. I oto znajdujemy się na tym samym wąskim stopniu i już ściskam dłoń mojego czarnoskórego towarzysza-komunisty... Czuję: ten niemy uścisk zbratał mnie na wieki z wszystkimi uciemiężonymi narodami świata.

Jak widać, on również jest wzruszony nie mniej ode mnie. Przystajemy na moment i trwamy w mocnym uścisku dłoni. On mówi coś do mnie. Usiłuję mu odpowiedzieć, ale oboje nie rozumiemy ani słowa. Lecz jego szeroki uśmiech i lśniące rzędy białych zębów mówią mi, że on, murzyński komunista, solidaryzuje się bez reszty ze mną — żydowską komunistką. Jeszcze jeden mocny uścisk dłoni i jeszcze lżejsza niż przed tym unoszę się jak na skrzydłach w górę, do przedstawicielstwa KPP w Kominternie. Tu powinni się zgłaszać wszyscy polityczni emigranci przybyli z Polski.

2. *Goj, mówiący po żydowsku*

Za parę chwil przyjmie mnie przedstawiciel KPP w Kominternie. Tymczasem jego sekretarka — z czasem dowiedziałem się, że jej nazwisko brzmi Marecka — prowadzi ze mną przyjazną rozmowę. Zza uchylonych drzwi gabinetu dochodzi odgłos ożywionej rozmowy telefonicznej prowadzonej... w soczystym języku żydowskim. Gdy w otwartych drzwiach ukazał się przedstawiciel KPP we własnej osobie, zapraszając mnie do wejścia, stwierdziłam ze zdumieniem, że nikogo prócz niego nie było w gabinecie; a zatem, to on sam mówił przed chwilą w moim macierzystym języku. Wacław Bogucki był Polakiem. Z natury wesoły, swojski. Polszczyzna w jakiej zwraca się do mnie ma akcent wileński, względnie kresowy. Ten rodowity Polak ładniej mówi po żydowsku, niż po polsku — przeszło mi przez myśl. Z czasem dowiedziałam się od towarzyszy z Mińska, że na Białorusi Bo-

gucki zwykł był przemawiać na zebraniach robotników żydowskich po żydowsku, co w tym środowisku decydowało o sukcesie partii komunistycznej, w imieniu której występował. Opowiadano mi również, że na zebraniach robotniczych, w których uczestniczyli też nie-Żydzi, zwykł Bogucki tłumaczyć na język białoruski przemówienia delegatów żydowskich, którzy nie znali żadnego języka prócz własnego. Dzięki temu wzrosła jego popularność wśród żydowskich ludzi pracy, którzy uważali go prawie za „swojego”.

Bogucki przyjął mnie ciepło, przyjaźnie, jak starą znajomą, jakkolwiek było to nasze pierwsze spotkanie. Po krótkiej indagacji „kto zacz?”, „Kim jesteś?” poprosił sekretarkę: „Połącz mnie z tow. Zofią”. (Chodzi o Zofię Dzierżyńską, żonę Feliksa — przyp. red.). I oto mówi już z ową Zofią, jak gdyby mnie przy tym wcale nie było. „Przyjechała z Warszawy towarzyszka z wyższym wykształceniem. Co? Tak, Żydówka, ale widać że polski jest jak gdyby jej ojczystym językiem. Dziewczyna — ogień — spojrzawszy na mnie ciepło, dodał — w sam raz dla Was... jak ulał. Przyślę ci ją”.

Dopiero teraz, gdy odłożył słuchawkę, zwraca się do mnie: „Potrzebni są tu ludzie do pracy wśród Polaków. Polska sekcja przy KC KP(b), z którą właśnie rozmawiałem o tobie, nie daje nam spokoju: „Przysyłajcie nam nowoprzybyłych emigrantów politycznych”. I objaśnia mi: „Wśród miejscowych Polaków jest bardzo mało członków partii, i nie zawsze można im powierzyć pracę wśród tubylczej ludności polskiej...”.

3. *Wybierz sobie imię i nazwisko*

Bogucki odsyła mnie z powrotem do sekretarki. Od niej mam otrzymać oficjalny dokument dla WKP(b), w którym będą odnotowane wszelkie dane o mojej przynależności do KPP.

„Jakie nazwisko wybrałyście sobie?” — brzmi jej pierwsze pytanie. „Przybyłam tu jako Sara Sznajderman, córka Mojżesza” — odpowiadam.

„A po cóż wam tu, w Związku Radzieckim, takie imię i nazwisko? Wybierzcie sobie słowiańskie, dobrze brzmiące” — uświadamia mnie, i natychmiast budzi się we mnie nieprzyjemna asocjacja — z tym, co mnie tak odstręczało tam w kraju. „Przed kim powinnam *tu ukrywać* moje pochodzenie?” — nie mogę się pohamować. Chwila milczącego napięcia. „Nie życzę sobie słowiańskiego nazwiska, ani słowiańskiego imienia. Zapiszcie: Sara Sznajderman, córka Mojżesza”. Powiedziałam to już zbyt głośno,

jak na dobrze wychowaną osobę. „Wiecie co? Zastanówcie się jeszcze...” — radzi mi przyjaźnie, z uśmiechem, uprzejma i jak widać doświadczona w tych sprawach sekretarka. „Poradźcie się tutejszych towarzyszy i przyjdźcie jutro z ostateczną odpowiedzią”.

Mało kto z moich nowoprzybyłych towarzyszy oparł się tej pokusie. Lea Kantorowicz przeobraziła się w Jelenę Kamińską; jej mąż Icchak Gordon — w Aleksandra Lenowicza; Nechama i Józef Feigenbaum stali się Natalią i Osipem Krawczyńskimi; Chana Milsztajn jest tu Hanną Turską; Motke Hajman to teraz Mikołaj Wojnarowicz; z jednego Rapaporta zrodził się Krawiecki, z drugiego, częstochowskiego — Józef Karpiński, itd., itp. Nawet mój Szaul, który szczęśliwie przybył w dwa tygodnie po mnie z Warszawy do Moskwy, porwany został ogólnym prądem i zgodził się zmienić swe imię i nazwisko — Szaul Landau — na Teodor Skórski. Pod tym nazwiskiem żył i publikował swe prace w Związku Radzieckim do dnia swej tragicznej śmierci.



Upałam się i nadal pozostałam Sarą Sznajderman, córką Mojżesza, jak mnie — skompromitowaną przed polską defensywą — ochrzczono w sowieckim paszporcie zagranicznym, wręczonym mi w Gdańsku w „technice” partyjnej, tuż przed moją ucieczką do ZSSR. Biblijne imię Sara, wymawiane drwiąco „Sacha”, „Sachoczka”, przeobraziło się u jawnych i skrytych sowieckich antysemitów w synonim zabronionego tutaj oficjalnie wyzwiska „Żyd”. Bardzo często słyszałam epitet „Sachoczka”, wymawiany za moimi plecami przez uczniów, studentów i kolegów. Najczęściej jednak rzucali mi to w twarz ci, którzy za zbytczne uważali ukrywanie swoich wrogich uczuć wobec Żydów, zwłaszcza w okresach, gdy w kraju wzmagala się kolejna fala antysemityzmu. Miałam żydowskich i nie-żydowskich przyjaciół w zakładach naukowych, których szczerze szokowało moje żydowskie imię, *otieczestwo* i nazwisko. Usiłowali je przeinaczać. Jedni na Sofię Matwiejewną, inni na Stanisławę Michajłowną i tym podobne. Lecz ich dobra wola obrażała mnie bardziej, niż szczerza choć przypadkowa usłyszana „Sacha”, „Sachoczka”. Niemal organicznie cierpiałam z powodu okazywanych mi tego rodzaju wyrazów przyjaźni. Tu miejsce na małą dygresję. Tym samym moim przyjaciołom ani przez myśl nie przeszło, żeby zmienić czysto uzbeckie czy kabardyńskie imiona naszych wspólnych kolegów. Te nikogo nie szokowały, jakkolwiek brzmiały obco i dziwnie dla

słowiańskiego ucha, i pomimo iż znacznie trudniej było je wymawiać niż „Sara Mojsiejewna”.

Rzecz jasna, na tego rodzaju szykany nie byli wystawieni owi „mądrzejsi” towarzysze, którzy w swoim czasie zmienili w Kominternie swoje nazwiska i imiona na czysto aryjskie. Zaoszczędzili sobie również przykrości, na jakie byłam narażona, pokazując moje dokumenty w sowieckich i partyjnych instytucjach, gdzie urzędas zdawałoby się nie ma nic do ciebie. Odczytuje jedynie twoje czysto żydowskie imię ze specyficznym akcentem lub brzmieniem. I rzeczywiście, nie ma żadnego powodu, by „czepiać się” tego osobnika. Zwłaszcza, że członek partii — Żyd powinien szczególnie opanowywać swą „nadwrażliwość” narodowościową, której tak nie lubią w WKP(b).

Aryjskie nazwisko zapewniało skierowanie na bardziej odpowiedzialną pracę, na „nie żydowskiej” ulicy. I tutaj, tak jak w reakcyjnej Polsce, partia nie chciała „drażnić” tzw. „rdzennego społeczeństwa”. Mimo wszystko nie żałowałam ani razu w ciągu tych 32 lat, spędzonych w Związku Sowieckim, że pozostałam Sarą Mojsiejewną.

Nie opowiadałam tego — broń Boże — po to, by zachowanie mego żydowskiego imienia miało ukazać mnie w korzystniejszym świetle, niż innych emigrantów politycznych. *Nota-bene*, było wielu takich jak ja, zwłaszcza wśród tych, którzy pozostali przy pracy w żydowskim środowisku kulturalnym. Chciałam jedynie naświetlić zjawisko z którym musiało się liczyć przedstawicielstwo polskie w Kominternie, pragnąc zaoszczędzić przykrości żydowskim emigrantom politycznym.

4. *Pięta Achillesowa*

Nie każdy emigrant polityczny spotkał się w owych latach z tak ciepłym przyjęciem w przedstawicielstwie polskim przy Kominternie jak ja i wszyscy ci, których zamierzano skierować do pracy w instytucjach polsko-sowieckich.

Gdy do tego samego Boguckiego zgłosił się nieco później mój mąż, Szaul Landau, którego KPP przetransportowało chorego w ten sam co i mnie sposób, oburzenie Boguckiego było tak wielkie, że nie był w stanie ukryć swego protestu przeciw „żydowskiemu zalewowi”.

„Rany boskie” — schwycił się przedstawiciel KPP za głowę, usłyszawszy jego daleką od doskonałości polszczyznę — słuchaj

no chłopcze, czy tam prześladują wyłącznie towarzyszy żydowskich?... Do diabła! To przecież prawdziwe tchórzostwo!... A któż za was tam robi rewolucję?!”... I nie posiadając się z oburzenia, dodał: „U przywódców Komitetu Wykonawczego Kominternu wywołuje to wrażenie, że KPP składa się wyłącznie z Żydów!...”.

Zdumiony i głęboko urażony Szaul, który ledwo trzymał się na nogach, nie był w stanie pohamować się, i spotkanie przeobraziło się w przykry incydent. Komuś postronnemu wydawać się mogło, że obaj należą do dwóch *wrogich obozów*. „Tam w Polsce mówią tak endecy!... Nikogo nie prosiłem o to, by mnie wysłano z Warszawy! Antysemickie wypowiedzi łatwiej znieść w defie reakcyjnej Polski, niż tu, w gmachu Kominternu”. I z trzaskiem zamknął za sobą drzwi gabinetu Boguckiego.

Była to pierwsza gorzka pigułka, jaką połknął oddany komunistą, tuż u progu rzeczywistości sowieckiej. Wrócił z tego spotkania niezwykle wzburzony.

Dobroduszny Bogucki chciał nieco załagodzić swoją ostrość. Niejednokrotnie później wzywał do siebie Szaula, ale bezskutecznie. Często pytał: „Gdzie jest ten honorowy komunista żydowski? Jak się urządził?”, i nawet załatwił by centrala MOPR-u wysłała go na rekonwalescencję do sanatorium w okolicach Odessy.

Lecz wszystko to nie było w stanie osłodzić gorzkiej pigułki ani Szaulowi, ani innym naszym bliskim towarzyszom. Nastrój stał się jeszcze bardziej przygnębiający, gdy okazało się, że przyjęcie jakie zgotowano Szaulowi nie było wcale przypadkowe. Podobne przyjęcie zgotowano w przedstawicielstwie polskim również innym emigrantom politycznym. Między nimi byli tacy jak Mosze Gutman, który wraz z żoną Chawą Wielikowską i dwójgiem dzieci zmuszony był uciec z Polski; Natan Zylbersztejn ze starszym ojcem, Syma Ratner i inni moi znajomi, których nazwiska uciekły mi z pamięci.

Wrogie przyjęcie Boguckiego było dla Gutmana (jego pseudonimy: Bułtekaklis, Zelikowicz, Kamensztajn i inne), który przyjechał nieco wcześniej ode mnie, nie mniej ostrym ciosem niż dla Szaula. Lecz zareagował on na swój własny nieco inny sposób, co spowodowało komiczne curiosum. Dopiero co przybyły emigrant polityczny, który na swej zmiennej politycznej drodze zdążył już agitować w imieniu takich organizacji jak Poalej Syjon, SS-Zjednoczeni, Bund i w końcu KPP, usłyszawszy słowa Boguckiego, począł z charakterystycznym dla niego, nieco zabawnym uporem etatowego propagandzisty ze stażem, aplikować Boguckiemu lekcję o „internacjonalizmie jako integralnej części komunizmu”. W sposób tak przewlekły i nudny uświadamiał przed-

stawiciela KPP w Kominternie dlaczego „antysemityzm jest wrogi idei komunizmu”, że ten „zażydzony goj” nie wytrzymał i zapomniawszy o swym eksponowanym stanowisku, wałnął pięścią w stół i ryknął po żydowsku: „Lern mich nit kajn tojres łokszn! Ich hob alejn smiches of rabunes!”. W wolnym przekładzie z żydowskiego: „Nie ucz mnie zasad Tory, ja sam posiadam atestat rabinacki”. „Tojres łokszn” jest dowcipem nieprzetłumaczalnym, powiedzonkiem, jakim posługuje się lud dla określenia mylnie pojętych zasad religijnych. Winno być „Tojres Mojsze” (hebr.) — nauka mojżeszowa, której pobożni Żydzi nie podważają. Zestawienie zaś wyrazów „tojres” i „łokszn” (makaron) jest używane w celach określenia nieuctwa lub mylnego komentowania przepisów powszechnie znanych i przyjętych. Zwrot ten w ustach nie-Zyda jest tyleż zabawny, co zaskakujący. Stary propagandzista żydowski, który już co najmniej dziesięciokrotnie siedział w rozmaitych więzieniach i to w niejednym kraju, osłupiał. Bogucki, widząc jego zaszokowany wyraz twarzy, wybuchnął śmiechem. Po chwili przyłączył się do jego śmiechu wiecznie poważny Gutman, i tak ci dwaj rozstali się na pozór przyjaźnie.

Przyjęcia w Kominternie dostarczały nam nie mało materiału do gorzkich rozmyślań. Nieco zmieszani, inni zaś już rozgoryczeni, zwykliśmy nalegać na „starych”, bardziej obytych emigrantów polskich — takich jak zażydzony Polak Michał Sledź, jak „Karol” oraz Gerszon Dua Bogen, którzy byli dla nas w Polsce autorytetem: — „Jakżeż to tak? Co tu się właściwie dzieje? Tam w kraju kierownictwo partii każe nam wyjechać a po przyjeździe tutaj zarzucają nam tchórzostwo? Dlaczego „uciekają” tylko partyjniacy Żydzi?”. Większość z nich wykręcała się od jasnych odpowiedzi. „Przypadek”, sprawa „koniunktury”, „nie wolno uogólniać” — usiłowali nas uspokoić. Jedynie nieliczni mówili nam szczerze co o tym myślą i wiedzą. Jeśli zaś chodzi o Wacława Boguckiego, to dla wszystkich którzy go znali było jasne, że postępuje w ten sposób z Żydami nie ze względu na swe antysemickie nastawienie. Nie mogło być żadnej wątpliwości, że Bogucki nie robi tego z własnej woli, lecz na skutek nacisku „z góry”. Bo „złota nić” biegnie bezpośrednio stamtąd. Tu jak i tam, w kraju, nadal nurtuje przeklęty problem „zbyt dużej proporcji komunistów żydowskich w KPP”. Tyle że tam, w reakcyjnej Polsce, napomyka się o tym w komórkach partyjnych półsłówkami, tutaj zaś można sobie pozwolić mówić o tym otwarcie. Również tutaj w Kominternie — w przenajświętszym przybytku — wielka liczba Żydów w KPP tkwi niczym kość w gardle, której ani połknąć ani wypluć nie sposób.

W moim otoczeniu obszernie wówczas komentowano cynicz-

na wypowiedź pod adresem KPP Karola Radka, Żyda z Polski, na posiedzeniu Kominternu, gdy poprztykał się z jej przedstawicielami: „A czym może się poszczycić KPP? Chyba swoją żydowską większością! Spójrzcie trzeźwo, przecież wasz król jest nagi”.

A jak zareagowali na to przedstawiciele, po większej części Żydzi? Skonsternowani, zawstydzeni, nie zareagowali wcale. Ostremu językowi Karola Radka przypisywano również błyskotliwe powiedzonko „Pięta Achillesowa”, jakim określało się w Kominternie zalew żydowski. Powiedzonko to pokutowało i w innych krajach o stosunkowo wielkim procencie żydowskich ludzi pracy. Usłyszałam je jednak po raz pierwszy w Moskwie. W domu przydzielonym emigrantom politycznym przy ulicy Woroncowskiej Pole mieszkali komuniści przybyli ze wszystkich stron świata, stanowiąc tu prawdziwą międzynarodówkę. Faktycznie zaś roiło się w nim od żydowskich towarzyszy uciekinierów. Lecz razem trzymali się zwłaszcza towarzysze partyjni przybyli z Polski i Litwy. Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Dzielono się zatem doświadczeniem z gorzkiej rzeczywistości, na jaką natknęło się wielu z nas. Tutaj, do dawno przybytych i bardziej doświadczonych zwykliśmy przychodzić i wylewać przed nimi nasze żale. Przychodzili tu i ci, których Komintern tymczasowo zakwaterował w innych wspólnych domach, jakie miał do swej dyspozycji w Moskwie.

5. Dwie uwagi

A *propos* Wacława Boguckiego. Mimo, że po usunięciu z aparatu Kominternu pracował przez wiele lat w tak „prawowitej” instytucji jak Prokuratura, nie ominął go los większości polskich przywódców komunistycznych, którzy na swe nieszczęście znajdowali się wówczas na terytorium ZSSR. W 1937 roku został i on, jeden z czołowych organizatorów KPP, rozstrzelany przez NKWD pod pretekstem, że pracując w Kominternie był równocześnie jednym z głównych przywódców rzekomo wykrytej antysowieckiej organizacji szpiegowskiej w Polsce, która od wielu lat, na służbie polskiego rządu sanacyjnego, stawiała sobie za cel obalenie władzy Rad.

Na zebraniach aktywu partyjnego odczytywano nam wyjątki „spowiedzi” Boguckiego, w której przyznawał się do wszystkiego.

Drugim „powodem” rozstrzelania Boguckiego był jego inny okropny „grzech”, o którym nas poinformowano. Przebywał on

około 10 lat w Stanach Zjednoczonych, był tam przywódcą ruchu rewolucyjnego wśród emigrantów polskich. W 1917 roku wrócił, jak wielu innych rewolucjonistów, do Rosji i z całym zapałem rzucił się w wir pracy podziemnej polskiego ruchu komunistycznego na kresach. Z aktu oskarżenia „dowiedzieliśmy” się, iż już wówczas został wysłany przez amerykański wywiad do Rosji, celem prowadzenia akcji szpiegowsko-dywersyjnej na rzecz Stanów Zjednoczonych. Zapewniano nas, że Bogucki „przyznał się” również i do tego przestępstwa. W rzeczywistości był on oddanym rewolucjonistą, służącym wiernie i ślepo Kominternowi i władzy sowieckiej. Był miłym, prostym człowiekiem z ludu; „swój chłop”, bardziej praktyk niż teoretyk. Po śmierci Stalina został, jak prawie wszyscy polscy komuniści, zrehabilitowany i oczyszczony z wszelkich zarzutów przez tych samych ludzi, którzy go ongiś szkalowali i zamordowali.



Muszę tu dodać jeszcze kilka słów o losie wspomnianego wyżej Gutmana. W ciągu dalszych 12 lat zajmował on pod nazwiskiem M. Kamensztejn dość poważne stanowiska, najpierw w Charkowie a potem w Moskwie. Aresztowano go w Moskwie w 1938 roku. Nazwisko tego starego, uczciwego komunisty zostało później wykorzystane przez NKWD w sprawie czołowych przywódców „Bundu” w Polsce, Henryka Ehrlicha i Wiktora Altera. Oto jak opowiada o tym znany pisarz i malarz Józef Czapski w swej książce „Na nieludzkiej ziemi” (Paryż, 1949, Londyn, 1969):

„Gdy obu ich zaaresztowano w roku 1939, trzeba było ich o coś oskarżyć. Kilkakrotnie zmieniano akty oskarżenia i powody oskarżenia, zarzucano im współdziałanie to z rządem polskim, to z polską defensywą w sprawie jakoby przerzucania działaczy „Bundu” na akcję terrorystyczną do Rosji. Wszystko to na podstawie zeznań niejakiego Rafesa i Bałtikaklisa-Gutmana, którzy obaj przed laty opuścili „Bund”, wchodząc do Partii Komunistycznej. Ale gdy Alter i Ehrlich zażądali konfrontacji, by dowieść absurdalności tych zarzutów, odpowiedziano im, że to jest niemożliwe ze względów „technicznych”, bo Rafes i Gutman zostali już od tego czasu w Sowietach uwięzieni i nie żyją”.

Tyle książka Czapskiego. A teraz pozwolę sobie dodać to, co mnie wiadomo. Józef Czapski opowiada o aresztowaniu obu wybitnych rewolucjonistów żydowskich, Altera i Ehrlicha, w 1939 roku. Ale ja — wiele lat później, w latach pięćdziesiątych — miałam w rękach i czytałam oficjalne zawiadomienie tegoż

NKWD, iż „Mosze Gutman zmarł w więzieniu na dezynterię w październiku 1949 roku”. Świstek ten otrzymała żona Gutmana, moja przyjaciółka Chawa Wielikowska, szwagierka izraelskiego przywódcy komunistycznego Mikunisa. Otrzymała go z NKWD w odpowiedzi na wielokrotne rozpaczliwe listy, w których dopytywała się o męża. Niechaj czytelnik porówna obie daty: 1939 i 1949. Zgodnie z oficjalnym zawiadomieniem NKWD, więzień M. Gutman żył do 1949 roku. Aresztowanym zaś Alterowi i Ehrlichowi oświadczono w latach 1939 i 1941, iż konfrontacja z „donosicielami” jest niemożliwa, gdyż obaj zmarli! Czyż trzeba bardziej przekonującego dowodu, że „donos” Gutmana został wyssany z palca?

III. POD NAJWYŻSZYM PROTEKTORATEM

Tylko przez krótki czas byłam pewna, że tow. Dzierżyńska powierzyła mi poważną tajemnicę partyjną, której nie wyjawiałyby byle komu. W swej naiwności sądziłam, iż o głównym celu pracy polskiej w Związku Sowieckim — o „eksporcie” — powinni wiedzieć tylko nieliczni wybrani. Niebawem przekonałam się, że dla tych, którzy są związani z pracą polską na Ukrainie, owa „tajemnica” nie jest żadnym sekretem. Przygotowywanie rdzenie polskich kadr dla przyszłej Polski socjalistycznej przeprowadzają tu wszędzie twardą ręką. Mówią o tym w kręgach partyjnych, jak o zadaniu najwyższej wagi. U nas, na Ukrainie, chodziło głównie o przygotowanie średniej warstwy inteligencji polskiej — nauczycieli, urzędników aparatu państwowego i oczywiście działaczy partyjnych, komsomolskich itd. Wyższe kadry ideologiczne dla przyszłego polskiego rządu komunistycznego przygotowywano w Moskwie. Tam też mieszkało wielu wybitnych polskich emigrantów politycznych, naukowców oraz teoretyków marksistowskich.

Dla mnie, nowoprzybytej, było rzeczywiście niespodzianką, gdy pracując już w Kijowie dowiedziałam się, że pracy ideologicznej wśród ludności polskiej na terenie Związku Sowieckiego nadaje ton działacz polityczny najwyższej miary, jakim był Feliks Dzierżyński we własnej osobie. Nie mniejszą niespodzianką był dla mnie również fakt, iż Dzierżyński stał na czele tej pracy od pierwszego dnia; i że od pierwszej chwili organizowania CzeKa, jak i później przy przeobrażaniu jej w GPU, „żelazny Feliks” uporczywie usiłował wciągnąć do organów karnych komunistów polskich, byłych członków SKDPiL. Wyglądało na to, że rażniej mu było uprawiać okrutną niszczycielską działalność w

gronie własnych rodaków. Często pisał jaki miał w tym cel: Związek Sowiecki winien wyszkolić polskie kadry dla jutrzejszej CzeKa rewolucyjnej Polski. Z czasem, gdy został mianowany komisarzem do spraw zdewastowanego transportu sowieckiego, a następnie Naczelnikiem Najwyższej Rady Gospodarczej ZSSR, apelował do Polaków mieszkających w Związku Sowieckim: „Zgłaszajcie się do pracy w instytucjach sowieckich. Nauczcie się tu jak należy kierować gospodarką socjalistyczną w przyszłej Polsce sowieckiej”.

W latach 60-tych opublikowano w ZSSR dokument z archiwów państwowych, udowadniający jak bardzo troszczył się twórca CzeKa o realizację swoich poglądów w tej dziedzinie. „Wasz udział w twórczej pracy gospodarczej ZSSR jest najlepszym przygotowaniem do waszej pracy w Polskiej Republice Rad” — czytamy w jednym z jego listów do polskich inżynierów i ekonomistów, znajdujących się wówczas na terytorium Rosji.

Dlatego też wielu Polaków szykowano, nie tylko za życia Dzierżyńskiego, lecz także po jego śmierci, do tej misji, powierzając im bardzo eksponowane stanowiska w gospodarce i ekonomice sowieckiej.

KC WKP(b) Ukrainy mianował również znaczną ilość Polaków na kierownicze stanowiska w ukraińskich urządach państwowych i związkach zawodowych. W Kijowie rekrutowano ich głównie spośród Polaków pracowników takich gigantów ciężkiego przemysłu, jakimi były wówczas „Bolszewik”, „Leninskaja Kuźnia” i inne.

Na zebraniach, w których uczestniczyłam, fakt ten określano jako „wielki przyczynek do budowy przyszłej Polski socjalistycznej”.

Znałam kilku owych przyszlých przywódców polskiej gospodarki socjalistycznej, a nawet mieszkalam w ich bliskim sąsiedztwie, w pasażu przy Kreszczatiku 25. O ich ideologicznej jakości i przydatności dla socjalizmu wolno wątpić. Dla moich sąsiadów, jak i dla większości polsko-sowieckiej ludności, nazwisko Dzierżyńskiego było wciąż jeszcze symbolem przelewu krwi. Mimo iż Dzierżyński już od kilku lat oficjalnie nie pracował w GPU, nazywano go nadal między sobą nie inaczej jak „krwawy Feluś”.

Formalnie trzymał się na uboczu i jedynie od czasu do czasu dawał o sobie znać na najgłębszej zaludnionych przez Polaków terenach Ukrainy. Dzierżyński zwykł był niekiedy wysyłać listy i okólniki do ludzi pracy rejonu polskiego im. Marchlewskiego, apelując do nich między innymi: „Uczcie się kierować swym własnym polsko-sowieckim rejonem, abyście w najbliższej przyszłości

potrafili wykorzystać wasze komunistyczne doświadczenie w nowej Polsce”.

Lecz każde jego jawne wtrącanie się do praktycznych, codziennych spraw rejonu, raczej odstręczało, niż zdobywało mu sympatię miejscowych robotników i chłopów polskich. Po prostu bali się jego imienia. Wiedzieli o tym dobrze polscy działacze partyjni na Ukrainie, lecz ukrywali jak tajemnicę przed wyższymi instancjami, a czasem nawet przed bliskimi towarzyszami.

Każdego człowieka nawiedzają niekiedy chwile szczerości, nad którymi nie jest w stanie zapanować. Było to u progu lat trzydziestych, późnym letnim wieczorem, po wielkim zamkniętym zebraniu aktywu partyjnego we wspaniałej sali kolumnowej filharmonii kijowskiej. Zebranie poświęcone było rocznicy śmierci Dzierżyńskiego (zmarł w lipcu 1926 roku, w cztery miesiące po moim pierwszym spotkaniu z jego żoną). Moja droga do domu prowadziła w górę, przez Kreszczatik na Lipki, gdzie wówczas mieszkałam. Baruch Huberman, dyrektor oddziałów żydowskiego i polskiego szkoły partyjnej przy KC KP(b)U mieszkał również w tamtej okolicy. Szliśmy razem z Bodniakiem* po cichej spowitej zielenią ulicy Instytuckiej. Huberman, opanowany falą wspomnień, mówił szeptem: „Słyszeliście huczne oklaski w sali kolumnowej, gdy prelegent wspominał jak wielką miłością darzyła ludność Marchlewska swego najlepszego przyjaciela Dzierżyńskiego? Często przyjeżdżałem do nich w delegacji partyjnej. Było to jeszcze za życia Dzierżyńskiego. Zwołano wówczas ogromny wiec, na którym odczytano „Otwarty list” Feliksa Dzierżyńskiego do ludu pracującego w polskim rejonie narodowym. Nigdy nie zapomnę naładowanej grozą atmosfery, która opanowała grobowo milczącą salę... Spoglądałem ze sceny na oświetloną widownię i widziałem wyraz oczu zgromadzonych: większość patrzyła z przerażeniem, inni z jawną nienawiścią... Dreszcz mnie przeszedł... Po dziś dzień jeszcze widzę „te pełne miłości oczy zakochanych aktywistów dowbyszowskich”. (Rejon Marchlewska nazywał się dawniej Dowbyszowski). A gdy sekretarz partii zaczął odczytywać słowa Dzierżyńskiego: „Wasz udział w tutejszej pracy praktycznej jest najlepszą szkołą przygotowawczą do waszej przyszłej działalności w polskiej republice sowieckiej”... dobiegł z sali groźny, ciężki pomruk: „Czego jeszcze mu się zachciało!... Wara mu od Polski!”. Wydawało mi się, i zapewne całemu prezydium, że cała sala, każdy jej zakątek wtóruje temu pomrukowi. My,

* Bodniak — rodowity Polak, serdeczny, prosty człowiek z ludu, chętnie przyjaźnił się z Żydami. Żona jego była Żydówką. Przez pewien czas był dyrektorem Polskiego Instytutu Pedagogicznego, w którym później i ja pracowałam.

siedzący na podium, udawaliśmy naturalnie, że ani nie widzimy, ani nie słyszymy co się tu dzieje. Po odczytaniu historycznego orędzia wstaliśmy jak jeden mąż i zaczęliśmy bić brawo; i, jak to było przyjęte, wszyscy zgromadzeni poszli za naszym przykładem. I ma się rozumieć, że na oświetlonej sali wszyscy podnieśli ręce głosując za naszą rezolucją, że „Polacy rejonu Dowbyszowskiego przyjmują z wielkim entuzjazmem i wdzięcznością objaw ogromnej troski, okazanej im przez ukochanego syna polskiego ludu pracującego”. O, jak doskonale rozumiały obie strony prawdziwą cenę tej gorącej aklamacji, z jaką zostało przyjęte orędzie Dzierżyńskiego „Do braci Polaków!”.

Huberman zamilkł, a mądry Bodniak westchnął głęboko i bez słowa skierował swe kroki w stronę ulicy, przy której mieszkał. Ten, tak bardzo opanowany, Bodniak też miałby niejedną tego typu historyjkę do opowiedzenia o swojej pracy wśród młodzieży polskiej, ale był może mniej wrażliwy niż Huberman. A zresztą podobne historie opowiadał tylko w cztery oczy. „Sześć to już dla mnie nie do przyjęcia” — powiedział do mnie kiedyś w chwili szczerości z gorzkim uśmiechem.

„A jakie były skutki tego entuzjastycznego zebrania w Dowbyszowie?” — zapytałam szeptem mego towarzysza, gdy zostaliśmy we dwoje. „Po tamtym entuzjastycznym zgromadzeniu (tak też określała prasa sowiecka ów wiec) odbyło się w rejonie Dowbyszowskim sporo aresztowań” — odrzekł szeptem. Dokonało ich to samo GPU, którego faktycznym kierownikiem był do samej śmierci „ukochany” autor otwartego listu. Nie było sekretem dla nikogo, że nawet wówczas, gdy Feliks Dzierżyński stał na czele zniszczonego sowieckiego transportu, a następnie Najwyższej Rady Gospodarczej, on a nie Mienżyński pozostawał do śmierci faktycznym, jedynym i najwyższym zwierzchnikiem sowieckich organów bezpieczeństwa.

V. CZYIMI RĘKOMA?

W Związku Sowieckim nie było wystarczającej ilości rdzennych Polaków, którzy byliby zdolni do prowadzenia stosunkowo rozgałęzionej pracy partyjno-kulturalnej wśród ludności polskiej. Partia nie mając innego wyjścia, zwracała się zatem do Żydów emigrantów politycznych z Polski. Ich wkład do tej pracy był rzeczywiście bardzo znaczny. Wśród personelu pedagogicznego kijowskich zakładów naukowych, dokąd zostałam skierowana przez partię, żydowscy wykwalifikowani pracownicy stanowili po-

ważny procent. Polski był tutaj językiem wykładowym, z czasem gdy zabrakło nauczycieli mogących wyklądać po polsku, zaczęto zatrudniać również pedagogów, którzy wykładali po ukraińsku lub rosyjsku. Tak też było w Polskim Oddziale Ukraińskiej Szkoły Partyjnej w Kijowie. Wymienię jedynie niektórych spośród moich przyjaciół i znajomych w polskich zakładach naukowych w Kijowie: Boruch Huberman, Basia Alter, Michał Frenkin, Borowska, Politur, Tai — kierownik katedry materializmu dialektycznego, Sonia Huberman, Cesia Angielczyk, Regina Rosenblum i wiele wiele innych.

Faktycznym redaktorem gazety polskiej w Kijowie był Żyd emigrant polityczny, mój towarzysz, Karol Wojślawski. W polskiej organizacji młodzieży komunistycznej oraz w polskiej audycji radiowej pracowała jego bliska krewna aktywistka warszawskiej młodzieży komunistycznej, która uciekła z Polski — Hanka Turska (Chana Mijlsztajn), dyrektor polskiego teatru państwowego w Kijowie i niektórzy aktorzy — za moich czasów, byli również Żydzi (ich nazwiska, prócz aktorki pani Lifszyc, zatarły się w mej pamięci).

Wspomniałam już o tym, że z braku rdzennych Polaków komunistów musiano zamianować Żyda Samuela Łazowerta dyrektorem Instytutu Naukowego Polskiej Kultury Proletariackiej przy Wszechukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie. Założono go w 1930 roku zgodnie ze specjalną uchwałą KC WKP(b).

Wśród współpracowników naukowych, a nawet wśród małej liczby aspirantów, jakich posiadał Instytut Polskiej Kultury, był również znaczny procent Żydów — zwłaszcza emigrantów politycznych z Polski. Napomknęłam już, iż ów Instytut z trudem zipsiał nie bacząc na ogromne środki pieniężne, jakie weń inwestowano.

Z braku innego wyjścia wykonywano więc żydowskimi rękoma „pracę polską” na terytorium Ukrainy. I tu znów powstaje zaczarowany krąg — ten sam co w Polsce. W Związku Sowieckim Żydzi kształcą dla jutrzejszej Polski komunistycznej prawdziwie słowiańskich przywódców, ażeby ci, gdy wybija szczęśliwa godzina zwycięstwa, mogli usunąć ich w cień i zająć miejsce żydowskich komunistów, działaczy podziemia.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że prawie wszyscy nasi nauczyciele i uczniowie byli fanatycznie pobożni i systematycznie chodzili do spowiedzi. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, iż całej prawdy o tym, co się dzieje wśród naszych uczniów i studentów na Rylskiej nie wiedziały ani organizacje partyjne, ani komсомolska, ani nikt poza księdzem spowiednikiem. Niejednokrotnie przypominam sobie pełne goryczy słowa Zofii Dzierżyńskiej, która

nie myliła się twierdząc, że polsko-sowieckie instytucje wychowawcze mają w księdzu ogromnego konkurenta, bez porównania większego, niż stanowił w owych czasach kler żydowski. Dla ludności polskiej na Ukrainie pojęcie „jestem Polakiem” było równoznaczne z pojęciem „jestem wierzącym katolikiem”.

Polskie centrum kulturalne znajdowało się nieopodal ul. Kościelnej, gdzie na wzgórzu wznosił się wspaniały gmach kościoła. Wiedzieliśmy, iż z rana przed nauką zdążyło już wielu naszych uczniów i poniekórych nauczycieli wstąpić do kościoła na mszę poranną. Po cóż ukrywać prawdę? Ja również należałam do tych beczelnych osobników, którzy pozwalali sobie wstąpić o świcie do kościoła, by sprawdzić ogrom naszej klęski. Jakież to dla mnie było przerażenie, gdy na własne oczy ujrzałam naszych wychowanków, mniejszych i większych, klęczących nabożnie przed ołtarzem i modlących się w skupieniu. W podniosłym nastroju opuszczali oni dom Boży.

VII. NIEZBYT WIELU CHĘTNYCH

W pierwszej połowie lat trzydziestych utrzymywano, iż w Związku Sowieckim mieszka 3/4 miliona Polaków. Największe ośrodki ludności polskiej koncentrowały się wówczas na Ukrainie i Białorusi. Byli to zasiedzali od lat mieszkańcy tych obszarów, a także tutaj urodzeni i pewna ilość byłych uciekinierów wojennych, którzy z rozmaitych względów nie repatriowali się do Polski. Gdy przyjechałam w 1926 roku z Polski na Ukrainę, masowa repatriacja Polaków znajdowała się w stadium końcowym. Wyjeżdżali właśnie ostatni repatrianci.

Liczba szkół i instytucji kulturalnych w Ukraińskiej Republice Sowieckiej, która do repatriacji była dość znaczna, siłą rzeczy malała i kurczyła się coraz bardziej. Było to zjawisko wręcz odwrotne niż to, jakie zastałam w środowisku żydowskim. W drugiej połowie lat dwudziestych i pierwszej połowie trzydziestych, żydowskie instytucje kulturalne i oświatowe rozwijały się i kwitły.

Lecz polskie szkoły podstawowe, kursy dla likwidacji analfabetyzmu wśród dorosłych, kluby, czytelnie, świetlice, zastałam jeszcze w Winnicy i jej okolicach, w Żytomierzu, Kamieńcu Podolskim i innych miejscowościach. Można je też było znaleźć w Tulczynie, Proskurowie, a nawet, jeśli mnie pamięć nie myli, w Donieckim Zagłębiu Węglowym. Sporo lat potem istniał jeszcze na Ukrainie państwowy Teatr Polski, polskie wydawnictwo,

prasa dla dorosłych, dla młodzieży i dzieci, nadawano polskie audycje radiowe. Należy zauważyć, że nadawano je głównie dla polskich słuchaczy kapitalistycznej zagranicy, i zdaje się, że nigdy nie zostały zlikwidowane.

Kilkakrotnie w przeciągu roku szkolnego Komitet Okręgowy podejmował na nowo jedno i to samo postanowienie: delegować ludzi do rejonów gęsto zamieszkałych przez Polaków, celem werbowania tam nowej polskiej młodzieży dla opustoszałych na skutek częstych aresztów polskich zakładów naukowych. Werbować nawet takich, którzy jeszcze nie ukończyli szkoły średniej. Ja również znajdowałam się wśród owych delegowanych, gdyż moje nazwisko figurowało wśród członków partii jako działaczki żydowskiej i polskiej, nawet gdy przez pewien czas nie byłam czynna w ośrodku polskim. Każdego delegowanego zaopatrywano w oficjalny list Kultpropu KC KP(b)U. W liście tym domagano się, by miejscowe organizacje partyjne pomogły znaleźć wśród młodzieży polskiej takich, którzy są godni zaufania i zasługują na kształcenie w Kijowie.

Gdziekolwiek zjawiałam się kierownictwo miejscowe zaczynało od skarg na ludność polską, jak twardym orzechem jest ona dla władzy, jak ciężko pokonać jej cichy sabotaż. Zdarzały mi się takie osobliwości: kierownik, który sam jest Polakiem, macha ręką: „Kto ich tam wie? Kto może odgadnąć jaki kamień każdy z nich chowa w zanadrzu?”.

Dla większości Polaków zamieszkałych w okolicach jakie zwykłam wówczas odwiedzać język polski był naprawdę macierzystym, znali go i posługiwali się nim ostentacyjnie. Nawiasem mówiąc, był to język okaleczony — stanowiący raczej osobliwy dialekt ukraiński. Zdawałoby się zatem, że ludność powinna z zadowoleniem przyjąć pracę kulturalną, prowadzoną w ich języku macierzystym, który przed rewolucją był prawie zakazany. W rzeczywistości zaś wyglądało całkiem inaczej. Polacy odnosili się do szkolenia polskiego ze znacznie większą rezerwą niż do ukraińskiego. Nie bacząc na to, iż w życiu prywatnym dzielił Polaków od Ukraińców gruby mur, zwłaszcza ze względu na różnice religijne, obdarzali oni jednak szkołę ukraińską większym zaufaniem niż polską.

Polskie szkoły, raczej małe szkółki, rozsiane po różnych miejscowościach rozległej Ukrainy, były nędzne, zaniedbane i nieciekawie, bez odpowiednich podręczników, a tłumaczone z ukraińskiego lub rosyjskiego na niskim poziomie.

Ester ROZENTAL-SZNEIDERMAN

Zygmunt GODYŃ

SPRAWA ROZKAZU NACZELNEGO WODZA z 17 września 1939 r.

Należy wyrazić duże zdziwienie, że omal w 40 lat od tragicznej daty 17 września 1939 roku wracają w publicystyce polskiej wątpliwości, czy w ogóle istniały, względnie jakiej treści wydane zostały przez Naczelnego Wodza „instrukcje”, a raczej rozkazy, do Armii Polskiej odnośnie ich ustosunkowania się do wkraczających wojsk sowieckich. Wynika tak m.in. z listu Z. S. Siemaszki w 46-tym *Zeszycie Historycznym* (str. 248). Tymczasem faktem jest, że rozkaz taki istniał, natomiast treść jego często dochodziła do dowódców i walczących szeregów telefonicznie lub jakby z drugiej ręki, stąd nieściśle, a do niektórych części wojsk nie dotarła w ogóle.

W Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie znajduje się odpis maszynopisu (L. II/1/4, k. 245) następującej treści:

1939, wrzesień 18. Miejsce postoju.

Sowiety wkroczyły. Zarządzam ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z Sowietami nie walczyć, tylko w razie (natarcia) z ich strony lub próby rozbrojenia naszych oddziałów. Zadanie dla Warszawy i (Modlina), które mają bronić się przed Niemcami, bez zmian. (Oddziały), do których podeszły Sowiety, powinny z nimi pertraktować w celu wyjścia z garnizonów do Rumunii lub Węgier.

Naczelnny Wódz
E. Ś m i g ł y - R y d z
Marszałek Polski

Z kolei w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie znajduje się szczegółowa relacja gen. Maksymiliana Milan-Kamskiego, od 20 sierpnia 1939 roku zast. d-cy Okręgu Korpusu VI, czyli gen. Langnera, a od 13 września 1939 roku d-cy Grupy „Dniestr” czyli wschodniego odcinka przyczółka rumuńskiego, rozciągającego się od Żydaczowa do granicy polsko-sowieckiej na Zbruczu. Relacja nosi datę 27 grudzień 1948 roku.

Gen. Milan-Kamski podaje w niej, że kiedy 17 września 1939 roku w południe przybył na inspekcję do m. Uściczko (nad Dniestrem), d-ca miejscowego oddziału K.O.P., kpt. Tysarz, poinformował go, iż od swych bezpośrednich władz otrzymał rozkaz nie walczenia z wkraczającymi wojskami sowieckimi. Autor relacji podkreślił w tejże relacji, że żadną miarą nie mógł uwierzyć w istnienie tego rodzaju rozkazu i ze swej strony wydał kpt. Tysarzowi rozkaz obrony Uściczka a w razie nacisku oddziałów sowieckich wysadzenia mostu i wycofania się na Horodenkę i Kołomyję.

Gen. Milan-Kamski sam udał się do Kołomyi, gdzie o godz. 19-tej spotkał Szefa Sztabu Głównego, gen. Stachewicza, który na meldunek o wydanych przez niego rozkazach obrony Uściczka „wyrzucił niepokój”, potwierdził istnienie rozkazu nie walczenia z bolszewikami, dziwiąc się przy tym, że d-two Armii nie przekazało go oddziałom w terenie. Autor relacji dodał, że gen. Stachewicz zaprowadził go następnie do osobnego pokoju, gdzie na osobności wyjaśnił mu sytuację w następujących słowach: „Naczelnny Wódz, nie widząc możliwości skutecznego przeciwstawienia się armiom rosyjskim, chce wydobyć jak najwięcej wojska do kontynuowania walki na innym froncie, toteż — jeżeli Rosjanie nie atakują i nie utrudniają ruchu do granicy — nie należy walczyć z nimi, chyba tylko w wypadkach koniecznej samoobrony. Rozkazy, dotyczące tej decyzji, zostały już rozesłane do oddziałów”.

Przytoczona powyżej treść rozkazu Naczelnego Wodza oraz wyjaśnienia udzielone przez Szefa Sztabu Głównego gen. Milan-Kamskiemu w Kołomyi nie pozostawiają więc żadnych wątpliwości co do wydania i istnienia takiego rozkazu oraz pobudek, jakie kierowały Naczelnym Wodzem w powzięciu tego rodzaju decyzji.

W związku z listem Z. S. Siemaszki w 46-tym *Zeszycie Historycznym* zaistniał jednak jeszcze jeden ciekawy aspekt. Autor listu słusznie zauważył, że w podanej w *Niepodległości* (tom XI, 1978) części wspomnień gen. Langnera znajduje się błąd co do daty: „17. IX. 1939 o godz. 3-ciej po południu...” itd.

Otóż od kilkunastu lat jest w moim posiadaniu fotokopia rękopisu pełnych wspomnień gen. Langnera z Obrony Lwowa, których treść jest omal identyczna z tekstem, zamieszczonym w *Niepodległości*. Załedwie tu i ówdzie różnią się pewne zwroty w ich stylizacji. W tymże rękopisie data „17. IX.” nie jest po-

czątkiem zdania, ale stanowi jakby tytuł rozdziału a opisane poniżej przez gen. Langnera zdarzenia odnoszą się bodaj w większości do 16 września, jak m.in. walki 10-tej Brygady Kawalerii pod Lwowem. Czyli jak gdyby opisywał wypadki z dnia poprzedniego. Błąd jest więc raczej redakcyjny, ewentualnie maszynowy lub drukarski.

Zygmunt GODYŃ

Zygmunt GODYŃ

V-ta BRYGADA „ŁUPASZKI”

W kilku niedawnych numerach *Kultury* oraz *Zeszytów Historycznych* pojawiły się w listach do Redakcji jak i artykułach pewne szczegóły o V-tej Brygadzie Partyzanckiej Okręgu AK Wilno oraz jej dowódcy mjr. Zygmuncie Szendzielarzu, pseud. „Łupaszko”. Wywołane one zostały głównie nieodpowiedzialnymi atakami Janusza Prawdzic-Szlaskiego, b. komendanta Okręgu AK Nowogródek, w jego niedawno wydanej książce. W niektórych z tych listów, podobnie jak w artykule Natalii Naruszewicz w nr. 47-mym *Zeszytów Historycznych*, natrafiamy na wiele nieodpowiedzi i pewne nieścisłości.

Uważam, że Brygadzie tej należą się dokładniejsze dane historyczne a jej dowódcy szczegóły biograficzne. Zajmując się od pewnego czasu wymienionym środowiskiem AK i zebrawszy wcale obfity materiał źródłowy w tej dziedzinie, chciałbym podzielić z Czytelnikami najważniejszymi faktami. Dodam, że jestem w trakcie przygotowywania na ten temat obszernego opracowania.

Na wstępie pragnę podkreślić mój punkt widzenia odnośnie zarzutów Janusza Prawdzic-Szlaskiego. Otóż uważam, że postawione przez niego zarzuty w tego rodzaju formie i w takim kontekście kompromitują wyłącznie autora a nie osobę, w kierunku której zostały one rzucone.

Spotykamy np. taki bezprzedmiotowy zarzut Prawdzic-Szlaskiego pod adresem Szendzielarza, że „razem z Niemcami odszedł na Zachód”. Szendzielarz nie chciał współdziałać z wojskami sowieckimi przy zdobywaniu Wilna, gdyż przewidywał słusznie, dokąd to może zaprowadzić jego oraz jego podkomendnych. Postanowił też nie ujawniać się a odejść na Zachód, bo dokąd miał się wycofywać? Był to również, oczywiście, kierunek odwrotu

Niemców. Dla obu wojsk więc jedyny. Tymczasem ze stylizacji jednośnego zdania Prawdziej-Szlaskiego obnaża się jego niewątpliwie celowo złośliwa sugestia, że odwrót ten odbywał się jakby we wzajemnym porozumieniu, jakby ręka w rękę. Tymczasem nic podobnego nawet w przybliżeniu nie zaistniało.

Z kolei wspomnijmy o pracy Natalii Naruszewicz, której część zamieszczona była w zeszytach 47-mym *Zeszytów Historycznych*. Pisząc o sytuacji w Białostockim w 1945 roku podaje autorka następujące szczegóły o Szendzielarzu i jego oddziale: „... na plan pierwszy wysunęła się 5-ta Wileńska Brygada AK, dowodzona przez Zygmunta Szendzielarza — „Łupaszkę”. Brygada ta nie dała się rozbroić Rosjanom po zajęciu Wilna (13 lipca 1944) i przedostała się do Puszczy Białowieskiej, gdzie spędziła zimę 1944/1945. Wiosną Brygada, podzielona na samodzielne szwadrony [...], rozpoczęła działania zbrojne [...]”. Nie jest to zgodne z istotnym stanem rzeczy.

Wobec takich lub podobnych w innych miejscach nieścisłości postanowiłem podać najważniejsze szczegóły odnośnie działań i losów Zygmunta Szendzielarza i jego Brygady.

Mjr Zygmunt Edward Szendzielarz urodził się 12 lutego 1910 roku we Lwowie. Po ukończeniu Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu pełnił służbę oficera zawodowego w 4-tym Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie.

W Kampanii Wrześniowej dowodził 2-gim szwadronem swego pułku. W tragicznej przeprawie Wileńskiej Brygady Kawalerii przez Wisłę na południe od Magnuszewa, ówczesny porucznik Szendzielarz przeprowadził swój szwadron omal bez żadnych strat, w przeciwieństwie do innych pododdziałów. Utrzymał go też zwarty do końca Kampanii, pomimo częstych spotkań bojowych z Niemcami, i to aż do chwili, gdy resztki Brygady poddały się Niemcom 28 września w rejonie Mościsk.

Uniknął niewoli i powrócił na Wileńszczyznę do poślubionej przed niepełnym rokiem żony i jej rodziny. W 1942 roku wstąpił w szeregi Armii Krajowej. W lecie 1943 roku, będąc już w stopniu rotmistrza, otrzymał rozkaz objęcia dowództwa Brygady Partyzanckiej ppor. rez. Antoniego Burzyńskiego — „Kmicica”, w rejonie m. Świr nad Naroczą.

Oddział „Kmicica” rozpoczął swe istnienie jeszcze w jesieni 1941 roku, jako kilkuosobowa grupa leśna, która rozwinęła się i rozrosła dopiero w marcu 1943 roku do siły 300 żołnierzy, jako pierwszy oddział partyzancki o tak znacznej sile i który pierwszy przyjął nazwę „brygady”.

Szendzielarz wyruszył z dwoma towarzyszami broni nad jez. Narocz, przybył jednak o jeden dzień za późno. Poprzedniego bowiem dnia, 31 sierpnia 1943 roku, kwatrujący od dawna w sąsiedztwie oddział partyzantów sowieckich pod dowództwem Markowa, po wciągnięciu samego „Kmicica” w zasadzkę, jego

Brygadę otoczył i rozbroił. Rozstrzelano zarówno „Kmicica” jak około 70 „opornych” jego partyzantów, którzy stawiali opór, część wcielono siłą do ich partyzantki, do Oddziału im. Wandy Wasilewskiej, pewnej części pozwolono odejść do domów.

Z resztek Brygady „Kmicica”, które w tym dniu nie były w bazie oddziału, lub którym udało się później uciec ze zgrupowania partyzantów sowieckich, oraz dzięki rekrutacji nowych ochotników, sformował Szendzielarz-„Łupaszko” nową brygadę, która otrzymała później nazwę i numerację V-tej Brygady Partyzanckiej, a która w 1944 roku rozrosła się do siły 600 a w okresie tuż przed akcją na Wilno nawet 800 partyzantów.

Blisko całoroczne akcje bojowe od września 1943 roku do lipca 1944 roku to wspaniała epopeja walk brygady w obronie polskiego żywiołu i polskiego mienia przed niemieckim okupantem, litewską policją, a w znacznej części przed partyzanckimi bandami sowieckimi oraz zwyczajnymi bandami rabunkowymi.

W akcji na Wilno „Łupaszko” ze swoją brygadą nie wziął udziału z pełnym wyrachowaniem. Możliwe że oparł się tu przede wszystkim na rozkazie dowódcy AK z 20. XI. 1943 r., zapowiadającym „Burzę”, w którym znajdowały się jednocześnie wytyczne odnośnie „unikania zatargów z oddziałami sowieckimi”. Rozkaz konkludował: „Te nasze oddziały, które już miały takie zatargi i nie mogłyby z tego powodu ułożyć poprawnie stosunków z oddziałami sowieckimi, powinny być przesunięte na inny teren”. Możliwe też, że decyzja „Łupaszki” wynikała z jego niezwyklej intuicji dowódczej, czego dał wielokrotnie przedtem i potem dowód.

Uderzenie na Wilno rozpoczęło się w nocy 6/7 lipca 1944 roku. Oddziały nasze wdarły się już z pomocą artylerii sowieckiej do miasta, ale ostateczne opanowanie Wilna nastąpiło 13 lipca. „Łupaszko” stał ze swoją brygadą w rej. Mejszagoły, około 30 km na północny-zachód od Wilna. Siła jego brygady wynosiła wówczas do 800 ludzi.

Dnia 14 lipca bolszewicy nakazali oddziałom naszym opuścić Wilno a 16 lipca aresztowano osobno dowódcę Okręgu „Gen. Wilka” w samym Wilnie, osobno jego sztab „na odprawie” w Boguszewie, osobno resztę oficerów w Miednikach a szeregowych w rej. Taboryszki. Oficerów w liczbie około 70 wywieziono później do Riazania i Diagielewa, szeregowych — do Kaługi.

Na wiadomość o aresztowaniu dowódcy oraz rozbrojeniu i zatrzymaniu oficerów i szeregowych Okręgu „Łupaszko” wyruszył 17 lipca ze swoją brygadą na zachód, na Litwę Kowieńską, w kierunku Niemna. Przeprawy na Niemnie zastał jednak opanowane przez wojska sowieckie, które dotarły tu już 15 lipca. Zatrzymał się w rejonie m. Olita i tworzył koło siebie legendę, że przybył tutaj od strony Białegostoku. Przez kilka dni dowódcy sowieccy pozostawiali go w spokoju.

Wreszcie, podobnie jak to zdarzyło się z Brygadą „Kmicica” nad Naroczą, jak z Baonem Stołpeckim z Okręgu AK Nowogródek i jak z dowódcą i Sztabem Okręgu AK Wilno, „Łupaszko”

został również „zaproszony” na odprawę pod Olitą. Wrodzone wyczucie sytuacji znowu go nie zawiodło. Wysłał naprzód na rozpoznanie konny szwadron por. „Tatara”. Szwadron został napadnięty a jego dowódca zabity. Wobec tego 25 lipca 1944 roku, w tymże rejonie koło Olity, „Łupaszko” zdecydował się rozwiązać (sic!) swą brygadę i przedzierać się małymi grupami na południowy zachód.

Wielu autorów różnych artykułów przeslizguje się nad tym okresem losów Brygady i jej dowódcy. Tymczasem istnieje dzisiaj już dostateczna liczba relacji, aby stwierdzić, że „Łupaszko” ani nie poszedł ręką w rękę z Niemcami — jakby wynikało z nieodpowiedzialnego twierdzenia Prawdzic-Szlaskiego — ani też jego brygada nie przedostała się i nie spędziła zimy 1944/1945 roku w Puszczy Białowieskiej, jak napisała pani Naruszewicz.

W okresie od sierpnia do października 1944 roku „Łupaszko”, na czele grupy około 20 oddanych sobie towarzyszy broni, przedzierał się przez Puszcze Ruską (Grodzińską), powiaty: grodzieński i wołkowyski, i osiągnął rejony na styku Puszczy Różańskiej i Puszczy Białowieskiej. Na przełomie października i listopada 1944 roku, już znowu na czele zwiększonej grupy do liczby 30-40 osób, „Łupaszko” przekroczył granicę sowiecko-PRL-owską gdzieś w rej. Świsłoczy. W tym okresie dołączył do niego Lech Beynar vel Paweł Jasienica — por. „Nowina”. W Puszczy Białowieskiej pozostawił „Łupaszko” kilkunastu ludzi z por. „Nowiną” na czele a sam udał się z kilkoma najbliższymi osobami do rej. Bielsk Podl.-Brańsk.

W ciągu lutego-marca 1945 roku rozpoczął odtwarzanie swej brygady na terenie Białostoczczyzny i w maju tegoż roku podjął akcję przeciw nowym okupantom oraz wysługującym się im oportunistom. I właśnie dopiero wtedy zorganizował swoją brygadę w 4 świeżo sformowane szwadrony: „Zygmunta”, „Mściśława”, „Piasta” i „Burego”, o których wspomniała Natalia Naruszewicz. Żołnierze rekrutowali się w znacznym procencie z jego dawnej brygady V-tej, ale wielu pochodziło z innych brygad Wileńskiego Okręgu AK, którym udało się ująć z rąk sowieckich, poza nimi była też pewna liczba nowych ochotników. W ciągu 4 miesięcy szwadrony „Łupaszki” zlikwidowały większość placówek i posterunków w części woj. Białostockiego. Na dzień 7 września 1945 roku „Łupaszko” nakazał koncentrację odtworzonej brygady w pow. Wysokie Mazowieckie, gdzie ją rozwiązał, a sam udał się do Oliwy pod Gdańskiem, gdzie spędził zimę 1945/1946 roku.

W marcu 1946 roku, na rozkaz ostatniego dowódcy Okręgu AK Wilno, płk. Antoniego Olechnowicza — „Pohoreckiego”, rozpoczął po raz wtóry odtwarzanie swej brygady, ale tym razem na terenie Pomorza. Brygada, po odtworzeniu, obejmowała znowu 4 szwadrony: „Lufy”, „Żelaznego” (po jego śmierci — „Okonia”, następnie — „Leszka”), „Zeusa” i „Wiktora”. Szwadrony rozpoczęły tutaj akcję podobną do tej sprzed roku w Białostockim. W związku z ich działalnością padło wówczas wielu żołnierzy

sowieckich, szczególnie z kursujących transportów wojskowych pomiędzy Niemcami a ZSSR. Zlikwidowano także tutaj szereg posterunków MO i UB na całych połaciach tej części kraju.

W listopadzie 1946 roku, nie widząc szans osiągnięcia pozytywnego wyniku swych działań, rozwiązuje po raz trzeci i ostateczny brygadę i sam udaje się do Krakowa i okolic Zakopanego.

Czasokres akcji „Łupaszki” w środkowej i północnej części kraju jest dość dowolnie określany w różnych artykułach. Otóż akcja w Białostockim to maj-wrzesień 1945 roku, zaś na Pomorzu — maj-listopad 1946 roku.

Jedno z dalszych, nieściślych twierdzeń spotykamy w jednym z niedawnych listów autorstwa Henryka Polakiewicza — pseud. „Łomot”, żołnierza V-tej Brygady Partyzanckiej, zamieszczonym w nr. 46-tym *Zeszytów Historycznych*. Autor listu napisał, że „Łupaszki” „... żona i nieletnia córeczka [...] zostały aresztowane przez hitlerowców i powieszone”. Otóż aresztowana została rzeczywiście żona Anna ze Swolkieniów i zastrzelona w jednym z obozów. Natomiast córka Barbara, urodzona w jesieni 1939 roku, wychowywała się pod opieką babki, wyszła za mąż, i mieszka do dziś w Szczecinie.

Zygmunt Szendzielarz-„Łupaszko” aresztowany został dopiero w 1949 roku w okolicy Zakopanego. Proces jego odbył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie w dniach 23 do 30 października 1950 roku. Wyrok wydano 2 listopada, a w tym samym procesie na karę śmierci skazani zostali: Antoni Olechnowicz-„Pohorecki”, Henryk Borowski, Zygmunt Szendzielarz-„Łupaszko”, i Lucjan Minkiewicz-„Wiktor”, zaś na dożywotnie więzienie, Lidia Lwow, a na 12 lat więzienia Wanda Minkiewicz.

Wykonanie wyroku na mjr. Zygmuncie Szendzielarzu odbyło się dnia 8 lutego 1951 roku w Warszawie.

Zygmunt GODYŃ

Witold BABIŃSKI

TO NIE DUCH SZCZYPIORNA ALE WIDMO SEJMU GRODZIŃSKIEGO

Wśród artykułów, omawiających politykę polską w okresie drugiej wojny światowej, spotyka się nierzadko wzmianki o projekcie wypowiedzenia przez wojsko posłuszeństwa rządowi: lipiec

1944. Nie brak dziś surowych krytyków tej inicjatywy. Nieporozumienie jednak polega na tym, że krytycy spod hasła: „Szczypiorno — za druty” atakują coś, czego wówczas nie było. Stąd prosta droga do krainy czarów.

Jako jeden z bardzo niewielu żyjących jeszcze ludzi, którzy o ówczesnym projekcie byli dokładnie poinformowani, winien jestem, jak sędzę, wyjaśnić o co wtedy chodziło.

Od konferencji w Teheranie w 1943 coraz groźniejsze chmury gromadziły się nad sprawą polską. Treść uchwały Teheranu, jakkolwiek trzymana w tajemnicy, przenikała jednak na zewnątrz. Wbrew legendom, najwyższe czynniki polityczne polskie były o zasadniczych postanowieniach poinformowane.

Zimą 1944 naciski brytyjskie na rząd polski stawały się coraz brutalniejsze. Na pomoc amerykańską nie mogliśmy już liczyć. Innymi słowy: nasi sojusznicy przestali nas poważnie bronić przed Stalinem. Przeciwnie, wywierali presję, aby Polska przyjęła warunki Stalina. A warunki te oznaczały: zabór połowy naszego terytorium państwowego i oddanie władzy komunistom w części nieanektowanej. Bliżej nieokreślone rekompensaty na zachodzie.

Oznaczało to czwarty rozbiór Polski.

Zachodziła obawa, że nasz rząd nie wytrzyma nacisków sprzymierzonych i że na ten rozbiór wyrazi zgodę (jak kiedyś sejm grodzieński).

Nasze siły zbrojne, walczące u boku sprzymierzonych były naszym najsilniejszym atutem politycznym. Akt protestu natrafiał na najpodatniejszy grunt w 2-gim Korpusie, wraz z jego dowódcą.

Tu dochodzimy do sedna sprawy: ten protest miał być skierowany przeciw rządowi polskiemu na wypadek gdyby ten dopuścił się akceptowania rozbioru Polski. Diametralna różnica z „duchem Szczypiorna”. Albowiem Szczypiorno, czyli kryzys przysięgowy w lipcu 1917 roku, to było odwrócenie sojuszków: Piłsudski zrywał ostatecznie z państwami centralnymi i włączał się do zachodniej koalicji.

Nic podobnego w lipcu 1944 roku: nie chodziło o „odwrócenie sojuszków” — *nota-bene* w chwili gdy było jasne, że Niemcy wojnę muszą przegrać.

Dlatego w projektowanym rozkazie o wypowiedzenie posłuszeństwa rządowi bardzo silnie było podkreślone, że *Żołnierz polski honorem swoim nie kupczy, że dochowa wierności sprzymierzonym i bić się będzie wspólnie aż do ostatecznego zwycięstwa nad Niemcami*. Gdzież więc miejsce na „za druty”? Nasze siły zbrojne były i tak pod operacyjnym dowództwem sprzymierzonych i nic by się pod tym względem nie zmieniło. W ustroju zaś polskim zależność sił zbrojnych od rządu była minimalna. A więc „wypowiedzenie posłuszeństwa” byłoby jedynie głębokim wstrząsem moralnym i najsilniejszym protestem, na jaki było stać.

A teraz druga legenda: jakoby gen. Anders nic o sprawie nie wiedział. Owszem, wiedział, cały zaś projekt byłby niemożliwy bez jego zaangażowania się. Wprawdzie w wywiadzie prasowym, udzielonym na krótko przed śmiercią, a więc po ćwierćwieczu, odpowiadał niechętnie na postawione pytanie: że coś tam było, ale dobrze nie pamięta. I dodał, że był zawsze przeciwny „buntowi wojska”. Projekt taki rozważany był dużo później, bo za rządów Arciszewskiego. W odróżnieniu od projektu z lipca 1944 — ten bunt miał być skierowany przeciw Anglikom. Ten projekt upadł: byli mu przeciwni zarówno gen. Anders, jak i rząd Arciszewskiego. A więc dwie różne sprawy na tle dwóch różnych sytuacji politycznych.

Wreszcie zapytać można dlaczego inicjatywa Naczelnego Wodza z lipca 44 pozostała w sferze projektów? Bo wybuch Powstania Warszawskiego stworzył nową sytuację, nowe priorytety. Sprawy naszej polityki wobec Sowietów odsunął na kilka miesięcy w nieco zmienionej (jeszcze gorszej) konfiguracji.

Wreszcie: mędrcom od szkiełka i oka zalecić należy uważne przeczytanie przemówień do żołnierzy 2-go Korpusu z lipca 1944. Uderza w nich zbieżność tomu generałów, Sosnkowskiego i Andersa. Na tę zbieżność zwrócili wtedy uwagę agenci biura Informacji. Stali odpowiednie raporty do Londynu, przewidując katastrofę.

Rząd Arciszewskiego powstał w listopadzie 1944 roku. Zaś tzw. „Kawalerowie Zakonu Jałtańskiego” wszczęli swą akcję sprzeczną z rządem Arciszewskiego wiosną 1945 roku

Witold BABIŃSKI

19. IV. 1979 r.

Doman ROGOYSKI

NA MARGINESIE ANKIETY PROF. P. WANDYCZA

Wiedeń, 17 października 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Odpowiedzi na ankietę Piotra Wandycza (*Zeszyty Historyczne* Nr 38), dotyczącą międzywojennego MSZ (tj. bez okresu wojennego — a szkoda), wydają mi się dawać odpowiedzi zbyt ostrożne.

Nie dają również, w moich oczach, informacji wystarczających by, razem wzięwszy, móc ocenić wszechstronnie prawdziwe oblicze MSZ drugiej połowy międzywojnia. Ośmiu respondentów poza tym, to za mało na dobry przekrój.

Pochodząc sam z okresu zmian personalnych kpt. Drymmera, ale wcale nie z jego bliższego otoczenia w centrali MSZ, i niczego jemu osobiście nie zawdzięczając, dzielę z nim, że „czystka” odnosila się do ludzi nielojalnych w stosunku do rządu w sposób jaskrawy (ponieważ byli przeciwnikami nawet w sprawach polityki zagranicznej), do nierobów, i do tych wszystkich których bez podawania nazwisk kpt. Drymmer w swych wspomnieniach (*Zeszyty Historyczne* Nr 29, str. 168-169) ma na myśli jako oszustów. Był zresztą też wstrzemięźliwy nie cytując imiennie niesumiennejch urzędników z własnego okresu, a wśród nich oficera samobójcę po sprzeniewierzeniach; późniejszego poetę laureata wylanego za długi karciane; pośta pełnomocnego który musiał odejść za wożenie kurierem mydła dla własnej pralni w Warszawie; lub owego wysokiego dyplomatę, który zwlekał z oddaniem długu brytyjskiej osobistości z Foreign Office; zapłacił za niego min. Beck z funduszu dyspozycyjnego ratując prestiż polski. Ci trzej ostatni nie byli oficerami ni Drymmerowcami.

Urzędników pochodzących ze służby carskiej chyba już nie było około 1930 roku, w przeciwieństwie do b. urzędników austriackich, na których z racji swego pochodzenia nie było żadnej nagonki.

Co do siebie samego to mogę stwierdzić, że od 1927 po 1944 rok nikt nigdy nie zapytał mnie o moje poglądy polityczne lub przynależność partyjną; nigdy do żadnej partii nie należałem. A dostałem się do służby stałej dzięki pomocy i poleceniu konsula Waleriana Łopatto, przeznaczonego człowieka, który również nigdy mnie nie zapytał w co i w kogo wierzę. Nie uczynił tego też nigdy sam min. Beck. W ogóle nie mam w pamięci by sprawy partyjne należały do tematów rozmów koleżeńskich. Mieśliśmy natomiast duże poczucie humoru, i — cecha tak bardzo demokratyczna — byliśmy zdolni pokpiwać z samych siebie. Pamiętam jak w jednej z szopek granych w Klubie Urzędników MSZ w Warszawie były odczytane dwa telegramy, z Rzymu i z Kanady, w serii „Z poślej łaki”, a mianowicie: „Słyszałem że będzie wojna. Jak się dowiem z kim, zatelegrafuję”, oraz „Zawalił się most na Niagarze. Istnieje zamiar budowy nowego mostu”.

Napływ nowych, młodych ludzi w czasach kpt. Drymmera mało miał wspólnego z jakimś doboorem według kryteriów partyjnych; szczególnie w ostatnim okresie przed wojną, tj. wtedy gdy Wydział Osobowy przejął faktycznie szef Sekretariatu min. Becka, radca St. Siedlecki, człowiek o mocnym charakterze, gotów mówić swoją prawdę bez ogródek — dołowi i gorze. Wtedy to polityka personalna na szczeblach niższych była pozbawiona zupełnie cech stronnictwa. Jedyne kryterium były wartości indywidualne i przygotowanie fachowe. Wśród „nowych” ostatnich lat był Tatar Mustafa Aleksandrowicz, Sczighino, który

zaryzykował opuścić dostatni dom rodzinny, by jako robociarz pracować czas jakiś w USA (zginął pod Monte Cassino), byli urzędnicy kontraktowi ściągnięci z zagranicy do centrali na zdanie egzaminów dyplomatycznych (tak jak ja), był geograf, był Bohomolec po samotnym rejsie łódką przez Atlantyk, byli inni o studiach nietypowych dla służby zagranicznej.

St. Siedleckiego wybrał na stanowisko szefa spraw personalnych sam min. Beck. On też wybierał postów i ambasadorów. Wśród urzędników w jego własnym otoczeniu tylko wartości osobiste i element zaufania grały rolę. Nikt z tego małego zespołu nie otrzymał synekury odchodząc za granicę lub na inne stanowisko w centrali. Kazimierz Krasicki został konsulem w Nowym Jorku, na trudnym stanowisku. St. Siedlecki objął faktycznie sprawy personalne. Roman Dębicki (szef gabinetu ministra z okresu zwanego żartobliwie okresem trzech „Becków” tj. Becka, Szembeka i Dembeka) odszedł na placówkę jako poseł — rzecz normalna. Inni nie zdążyli, gdyż przyszła wojna. Zdolności polityczne, i szefa gabinetu Michała Łubieńskiego, i sekretarza Pawła Starzeńskiego, zostały całkowicie zmarnowane przez dysponentów władzy w Londynie, czasu wojny. Mieczysław Sędzielowski niesety nie mógł objąć stanowiska radcy ambasady w Bukareszcie krótko przed wojną, po hr. Ponińskim, gdyż o zatrzymanie tego ostatniego sam ambasador Roger Raczyński prosił min. Becka. Ludwik Łubieński, paragon wierności, zawsze był i jest oddany i lojalny w każdej służbie dla Kraju.

Mam za dobre min. Beckowi że ważnymi sprawami, zanim dojrzały do wiadomości publicznej, nie dzielił się szeroko z całym MSZ-tem, a prowadził i załatwiał je w małym, zamkniętym gronie. Ileż to szkody w polityce zagranicznej przynoszą gaduły i ludzie złej woli, i jakże trudno zachować tajemnicę, dzieloną z większą gromadą ludzką!

Wejście grupy oficerów czynnej służby do MSZ w wielu wypadkach miało specjalne przyczyny. Nie można tu liczyć osobistości nie mających niczego wspólnego z „najazdem wojskowych”, takich jak ułan-legionista Kazimierz Papée lub peowiak, prof. Michał Sokolnicki. Sam kpt. Drymmer zresztą wszedł do MSZ 1 maja 1929 (!), tj. w czasie gdy płk Beck był jeszcze szefem gabinetu Ministra Spraw Wojskowych, no i po stażu siedmioletnim jako zastępca attaché wojskowego w Tallinie. Obecność oficera jako konsula w okupowanej przez Japończyków Mandżurii (mjr Al. Kwiatkowskiego) chyba ma swoją wymowę (wrócił do wojska w czasie wojny), jako też, że po wytrawnym dyplomacie Kazimierz Papée (stał owinięta w zamsz), który odszedł do Pragi, nastąpił w Gdańsku kpt. dypl. Marian Chodacki, zmuszony działać w warunkach raptownie pogarszających się stosunków z hitlerowskim Senatem Gdańskim.

Lista 32 oficerów w *Zeszytach Historycznych* Nr 38, str. 155 (ankieta p. Wandyczca), dość wyraźnie wskazuje, w moich oczach, że oficerowie bynajmniej nie zajmowali stanowisk synekuruowych,

a przeciwnie, w obliczu zbliżającej się wojny, wielu z nich pracowało w trudnych i odpowiedzialnych placówkach konsularnych, na rozmaitych stanowiskach (w Związku Sowieckim, Leningrad, Tyflis i Charków; któż może zaprzeczyć że taki centr jak Leningrad, Gruzja i Ukraina były dla nas ważne; poza tym Użhorod, Kiszyniów, Charbin, Paryż, Lille, Bruksela, Frankfurt i Hamburg). Trzech oficerów zajmowało się w centrali emigracją i Polonią zagraniczną. Prawda, że tylko jeden z nich był specem. Wreszcie, bądźmy wyrozumiali że min. Beck powierzył fundusz dyspozycyjny mężowi swego zaufania, mjr. Sewerynowi Sokołowskiemu, „odziedziczywszy” pusty fundusz po poprzednim dysponencie.

Jak wymienia jeden z respondentów p. Wandycz, w czasach przyjmowania oficerów zdarzali się niewojskowi *minorum gentium*, którzy by się przypodobać używali powiedzonka z żargonu podoficerskiego takiego jak „byczo jest”. Prawda. Ale każde środowisko ma swych lizusów i pieczeniary. Nie mam w pamięci by sami oficerowie popisywali się nagminnie w podobny sposób, a węc nie wiemy ich za to. Niektórzy z nich nosili się nieco górnio, i to prawda. Lecz im bardziej zostawali wciągani w tryby tej tak złożonej maszyny jaką było nasze MSZ, tym stawali się skromniejsi. Na drugim końcu wahadła była, być może niezamierzona, mistyfikacja w używaniu imion zdrobniałych przez ziemian-arystokratów dla ludzi własnego środowiska, i wcale nie jestem pewny co było bardziej irytujące: owe „byczo jest”, czy to że niewtajemniczeni nie mogli się domyśleć gdy w ich obecności mówiono o Pipciu, Fipciu czy Pafciu.

Analiza wyżej wymienionej listy daje interesujący obraz. Łączenie rozmaitych urzędników MSZ z wojskiem należy w ogóle traktować ostrożnie. Karol Dubicz-Penther był przed wojną radcą placówki Ankarskiej z siedzibą w Stambule, i miał bardzo specjalne funkcje. Tak jak przed nim lotnik Mateusz Iżycki, który przybył do Stambułu po maju 1926, i to mimo tego że, jak sam mi mówił, latał nad Warszawą w tymże maju jako przeciwnik Marszałka Piłsudskiego; na liście 32 oficerów go nie ma. Za czasów Iżyckiego i Dubicza, ani też poprzednio, formalnie nie było polskiego attaché wojskowego w Turcji; tę rolę spełniali „dypłomaci” Iżycki i Dubicz. Nie można też mechanicznie zaszeregować do oficerów „detaszowanych” do MSZ ludzi takich jak płk Tadeusz Schätzel lub gen. dr Bolesław Wieniawa-Długoszowski; *nota-bene* ludzi tak do siebie niepodobnych. Min. Beck miał duże zaufanie do cech charakteru i zdolności obu. Wreszcie, też nie prof. Wacława Jędrzejewicza, którego kariera zakończyła się fotel ministerialnym. Tak więc, eliminując min. Becka, Wacława Jędrzejewicza (b. attaché wojskowego w Tokio), Dubicza (posta w Lizbonie podczas wojny, na ogromnie wrażliwym miejscu), samego Drymmera („najechał” MSZ przed przybyciem min. Becka), Schätzla (b. attaché wojskowego), Wieniawę (od razu ambasadora przy Kwirynale) dra Apoloniusza Zarychtę (specja od spraw emigracyjnych), no i kalekę ex-lotnika kryształowego cha-

rakteru Wł. Skarżyńskiego (który przecież nie mógł pozostać w wojsku), mamy raptem w sumie 24 osoby wojskowe. A wśród tychże jest rtm. Michał Unrug z armii niemieckiej, oraz 9-ciu których lista identyfikuje literą „R”; jej znaczenia nie znam. Pozostaje 12 legionistów i peowiaków włączając min. Becka, Jędrzejewicza, Drymmera, Dubicza, Schätzla, i Wieniawę. Niezidentyfikowanych w sensie pochodzenia wojskowego jest jeszcze 11-tu (ze Skarżyńskim i Zarychtą, ale bez Unruga).

Pochodzenie narodowe i społeczne urzędników MSZ za czasów mojej służby nie grało żadnej roli w sensie ujemnym. Wystarczy tu wymienić przykładowo niezapomnianego Jana Weinsteinę, Jana Librachę, i Rudolfa Rathausa (gościa w domu ministrowstwa Becków — który na tym wcale nie zrobił jakiejś błyskotliwej kariery). Gustaw Hauptmann z Niemców podkarpackich, „faszyzujący” gębą, okazał się niestety zdradą, a innych Niemców chyba nie było. Pewnie tylko ze względu na grożące rozdzielenie lojalności w atmosferze politycznej międzywojennej, nie było Litwinów, Białorusinów lub Ukraińców, ale z pewnością nie dlatego by samo pochodzenie miało stanowić przeszkodę w oczach min. Becka, Drymmera, lub Siedleckiego. Drymmer co prawda wymienienia w swych wspomnieniach dwóch Ukraińców przyjętych do służby, ale bez nazwisk; naprawdę nie wiem kogo mógł mieć na myśli.

Mam w pamięci jeszcze trzy sprawy zasługujące na to by je krótko poruszyć.

1. Jedną, to dyplomaci na wysokich stanowiskach. Min. Beck jak wiem od niego, kładł szczególny nacisk na to, by szefowie placówek dyplomatycznych byli ludźmi nie podlegającymi wpływom obcym, umięczeni obracać się w każdym towarzystwie swobodnie, tj. jak równi z równymi, i znającymi dobrze główne języki obce. Takich ludzi w okresie międzywojennym można było znaleźć pomiędzy arystokratami. Nie byli „lepsi” od innych ale międzynarodowo obcy, i raczej grzeszyli górną niż kompleksami niższości. Majętność też grała rolę, np. przy obsadzeniu ambasad w Waszyngtonie i Paryżu, lecz mimo tego Juliusz Łukasiewicz został ambasadorem w Paryżu.

Klasą samą dla siebie byli, w okresie rządów min. Becka, i by wymienić kilku z nich, Kazimierz Papée (Królewiec, Gdańsk, Praga, Watykan), Łukasiewicz (Moskwa i Paryż), Józef Lipski (Berlin), Wieniawa (Kwirynał), Władysław Neyman (Meksyk), Antoni Roman (Stockholm), historyk Michał Sokolnicki (Kopenhaga i Ankarą), a za wcześniejszych czasów, *grand-seigneur* amb. Olszowski w Ankarze (tureckie min. spraw zagr. radziło się jego dyskretnie w sprawach prawa międzynarodowego).

2. Przestrzegano, by urzędnicy nie zawierali małżeństw z cudzoziemkami. Uległość mężczyzn polskich w stosunku do kobiet była u źródła tej praktyki. Niemniej taka Wielka Brytania, co najmniej w czasie międzywojnia, też miała pod tym względem

zastrzeżenia. Dyplomata brytyjski ożeniony z Polką nie miał szans na przydział służbowy w Polsce.

Im bliżej wojny, tj. niebezpieczeństwa jej rozpoczęcia, tym częściej starano się wysyłać na placówki szczególnie zagrożone, a więc znajdujące się na terytorium potencjalnego wroga na prowincji, kawalerów; i to by nie narażać rodzin na wypadek nie-respektowania przez Hitlera lub Stalina zasad międzynarodowych odnoszących się do swobodnego opuszczenia kraju wroga.

3. Przed samą wojną grono urzędników MSZ było już zespołem dobrze zgranym. Wartości swoich dowiedli oni następnie w Londynie, w czasie wojny. Dlatego wydają mi się niepotrzebne złośliwości wyrażone przez pp. Anatola Mühlsteina i Władysława Kulskiego w ich wspomnieniach opublikowanych w *Zeszytach Historycznych*. P. Kulski zajmował jako Radca Prawny jedno z najważniejszych, choć nietypowych stanowisk w MSZ, i musiał cieszyć się zaufaniem min. Becka, gdyż inaczej nie byłoby mu powierzone przygotowanie strony prawnej naszego aliansu z Wielką Brytanią, tej chyba najważniejszej sprawy w oczach ministra w okresie przed samą wojną. Nigdy też nie słyszałem by ktoś wyraził się o nim niezyczliwie. Anatol Mühlstein zaś cieszył się wyraźną sympatią min. Becka — jak kilka razy miałem okazję sam usłyszeć.

Nasz zespół miał poczucie godności pochodzenia narodowego i poczucie wspólnego zadania, niezależnie od tego skąd kto przyszedł. Obracając rzecz w żart, powiedzieć można że ani tatuś krawiec z małego miasteczka śląskiego, ani członkostwo w Warszawskim Klubie Myśliwskim nie stanowiło przeszkody w Służbie Zagranicznej.

Nie mieliśmy żadnych kompleksów niższości.

Składam zapewnienie prawdziwego szacunku,

Doman ROGOYSKI

RECENZJE

Andrzej RAPACZYŃSKI

HISTORIA ODMITOLOGIZOWANA

(O książce J. T. Grossa*)

Powiedziałbym, że pisanie historii Polski to zadanie heroiczne, gdyby nie fakt, że właśnie heroizm to klątwa, która wisi nad polskim historykiem. Polskość to pewna forma obsesji, której nie sposób wyeliminować z myślenia niemal wszystkich, którzy się nad Wisłą urodzili. W czasie rozmowy z pewną parą intelektualistów z kraju zacząłem się kiedyś zastanawiać głośno nad faktem, że przeszkody na drodze obiektywnego spojrzenia na sprawy polskie przeszły już ze sfery odbrązowiania faktów do sfery walki z samym językiem. Pewne sądy kształtujące polskie spojrzenie na świat — ciągnąłem — straciły bowiem zupełnie swój charakter empiryczny i nabrały statusu, który filozofowie nazywają analitycznym. Gdy powie się, na przykład, że Polska to kraj zupełnie przeciętny, nie wypowiada się tym niczego, co mogłoby zostać poddane empirycznej analizie; jest to raczej zdanie używane przez większość Polaków w taki sposób, że jego fałsz zawiera się już w samych regułach ich języka. Powiedzieć, że Kopernik nie był Polakiem to nie wypowiedzieć zdanie po prostu fałszywe, lecz zdanie *koniecznie* fałszywe. Powiedzieć, że Polacy to naród specjalny, wybrany przez historię, to nie stwierdzić jakiś fakt czy nawet *quasi*-religijną wiarę, lecz truizm, którego nie sposób podważyć inaczej niż za pomocą zmiany języka. Dlatego też ktoś, kto chce podważyć te podstawowe założenia polskiej *Weltan-*

* *Polish Society under German Occupation: The Generalgouvernement, 1939-1944.* Princeton University Press, Princeton, N.J., 1979.

schauung, zostaje z miejsca oskarżony o niepolskość. Nie wyznawać pewnych analitycznych prawd polskiego języka to łamać reguły gry, które polskość definiują, a nie wyrazić sąd z którym można się po prostu nie zgadzać¹.

Moi rozmówcy, ludzie skądinąd bardzo kulturalni, nie posiadali się z oburzenia. Słyszałem nieco później relacje z tej rozmowy od moich znajomych z kraju. Nie było z tych relacji jasne, czy jestem faszystą, polakożercą, czy też osobą zakompleksioną, o poważnie nadwężonym stanie umysłu. Jasne jednak było, że nie jestem „normalny”.

Bez względu na to, jak się rzeczy naprawdę mają, obsesja polskości tak zabarwia emocjonalnie polski obraz świata, że determinuje ona niemal wszystkie życiowe postawy naszych ziomków. Wychowanie nad Wisłą to proces stopniowego uwarunkowywania reakcji na większość zaobserwowanych wydarzeń. Polakom, szczególnie na Zachodzie, rozmowa na jakikolwiek temat kojarzy się z Polską i z zaiste podziwu godną konsekwencją dopatrują się oni wszędzie ignorancji na ich temat, jakiegoś śladu niedoceny polskiego wkładu w światową kulturę, szkalowania ich narodu, konspiracji milczenia itp. Ta postawa jest tak głęboko zakorzeniona w mentalności Polaka, że nawet gdy usiłuje on się jej pozbyć, prześladuje go do grobowej deski. Nawet gdy ucieka przed nią za granicę, udaje, że zapomina polskiego i zaczyna komunikować się z własną żoną-Polką czy też z własnymi dziećmi w swej komicznej angielszczyźnie czy francuszczyźnie, potwierdza tym tylko jeszcze bardziej wiszącą nad nim klątwę i komiczność. W dziwnym odwróceniu swojej dawnej miłości, *wszystko* co polskie wydaje mu się teraz ohydne, gorsze! i tam gdzie Polska ma rzeczywiście jakiś dorobek, stara się on go pomniejszyć i poniżyć.

Co więcej, obsesja polskością jest zaraźliwa. Mówi się dużo wśród Polaków o żydowskiej konspiracji antypolskiej na Zachodzie. Wyszedłszy z łona naszego kraju, który był w szesnastym

1. Pewien mój przyjaciel-logik, któremu opowiedziałem tę rozmowę, nie zgodził się jednak z moją analizą. „Jeśli ktoś w rozmowie gwałci reguły języka, np. podważając prawdy czysto logiczne” — powiedział on — „to jego rozmówcy skłonni są uważać go za wariata i reagują wzruszeniem ramion. Kiedy jednak powiesz Polakowi, że Kopernik nie był Polakiem, to uważa cię on za perfidnego wroga i zabiera się do rękoczynów”. Jest to argument bardzo poważny i odpowiedź nań wymagałaby analizy statusu logicznego zdań wartościujących. Mam nadzieję, iż czytelnik wybaczy mi jednak, że nie będę się w tę sprawę teraz wdawał.

wieku [sic!] najbardziej tolerancyjny w Europie², owi Żydzi-niewdzięcznicy, kontrolujący zachodnie środki masowego przekazu, mają teraz zafałszowywać prawdziwy obraz polskości i przedstawiać nieopisaną wrogość do naszego narodu. Otóż skłonny jestem przypuszczać, że w obrazie tym jest nieco prawdy, lecz zanalizowałbym to zjawisko trochę inaczej: to polskość *à rebours* mści się w ten sposób na Polakach. Polacy zarazili swoją obsesją nie tylko tych Żydów, którzy wyszli z ich kraju, lecz również ich dzieci, wnuki i krewnych z zagranicy. Trzymając się *własnej* koncepcji narodu wybranego, Żydzi nie zapomnieli o Mesjarzu narodów znad Wisły i czują się nim zagrożeni. Demonizacja Polski w tych kręgach (bynajmniej zresztą nie tak ostra jak jej kanonizacja wśród Polaków) to nieudana próba uwolnienia się od sposobu myślenia, w ramach którego można Polskę kochać lub nienawidzić, lecz nie sposób być jej obojętnym.

Szczególnie tragiczne są konsekwencje polskiej obsesji, jeśli chodzi o obiektywne spojrzenie na historię Polski. Obraz przeszłości jest przez polską wizję tak spaczony, że nawet najlepszym historykom trudno się uwolnić od jego *clichés*³. W swym opowiadaniu, pt. „Pamiętnik Stefana Czarnieckiego”, Gombrowicz (jeden z nielicznych Polaków, któremu udało się, w całe życie trwającej walce, być najpierw człowiekiem a dopiero potem Polakiem) opisał w sposób śmieszny, lecz również do płaczu skłaniający, lekcje historii, jakie odebrał w szacownym warszawskim gimnazjum:

2. I to nie jest zresztą całkiem ściśle. Turcja, która była w szesnastym wieku krajem europejskim, dawała Żydom znacznie większe swobody niż Polska, ale nie bardzo nam się to podobieństwo może podobać. Mamy tu do czynienia z dość charakterystycznym zabiegiem polskiego sposobu myślenia: tam gdzie nie jesteśmy najgorsi, wydajemy się sobie najlepsi.

3. Historyk-Polak, nawet jeśli chce Polskę „odbrązowiać”, musi w jakiś sposób udowodnić, że jest Polakiem, że nawet jeśli jest „światły”, to nie jest wrogiem i mówić rzeczywiście „po polsku”, a nie tą dziwną odmianą słowiańskiego dialektu, której dopatrzył się kiedyś pewien poważny krytyk literacki w języku Tuwima, piszącego rzekomo „po polsku ale nie-polskie wiersze” (*nota-bene* krytyk ten nie miał racji: Tuwim w każdym niemal słowie starał się udowodnić, że „przynależy”; poszedł w tym nawet tak daleko, że wytykał swoim krytykom, iż mają żony Żydówki). Bez takiego dowodu „polskości” odbrązowiacz jest po prostu traktowany jako oszczerca. Ponieważ chlubiśmy się naszą przynależnością do kultury zachodniej, powinniśmy zastanowić się nad tym, że istotną część kultury krajów zachodnich stanowi obecność ludzi, którzy kpią sobie z własnego kraju, przedkładają nań inny lub wręcz swymi ziomkami gardzą. Hume uważał np. Francję za kraj o wiele kulturalniejszy niż Wielka Brytania, a Nietzsche tak gardził Niemcami, że uważał się za Polaka. W naszym kraju natomiast ludzie, którzy odmawiają złożenia dowodów polskości, są traktowani jako cudzoziemcy, a często i jako obcy agenci.

Panowie [mówił jego nauczyciel „historii i literatury ojczystej”], któryż inny naród był Męszaszem narodów? Przedmurzem chrześcijaństwa? Któryż inny miał księcia Józefa Poniatowskiego? Jeśli chodzi o liczbę geniuszów, prekursorów zwłaszcza, mamy ich tyleż co cała Europa. I znieśnacka rozpoczynał: — Dante? — Ja wiem, panie profesorze — zrywałem się zaraz — Krasinski! — Molière? — Fredro! — Newton? — Kopernik! — Beethoven? — Chopin! — Bach? — Moniuszko! — Panowie widzicie sami — kończył. — Język nasz stokroć bogatszy od francuskiego, który przecież uchodzi za najdoskonalszy. ... Polacy, panowie, byli zawsze leniwi, gdyż lenistwo nieodłącznie idzie w parze z wielkimi zdolnościami. ... Polacy są narodem dziwnie sympatycznym... dlatego też Szwedki, Dunki, Francuzki i Niemki przepadają za nami, leez my wolimy nasze Polki, boć ich uroda sławna na świat cały.

Otóż w takiej atmosferze prawdziwa wiedza historyczna jest niemal niemożliwa. Historia jest dla Polaków mitem „dla pokrzepienia serc”, a nie próbą zrozumienia własnej przeszłości i teraźniejszości. Historia — jedno z najstarszych zajęć ludzkich — pojawiła się jako nauka stosunkowo niedawno, gdyż rozdział pomiędzy bezkrytycznie przyjmowanymi założeniami wartościującymi a bezstronnym spojrzeniem na rzeczywistość jest w niej o wiele trudniejszy niż np. w badaniach natury. Jednym z podstawowych warunków naukowej historii — warunkiem, którego nie spełniają nawet tak wielkie dzieła literackie jak *Wojna peloponeska* Tukidydesa — jest zdolność spojrzenia na opisywaną przez siebie kulturę w świetle problemów uniwersalnych, nie ograniczonych do plemiennego punktu widzenia. O nowoczesnej nauce historii można mówić dopiero od czasu, gdy historyk mógł przywołać do pomocy metodologiczne zdobycze nauk społecznych, takich jak antropologia czy socjologia. Historia „dla pokrzepienia serc” jest natomiast formą mitologii maskującą się jako nauka. W najlepszym przypadku jest to literatura piękna.

Dlatego też jestem przekonany, że pomimo wpajania dzieciom polskim sporej ilości faktów z „historii ojczystej” — ilości na ogół większej niż to ma miejsce w wielu krajach Zachodu — Polacy są w większości historycznymi analfabetami. Zupełnie niezależnie od komunistycznych zniekształceń, nauczanie historii jest w Polsce formą *socjalizacji*, wpajaniem norm narodowej mitologii, a nie wyrabianiem prawdziwej świadomości historycznej. Obsesja narodowa, w której szponach znaleźliśmy się od czasów romantycznych, zniekształciła nasz obraz przeszłości w sposób tak radykalny, iż jestem przekonany, że nie jesteśmy już w ogóle w stanie zrozumieć czym była, na przykład, Polska w latach przedrozbiorowych. Ilość powtarzanych bez przerwy i powszechnie przyjmowanych oczywistych bzdur na temat stosunków narodowościowych w dawnej Polsce, problemów religijnych, wolności

politycznej, podziału klasowego, systemu prawnego itd. jest tak zastraszająca, że nawet jeśli ktoś chce dotrzeć do prawdziwego obrazu tamtych dni, to tylko ze zdziwieniem spostrzeża, iż nasz mit historyczny jest studnią, do której choćbyśmy nie wiem jak głęboko zajrzeli, to zobaczymy tam zawsze tylko naszą własną, poromantyczną podobiznę.

Sytuacja jest w pewnym sensie jeszcze gorsza, gdy idzie o historię czasów nowszych. Anachronizm historii przedrozbiorowej zamienia się tu bowiem w półprawdę historii poromantycznej. Świadomość nowoczesnego Polaka została oczywiście w dużej mierze uformowana przez romantyczną mitologię (i to do tego stopnia, że nawet pojawiające się co jakiś czas próby „odbrązowienia” były w nią zdecydowanie uwikłane), jako że w historii czasów nowszych niknie już groźba projekcji naszej własnej mentalności na mentalność naszych ojców. Ta pozorna zgodność faktów historycznych z naszą narodową mitologią jest jednak pułapką jeszcze groźniejszą niż anachronizm historii czasów przedrozbiorowych. Bo choć Polacy w czasach nowszych byli już ukształtowani przez romantyczny etos, życie społeczeństwa („narodu” wołałby powiedzieć Polak, bo inni mają „społeczeństwa” — my mamy „naród”) nie sprowadza się do obrazu jaki ma ono o sobie. Jedną z podstawowych cech nowoczesnych nauk społecznych jest próba rozgraniczenia rzeczywistych mechanizmów społecznych od ich obrazu w oczach tych, którzy wchodzi w skład danej społeczności. Toteż jeśli chcemy wyjść poza półprawdy naszej nowszej historii, musimy zrozumieć nie tylko mentalność naszych ojców, lecz również i te procesy społeczne, które ich życie kształtowały. Prawdziwy historyk nowoczesnej Polski musi z jednej strony zrozumieć romantyczną samo-interpretację Polaków i właściwie ocenić jej wpływ na rzeczywiste działanie historyczne, ale z drugiej strony musi on również ująć sam ten światopogląd w szersze ramy, które nadają mu sens nie wyznawanej, lecz *analizowanej* przez historyka ideologii. Nie może on więc ani przyjmować naszej mitologii historycznej za rzeczywistość, ani też zając w stosunku do niej postawy polemicznej, która miałaby ten mit zupełnie zniszczyć i przedstawić rzeczywistość jako jego odwrotność. Obie te postawy są bowiem przez tę mitologię historyczną zdeterminowane, tak jak zdeterminowane jest przez ideologię komunistyczną zarówno komunistyczne zafałszowywanie historii jak i jej antykomunistyczne odwrócenie. Prawdziwa historia Polski nie ma ani brązować, ani odbrązowiać; ma ona po prostu przeszłość opisać i poddać metodologicznie kontrolowanej interpretacji.

Mam nadzieję, że czytelnik wybaczy mi ten długi wstęp do mojego właściwego tematu: omówienia wydanej ostatnio książki Jana Tomasza Grossa. Wagi tej książki nie sposób jednak zrozumieć bez odpowiedniego przygotowania. Jest to bowiem praca napisana przez Polaka, ale ani „polska”, ani „niepolska”. Napisana została po angielsku i to jest może jedyny tryumf, jaki polska mitologia nad Grossem odniosła⁴. Pisząc po angielsku, i częściowo przynajmniej dla anglosaskiej publiczności, Grossowi łatwiej było jednak uniknąć uwikłania w owe analityczne prawdy polskiej mentalności. Uniknął on również pokusy charakterystycznej dla wielu prac pisanych przez Polaków w obecnych językach, a mianowicie pokusy stania się ambasadorem polskiej mitologii w świecie zachodnim. Gross wie oczywiście o Polsce więcej niż jakikolwiek cudzoziemiec mógłby się kiedykolwiek nauczyć. Ale jego wiedza jest tylko wiedzą, a nie formą wtajemniczenia w misterium, które stanowi o wyższości Polaków nad wszystkimi innymi narodami. W swojej książce informuje on czytelnika, a nie poucza go, i obraz przez Grossa przedstawiony ma wartość całkowicie uniwersalną. W bardzo istotnym sensie Polak, który zna oczywiście wiele z faktów przez Grossa opisywanych, może się z jego książki nauczyć więcej niż nieobeznajomiony z nimi cudzoziemiec. Może on bowiem nauczyć się myśleć. Po prostu myśleć.

Książka Grossa jest próbą przedstawienia niemieckiej okupacji Polski jako skrajnego przypadku katastrofalnego rozkładu istniejącego systemu społecznego. Tego typu przypadki graniczne są z reguły bardzo ciekawym tematem analizy mechanizmów społecznych, bowiem ujawniają wiele niewidocznych w normalnych czasach procesów. Ogólnym problemem, który interesuje Grossa, jest sprawa stosunku siły i praworządności, w życiu społecznym. Niemiecką okupację Polski charakteryzuje zamiar oparcia władzy wyłącznie na sile i przemocy. Ludność polska została wyłączona spod prawa i poddana polityce „nieograniczonego wyzysku”. Otóż w analizie swojej Gross stara się wykazać, że zorganizowanie społeczeństwa na tych zasadach jest nie tyle niemoralne, co po prostu zupełnie niemożliwe. Przemocą można społeczeństwo fizycznie zlikwidować, lecz nie można nim rządzić. Wszelkie poza anihilacją cele okupanta, nawet jego cel wyzyskania do

4. Gross mieszka od dziesięciu lat w Ameryce, gdzie jest obecnie profesorem socjologii w Yale. Nie bądźmy jednak zbyt surowi: do wygnania Grossa z Polski przyczynił się komunizm nie mniej od polskiego nacjonalizmu. Co jest jednak być może najsmutniejsze to fakt, że doktryny te wydają się coraz bardziej zlewać w mentalności niektórych Polaków.

maksimum ludności okupowanej, wymagają jakiegoś *modus vivendi* pomiędzy obiema stronami i oparcia ich relacji na częściowym przynajmniej poszanowaniu wzajemnych interesów. Bez jakiegoś systemu legitymizacji władzy, bez odpowiednich mechanizmów wymiany społecznej, *żaden* cel polityczny nie jest osiągalny. Praworządność (w bardzo szerokim znaczeniu) nie jest tylko normą pożycia społecznego; jest ona również faktem i koniecznością. Jeśli władza usiłuje się kiedykolwiek oprzeć wyłącznie na przemoc, to traci zupełnie kontrolę nad podstawowymi procesami społecznymi i alternatywne metody współżycia rozwijają się od niej niezależnie. Opis tego typu procesów na przykładzie społeczeństwa polskiego pod okupacją niemiecką jest właśnie głównym tematem książki Grossa.

Książkę tę można oceniać na wielu płaszczyznach. Po pierwsze, zawiera ona ogromną ilość faktów, czasami zupełnie lub prawie zupełnie nieznanymi, które modyfikują poważnie standardowy obraz niemieckiej okupacji. Nie jestem z zawodu historykiem i nie podejmuję się szczegółowej oceny solidności źródeł przytaczanych przez Grossa. Powiem więc w tej sprawie tylko jedno. Widziałem kilka lat temu pierwszą wersję pracy Grossa. Była ona naszpikowana faktami i nieco rozwlekła. W ostatecznie opublikowanej natomiast wersji Gross potrafił znaleźć odpowiednią równowagę pomiędzy materiałem faktycznym a jego interpretacją. Jego książkę czyta się z zapartym tchem. Tok rozumowania jest w niej zawsze starannie udokumentowany, lecz nie gubi się w lawinie faktów. Materiał faktyczny pojawia się zawsze naturalnie, dostarcza czasami (szczególnie w przypisach) elementu anegdotycznego, pozwalającego czytelnikowi na moment odprężenia, dostarcza mu istotnych statystyk, lecz nie przeciąża potoku opowieści. Czytając książkę Grossa widzi się od razu, że wie on o wiele więcej niż pisze i że ogranicza się tylko do tego, co jest bezpośrednio związane z jego tematem. Jest to zaleta nieczęsto spotykana we współczesnych pracach historycznych.

Po drugie, Gross nie pisze zwykłej książki historycznej. Jak sam wyjaśnia w swej przedmowie, stara się on połączyć badania historyczne z analizami socjologicznymi i zastosować swoją teoretyczną wiedzę o społeczeństwie do analizy konkretnego przypadku. Niebezpieczeństwa tego podejścia są oczywiste. Bardzo łatwo można bowiem w ten sposób zagubić konkretność opisywanych przez siebie wydarzeń i zagalopować się w zbyt daleko posuniętych uogólnieniach. Jednym z największych osiągnięć Grossa jest właśnie uniknięcie tego niebezpieczeństwa. Socjologia służy w jego książce analizie historycznej, a nie odwrotnie. Pozwala mu

ona wznieść się ponad czysto zdroworozsądkowe podejście do oceny wydarzeń i ujrzeć ukryte procesy, które wymykają się często historykom, nawet specjalistom od tzw. historii społecznej. Jego socjologiczna metodologia pozwala mu widzieć *więcej*, a nie mniej, konkretnych procesów, uszczególnia, a nie uogólnia, jego analizę społeczeństwa polskiego pod okupacją. Jak już powiedziałem, Grossa interesuje na przykładzie Polski problem szerszy i bardziej uniwersalny. Ale nie zamierza on po prostu generalizować polskiego doświadczenia i nie proponuje przepowiedni czy wyrokowania dotyczących innych konkretnych sytuacji. Jego uogólnienia mają charakter socjologiczny, a nie historyczny; nie odkrywa on „praw historii”, lecz zamierza z historii konkretnego przypadku wyczytać społeczny sens historycznego doświadczenia.

Po trzecie, Gross jest jako historyk nietknięty polską mitologią. Nie czyni on Polaków ani lepszymi, ani gorszymi niż są. Problemy moralne uwikłane w sytuację Polski okupowanej nie są mu oczywiście obojętne i nie jest on obiektywny w sensie wstrzymywania się od oceny wydarzeń tamtego okresu. Obiektywność historyka nie polega jednak na tym, aby problemy moralne ze swej analizy usunąć. Polega ona raczej na próbie zrozumienia kontekstu społecznego tych problemów i zintegrowania ich analizy w szersze ramy wyjaśniania wydarzeń. Nie pisze on historii sakralnej, lecz historię świecką i jego zadaniem nie jest atak lub obrona zastanych stereotypów, lecz opis i wyjaśnianie. Otóż Gross wybrał sobie za temat ten okres historii Polski, w którym ideał romantycznego heroizmu zabarwiał całe życie i właśnie ten okres przedstawił tak, jak go widzi nie apologeta, lecz historyk. Proszę mnie źle nie zrozumieć: Gross nie pokazuje bynajmniej, że Polacy nie zachowywali się heroicznie. Ale fakt ten nie jest dla niego założeniem, które jego analiza ma potwierdzić na chwałę narodu. Jest to raczej sam *przedmiot* analizy. I ta „świeckość” jego książki jest być może w kontekście polskim jej osiągnięciem największym.

Obiektywność podejścia Grossa ujawnia się już w pierwszym rozdziale, dotyczącym międzywojennego Dwudziestolecia. Nie ma w tym rozdziale faktów zaskakujących, bo jest on raczej wprowadzeniem dla czytelnika nieobeznanego z historią Polski. Ale jego streszczenie jest dla Polaka zaskakujące, gdyż od *każdego* opisu Dwudziestolecia, czy ma on być laurką, czy też karykaturą, spodziewamy się pewnych kluczowych określeń, do których tak już przywykliśmy, że język, który ich nie używa, zaskakuje nas swoją nowością. W rozdziale tym Gross wskazuje na obiektywne trudności związane z formowaniem się państwa polskiego, konieczność

wcielenia w życie ideałów wolnościowych, jakie przyświecały Polakom w ich walce o niepodległość, brak rzeczywistych tradycji demokratycznych, skomplikowaną strukturę narodowościową i nieudolność nowych władz w rozwiązywaniu tych wszystkich problemów. W rządach sanacji widzi on próbę stworzenia nowego autorytetu władzy, w której zrozumiałe niezadowolenie z istniejących instytucji demokratycznych przemienia się powoli w pogardę dla demokracji w ogóle. Rządy sanacyjne określa Gross jako autorytarne, a nie demokratyczne, lecz również pokazuje, iż być może ten właśnie autorytaryzm przeciwdziałał wyraźnie faszystowskim i totalitarnym skłonnościom obozu narodowego. W telegraficznym skrócie ukazuje nam się tutaj skomplikowany obraz międzywojennej Polski, w której ideał jedności narodowej nie pokrywa się w praktyce z rzeczywistą fragmentaryzacją społeczeństwa.

Analiza Polski międzywojennej pozwala Grossowi wyjaśnić w Rozdziale V fakt, że nie powstały w Polsce w czasach okupacji żadne poważniejsze grupy kolaboracyjne. Nie umniejszając bynajmniej postawy Polaków wobec okupanta, Gross pokazuje, że na kolaborację nie było w Polsce nie tylko ochotników, lecz przede wszystkim również warunków. Po pierwsze, ideologia rasizmu czyniła Niemców w ogólności niechętnymi do szukania wśród Polaków kolaborantów (w czym sytuacja Polski różniła się znacznie od sytuacji na Zachodzie). Po drugie, niemiecka polityka „nieograniczonego wyzysku” czyniła też kolaborację bardzo nieatrakcyjną dla Polaków. Po trzecie, wreszcie, gdyby nawet Niemcy chcieli znaleźć w Polsce kolaborantów, to zastana przez nich fragmentaryzacja społeczeństwa polskiego i brak uprzednio zalegitymizowanej władzy uczyniłyby ich próby beznadziejnymi. Nie było bowiem w Polsce nikogo, kto miałby odpowiedni autorytet moralny i polityczny w kraju, aby móc pozwolić sobie na kolaborację i uczynić dla Niemców kompromis sensownym. Jedyne kryterium nowej legitymizacji mogła być tylko postawa w stosunku do Niemców opozycyjna. Nie mogli też Niemcy oprzeć się w Polsce na mniejszościach narodowych, bo z Żydami nie chcieli żadnego porozumienia, a inne niezadowolone mniejszości, przynajmniej do roku 1941, nie były czynnikiem istotnym w ramach Generalnej Guberni (gdyż wyłączała ona tereny zajęte przez Rosjan).

Gross odróżnia jednak kolaborację, tj. formę *politycznej* współpracy z okupantem, od kooperacji, tj. form ekonomicznego współistnienia i udziału ludności okupowanej w lokalnej administracji. W obrazie Polski całkowicie zjednoczonej w walce z oku-

pantem sprawa ta wymyka się na ogół szczegółowej analizie. Gross pokazuje jednak, że ogromna ilość Polaków była zatrudniona w niemieckich władzach lokalnych i wskazuje na niezwykle trudny dla nich problem określenia miary dozwolonej współpracy. Do czasu uformowania się wielkiego Podziemia, które zaczęło zastępować normalne kanały kształtowania się norm społecznych, Polacy, a szczególnie wysokokwalifikowani eksperci, dla których nie było żadnego miejsca w prymitywnym życiu gospodarczym okupowanego kraju, znaleźli się w sytuacji, w której oferta pracy dla władz niemieckich dawała im pewne bezpieczeństwo osobiste a zarazem możliwość ograniczonego służenia interesom polskiej ludności. Paradoksalnie do pewnego stopnia, współpraca z okupantem była jednak znacznie gorzej przyjęta przez ludność na wsi niż w mieście, chociaż wieś była Niemcom, przynajmniej w pierwszym okresie, o wiele mniej niechętna. Gross tłumaczy to zjawisko tym, że współpraca z Niemcami na wsi nie wymagała od Polaków niemal żadnych kwalifikacji i że w odróżnieniu od miejskich ekspertów, z którymi Niemcy musieli się do pewnego stopnia liczyć, ich funkcjonariusze na wsi byli całkowicie wymienni i od Niemców zależni.

Kooperacja ekonomiczna to zupełnie specjalna tematyka w książce Grossa. W trzech rozdziałach następujących po ogólnym wprowadzeniu Gross poddaje szczegółowej analizie niemiecki system okupacyjny. Po pierwsze, rozprawia się z powszechnie przyjętym (przynajmniej wśród laików) mitem niemieckiego porządku. W samych Niemczech Hitler wprowadził system o wielu cechach feudalnych i zniszczył większość normalnych mechanizmów rozwiązywania problemów społecznych. Zasada wodzostwa (*Führerprinzip*) pokładała całą władzę i odpowiedzialność w rękach ludzi mianowanych przez Hitlera i czyniła niemożliwym ustalenie jakichś stałych kompetencji urzędowych. Administracja hitlerowska była labiryntem osobistych konfliktów, mnożących się urzędów i stanowisk, które nie miały określonego zakresu uprawnień i prowadziły w rezultacie do powstania ogromnej i niewydolnej biurokracji. Totalitaryzm Hitlera był w stanie zmobilizować wielkie siły na krótki okres czasu i na wąskim odcinku działania (symbolem tego zjawiska był *Blitzkrieg*), lecz jakiegokolwiek planowanie i porządek były niemożliwe w skali społecznej i długofalowej. Okupacja w Polsce była tylko jeszcze jednym przykładem tego ogólnego problemu. Niemcy nie mieli pojęcia, czego naprawdę w Polsce chcą i kształt ich władzy okupacyjnej był wypadkową personalnych konfliktów, ideologicznych wymogów narodowo-socjalistycznej doktryny i konieczności praktycznego za-

rzządzania. Jedynie cel nieograniczonego wyzysku stanowił wspólny element ich ciągle zmieniającej się polityki, lecz jak już referowałem, sam ten cel był o tyle nieosiągalny, że skazywał Niemców na ciągłe uciekanie się do terroru, który nie mógł przynieść pożądanego przez nich samego rezultatu. Polacy, nawet gdyby chcieli, nie mogli z Niemcami współpracować na tych zasadach, ponieważ oznaczało to po prostu śmierć głodową. W interesie obu stron leżało więc znalezienie jakiegoś *modus vivendi* i chcąc nie chcąc Niemcy musieli się na to zgodzić. *Modus vivendi* Polaka z okupantem stanowiła korupcja.

Rozdział poświęcony korupcji jest absolutnie centralny w książce Grossa, dostarcza bowiem teoretycznego modelu rozwoju alternatywnych form współżycia społecznego. Korupcja w Generalnej Guberni doprowadziła z czasem do powstania tak rozległych połaci nielegalnej współpracy pomiędzy okupantem a okupowanymi, że tylko poprzez te spontaniczne mechanizmy społeczne obie strony mogły zaspakajać swoje zasadnicze potrzeby. Po pewnym czasie Niemcy nie tylko nie zwalczali już aktywnie czarnego rynku, lecz byli jednym z głównych jego dostawców i klientów. Nawet benzyna dla armii niemieckiej musiała być skupywana na czarnym rynku (zostawszy oczywiście uprzednio nań sprzedana przez odpowiedzialne władze). Co więcej, obie strony znalazły wygodną racjonalizację dla takich form współpracy: Polacy widzieli w czarnym rynku nie tylko jedyny sposób utrzymania się przy życiu, lecz również formę sabotowania oficjalnej gospodarki i walki z niemiecką polityką. Niemcy natomiast nie tylko wykupywali na czarnym rynku potrzebne im towary, lecz również widzieli w tym dalszy ciąg swej polityki eksploatacji, gdyż zakupy na czarnym rynku pokrywali drukowanymi przez siebie bez ograniczeń pieniędzmi. Tak więc, jak mówi Gross, „obu stronom było nie tylko na rękę łamanie reguł, które miały ustalać ich wzajemne stosunki, lecz również obie strony znalazły normy, które zachowanie takie usprawiedliwiały” (str. 154). Jedynym słabym punktem w Grossa analizie korupcji jest to, że nie mógł on znaleźć dokładnych statystyk dotyczących rozmiarów korupcji w Generalnej Guberni i musiał się oprzeć po części na niezbyt precyzyjnych analogiach z innymi krajami okupowanymi.

Przed przejściem do omówienia działalności i znaczenia Podziemia w Generalnej Guberni, Gross poświęca jeszcze dwa rozdziały przygłębiającej analizie wpływu okupacji na warunki życia ludności, a w szczególności na konsekwencje społeczne okupacji i na problemy narodowościowe. W pierwszym z tych rozdziałów

pokazuje on głęboką destabilizację społeczną, jaką przyniosły lata okupacyjne. Dawne zasady podziału klasowego ustąpiły miejsca nowemu egalitaryzmowi, opartemu na spekulacyjnej gospodarce czarnorynkowej, wraz z jej nienormalną strukturą, naciskiem na pośredników, błyskawicznymi zyskami i stratami, moralną dwuznacznością etc. Szalony wzrost alkoholizmu, popierany zresztą świadomie przez Niemców; rozkład tradycyjnej struktury rodzinnej, spowodowany tym, że rodzice nie byli w stanie zapewnić swym dzieciom normalnej egzystencji i młodzież niezwykle wczesnie uniezależniała się od rodziny; zniknięcie normalnych dróg komunikacji społecznej i związane z tym niesłychane rozpowszechnianie się plotek i pogłosek; powstawanie systemu, w którym informacja oceniana była wyłącznie ze względu na lojalność (a niekoniecznie wiarygodność) źródła; dwuznaczność „heroicznej socjalizacji” (tj. wychowania młodzieży w duchu całkowitej koncentracji na walce o niepodległość), polegająca na całkowitym pominięciu normalnego pokojowego wychowania politycznego i obywatelskiego, gloryfikacja czynów w normalnych czasach niedopuszczalnych etc. — wszystkie te procesy wskazują na trwałe zmiany w systemie społecznym i głębokie podważenie uprzedniego normatywnego porządku. W drugim rozdziale, poświęconym problemowi narodowościowemu, Gross koncentruje swoją analizę na stosunkach polsko-ukraińskich. Rezygnuje on, moim zdaniem słusznie, z analizy problemu żydowskiego, zauważając, iż nie tylko zasługuje on na zupełnie oddzielne potraktowanie, lecz również nie należy w pewnym sensie do tematu ze względu na zarówno fizyczną jak i moralną izolację społeczności żydowskiej z życia polskiej ludności⁵. W swej analizie stosunków polsko-ukraińskich pokazuje natomiast Gross ogrom alienacji pomiędzy tymi narodami i rozmiar rzezi, do jakiej alienacja ta doprowadziła.

Rozważywszy sprawy związane ze stosunkami pomiędzy okupantem a okupowanymi, Gross przechodzi następnie do dwóch rozdziałów, w których omawia znaczenie i strukturę Polski podziemnej. Aby nie być bezkrytycznym, muszę zauważyć, że ta część książki Grossa jest nieco słabsza od pozostałych. Nie jest ona pozbawiona niezwykle ciekawych analiz, lecz synteza mate-

5. I tutaj Gross ma jednak coś ciekawego do dodania do polskiej historiografii. Cytuje on bowiem niezwykle autorytatywne (bo pochodzące z raportu komentanta Armii Krajowej) stwierdzenie antysemickich nastrojów w okupowanej Polsce, wyłączone z publikowanych w Londynie dokumentów. W przypisie wskazuje też na ciekawy fakt, że wyłączenie Żydów z niemieckiego programu wywózki na roboty przymusowe stworzyło sytuację, w której wielu Polaków uważało w pierwszych latach wojny pozyję Żydów za uprzywilejowaną.

riału historycznego i socjologicznej interpretacji nie jest tu tak udana jak w rozdziałach poprzednich. Rozdział dotyczący struktury Podziemia jest przeładowany faktami, zaś rozdział zatytułowany „Podziemie jako ruch społeczny” jest z kolei nieco zbyt ogólny. Ponieważ Gross twierdzi, że Podziemie stanowiło nie tylko, a nawet nie przede wszystkim, ruch walki zbrojnej z okupantem, lecz również kontynuację niezależnego życia społecznego Polaków, analiza ruchu podziemnego zajmuje w jego książce za mało miejsca. Ogranicza się ona praktycznie do dwóch elementów: wyjaśnienia faktu, że Podziemie przybrało w Polsce bardzo prędko tak ogromne rozmiary i ukazania jego zdecentralizowanej, demokratycznej natury, wykraczającej daleko poza czysto militarne działania. Tłumacząc rozmiary Podziemia, Gross stara się wskazać na te czynniki, które sprzyjały działalności nielegalnej. Pokazuje on tutaj, że niemiecki system okupacyjny nie pozostawiał wielu ludziom, a w pewnym sensie całemu społeczeństwu, żadnej alternatywy do działalności nielegalnej. Nie tylko nie zaspokajał on podstawowych potrzeb duchowych ludności i pozostawiał ją w stanie normatywnej próżni, lecz również poprzez swoją politykę zupełnie arbitralnego terroru nie narażał konspiratorów bardziej niż innych na represje. Wręcz przeciwnie, Podziemie było w stanie dać człowiekowi pewne poczucie bezpieczeństwa, zagwarantować mu lepsze papiery, nauczyć unikania zastawianych przez okupanta pułapek etc. Co więcej, Podziemie dysponowało bardzo znacznymi funduszami i było w stanie nie tylko udzielać swym członkom doraźnej pomocy, lecz również zagwarantować minimum ekonomicznej egzystencji. Jeśli zaś idzie o strukturę Podziemia, to Gross stara się pokazać, że zarówno wewnętrzna sytuacja w kraju jak i bankructwo polityczne sanacji przyczyniły się znacznie do demokratycznej postaci Podziemia. Możliwości bezpośredniej walki zbrojnej z Niemcami były w warunkach okupacyjnych ograniczone. Pod względem militarnym akcja podziemna musiała się ograniczać do sporadycznych ataków, mających znaczenie głównie moralne, oraz przygotowywania przyszłego powstania, które miało wybuchnąć w obliczu nadejścia aliantów. Warunki polskie nie sprzyjały specjalnie walce partyzanckiej, a i Armia Krajowa, szczególnie wobec trudności kontrolowania poszczególnych band partyzanckich, nie była specjalnie przychylna ich powstawaniu. Główną funkcją Podziemia była więc nie tyle walka zbrojna ile kontynuacja niezależnego życia społeczno-politycznego w okupacyjnych warunkach. Ogromna część działalności Podziemia to ochrona inteligencji polskiej przed zagładą, działalność edukacyjna, wydawanie niezwykle obszernej i zróżnicowanej prasy pod-

ziemnej, małe formy działania mające na celu podtrzymanie ludności na duchu etc. Przede wszystkim zaś Podziemie miało dostarczyć źródła autorytetu politycznego i moralnego, dostarczanego w warunkach pokojowych przez instytucje państwowe ustalające naczelne normy społecznego współżycia. Główne znaczenie Podziemia wiąże się więc nie tyle z jego działalnością *przeciw Niemcom* co z jego działalnością *na rzecz Polaków*.

Takie ujęcie roli Podziemia jest i nowe, i bardzo interesujące. Pozwala ono m.in. zrozumieć wielopłaszczyznowość jego działania i jego demokratyczną strukturę. Po klęsce wrześniowej Polska znalazła się w sytuacji całkowitej próżni politycznej. Niemcy, wraz z ich polityką wyzysku i terroru, nie mogli zastąpić dawnych kanałów ekspresji życia duchowego Polaków. Zaś bankructwo sanacji, szczególnie wobec jej uprzedniego już braku rzeczywistego autorytetu moralnego, sprawiło, że nie istniało również żadne naturalne centrum życia politycznego. Nadejście Niemców było w płaszczyźnie politycznej zjawiskiem czysto zewnętrznym, obecnością czysto fizyczną, a nie moralną. Paradoksalnie więc oznaczało ono w pewnym sensie istotną liberalizację polityczną. Wspólna postawa antyniemiecka jednoczyła wszystkie ruchy polityczne i dostarczała prostego kryterium lojalności i legitymizacji. Upadek sanacji wyzwoił natomiast dawne ruchy polityczne od autorytarnej i represyjnej polityki lat międzywojennych. Tłumione przez wiele lat życie polityczne odżyło więc w Podziemiu i znalazło błyskawicznie odpowiednie środki ekspresji dla swego duchowego bogactwa. Choć brak w książce Grossa pełnego obrazu tego bogactwa, dostarcza ona niewątpliwie nowego aparatu pojęciowego i odpowiednich ram analitycznych dla jego przyszłego uzupełnienia.

Wiadomo mi, że Gross pracuje obecnie nad następną książką dotyczącą historii Polski w latach drugiej wojny światowej. Tym razem bierze on na swój warsztat problem okupacji sowieckiej w latach 1939-1941.

Andrzej RAPACZYŃSKI

Janusz K. ZAWODNY

JESZCZE O „KURIERZE Z WARSZAWY”

„Kurier z Warszawy” był wzorowo streszczony przez Michała Borwicza w 47-mym *Zeszycie Historycznym*. Redaktor Giedroyc zasugerował mi dodanie komentarzy.

Zacznijmy od kryteriów oceny. Jan Nowak, to żołnierz Armii Krajowej, który do dzisiaj nie zdjął opaski A.K. To przedstawiciel „Zdruzgotanego pokolenia” Polski Walczącej: tych wspa-
niałych Karskich, Nowaków, Lerskich, Pomianów, którzy byli
zdolni do odwagi najrzadszego typu, bez świadków, bez munduru,
narażając się każdego dnia na śmierć, nawet bez prawa do
własnego imienia (bo mieli fałszywe nazwiska lub byli znani pod
pseudonimami).

Mimo że bez zastług — jak wyżej wymienieni — byłem żołnie-
rzem A.K., żyłem w Warszawie w czasie okupacji i Powstania.
Stąd moja chęć zrozumienia i wczucia się w psychologiczne pod-
łoże spraw, o których pisze Nowak i moja dobra wola, oraz
kontrola w unikaniu osobistych, krańcowych sądów. Zachowa-
nie ludzkie jest wykładnikiem funkcji, której służy. Aby je zro-
zumieć, konieczne jest dogłębne poznanie klimatu psychicznego
i wartości operacyjnych, w których wojskowe i polityczne decyzje
były podejmowane w czasie i warunkach w Warszawie 1944 roku.

Nasz emigracyjny „narodek” jest, jak mówili na Starówce,
„niemożliwy”. Bez normalnej cyrkulacji społecznej, bez kontaktu
z przemianami wartości kulturalnych i językowych w Kraju, jes-
teśmy pod-grupą, która ma własny dynamizm rozwiązywania
problemów i własne kryteria lojalności, a między innymi przed-
stawiania historii tak, aby „ładnie wyglądało”. Z drugiej strony,
tego rodzaju psychoza powoduje kontrreakcje pisania „aby wy-
glądało brzydko”, bez względu na dowody, lub — co gorzej —
kiedy tych dowodów brak. Naukowcy emigracyjni są w konflik-
cie z samymi sobą jeśli idzie o rozróżnienie między faktami
(dowodami) a percepcją (interpretacją). Pod tym względem książ-
ka Nowaka, według mojej opinii, jest najlepszą pracą, dotyczącą
walki w Kraju, historii A.K. oraz Powstania, jaka dotąd ukazała
się na emigracji i w Polsce.

Jako kurier A.K. Jan Nowak miał dostęp do oficjalnych i nie-
oficjalnych źródeł na najwyższym szczeblu wojennego Londynu
i w Kraju pod okupacją. Jego zdolność oddzielania własnych
opinii od raportowanych faktów jest, w postaci jego książki,
cennym darem dla przyszłych pokoleń badaczy i Polaków. Podaje
nam fakty nowe, weryfikuje przypuszczenia i pokazuje realia.
Fakty bardzo ciekawe (przynajmniej dla piszącego to omówienie):
— w 1939 roku, po zdobyciu Warszawy, Hitler przyjął defiladę
swojej armii w tym mieście. Z wiedzą gen. Tokarzewskiego zało-
żono „dwa olbrzymie ładunki materiałów wybuchowych”, aby
go zabić. Ładunki te nie zostały zdetonowane wskutek niesprzy-
jających okoliczności. — Polski wywiad miał dostęp do ambasady
japońskiej i niemieckiej w Sztokholmie.

Oceny Nowaka dotyczące polskiej elity politycznej i wojsko-
wej w Londynie i w Kraju są bardzo ważnym kluczem do
zrozumienia stosunków między tymi dwoma ośrodkami. W Kraju
„obóz sanacyjny nie miał żadnego oparcia w społeczeństwie”

(s. 207). W „Londynie było odwrotnie... Sikorski i garstka mu oddanych ludzi byli w mniejszości, nie mieli prawie żadnego oparcia ani w wojsku, ani w dość licznej społeczności cywilnej” (s. 207). Sosnkowski i Mikołajczyk nie współpracowali: mieli niezgodnione koncepcje polityki wobec Związku Sowieckiego (s. 295). Gen. Sosnkowski chciał nawet doprowadzić do „wypowiedzenia wraz z wojskiem posłuszeństwa rządowi” (s. 435). Polski Londyn miał „tajne organizacje w wojsku, lotnictwie i w samym sztabie” (s. 208) i żył „w stanie permanentnej walki politycznej i personalnych rozgrywek” (s. 275). Bardzo ciekawa jest proroctwa wizja Mikołajczyka, rozmawiającego z Nowakiem w czerwcu 1944 roku:

„Rosjanie zajmą Polskę — to jest pewne, i zaanektują za zgodą Anglosasów ziemie wschodnie po Bug. Możemy przeciwko temu co najwyżej protestować, ale co tam protesty! — machnął lekceważąco ręką. Jeżeli Rosja będzie chciała zsowietyzować resztę kraju siłą i terrorem, nie mamy żadnej szansy. Ale to jest mało prawdopodobne. We Francji i w Niemczech wyłonią się po wojnie silne partie komunistyczne. Odstraszający przykład Polski odebrałby im wszelkie szanse. Sowietyzacja Polski przymocą nie może wyprzedzać zwycięstwa komunistów w zachodniej Europie. Jeżeli to rozumowanie okaże się trafne, nie można dopuścić do tego, aby powstała w kraju próżnia polityczna, bo wtedy komuniści sami ją wypełnią bez użycia przemocy. Trzeba więc dążyć do kompromisu i znaleźć się na miejscu. Anglosasi zakładają, że Rosjanie prowadzą jedynie politykę własnego bezpieczeństwa. Jeżeli tak jest, to Stalin mając do wyboru między komunistyczną mniejszością, wobec której ludność nastawiona jest wrogo, albo rządami ludzi, którzy mają za sobą większość, a równocześnie są gotowi do prowadzenia polityki sojuszu, może uznać, że w jego interesie leży to drugie. W pierwszym wypadku musiałby wobec Polaków prowadzić politykę pałki i knuta ze wszystkimi ujemnymi tego skutkami dla międzynarodowego komunizmu. W drugim — mógłby tego uniknąć. Widzę więc pewną możliwość, że za cenę zrezygnowania z naszej suwerenności i podporządkowania się Rosji w polityce zagranicznej, możemy uratować wolność wewnętrznego życia politycznego.

— Nie pytam się pana, jakie są pańskie poglądy — ciągnął dalej — ale zobowiązuję pana, aby pan powiedział naszym ludziom w kraju, że Mikołajczyk nie wierzy w wojnę między Rosją i Zachodem. Niech im pan powie — wybijał z naciskiem każde słowo — żeby w ogóle nie brali tej możliwości pod uwagę. W ciągu następnych dwudziestu, trzydziestu lat nie będzie wojny. Stoją przed nami dwa cele: ocalić biologiczne siły narodu i nie dać się skomunizować. Jedynym naszym atutem jest poparcie społeczeństwa. Ja osobiście wierzę w społeczeństwo. Musimy użyć tej karty dla wykazania, że jesteśmy gotowi do uczciwej

współpracy z Rosją. Armia Krajowa musi walczyć z Niemcami do końca i wspierać postępy Armii Czerwonej bez względu na trudności. Nie możemy dać się wypchnąć w ostatnim momencie z rodziny narodów sprzymierzonych" (str. 288, 290).

W Kraju było nie lepiej — jeśli chodzi o Komendę A.K. Były tarcia wewnętrzne (np. wysłanie gen. Tatara do Anglii ze smutnymi konsekwencjami dla losów A.K. i Powstania) oraz niezgodnione „biegunowo przeciwne koncepcje na przyszłość — nawet po Powstaniu — między Delegatem na Kraj, Jankowskim, a gen. Okulickim, Komendantem A.K.”.

Intelektualna uczciwość Nowaka poddana jest ciężkiej próbie gdy po powrocie ze Szwecji w 1943 roku (wbrew krajowym prądom) melduje płk. Rzepeckiemu z Komendy A.K., „że społeczeństwo (w Kraju) nie orientuje się w sytuacji, idealizuje Aliantów i wyolbrzymia znaczenie, jakie Anglosasi przywiązują do Polski” (s. 149). Mimo tego Biuro Informacji i Propagandy w Komendzie A.K. nie miało „rozeznania realiów położenia międzynarodowego... w 1943, ...przeceniano poważnie wpływ i pozycję rządu polskiego... pokładając olbrzymie nadzieje w sojusznikach zachodnich” (s. 158). „Departament Spraw Zagranicznych Delegatury Rządu żył również w krainie czarów”. Jego dyrektor, Knoll „... — podobnie jak wielu innych, wyobrażał sobie Polskę jako mocarstwo wsparte całą potęgą Stanów Zjednoczonych i Anglii, dyktujące przy stole konferencyjnym warunki pokojowe nie tylko Niemcom, ale i Rosji” (s. 159).

Wiosną 1944 roku Nowak — na podstawie obserwacji londyńskich i wglądu w dokumenty dyplomatyczne ambasady polskiej w Londynie — doszedł do wniosku, że „Rząd i społeczeństwo w Kraju walczyło o stracone pozycje” (s. 283). Pytanie niezmiernej wagi: Czy Nowak poinformował o tym Bora i Komendę A.K. po powrocie do Kraju przed Powstaniem? Zakładam że tak — w dniu 29 lipca 1944 roku — na trzy dni przed wybuchem Powstania. Następnego dnia rozmawiał z politykami Podziemia, oraz osobno z Delegatem Rządu na Kraj, Jankowskim (str. 317, 512, 513, 32, 323). Powstanie zaczęło się 1 sierpnia. Wcześniejsze przybycie do Warszawy uniemożliwiły Nawakowi machinacje londyńskie.

Nowak przyznaje, że w Anglii „po raz nie wiadomo który... oblany zostam bez litości zimną wodą” (s. 224). Jest to o tyle znamienne, że Nowak, to oficer z własnymi poglądami i inteligencją. Mimo, że miał tylko 30 lat był już wyrobiony politycznie i społecznie. Nic więc dziwnego, że ten człowiek z Polski Walczącej był zaszokowany dowiadując się od Prezydenta Raczkiewicza, że Churchill powiedział mu osobiście w 1943 roku, że „Anglia nie ma obowiązku ani zamiaru bronić polskiej granicy z Rosją” (str. 211-212). Co więcej — Nowak słyszał na własne uszy w angielskim parlamencie Churchilla, który publicznie po-

wiedział, że „deklaruje pełne poparcie dla sowieckiej aneksji ziem polskich aż po linię Curzona”. To było w 1944 roku, na pięć miesięcy przed wybuchem Powstania!!! (s. 249).

Jeśli idzie o sprawy Powstania Warszawskiego, 1944, to książka Nowaka będzie podstawowym źródłem przede wszystkim dla przyszłych pokoleń. Wiele kluczowych zagadnień zostaje naświetlonych. Na przykład przyczyny Powstania, widziane przez Delegata na Kraj, Jankowskiego: „...My tu nie mamy wyboru... Walki w mieście wybuchną czy my tego chcemy, czy nie... Czy Pan sobie wyobraża... że nasza młodzież, którą myśmy szkolili od lat, sposobili do tej chwili, daliśmy jej broń do ręki, będzie się biernie przyglądała, albo da się Niemcom wywieźć bez oporu do Rzeszy? Jeśli my nie damy sygnału do walki, ubiegną nas w tym komuniści... Stoimy wobec gigantycznego oszustwa, które ma przekonać i zagranicę i nasze własne społeczeństwo, że Polska sama dobrowolnie zakłada sobie obrozę na szyję, a wolę ludności reprezentuje sowiecka agentura. My nie możemy zachować się biernie wobec takiej gry” (str. 322-323).

Kto parł do Powstania?

„Zarówno Tatar w Londynie, jak i Okulicki w Warszawie pchali do Powstania — każdy na swój sposób — kierując się odmiennymi, a nawet przeciwstawnymi motywami. Obaj jednak w chwili gdy zapadły decyzje, zajmowali kluczowe stanowiska sztabowe za zgodą i wiedzą gen. Sosnkowskiego jako Naczelnego Wodza” (s. 436).

Gen. Okulicki sam się przyznał Nowakowi:

„Byłem od początku zdecydowanym zwolennikiem wyzwolenia Warszawy przez AK. Wystąpiłem z wnioskiem w tym duchu do Pełczyńskiego i okazało się, że w jego głowie już kiełkuje ta sama myśl. Poszliśmy razem do 'Bora', który też się z nami zgodził.

— Ja się nie będę uchylał — powiedział mi 'Niedźwiadek' [Okulicki] — jeśli ktoś powie, że inicjatywa wyszła ode mnie, ale w Londynie niech pan o tym nie rozpowiada, bo to może być wykorzystane przez ludzi, którzy niczego nie rozumieją.

.....

— Trudności — mówił Generał — zaczęły się dopiero, gdy przyszło do podjęcia decyzji, kiedy rozpocząć walkę. Z rosnącą niecierpliwością — mówił 'Niedźwiadek' — obserwowałem w tych dniach 'Bora', który wciąż się wahał, zastanawiał i okazywał wewnętrzną rozterkę. Nie licowało to wszystko z postawą dowódcy, który wobec podkomendnych musi okazywać stanowczość i zdecydowanie. Tymczasem 'Bór' kazał wszystkim po kolei wypowiadać się, raz po raz kogoś brał na bok, chwycił za gubik i wszystkich świętych prosił o radę. W końcu — mówił Okulicki

— zacząłem się niepokoić, czy 'Bór' kiedykolwiek zdecyduje się zacząć. Wyglądało już na to, że będzie zwlekał, wahał się tak długo, aż w końcu ubiegną nas albo komuniści, albo Armia Czerwona, albo Niemcy, którzy podejmą środki prewencyjne.

— Na ostatniej odprawie nie wytrzymałem — ciągnął dalej — i wybuchnąłem. Wygarnąłem 'Borowi', że z wyjątkiem Piłsudskiego Polska nie miała szczęścia do dowódców i dlatego przegraliśmy wszystkie nasze kolejne powstania. Przypomniałem Skrzyneckiego. Zarzuciłem mu kunktatorstwo i brak zdecydowania.

— Gdyby na miejscu 'Bora' był Anders, wyleciałbym z miejsca. Ale 'Bór' wysłuchał wszystkiego ze spuszczonymi oczyma, jeszcze kogoś zapytał o zdanie i zamykając odprawę oznajmił, że dziś nic nie będzie. Ale to, co powiedziałem, musiało mu gdzieś zapaść w duszę i nurtować, bo po południu tego samego dnia, kiedy byliśmy tylko we trójkę z 'Grzegorzem', zdecydował się zacząć, gdy dowiedział się od 'Montera', że sowieckie szpice pancerne znowu pojawiły się na Pradze" (str.382-383).

Co do samej decyzji, to Nowak cytuje swoją rozmowę z Borem:

„Generał mówił także, co słyszałem od innych, że sama zmiana planów 'Burzy' i powstania w Warszawie przeprowadzona po 20 lipca na wniosek Okulickiego była właściwie decyzją powziętą jednomyślnie, bez żadnych sprzeciwów i że on sam nie miał wtedy jakichkolwiek wahań i wątpliwości. Mękę rozterki przeżywał dopiero wtedy, gdy trzeba było powziąć ostateczną decyzję, czy już zaczynać, czy jeszcze za wcześnie. Wziął wtedy na bok Pełczyńskiego i zapytał: co wy byście zrobili na moim miejscu, zaczynać czy jeszcze czekać?

— Wy, a nie ja, jesteście dowódcą — odpowiedział Pełczyński. — Ostateczna decyzja należy do was. Ani ja, ani nikt inny was w tym nie wyreżyż!

Opowiadał także Generał, że na rannej odprawie 31 lipca, kiedy swoim zwyczajem każdego przy stole wzywał po kolei do wypowiedzenia opinii, Pełczyński powstrzymał się od wygłoszenia swego zdania, ograniczając się do zreasumowania i policzenia głosów za i przeciw" (s.432).

Na trzy dni przed Powstaniem Nowak doszedł do wniosku, że Komenda A.K. w Warszawie to grono wojskowych, „którzy doszli do przekonania, że muszą decydować sami na miejscu, nie oglądając się na Londyn" (s.320).

A jak myśleli ludzie, którzy byli odpowiedzialni za Powstanie po jego klęsce?

Delegat Jankowski: „... ja, Stanisław Jankowski, przyjmuję na siebie pełną odpowiedzialność... Uniknąć masakry można było tylko schodząc z placu i oddając ster dobrowolnie agenturze

sowieckiej. Wtedy prawdopodobnie Armia Czerwona nie zatrzymałaby się u progu miasta" (s. 377).

Bór i Pełczyński: Pełczyński — „...Tylko jednoznaczny i katerygoryczny rozkaz Naczelnego Wodza, wyraźnie zabraniający wystąpienia do otwartej walki o Warszawę, wydany we właściwym momencie, mógł zmienić naszą decyzję”; *Bór*: gdyby Nowak dotarł do Warszawy na tydzień wcześniej, jego sprawozdanie byłoby „wzięte pod uwagę” (s. 429).

A jak sam Nowak widzi Powstanie z perspektywy 34-ch lat?

„Trudno twierdzić by ci, którzy wydali rozkaz do Powstania, patrząc daleko w przyszłość przewidzieli wszystkie dalekosiężne skutki swej decyzji. Jednakże ze sposobu, w jaki gen. Tadeusz Pełczyński, a później Delegat Rządu, Stanisław Jankowski, zareagowali na mój raport wynikało, że położenie międzynarodowe, choćby najbardziej beznadziejne, nie było dla nich elementem rozstrzygającym. Decydowała troska o uratowanie ducha narodu.

Na osiem wieków przed Powstaniem — u zarania dziejów Polski padły pamiętne słowa Bolesława Krzywoustego: „wołę królestwo stracić niż oddać je w niewolę”. Można przegrać bitwę, a nawet wojnę, lecz ocalić naród. I tak się stało” (s. 443).

A jaka jest moja opinia?

Spędziłem 17 lat życia na emigracji studiując i wydając książki w języku angielskim na temat Katynia i Powstania Warszawskiego. Z zawodu jestem profesorem nauk politycznych, specjalizującym się w stosunkach międzynarodowych. Książkę Jana Nowaka przestudiowałem. Jeśli idzie o przyczyny Powstania to uważam, że do wydania definitywnego sądu nieodzowna jest znajomość następujących źródeł:

Osobowe: Pełne, szczerze, bez chowania się za parawan mistycznych frazesów, zdanie raportu Narodowi przez tych członków Komendy A.K., którzy jeszcze żyją. Mimo że odtworzono pewne sytuacje wizje lokalne — kto był obecny, kiedy i nawet co powiedział (Ciechanowski, Nowak) — to to wszystko jest opisem zewnętrznym, a nie anatomią wewnętrzną decyzji o Powstaniu. Pod egidą wzajemnego rozgrzeszenia, żyjący członkowie Komendy A.K. — choć ludzie prawi i gorący patrioci — unikają pełnego zeznania w sprawach Powstania. Dowody?

1) I Ciechanowski i ja staraliśmy się przez wywiady z byłymi członkami Komendy otrzymać prawdziwy obraz tego jak „zadziałał” Okulicki i na jakich przesłankach sterował Bora i Komendę A.K. ku Powstaniu; był to człowiek Sonsnkowskiego, przez niego osobiście odprawiony i zrzucony do Kraju wiosną 1944 roku. Ani Ciechanowski, ani ja nie uzyskaliśmy kompletnych odpowiedzi.

2) W ramach Komendy A.K. była zmowa zmierzająca do ode-

brania dowództwa Borowi w czasie Powstania — jak do tej pory ten fakt ukrywa się pod pozorem złe rozumianej lojalności.

3) Była myśl odebrania Monterowi dowództwa. Też o tym nic.

Dokumenty: Równie nieodzowne jest zbadanie następujących zbiorów: prywatnego archiwum Mikołajczyka (Stany Zjedn.); archiwum Roosevelta (Hyde Park, USA); archiwum Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej w Polsce; osobistego archiwum Churchilla; archiwum Sosnkowskiego (Stany Zjedn.), no i oczywiście archiwum Studium A.K. w Londynie. Ciechanowski w swoim uczciwym i pionierskim wysiłku, aby powiedzieć prawdę o genezie Powstania dotarł do jednego z nich. Osobiście jeszcze nie mam wszystkich dowodów na odtworzenie opartej na faktach pełnej genezy Powstania — tej (jak ją słusznie nazwał mjr Szudek) największej przegranej bitwy w ciągu 1000 lat istnienia Państwa Polskiego.

Stąd pytanie: Dlaczego Rząd Polski na wygnaniu nie powołał przez 35 lat specjalnej komisji do zbadania tej klęski? Na co Rząd czeka? Na śmierć wszystkich tych, którzy wzięli udział w decyzji?

Janusz K. ZAWODNY

Jan KOWALIK

ŻOŁNIERZ W TODZE

Książka amerykańskiego profesora nauk politycznych Janusza K. Zawodnego o Powstaniu Warszawskim, pt. *Nothing But Honour*, opublikowana ubiegłego roku w dwu stereotypowych edycjach przez Instytut Hoovera w *Stanford University* w Stanach Zjednoczonych oraz przez angielską firmę MacMillan w Londynie, zaczyna zdobywać rynek czytelniczy. W prasie i czasopismach naukowych mnożą się omówienia dzieła, a ostatnio paryskie *Zeszyty Historyczne* (Nr 45, 1978 r.) zaszczyliły je rzadko spotykaną formą recenzji-sympozjonu, w którym zabrało głos aż czterech emigracyjnych znawców przedmiotu. W tych warunkach wydaje się rzeczą słuszną przedstawienie czytelnikom także sylwetki autora.



Zacznijmy od życiorysu. Janusz Kazimierz Zawodny urodził się w roku 1921 w mieszczańskiej rodzinie w Warszawie. Mło-

dzieńczy akapit jego biografii zaczyna się zgodnie z narodową tradycją. Jako osiemnastoletni ochotnik zgłasza się do wojska w czerwcu 1939 roku, i przydzielony zostaje do 1 Kompanii 3 Baonu Obrony Narodowej. Bierze udział w Kampanii Wrześniowej aż do rozbrojenia jego Kolumny Samochodowej pod Włodzimierzem Wołyńskim 24 września. W marcu 1940 roku wstępuje do konspiracji, gdzie kończy szkołę podoficerską, szkołę podchorążych, a także pierwszy rok studiów prawniczych na tajnym uniwersytecie. Walczy w Powstaniu Warszawskim aż do dnia kapitulacji, dowodząc plutonem Armii Krajowej w działaniach na Starówce.

Na tym pierwszym odcinku żołnierskiej kariery dosłużył się: częściowego kalectwa słuchu, dwu blizn, Krzyża Walecznych, Krzyża Virtuti Militari, i pięciu grobów w rodzinie. Matkę wraz z dwunastoletnią siostrą wywieziono do Oświęcimia, a on sam znalazł się w transporcie jenieckim do obozów w Niemczech. Po latach zrekapitułuje to uwagą: *A very average Polish family*, i to jest prawdą, bo były to czasy inflacji bohaterstwa w Polsce. I jeszcze inną prawdę powie po latach amerykańskim studentom: *People do not die for facts, they die for their perceptions of facts*.

Dalsza część służby Zawodnego odbywa się poza krajem. Siedem miesięcy spędza w obozie jenieckim w Murnau, skąd po oswobodzeniu przez wojska amerykańskie udaje się do Włoch do 2-go Korpusu. Jakiś czas służy w 12 Pułku Ułanów Podolskich, a po uzyskaniu urlopu kontynuuje studia prawnicze na uniwersytecie w Rzymie. Następuje wyjazd Korpusu do Anglii, demobilizacja, i przykry okres PKPR. Kończy wtedy *London School of Foreign Trade*. Ostatnie miejsce postoju żołnierza polskiego na wyspach brytyjskich okazało się zarazem rozdrożem, skąd prowadziły tylko dwie drogi: jedna do ojczyzny skąd się wyszło, druga w świat „za chlebem”.

Zawodny wybrał tę drugą drogę, wyjeżdżając w roku 1948 do Stanów Zjednoczonych. W ramach kombatanckiej akcji pomocy żołnierzom-studentom udaje mu się wylądować na Stanowym Uniwersytecie w Iowa City. Tutaj kontynuuje studia w zakresie ekonomii i nauk politycznych, zarabiając emigranckim zwycięstwem na życie jako pomywacz, przy kopaniu rowów irygacyjnych u farmera etc. W Iowa spotyka przyjaznego sobie profesora Vernon Van Dyke'a, pod którego kierunkiem napisze w roku 1951 pracę na temat: „Odpowiedzialności za zbrodnię katyńską” i uzyska stopień magistra. Stosując się do rady profesora, Zawodny przenosi się do Kalifornii i zapisuje się na wydział nauk politycznych uniwersytetu Stanford, jednej z czołowych uczelni kraju, gdzie też doktoryzuje się w roku 1955. Swoją pierwotny zamiar przedstawienia tezy na temat legalizmu polskiego rządu emigracyjnego w Londynie musiał porzucić z braku zainteresowania „sponsorów”. Zastąpił ją bardziej atrakcyjnym tematem

Grievance Procedures in Soviet Factories, który opracował korzystając ze stypendium *Post-Doctoral Social Sciences Research*.

Lata stanfordzkie Zawodnego to czas intelektualnego dojrzewania i krystalizowania się decyzji co do kierunku zawodowej specjalizacji. Jest to także okres szukania kontaktów akademickich i wypracowywania własnej rygorystycznej metody pracy. Obserwowałem to z bliska, będąc przez jakiś czas jego *research* asystentem. A ponieważ z czegoś trzeba było żyć, Zawodny zatrudniony był równocześnie na stanfordzkim wydziale nauk politycznych jako asystent profesora, a później *research associate*.

Dojeżdżał też kilka razy w tygodniu do *San Francisco State College*, gdzie wykładał stosunki międzynarodowe. W tym samym mniej więcej czasie, wykorzystując cenne zbiory Instytucji Hoovera, zaczyna prace nad pogłębieniem i rozszerzeniem swej pracy magisterskiej, która po latach przyjęła ostatecznie formę znanej książki *Death in the Forest*.

Następne cztery lata Zawodny spędza na *Princeton University* jako instruktor i docent, dorabiając sobie ubocznie zajęciem konsultanta w znanej *Itek Corporation*, oraz w *Stanford Research Institute*. Kilka dalszych lat poświęca pogłębianiu własnego wykształcenia w dziedzinach psycho-socjologii. Studia te finansowane były przez *Princeton Faculty Research Grant*, przez Fundację Forda, oraz przez stanfordzki *Center for Advanced Study in the Behavioural Sciences*. Po tej przerwie Zawodny wraca do nauczania. Obejmuje najpierw katedrę nauk politycznych na *Washington University* w St. Louis, po czym, na okres przeszło dziesięciu lat, przechodzi do Filadelfii, na *University of Pennsylvania*, jako profesor zwyczajny. Wykłada tam stosunki międzynarodowe.

Filadelfijski okres kariery Zawodnego cechuje dalszy wzrost akademickiego uznania, oraz ugruntowywania się jego pozycji jako specjalisty w dziedzinie konfliktów społecznych.

Amerykańska Akademia Nauk Społecznych i Politycznych powierza mu zredagowanie tomu swego rocznika, poświęconego zagadnieniom niekonwencjonalnej wojny. W pięć lat później ukazuje się pod jego redakcją dwutomowy zarys encyklopedyczny *Man and International Relations*, wydany przez *Foreign Policy Research Institute*.

W roku 1975 zaproponowano Zawodnemu objęcie katedry stosunków międzynarodowych (*Avery Professor of International Relations*) w *Claremont Graduate School and Pomona College*, którą do dziś dnia piastuje, spełniając również przez jakiś czas obowiązki dziekana wydziału. Jest to prawdopodobnie ostatnie miejsce postoju w jego żołniersko-akademickiej karierze.

Bibliografia ważniejszych publikacji Zawodnego za okres przeszło dwudziestolecia nie odznacza się liczebnością tytułów. Co w niej uderza, to dwutorowość zainteresowań. Z jednej strony mamy do czynienia z eksploracją terenu ścisłych, socjo-psycho-

logicznych zainteresowań: a więc publikacje na temat niekonwencjonalnych metod walki, integracji i konfliktów społecznych; z drugiej, w dość znacznych odstępach czasu, Zawodny ogłasza historyczno-polityczne prace, o tak arcywłoskiej tematyce jak Katyń i Powstanie Warszawskie. Zapytałem go kiedyś o wyjaśnienie tej dwutorowości. Odpisał mi co następuje: „Dwukrotnie w ciągu mego życia popełniono wobec mej ojczyzny zbrodnie, które są zarazem zbrodniami przeciwko ludzkości. Jedną z nich był mord katyński, drugą była decyzja politycznego zwierzchnictwa sowieckiego nie udzielenia pomocy walczącej bohaterko Warszawie. Przysięgłem sobie, że jeśli Bóg pozwoli mi dożyć, to opowiem światu anglosaskiemu w jego własnym języku o tych dwu aktach niesprawiedliwości wobec Polski. Przygotowanie pracy o Katyniu zabrało mi pięć lat czasu, przygotowanie i publikacja książki o Powstaniu Warszawskim, zabrały mi mi dwanaście lat. Razem lat siedemnaście. Wypełniłem dane sobie przyrzeczenie”.

Nasuwa się pytanie, w jakim stopniu zamiar pokrył się z celem, który Zawodnemu patronował. Za wcześniej jeszcze na obiektywną, wszechstronną ocenę ostatniej jego książki. Percepcja każdego dzieła którego tematyką jest w równym stopniu wydarzenie historyczne, jak i zagadnienie polityczne o daleko sięgających międzynarodowych rozgałęzieniach, jest długotrwałym procesem, dojrzewającym tylko w atmosferze wolnej od uprzedzeń i zaciętrzewienia.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że jego książka o Katyniu zdobyła międzynarodowe uznanie. Doczekała się wyróżnienia przez *History Book Club* za rok 1972. Przetłumaczono ją na języki: czeski, francuski, japoński, niemiecki, norweski, portugalski i włoski, i omówiono ją w przeszło 120 czasopiśmie międzynarodowych. Miała dwa stereotypowe wydania angielskie. Ukazała się w formie seryjnej w prasie belgijskiej, holenderskiej oraz niemieckiej, wreszcie w roku 1971 została zradiofonizowana przez BBC.

Nie uszczuplając zasług pionierskich opracowań tematu katyńskiego przez takich znawców i świetnych pisarzy jak Józef Mackiewicz i Józef Czapski, a przedtem jeszcze prof. Wiktor Sukiennicki, można zaryzykować twierdzenie, że książka *Death in the Forest* Zawodnego, spopularyzowała w świecie zachodnim a także w Azji, temat Katynia, rozdrapując jeszcze raz bliznę, zarastającą błoną upadającej zmywy milczenia. Książką o Katyniu oddał on swej starej Ojczyźnie wielką przysługę.

Kiedy w rozmowie z prof. Zawodnym, zadałem mu pytanie, jaki byłby wybrał zawód, żyjąc w Polsce, gdyby nie druga wojna światowa. Odpowiedział, że zostałby żołnierzem. Myślę, że jest nim do dzisiaj. Mundur zakamuflował togą.

Jan KOWALIK

San José, California, w maju 1979.

LISTY DO REDAKCJI

24 kwietnia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule p. Zdzisław Baua pt. „35 lat Instytutu J. Piłsudskiego w Nowym Jorku” (Nr 47 *Zeszytów Historycznych*, znajduje się zdanie następujące:

„... Rodzynkiem archiwum Weinsteina... jest list Gamelina do Rydza Śmigłego z roku 1938...”.

Zachodzi tu widoczna pomyłka, gdyż odręczny oryginał tego listu nie pochodzi z archiwum Weinsteina, lecz został ofiarowany Instytutowi przez wdowę po śp. gen. Józefie Jakliczu.

Z poważaniem,

Michał BUDNY
Wiceprezes i Dyrektor
Instytutu



20 maja 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Zdzisława Baua „35 lat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku” kompletnie mnie zaskoczył. Wiedziałem że p. Bau miał go opracować, ale zapoznałem się z treścią dopiero po otrzymaniu nr. 47 *Zeszytów Historycznych*. Pochlebnie tam wyglądam, ale ustęp o dwumiliardowej pożyczce z 1936 roku we Francji jest niedokładny.

W związku z powyższym proszę o umieszczenie w *Zeszytach Historycznych* mego następującego wyjaśnienia:

Rola moja w negocjacjach o dwumiliardową pożyczkę, którą gen. Rydz-Śmigły otrzymał we wrześniu 1936 roku we Francji, została w artykule p. Z. Baua oceniona z nadwyżką.

Byłem obecny w Paryżu tylko w ostatnich trzech dniach, gdy rokowania na najwyższym szczeblu prowadzili gen. Rydz-Śmigły i ambasador J. Łukasiewicz. Samodzielnie występowałem jedynie u francuskiego Ministra Skarbu, Vincent Auriola w dniu 6 września na naradzie w Paryżu, na dwie godziny przed posiedzeniem w Rambouillet.

Prawdą jest, że rokowania gen. Śmigłego w Paryżu w pewnym momencie utknęły na martwym punkcie, gdy strona francuska oferowała tylko jeden miliard franków i to w naturze — w sprzęcie wojskowym.

Byłem podówczas naczelnikiem Wydziału Kredytu Zagranicznego w Ministerstwie Skarbu, ale miałem bezpośrednio dostęp do Ministra E. Kwiatkow-

skiego. Zasugerowałem mu wysunięcie wobec Francji żądania trzech miliardów i przedłożyłem obszerną motywację. Minister Kwiatkowski niezwłocznie delegował mnie do Paryża z odpowiednią instrukcją.

Do tej chwili rokowania dotyczyły tylko kredytów na zakup sprzętu wojkowego. We wspomnianej instrukcji wysunięte zostało między innymi żądanie przyznania przez Francję miliarda franków na wykończenie linii kolejowej Śląsk - Gdynia, której budowa przez francuskiego koncesjonariusza utknęła na martwym punkcie z braku funduszy.

Ta część propozycji przemówiła do rządu francuskiego i w ciągu dwu dni oferta francuska została podniesiona do dwu miliardów franków jako kredyt gotówkowy, obejmujący osiemset milionów na wykończenie linii Śląsk - Gdynia.

Włączenie transakcji ściśle gospodarczej do rokowań wojkowych było moim konkretnym wkładem do tak zwanej „pożyczki Rambouillet”.

Wiesław DOMANIEWSKI



Waszyngton, 18 czerwca 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

Stefan Korboński prostuje w liście do Redakcji (*Zeszytów Historycznych* nr 48, str. 244) informacje o audycjach „Błyskawicy”, że był to pierwszy i jedyny w tej wojnie wypadek żeby z kraju okupowanego, wprost z pola walki nadawała radiostacja foniczna. Nie wspomina jednak, że w mojej książce „Kurier z Warszawy” zdanie to, wybite kursywą i ujęte w cudzysłów, wyjęte zostało z audycji BBC (chodziło o program „This is London” — Tu Mówi Londyn — nadany przez Europejski Serwis BBC z okazji dziesięciolecia jego istnienia).

Czy BBC popełniło nieścisłość? Chyba nie. Foniczna audycja radiostacji Kierownictwa Walki Cywilnej nadana była jednorazowo w warunkach walki konspiracyjnej. Codzienne audycje „Błyskawicy” nadawane były wprost z pola walki (*directly from the battlefield*) nie w przenośnym lecz dosłownym znaczeniu linii frontu. Nie umniejsza to w niczym heroicznego wyczynu Kierownika Walki Cywilnej i jednego z przywódców podziemnego PSL oraz jego żony Zofii Korbońskiej, jakim było utrzymywanie przez nich przez kilka lat łączności z Londynem przy pomocy krótkofalówki nadającej Morse’em. Nadanie zaś z okupowanej Polski audycji fonicznej i zapewnienie jej słyszalności w Londynie było niewątpliwie wielkim wyczynem technicznym.

O tym, w jakich okolicznościach tajemnica „Świtu” przedostała się do wiadomości płk. Jana Rzepeckiego dowiedziałem się z relacji tego ostatniego, ogłoszonej w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym* (Organizacja i działania Biura Informacji i Propagandy KG AK, Zeszyt nr 2, 1971). Miałem prawo przypuszczać, że ta źródłowa praca znana jest p. Korbońskiemu jako historykowi polskiego Podziemia. O ile mi wiadomo p. Korboński nie sprostował nigdzie słów Rzepeckiego, który twierdzi, że: „...nas też Korboński mistyfikował przez pewien czas i opowiadał bajki o przygodach jego rozgłośni powodujących kilkunastu przerwy w działaniu. Wreszcie pod naporem potrzeb dopuścił nas do tajemnicy, aby uzyskać więcej świeżych wiadomości”.

Łączę najlepsze pozdrowienia,



Jan NOWAK

Władysław ŻELEŃSKI

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN PETLURY

Stuletnia rocznica urodzin atamana Simona Petlury, uczczona w maju przez Ukraińców i — niestety oddzielnie — przez Polaków, nasuwa mi na myśl dwie relacje historyczne, związane z jego imieniem.

Pierwsza pochodzi od Jerzego Stempowskiego-Hostowca, chyba z roku 1959 a w każdym razie nie po roku 1960. Datę tę podkreślam, bo w późniejszym okresie ustne czy pisane opowiadania Hostowca były coraz to mocniej naznaczone wyobraźnią. Tym razem, słuchając jego wspomnień, miałem uczucie ściśłości i autentyczności, choć fakty przedstawione były prawie pastelowo, bez ostrych konturów, z niedopowiedzeniami.

Sam zresztą nie pamiętam, skąd do poruszenia danego tematu doszło. Może stąd, że Stempowski, znany mi sprzed wojny i wiele razy spotykany w roku 1944 w czasie mego internowania wojskowego w Szwajcarii, powiedział mi kiedyś, że po konferencji Monachijskiej Francja obrzydła mu do tego stopnia, że postanowił już nigdy do niej nie pojechać. Istotnie minęło kilka lat, zanim zdecydował się odwiedzić *Kulturę*. Tam go zapewne spotkałem i zaprosiłem do Paryża. Może właśnie temat Paryża nasunął mu opowiadanie o podróży, którą odbył w roku 1926 lub 1927.

Z opowiadania wynikało, że było to jakiś czas po zabójstwie Petlury w Paryżu przez Schaloma Schwarzbarda (a więc po 25 maja 1926) a przed procesem przeciw jego zabójcy (a więc przed 18 października 1927). Premier Bartel, w którego biurze w prezydium Rady Ministrów Stempowski pracował, polecił mu udać się do Paryża i podjąć starania, by postać Petlury w procesie okazana została w prawdziwym świetle i by środowisko paryskie nie dało się zwieść propagandzie, obarczającej Petlurę odpowiedzialnością za pogromy żydowskie, popełnione na Ukrainie w okresie rewolucji i walk wyzwoleńczych. Pogromy na Ukrainie były sprawą wojsk i band różnych formacji i narodowości, w powszechnym chaosie i rozprzęczeniu rewolucyjnym były nagminne i obciążanie socjalisty Petlury tymi zbrodniami było wybiegiem Moskwy, mającym zasłonić istotną rację tego zabójstwa, związaną zapewne z powrotem Piłsudskiego do władzy a z pewnością obliczonego na obrzydzenie w oczach Zachodu idei niepodległości Ukrainy.

W Paryżu Stempowski nawiązał kontakt z pewnymi ośrodkami, mogącymi wywrzeć wpływ na postawę strony żydowskiej w procesie. Jakże to były ośrodki, tego Stempowski mi nie sprecyzował. Wszelako znając z opinii związki łączące zarówno Bartla jak Jerzego Stempowskiego z masonerią domyśliłem się zaraz, że chodziło o jedną z Łóz masonskich we Francji: Wielki Wschód lub Wielką Łożę Francji. Przyznaję, że nie orientowałem się jeszcze, z którą z tych Łóz wolnomularstwo polskie było związane. Wiedziałem jednak, że ojciec Jerzego, Stanisław Stempowski uchodził za Wielkiego Mistrza Łoży polskiej i że swego czasu wszedł w skład rządu Petlury, „wypożyczony” na jego prośbę przez Piłsudskiego po zawarciu przymierza polsko-ukraińskiego w kwietniu 1920 roku. Nie pytałem Hostowca o szczegóły, byłoby to zresztą niedyskretne, i słuchałem dalej. Z opowiadania wynikało, że mimo przyjacielskiego choć zwleczzonego zdaje się — przyjęcia w środowisku tym w Paryżu, Hostowiec natrafił na wielkie trudności i rozmówców swych nie zdołał przekonać. Ułatwiono mu tylko widzenie z Wielkim Rabinem Paryża, ale i ta rozmowa nie dała wyników. Sprawa była przegrana i Stempowski wrócił do Warszawy z pustymi rękami.

Jak wiadomo, obrony Schaloma Schwarzbarda podjął się mason, głośny

adwokat Henry Torrès, który w procesie z powodzeniem przeprowadził tęzę przeciwną staraniom Stempowskiego przedstawił Schwarzbarda jako mściciela i uzyskał wyrok uniewinniający, powitany przez przeważającą część publiczności oklaskami, przyjęty przez prasę z pełnym uznaniem.

Nie miałem dotąd warunków, by zbadać dokładnie dowody przedstawione z obu stron na rozprawie i wyrobić sobie ostateczne zdanie o wyroku. Literatura związana z tą sprawą jest bardzo bogata, może kiedyś uda mi się z nią zapoznać. Wiem jednak, że pewne świadectwa, mające odsłonić dość tajemniczą przeszłość zabójcy Petlury i jego zachowanie przed zamachem nie zostały przez sąd francuski dopuszczone bądź dostatecznie wyjaśnione. Siły stron były nierówne, proces odbył się w atmosferze moralnego nacisku i podniecenia, w której trudno było stronie ukraińskiej przekonać ławę przysięgłych że za Schwarzbardem kryła się ręka NKWD i że Petlura nie jest winien pogromów, bo je wyraźnie potępił i im się przeciwstawił. Było to zresztą na długo przed zamachami na przywódców emigracji rosyjskiej gen. Kutiepowa (1930) i Millera (1937), a także przed procesami moskiewskimi, i opinia Zachodu nie doceniała jeszcze metod sowieckich. Zresztą po dzień dzisiejszy — wiem to z licznych rozmów z moimi przyjaciółmi Żydami — Żydzi nie chcą odstąpić od swojej tezy i uważają uniewinnienie Schwarzbarda za słusne. Przypuszczam, że się mylą*.

Wspominając zwierzenia Stempowskiego zadaje dobre pytanie, czy ówczesna jego interwencja zlecona przez Bartla, była podjęta za wiedzą Piłsudskiego. Sądzę, że premier nic byliby inicjatywy takiej podjął bez jego zgody.

Druga relacja pochodzi od Stefana Soboniewskiego z Londynu, dziś prezesa Światowej Federacji SPK, w ostatnich latach przed wojną starosty powiatowego w Kaliszu, i dotyczy losu żołnierzy Petlury, pozostałych po pokoju ryskim w Polsce. Jak wiadomo część naszych sojuszników z wojny roku 1920 — chodziło o tzw. nadnieprzańców — została rozmieszczona przez władze polskie w różnych obozach, przy czym żołnierze walecznej 3-ciej dywizji Strzelców zostali osiedleni w dawnym obozie w Szczypiornie, opodal Kalisza. Były to baraki wybudowane z początkiem wojny przez Niemców dla jeńców rosyjskich, gdzie byli także internowani różni działacze niepodległościowi polscy, a wśród nich Aleksandra Szczerbińska, późniejsza marszałkówna Piłsudska, zaś w roku 1917, po kryzysie przysięgowym, byli zamknięci legionieści.

Pobyty Ukraińców w tym obozie opisał dowódca wspomnianej dywizji, gen. Pawło Szandruk w swej książce „Arms of Valor”, wydanej w roku 1959 i omówionej niedawno, po jego śmierci, przez Antoniego Hermaszewskiego w jego świetnym, comiesięcznym przeglądzie prasy ukraińskiej, wydawanym w Londynie przez nasze emigracyjne Ministerstwo spraw zagranicznych. Z opisu Szandruka wynika, że na początku warunki w obozie były opłakane, wszelako później uległy stopniowo poprawie. Oficerowie i żołnierze zorganizowali nauczanie niższe, średnie a nawet wyższe, oraz różne kursy zawodowe, jeden z baraków przebudowano na cerkiew, za cichą zgodą Warszawy prowadzono tajne szkolenie żołnierskie, redagowano pismo wojskowe *Tabor*. Po przewrocie Majowym, na rozkaz Piłsudskiego Ukraińcy uzyskali paszporty nansenowskie, przyznano im renty inwalidzkie, umożliwiono wyjazd za granicę, 57 oficerów przyjęto do Wojska Polskiego jako oficerów kontraktowych, a najzdolniejsi, w tym Szandruk, odbyli Wyższą Szkołę Wojenną. Ale w Szczypiornie obóz, który stopniowo przybrał charakter wolnego osiedla, choć znacznie zmniejszony, istniał nadal.

* Redakcja *Kultury* tych wątpliwości nie ma.

W roku 1937 starosta Soboniewski — i tu zaczyna się jego relacja, powtórzona mi na piśmie w kwietniu br. — zastał tam jeszcze kilkaset rodzin ukraińskich. Żyły one przeważnie z pomocy pieniężnej Ministerstwa Opieki Społecznej, wypłacanej co tydzień przez kierownika tego „hostelu”. Część kobiet pracowała w fabrykach jedwabiu i koronek w Kaliszu, wielu mężczyzn pozostawało bez pracy. Słusznie uznając ten stan rzeczy za bardzo niezdrowy i niewłaściwy, Soboniewski podjął starania o stopniowe zlikwidowanie ośrodka przez znalezienie dla wszystkich jego zdrowych mieszkańców przyzwoitego zajęcia. Za jego sprawą Ministerstwo opracowało plan przewidujący wynalezienie dla nich stałej pracy i wypłacenie skapitalizowanej zapomogi z góry za 5 lat jako „wiana” dla urządzenia się na nowym gospodarstwie. Mimo zgłoszonych w urzędzie wojewódzkim wątpliwości i różnych innych oporów po stronie polskiej, przystąpiono do wykonania planu i zdołano rozmieścić w powiecie Kaliskim i w powiatach sąsiednich sporą ilość rodzin, głównie jako dróżników i pracowników leśnych. Dalsze wykonanie planu, który okazał się całkiem realny i spotkał się z zadowoleniem przesiedlonych osób, urwało się z wybuchem wojny 1939 roku. Jakie były losy przesiedlonych i nieprzesiedlonych mieszkańców obozu w Szczypiornie, tego Soboniewski nie pisze, może wiadomości o nich znane są któremuś z historyków ukraińskich? W każdym razie świadectwa Szandruka i Soboniewskiego dowodzą, że stosunki Ukraińców nadnieprzańskich z władzami polskimi ułożyły się pod innym znakiem niż stosunki Ukraińców obywateli polskich z Małopolski...

Postawa Piłsudskiego względem Petlury i rozgraniczenie terytorialne wyrażone w układzie z kwietnia 1920 roku przypomina mi ciekawy list Piłsudskiego z początku 1919 roku (o ile pamiętam: z lutego), nieznanym, jak to stwierdziłem, w obu Instytutach Piłsudskiego — w Nowym Jorku i w Londynie. List ten, wystosowany z Warszawy do gen. Rozwadowskiego we Lwowie, zawierał wytyczne dla dalszych działań wojskowych w Małopolsce Wschodniej przeciw wojskom ukraińskim. Zasadnicza myśl tego dokumentu wyrażała się w stwierdzeniu, że państwo polskie musi koniecznie uzyskać wspólną granicę z Rumunią.

List ten, odkryty w roku 1938 czy z początkiem 1939 w archiwum Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, został mi wkrótce po znalezieniu okazany w GISZ'u o ile pamiętam przez płk. dypl. Strzeleckiego, na prośbę min. Grabowskiego, który powierzył mi był w Nadzorze Prokuratorskim Ministerstwa Sprawiedliwości tzw. sprawy ukraińskie. Zarówno Grabowski jak i Strzelecki uważali dokument ten za „rewelacyjny”, bowiem rozwiewał ich zdaniem wszelkie wątpliwości co do postawy Piłsudskiego wobec problemu przynależności Małopolski Wschodniej do Polski. Oczywiście jednak jest, że wypowiedź tę należy rozważyć w kontekście innych deklaracji Piłsudskiego na ten temat, a jak mnie powiadomiono, w zbiorach Instytutu w Londynie jest kilka dokumentów, odnoszących się do tego problemu. Sprawa zasługuje stanowczo na monograficzne opracowanie, choć, rzecz oczywista, ma dziś znaczenie tylko historyczne.

Natomiast zestawienie nazwisk Petlury i Piłsudskiego ma wymowę nie tylko historyczną. Wyraża się w nim nie tylko doświadczenie w czasie minionym, kiedy na przekór wojnie, wzajemnej nieustępliwości, zaciekłości, ba! nienawiści, otwarta nagle została karta porozumienia, kompromisu i przymierza. Mieści się w nim też hasło i program na przyszłość — zgody i porozumienia między dwoma sąsiedzkimi wolnymi państwami.

W tym właśnie duchu setna rocznica urodzin (i pięćdziesiąta rocznica śmierci) Petlury została przez Polaków uczczona: na grobie jego złożono

kwiaty nie tylko od redakcji *Kultury* ale i od Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego, które również skierowało telegram do Biblioteki im. Petlury w Paryżu, podobnie jak to uczyniło Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Wiem też, że Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku wystosował do tejże Biblioteki list a Instytut w Londynie telegram — podpisany obok gen. Rlfa Tarczyńskiego przez dr Wandę Piłsudską. To nazwisko wiele mówi...

Władysław ŻELEŃSKI

NAGRODA INSTYTUTU PIŁSUDSKIEGO W NOWYM JORKU

Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku zawiadamia, iż dla uczczenia imienia śp. Damiana Wandycza pani Irena Wandyczowa ufundowała nagrodę dla żyjącego autora za pracę z dziedziny najnowszej historii Polski (1863-1945), opublikowaną poza krajem w latach 1978-79. Praca ta może mieć charakter dzieła naukowego, wspomnienia, pamiątnika lub cyklu esejów.

Nagroda wynosi 400 dolarów, a jej jury stanowią: dyrektor Instytutu M. Budny, prof. W. Jędrzejewicz, prof. E. Kleban, prof. L. Teclaff i prof. P. Wandycz.

Przyznanie nagrody zostanie ogłoszone w listopadzie 1979 roku.

Ewentualną korespondencję należy kierować pod adresem:

PIŁSUDSKI INSTITUTE OF AMERICA,
381 PARK AVE. SOUTH, NEW YORK, N.Y. 10016.

SPIS TREŚCI

Stefan Kisielewski: <i>Stosunki Kościół-Państwo w PRL</i>	3
Jan M. Ciechanowski: <i>Pierwsza relacja gen. Bora-Komrowskiego o A.K. i Powstaniu Warszawskim</i>	24
Jan Ostrowski: <i>Czołówka teatralna Brygady Karpackiej</i> ..	53

DOKUMENTY

Mieczysław Szerer: <i>Komisja do Badania odpowiedzialności za łamanie praworządności w sądownictwie wojskowym</i> (z wykazem spraw z grupy Tatara i in. rozpatrywanych przez Najw. Sąd Wojskowy w I-szej instancji, biografią M. Szerera i uwagami Redakcji)	71
--	----

WSPOMNIENIA

Ks. inf. Teofil Skalski: <i>Garstka wspomnień z mego życia</i> (4)	161
Ester Rozental-Szneiderman: <i>Na eksport</i>	179

POLEMIKI

Zygmunt Godyń: <i>Sprawa rozkazu N.W. z 17. IX. 1939 r.</i>	195
Zygmunt Godyń: <i>V-ta Brygada Łupaszki</i>	197
Witold Babiński: <i>To nie duch Szczypiorna, ale widmo Sejmu Grodzińskiego</i>	201
Doman Rogoyski: <i>Na marginesie Ankiety prof. P. Wandycz</i>	203
	239

RECENZJE

Andrzej Rapaczyński: <i>Historia odmitologizowana</i>	209
Janusz Zawodny: <i>Jeszcze o „Kurierze z Warszawy”</i>	222
Jan Kowalik: <i>Żołnierz w todze</i>	229

LISTY DO REDAKCJI

Michał Budny: <i>Sprostowanie w związku z artykułem Zdzisława Baua pt. „35 lat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku” (Zeszyty Historyczne nr 47)</i>	233
Wiesław Domaniewski: <i>Sprostowanie w związku z wyż. wym. artykułem Zdzisława Baua</i>	233
Jan Nowak: <i>Wyjaśnienie do listu Stefana Korbońskiego (Zeszyty Historyczne nr 48) prostującego informacje o audycjach „Błyskawicy”</i>	234
Władysław Żeleński: <i>W setną rocznicę urodzin Petlury</i> ..	235



<i>Nagroda Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku za pracę z dziedziny Najnowszej Historii Polski, opublikowaną poza Krajem w latach 1978-79</i>	238
--	-----

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

**BIBLIOTEKA „KULTURY”
KSIĄŻKI O TEMATYCE HISTORYCZNEJ**

- S. Ailiujewa, *Dwadzieścia listów do przyjaciela*.
 J. Grzędziński, *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”).
 W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”).
 Fr. Kalinowski, *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)*.
 T. Katelbach, *Rok złych wróżb (1943)*.
 A. Koestler, *Fragmanty wspomnień* (Seria „Archiwum rewolucji”).
 St. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*.
 I. Koszeliwec, *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”).
 St. Kot, *Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej*.
 St. Mackiewicz, *Polityka Beeka*.
 M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*.
 E. Reale, *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”).
 St. Rembek, *W polu*.
 B. Singer, *Od Witosza do Sławka*.
 W. Solski, *Moje wspomnienia*.
 W. Sukiennicki, *Legenda czy rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”).
 St. Świąniowicz, *W cieniu Katynia*.
 Węgry (Seria „Dokumenty”).
 W. Witos, *Moje wspomnienia*, t. I/II.
 J. Wołoszynowski, *Było tak*.
 P. Zaremba, *Historia Polski*, cz. I.
 A. Zawadzka-Wetz, *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”).

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAL NA POZĄTAKU LUTEGO. MAJA.
SIERPNIĄ I LISTOPADĄ KĄZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA 1979 — F. 160,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 140,00.
CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1979 — F. 40,00.

Cena 40 F.